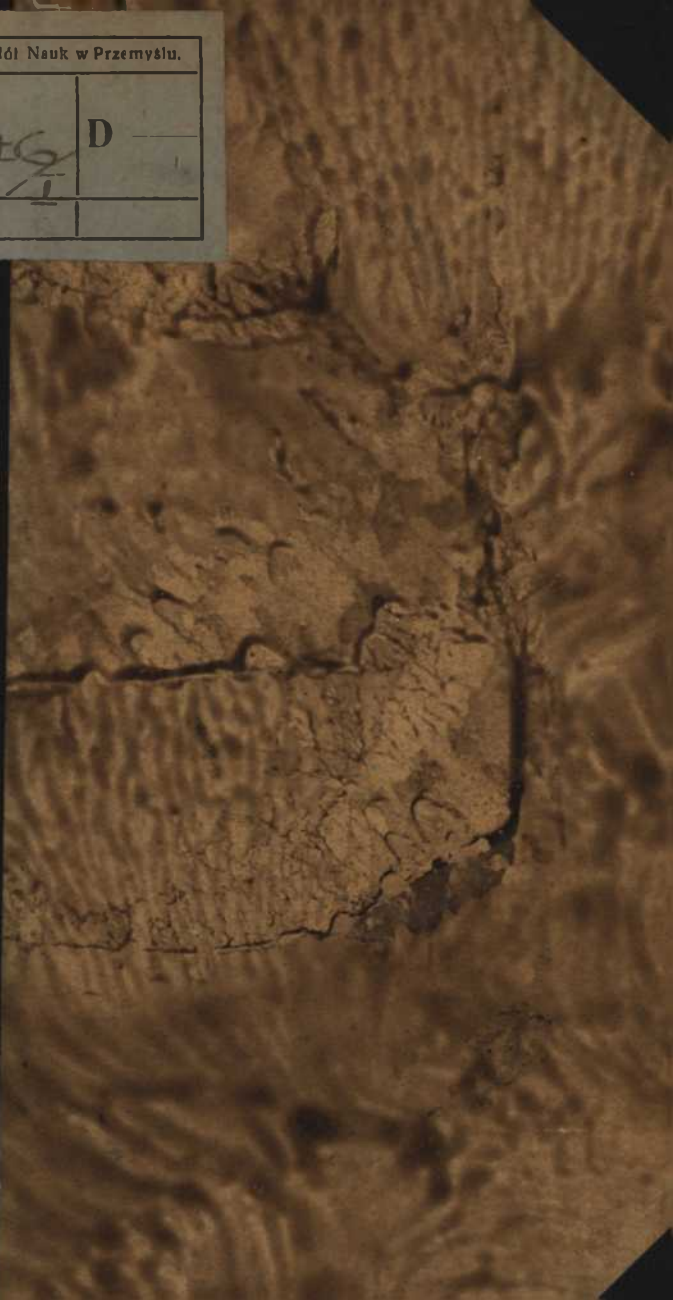


Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

6046

D



Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

6046D

I

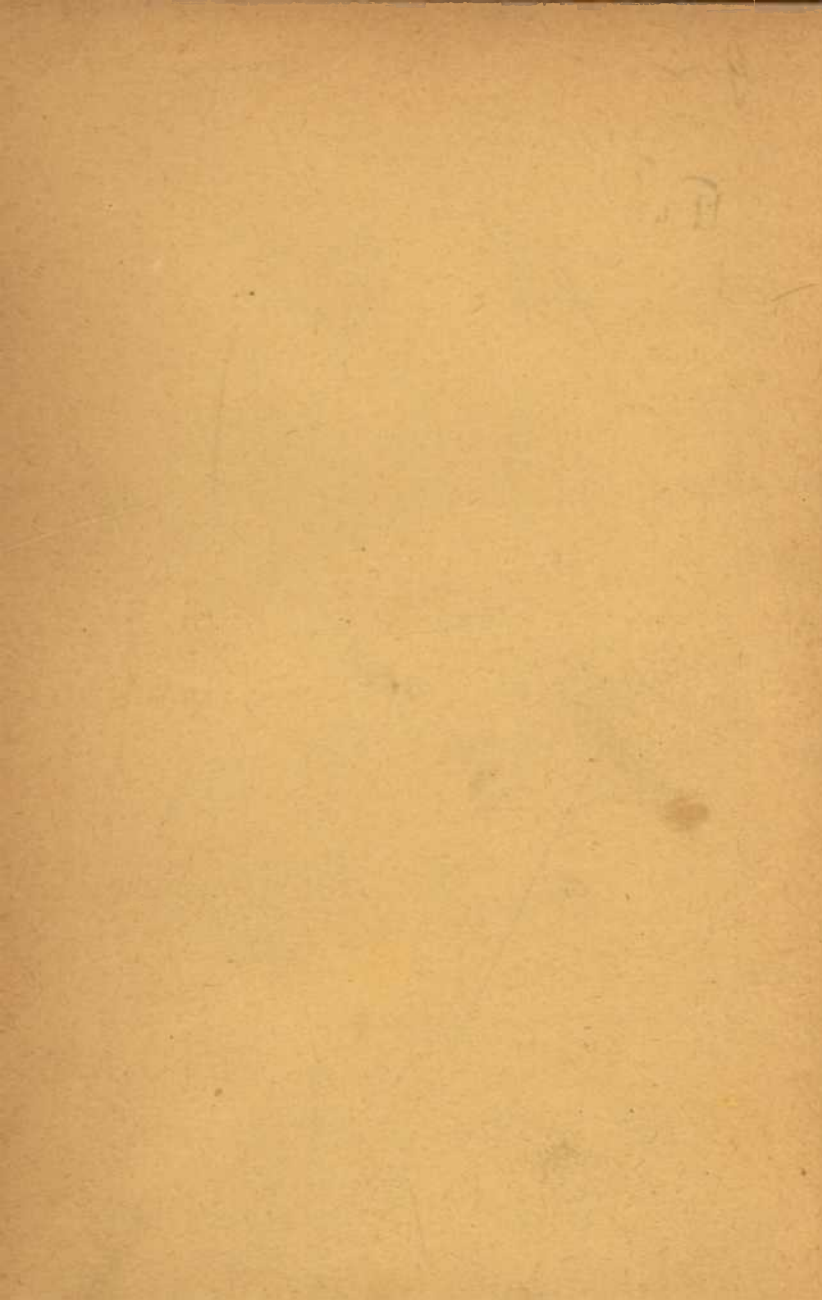
ANDRZEJ STRUG

ŻÓŁTY

KRZYŻ

TAJEMNICA RENU

GEBETHNER I WOLFF  
WARSZAWA



g. ✓

95

T. I.

Ż Ó Ł T Y   K R Z Y Ż

\*

*Tajemnica Renu*



ANDRZEJ STRUG

ŻÓŁTY KRZYŻ

\*

*Tajemnica Renu*



NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA  
WARSZAWA

A-19010/1

1 — 3 tysięcy  
Ponadto odbito 100 egz. numerowanych na papierze piórkowym, w drukarni „Polskiej Macierzy Szkolnej” w Warszawie  
ul. Elektoralna 18  
1 9 3 3



1000171621

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

Literat. 15a

K. 1160/56/925



## I

Zapadał zmierzch i na chwilę opanowała światem straszliwa cisza. W niebywałym milczeniu zapowiadał się jakowyś kres i koniec wszystkiemu, co dotrwało do tej godziny zmierzchu i jeszcze żyło. Wnet zerwie się trzask piorunów i chmurna noc zawyje, orząc i prując powietrze w błyskawicach i dymach. Nie ostoi się nic, dokona burza swego dzieła, powali, uśmierci, zagrzebie w ziemi ostatnią resztę tego, co czai się jeszcze i trwa już ostatnim tchem...

W ciszy na dalekiej równinie płonęły spokojnie ciemno - purpurowe pożary. Zapadająca noc otulała je coraz szczelniej, gubiąc, myśląc odległości w czarnej przestrzeni. Chwiały się, falowały wielkie ognie i zdawały się sunąć światem jak widma, Unosiły się i opadały, rozpościerały się po ziemi i wypiętrzały się, rosły, sięgając ku ciemnemu niebu, zawałonemu od horyzontu do horyzontu jedną bezmierną chmurą. Tu i tam na niskim pułapie nieba rodziły się i znikały jak gasnące zarzewie blade mętne łuny.

Szybko gęstniały ciemności, zatracaly się rzeczy

najbliższe — szczątek muru ze sterczącem jeszcze kominem, pochyła żerdź od telefonu, strzaskany pień drzewa z jedną jedyną wielopalczystą nagą gałęzią, która wołała w przestrzeń jak rozwarta dłoń, wzywająca ratunku. Okrywała noc wszystkie okropności tych miejsc i dała odpocznienie zmordowanej ziemi i zdawało się teraz, że już na zawsze, na wieki wieczne utai noc bezceństwa, bohaterstwa i zbrodnie, które szalały tu bez przerwy, bez wytchnienia w ciągu trzech nocy, trzech dni. Niepodobna, by za tym razem, o swojej godzinie jak co dnia, podniosło się jutrzejsze słońce, żeby się obnażyła bezwstydnie jakowaś prawda niemożliwa, potępiona i przeklęta. Po tem, co się tu działo, nie może odżyć i nie powinien żyć na nowo splugawiony obszar ziemi. Nie porośnie trawa i nie zaśpiewa ptak, nie wszędzie dzień nad pustynią — nie objawi się już nic. Nic, jeno czarna noc zapomnienia.

Wlokły się jedna za drugą i jedna za drugą wciąż już ostatnie i wciąż odradzające się sekundy ciszy. Czyż wyginęło już i zmarło wszystko, co żyło? W przenikliwie napiętej cichości lada chwila odezwie się nad pobojuwiskiem czyjś głos olbrzymi, nadludzki. Wypowie się gromowe słowo gniewu Bożego czy szyderczy jak wycie pocisku śmiech szatana?

Z głębin ciemności ozwał się jęk człowieczy, zgłuszony, jakby z pod ziemi, i jał się powtarzać słabiej, wyraźniej, miarowo, spokojnie jak oddech. W tej bezsłownej, cichej mowie wypowiedało się

znękanie, zgnębienie ludzkiego bólu i jego ostatnia skarga. Już nie było w tem wiedzy o sobie, ani czucia, ani wołania ratunku, ani modlitwy do Boga, ani żadnej ludzkiej nadziei. Tym jękiem bezgłośnym oznajmiały się ostatnie sekundy czyjegoś żywota. Już znikł i zapodział się był ów człowiek, syn ziemi, i uszła z niego dusza, został po nim jeno ślad, pogłos cichy, milknący, a w nim zew śmierci, jej potęga i nędza. Gasł w ciszy i odzywał się znowu ledwie dosłyszalny, coraz rzadziej, coraz słabiej.

Kapitan Déspaix oddawna wsłuchiwał się w ów głos ostatni i jedyny, który ocalał na świecie. Czuwał pilnie i chwycił z chciwością każde najcichsze jego tchnienie, albowiem okropna była jego samotność. Trzymał się go mocno, był to bowiem jedyny ślad czyjegoś istnienia, jakiejś zagubionej prawdy. Mimo jątrzącego bólu, który dolegał i piekł, wiercił w nim i ciążył mu wszędzie, jednak chwilami usypiał, ale i przez sen czuwał, by nie zgubić wątłego promyczka wśród ciemności, utrzymać jedyną nici przewodnią, która zdoła wyprowadzić go kędyś z ciasnej, podziemnej przepaści. Nic o sobie nie wiedział i niczego nie pamiętał, w rozbitej głowie czuł tylko ból zamętu. Nie mógł zebrać myśli, gdyż już nie umiał myśleć, zapomniał myśleć. Wciąż miało mu się coś odkryć, coś się miało w nim nieodwołalnie zakończyć. I gubił się, i znowu tonął w pustym odmęcie.

Gdy wreszcie umilkł i zginął mu jedyny żywy głos, kapitan Déspaix zaczął osuwać się kędyś w dół

i opadał, pogrążał się coraz głębiej. Usnął i natychmiast wylazły z pod ziemi te same dawniejsze ruchliwe maskary. Zanim go osaczą i zgubią, patrzą weń ogromnymi płaskimi oczami, które są puste jak ze szkła, a tają w sobie okropną groźbę. Napróżno szuka wyjścia i ucieczki — jest odcięty. Chwyta go poczwara w żelazne ramiona, łamie mu żebra, łamie mu krzyże i dusi. Ostatni szept ostatniej myśli — to jest śmierć... Śmierć porywa go w oślepiającym blasku, w huk, rozsadzającym czaszkę.

...Pustka, bezwład. Postrzega jakąś potworną swoją własną nieobecność. Jest nigdzie. Całkiem nie jest. Niema nic wokoło niego, Nic, jeno straszliwy, niepojęty ból. Wije się skręca się w tym bólu i nareszcie, nareszcie umiera już naprawdę. Powielekroć, sto, tysiąc razy ginie i wynurza się znowu zpowrotem, bez chwili opamiętania, bez chwili spoczynku. Pastwi się ktoś nad nim, druzgoce go, dźwiga wysoko i wali nim o ziemię, rozdziera i depce w nim ostatni strzęp... Porwała go i wciągnęła w siebie straszliwa, zawzięta maszyna. Hucząc i wyjąc przewleka go przez swoje tryby i koła, podaje go coraz dalej i dalej, po drodze miażdży żelaznymi młotami, kraje żelaznymi kleszczami, szarpie na żelaznych iglicach i hakach. Żelazo, wszędzie zimne, nieubłagane żelazo...

Długo, bez końca ciągnie się sen o bólu. Warczy rozpędzona maszyna — cóż jeszcze zdoła mu uczynić, jaką męczarnię zadać, gdy wypłuła już i roz-

proszyła jego ostatnią odrobinę?... Ocknął się. Natychmiast porwał go strach przed czymś najokropniejszym, przed niewiadomem.

Tonąc w głębokiej nocy wlekli się z mazołem. Poomacku niewidzialni ludzie. Oddawna, zdaleka ciągnąc, weszli byli o zmierzchu w strefę bojową. Brnęli przez rowy, przez zdradzieckie doły pełne mułu, przez wzgórze, usypane pociskami, przez grząskie kałuże, przez szczątki drutów, przez sterzące z ziemi deski i bale, potykali się na każdym kroku wśród tysiąca niespodzianych, niewidocznych przeszkód. Deptali w ciemnościach po cichych na wszystko trupach, po rannych, którzy oznajmiali się stękaniem bólu, i po leżących wszędzie pokotem żołnierzach, którzy wyrwani z kamiennego snu, wybuchali złorzeczeniem i klątwą. Ale nawet w najbezpieczniejszych wyzwickach brzmiała radość i była wdzięczność, nadchodziła bowiem nareszcie zmiana — zmiana po trzech nocach i trzech dniach nieprzerwanego boju. Ludzie śmiertelnie sponiewierani, pół-żywi, skonani w trudach i w głodzie, w strachu, bez snu, bez kropli wody — zrywali się ochotczo, jak cudem wskrzeszeni. Zaroili się i zagadali, wyłaząc jak z pod ziemi z czeluści ciemnej nocy i skupili się w czarne gromady, gotowi do ciężkiego marszu na całą noc, bo każdy krok po rumowisku i bezdrożu będzie ich oddalał od okropnego pola i od świtu jutrzejszego dnia, gdy wraz ze śmiertelnym grzmiotem pierwszego pocisku nanowo roztwo-

rzy się tutaj piekło walki. Ruszyli w drogę i śpieszą się; nie powstrzyma ich dzisiaj i nie zawróci żadna potęga świata, ani straszna święta przysięga, ani honor, ani ojczyzna, ani wódz naczelny, ani nawet sam pan sierżant. Nowe cienie ludzkie rozłaziły się we wszystkie strony i tonęły w ciemnościach. Zrzadka, na mgnienie oka to tu, to tam, zabłysła lartarka, ozwał się głos komendy, lub słaby jęk rannego, którego dźwigano z ziemi. Na ogromnej przestrzeni odcinka zaczynała się ciężka, śpieszna praca nocy, której dokończyć trzeba przed pierwszym braskiem dnia. Zewsząd dobiegały zgrzytania pò kamieniach łopat i kilofów, głuche odgłosy wbijanych palów, brzękały rozwijane druty. Szczękało przeróżne żelastwo bojowe.

Po obu stronach frontu nagwałt umacniano nowe pozycje, rozgrzebywano jeszcze raz stare, prastare rumowisko, zryte, przewrócone na nice przez miliony pocisków, po stokroć przekopane przez saperów, nasiąkłe krwią. Tu bowiem, na tem miejscu, toczyły się od trzech lat zażarte boje. Od trzech lat wydzierali Francuzi Niemcom, Niemcy Francuzom lasek Colombe, z którego nie ocalała ani jedna drzewina, fermę de la Routoire, przysiółek St. Vaast i młyn Souchez — po których o tej porze nie zostało już śladu. Bataljony, pułki, dywizje, dziesiątki tysięcy ludzi mordowały się nawzajem od trzech lat o te imiona i nazwania, już teraz puste, bez swej treści i bez istoty. Lasek Colombe, młyn Souchez, ferma de la Routoire, przysiółek St. Vaast,

gdy już znikły i zczczyły z powierzchni ziemi, stały się sławne na cały świat i zapamiętał je każdy na obu półkulach, bowiem powtarzały się uparcie, do znudzenia w komunikatach z zachodniego frontu, przechodziły wielokrotnie z rąk do rąk, za każdym razem ogłaszane triumfalnie kolejno bądź przez jedną, bądź przez drugą stronę. O tej porze znowu znalazły się pośrodku między frontami i znowu były niczyje, tak samo jak na początku, przed trzema laty, jak nieraz zresztą w ciągu tych zmiennych lat. Dziś o zmierzchu i Niemcy i Francuzi w obawie przed nocnym kontratakiem wycofali się, zostawiając w pośpiechu część materiału wojennego i wielu rannych. Od jutra ruszą naprzód świeże rezerwy...

Odległe zgrzytanie łopat o żwir było pierwszym odgłosem, który doszedł do świadomości porucznika von Senden. Ocuciły go zimne płaty śniegu zacinające z wiatrem. W czarnej nocy dogasały pożary. Gdzieś, w niezmierzonej odległości zapalały się, wzlatywały szybko i spływały zwolna biało-błękitne gwiazdy, świecące jaskrawo. Gasły nagle, tonąc w niezbadanych czeluściach i wnet wyrastały nowe. Oczy porucznika długo nie mogły się odebrać od tych dalekich zjaw. I one mogły być również omamieniem, było w nich jednak podobieństwo do jakiejś rzeczywistości zapomnianej, a własnej. Niezmierzony czas dzielił go od pewnego dnia i pewnej jego godziny, gdy naraz wywróciło się w nim wszystko co własne i zamarło. Na to ru-

nęła nawała natrętnych widziadeł, odmęt cudzych słów, przyszły długie czyjeś żywoty — przeżycia, opowieści o niestworzonych dziwach i sny, sny...

Teraz już bliżej zachrobotwały łopatki, jaśniej, bujniej zaczęły się wzbijać białe gwiazdy i porucznik von Senden, nagle ockniony, ogarnął w sobie i zrozumiał, co jest. Oczywiście, leży ranny, jest noc, dobra, ciemna noc, więc lada chwila mogą przyjść po niego. Dziwiło go, że nie czuje nigdzie bólu, dolegał mu tylko tępy ucisk jakiejś martwoty w nogach, w rękach, w krzyżu, był cały ścierpięty i skostniały. Dźwignął się z wielką ostrożnością i poczuł w całym sobie niemoc i bezwład. Nie mógł się ruszyć, usłuchało go tylko jedno prawe ramię, cały tułów, nogi i prawa ręka były uwięzione. Oblał go zimny pot przerażenia. Szarpnął się z całych sił i więzy zaciśniły się na nim jeszcze mocniej. Było to zupełnie podobne do dręczącego snu, ale porucznik już wiedział, że nie śpi. Ochłonawszy, spróbował jeszcze, wspierając się mocno o ziemię wolnem ramieniem i prężąc kark. Napróżno! Ucisk wzmógł się, rozchodził się po całym ciele tępo, dławiać. Ogarniało go coraz bardziej ciężkie poczucie ciasnoty i niewygody, było to dolegliwe, gorsze od bólu. Nareszcie odgadł — był zasypany ziemią.

Uspokoił się, znieruchomiał. Wiedział, że nie ma na to innej rady, jak przeczekać cierpliwie, aż przyjdą swoi i odkopią go. Ale niechże się pośpieszą...

Był cały skręcony, związany, bez możności po-



ruszenia, zmiany, ulgi. Stawało się to tak niezdolne, tak okropne, że porucznik, usłyszawszy niedaleko głosy ludzkie, niebacznym na nic, zmęczony męką, zawołał w czarną przestrzeń:

— Hier! Hier!

To mogą być swoi, ale równie dobrze mogą być i tamci. Nadśluchiwał pilnie, tłumiąc w sobie stękanie i jęki. Obracał głowę, starając się zmiarkować, gdzie leżą fronty. Szereg rac świetlnych szedł z ukosa po prawej stronie, z lewej zasłaniał wszystko zwał ziemi. Jacyś tam ludzie łazili po polu, ich głosy oddalały się i nie dochodziło nic, jeno urwane niewyraźne podzwęki. Jeżeli przyjdą swoi — to dobrze. Ale żaden Francuz nie zada sobie trudu, żeby go odgrzebywać — niepodobna tego wymagać. Błyszczą mu w oczy latarką, rozpoznają i dobrze jeszcze, jeżeli się zdarzy jakiś żołnierzyna, człek litościwy, lub co wychodzi na jedno — właśnie zatwardziały w wojnie okrutnik, który stuknie go mimochodem kolbą w sterczącą z ziemi głowę. — O, Boże, niechże się to raz skończy... Nie, tego nikt nie wytrzyma... O, erbarme mich... O, Gott der Gerechte...

Hasał po polach, wściekał się i był ponuro zimny wicher północny — parł od dalekiego morza, miecąc i tnąc deszczem i śniegiem. Koło północy wzmogła się wichura do potęgi huraganu, pastwiąc się nad wszystkim, co napotkała na roz-

ległej równinie. Tysiącem głosów ozwała się udręczona ziemia. Ruszyły z miejsca rozsypane wszędzie i toczyły się chrobocąc puste ordzewiałe puszkiki po konserwach, rozwalały się z trzaskiem stopy desek, nastermane po rozstrzelonych okopach, grzmiały, chrzęściły przenikliwie, łamały i rozdzierały się i tłukły o siebie strzepy blach. Ich uporczywe zgrzytanie, jęki, skowyty zdradzały w ciemnościach jakowyś bój niepojętych sił tajemnych, piekielnie zawzięty, przerażający, jak przyśniona okropność, jak sabat upiorów. Dał wicher, wyjąc głucho przez głębokie ciasne chodniki, wdzierał się w czeluście nawpół rozwalonych schronów i próbował na nich mocy swojej, drąc listwy i deski, osypując darń i ziemię. Szczekał porzuconą bronią, gwizdał przez otwory tarcz ochronnych i bił w dźwięczne żelazne płyty, dzwoniąc kamykami, blaszanymi manierkami, ciskając w nie byle czem. Grał swoje obłędne melodje w splątanej sieci drutów, na tysiąc tonów odpowiadały mu tysiące napiętych strun. Śpiewały struny, zawodziły bezmiernym, niezgłęzionym żalem, szalały, błagały ratunku, szczydziły potępieńczo, zionęły nienawiścią i przekleństwem. Wszczynały na chwilę w zgodnym chórze jakowyś hymn podniosły, strzęp symfonji, psalm pokutny, pieśń trwogi i żałoby i wnet wicher zrywał i głużył poczynające się słowa, plątał i burzył i darł struny, wybuchał wściekłym zamętem i rwał w czarną przestrzeń potokiem szału, naigrawał się z nieba i z ziemi, przeklinał świat i ludzi,

wszystkiemu bluźnił, zanosił się w bezecnym śmiechu, w szyderstwie swojej djabelskiej uciechy.

Śród rozgwaru nawałnicy, śród wieloróżności jej niespodzianych głosów cicho i nikle, ale uporczywie, nie milknąc, odzywały się z ciemności ludzkie jęki i wołania. To oznajmiali się ranni, porzuceni na pastwę nocy i burzy, rozproszeni wszędzie, gdzie który padł, lub dokąd zdołał się doczołgać. Usłyszeli w pobliżu obecność ludzi, słyszeli ich pracę, ich głosy, więc ożyło nadzieją pole rannych. Ci, co przetrzymali aż dotychczas te nieskończone godziny i swoje cierpienie, i upływ krwi, i żrące pragnienie wody, i zjadliwe listopadowe zimno, i wicher, i deszcz, i śnieg, wołali rozpaczliwie ku ludziom. To tu, to tam odzywały się ich głosy, jakgdyby ktoś nieszczęsny, jakiś duch pokutujący, upiór bez grobu błąkał się po nocy, po bezdrożach straszego pola, zawodząc na różne głosy swoją niepojętą, widmową skargę.

Nikt nie przybywał na ratunek. Snać patrole sanitarne przycupnęły gdzieś za osłoną od wichru i czekały, aż minie gwałtowny sztorm nawałnicy. Może czekały świtu, albo i całkiem nie wyszły tego wieczoru.

Porucznik von Senden omdlewał i budził się, i stękał, rząził, nękany okropną torturą. Nie miał już sił wołać i nie miał żadnej nadziei — zamrze w męce. Czuł na sobie coraz cięższy, coraz zimniejszy ucisk ziemi i pomyślał, że umarli w swoich mogiłach czują to samo, co i on, pogrzebany żyw-

cem — ten sam nieubłagany i gniojący ciężar ziemi. Przypomniało mu się, co mówią umarłemu na pożegnanie, na wieczną jego drogę: — niech ci ta ziemia lekka będzie... Oceniał teraz prawdę i mądrość tych prostych słów. O ironjo... Resztką czegoś dawnego, ludzkiego i żyjącego w nim jeszcze ostatniem tchnieniem objawiła się w niespodzianym śmiechu, w którym rzekomo miało być zjadliwe szyderstwo. Ale natychmiast początek śmiechu utonął w głuchem, żalosiem łkaniu. Wielką była ulga w płakaniu. Wróciła błogość łez z odległej niepamięci lat dziecięcych i koiła ból krzywdy i straszną po nocy samotność i zgrozę przed tem, co ma być dalej, co musi być. A tam w niezgłębionej nocy wśród śnieżnej zawiei i wycia wichury zarechotał przenikliwy obrzydłe, natarczywy terkot karabinu maszynowego. Zacinał się, przystawał na sekundy i znowu pruł tysiącem kul rozszalałe, uciekające z wiatrem powietrze. Tępo, bez echa pokiwały granaty. Zakipiała nagle bezładna, śpieszna strzelanina, wzmagająca się, słabła, umilkła. Jeszcze jeden granat — cisza — jeszcze dwa...

Kapitan Déspaix umierał i chwilami, budząc się w agonji, nawet jakgdyby o tem wiedział. Świadomość tego przedzierała się z trudem, jak dalekie światło, przez noc i mgłę. Ustępowały ostatnie bóle i męki opuszczały zmartwiałe, stygnące ciało. W skołatanej głowie, pełnej szumu i jęku jakby dalekich dzwonów, przebiegały ostatnie, szybkie, bez-

ładne, rwące się myśli. Jedna wynurzała się wyraźniej i wracała wciąż — było to okropne poczucie samotności. Dręczył, opętywał strach przed tą ciemnością dokoła i przed pustką. Ujrzeć człowieka, usłyszeć ludzki głos... Błagał o to i wołał, ale usta nie wydały już dźwięku, nawet szeptu. Głowa wciąż opadała, dźwigał ją w ciężkim wysiłku i szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się w ciemność. Nagle jego ręka, błakająca się bezradnie po ziemi, natrafiła na coś niepojętego. Drgnęło to i wymknęło się palcom. Déspaix pomyślał zrazu, że to szczur okopowy już tu jest, czując w nim świeżego trupa. Nie — to nie szczur...

Szukał ostrożnie, przesuwając dłonią po rozkisłej glinie. Wszystkie ocalałe władze i możliwości myślenia skupiły się nad wykryciem tajemnicy. Łomotało serce, poruszone niemożliwym ostatniem zapragnieniem. O Boże... co to jest?...

Była to żywa ręka człowiecza. Wymknęła się, wnet wróciła i mocno, mocno splotły się palce obu rąk, chwyciły się, zacisnęły się kurczowo w niemem porozumieniu.

Ustał deszcz, wiatr przycichał, czyniło się mroźno. Poszarzało czarne niebo. Mokry śnieg prószył wielkimi, ciężkimi płatami i niebawem zaczęły majaczyć tu i ówdzie skrawki mętnej białości. Dawno umilkli ranni. Wśród ciszy wyraźniej zgrzytały łopaty. I jedni, i drudzy kopali zawzięcie, by zdążyć na czas. Prześcigali się w wysiłku i tu i tam, po-

ganiani przez nieludzkich podoficerów. Patrole wysyłane naprzód spotykały się czasami jak błędne widma i znów pękały granaty. W dalekiej przestrzeni na prawo i na lewo, na starych ustalonych pozycjach wykwiwały dwa szeregi rac świetlnych. Wypadały z pod ziemi, wzbijały się lekko, strzeliście i zawisały nieruchomo w górze. Chyliły się łukami siniego blasku, jakgdyby śląc sobie nawzajem pokłony i pozdrowienia w tajemnym misterjum tej nocy. Daleko, daleko majaczyły gdzieś blade smugi, błakając się po niebie, przystawały, spotykały się ze sobą, rozchodziły się, gasły i nikły. Aż nagle rozwarła się noc. Cięły w nią ostre promienie blasku, jak miecze białego dnia. Na sekundę, na krócej, na dłużej jakiś pas przestrzeni, zawalonej ciemnością, stawał w przenikliwej jasności, obnażał się z utajenia do ostatniej grudki ziemi i tonął w gęstym mroku. Odślaniały się tajemnice nocy — zwaliska, szczątki, dziury, zakamarki, fantastycznie spiętrzone popękane druty, trupy rozplaszczone, wdeptane w ziemię, poskręcane, krwawe twarze, wyszczerzone skurczem śmierci... Ludzie utajeni, przyłapani na swojej nocnej robocie, chwyceni jak w potrzask w snop przeraźliwego blasku, padali na twarze, nieruchomieli, udając poległych. Mrużyły się oślepiione oczy konających, w ostatniem majaczeniu witali olśniewający majestat śmierci, niebios rozwarłe i chwałę Boga. Wszechmocne światła zwyciężały noc dręczącą, łagodziły samotność, dawały otuchę, wydzierały z rozpacz powalonych

przez mordercze ciosy znękanym ludzi, opuszczonych, rzuconych na pastwę śmierci. Dawały moc przetrwania, ożywiały wątłą iskierkę życia lub dobijały nagłym ciosem, rażąc oczy i rażąc jak piorunem serca ledwie tlejące, które krew swoją już oddały były ziemi. I promień ruszał dalej, przystawał, przerzucał się, krając ciemności, znikał i wracał, szperał, szukał po poboju.

Kapitan Déspaix ujrzał nagle tuż przed sobą, nieco poniżej siebie twarz ludzką, zalaną oślepiającym blaskiem i choć sam leżał tyłem do przeraźliwego światła, natychmiast zmrzył oczy. Gdy je roztworzył, już zjawa utonęła w nieprzebitym mroku, ale niejasne jej widmo wnet pojawiło się przed nim, gdzieś jakby pod powiekami oczu, jakby gdzieś w przestrzeni, wznosiło się, opadało. Biała twarz była jak skamieniała, skażona męką, a usta zaciśnięte drgały, drgały powieki pod nagłym ciosem blasku. Déspaix na zawsze zapamięta to oblicze, wszędzie je pozna — był to bowiem jedyny druh, towarzysz okropnej niedoli, ostatni człowiek, spotkany na tym świecie. Człowiek ten cierpiał jak i on i tak jak on umierał — co za szczęście umierać razem... Ścisnął ze wszystkich sił i wciąż tulił do siebie jego rękę, posłusznie, za każdym razem, odpowiadało mu słabe uściśnienie. Déspaix zapamiętał, że człowiek, powalony obok niego, miał kołnierz niemieckiego oficera, a obok leżał szeroki niemiecki hełm — ale czyż teraz już nie wszystko jedno? Francuz? Niemiec? To dobre dla żyjących...

Ta twarz zdręczona budziła w nim żalność niezmierną. Jak ulżyć jego cierpieniom? Wytrysły mu z oczu łzy, zaszlochał — nie nad sobą przecie, jemu już wszystko jedno, wszak wie, że umiera — ale tamten... i poczuł wyraźnie, że Niemiec ściska jego rękę, że ją gładzi łagodnie w prostej, serdecznej pieśszczocie — śnać usłyszał był jego płacz.

Kapitan Déspaix ożył. Stało się w nim, jak-gdyby ktoś zdjął mu z piersi gładz tłoczący — odechnął głęboko. Potężne wzruszenie serca ogrzało go, wróciła dawno pożegnana nadzieja. Opamiętał się, zaczął zbierać myśli, szybko roztwierała się w nim pamięć, zda się już nazawsze zamknięta.

Dlaczego ma umierać? Jest tylko ogłuszony, porażony. Ta idiotyczna francuska mina, strzelona haniebnie za krótko... no i przywaliło go po pas. Zresztą prawa ręka zapewne złamana... Może i noga... To nic jeszcze. Nadewszystko dolega ziemia...

Niemiec stęknął ciężko, głowa jego szarzała niewyraźnie na tle jasnej smugi śniegu. Déspaix wyciągnął ostrożnie zdrową rękę i dotknął nią twarzy Niemca, pogładził. Usłyszał w odpowiedzi przeciągły, żalony jęk wdzięczności i jakieś bełkotanie, w którym przebijały się słowa francuskie.

Nadspodziewanie dla siebie samego kapitan Déspaix przemówił. Było to dziwne i radosne. Wracalo życie. I nagle ujrzał najwyraźniej tę ostatnią chwilę. Przeszukując z patrolem zdobyte pozycje, napotkał w chodniku trzech Niemców. Wypadli na



niego z zawałonego schronu. Broniąc się od noża, chwytą jednego w pól, obalają się na ziemię. Wie, że natychmiast dopadną żołnierze patrolu i rozniosą Niemców na bagnietach. Nagle blask, piorunujący huk i oto masz...

Ten sam Niemiec z nożem, oficer, co nie chciał się poddać... Przysypało ich razem, a tamci dwaj i cały patrol — śnać zginęli, zagrzebani żywcem. To dziwne, ale zresztą bardzo proste, a nawet zupełnie zwyczajne. Jedyne, co niezwykle jest chyba w tem, że nie czuje żadnej nienawiści do Niemca z nożem, że ściska teraz jego rękę jak najbliższego kolegi. Czegożby nie zrobił, żeby mu ulżyć... Jakże on się męczy...

Tak myślał kapitan Déspaix, słuchając chrapliwego stękania rannego. Chciał mu coś powiedzieć na pocieszenie, ale nie wiedział jak zacząć. Nie, lepiej nie mówić... Namyslał się jeszcze, gdy tuż za jego plecami zagadali ludzie. Usłyszał chlupot błota, ktoś z trudem wyciągał nogi z rozrobionej gliny i klął. Wyszukane wyzwiska żołnierskie zabrzmiały mu w uszach jak najserdeczniejsze słowa otuchy i wybawienia — byli to swoi — Francuzi. Krótki rzut latarki elektrycznej zakreślił na ziemi elipsę blasku. Déspaix ujrzał na chwilę twarz Niemca, drgającą szybko w skurczu cierpienia. Znowu blask — czyjeś nogi, nogi olbrzyma przeszły jednym szerokim krokiem między jego głową a głową Niemca i znikły w ciemnościach. Ktoś się nad nim pochylił — blask latarki prosto w oczy.

— Eh... Qu'est ce que t'a pris... O-la-la, et vivant?...

Zanim zdołał przemówić słowo, poczuł na ustach zimne, metaliczne dotknięcie, chwycił ręką za blaszaną i pił chciwie cudowne, cierpkie wino żołnierskie! Nie oderwałby się, gdyby mu poprostu nie odebrano manierki.

— A dla niego?... wskazał oczami Niemca.

Żołnierz błysnął latarką, zaklął okropnymi słowami, poklepał kapitana po głowie twardą dłońią, obiecał, że nad ranem napewno po niego przyjdą i poczłapał po błocie, śpiesząc za innymi. Stało się to, zaczęło się i skończyło tak szybko, że Déspaix nie mógł się opamiętać. Było to jak senne przywidzenie, a jedyna prawda, to smak wina, który pozostał i jego rozkoszna błogość. Wzruszała do łez dobroć tego żołnierzyka i oburzała twardość patrolu, który minął go jak trupa i poszedł precz. A wiedział, co to jest patrol po nocy, sam je nieraz prowadził i też nie zważał na błagania rannych, bo to należy do kogo innego. Cóż, może jeszcze przyjdą.

Znów zajątrzył ból i naparł, nacisnął, rozpostarł swoją wszechwładzę i zdusił w nim poczynający się świat myślenia. Nic, jeno okropność, nic, tylko jęk. To stara rana w biodrze, ta z pod Mort Homme... Pomąciły się czasy. Leży w błocie na punkcie opatrunkowym i jęczy. Straszliwie dręczy go lekarz, wierząc i skrobiąc mu w żywej kości. Lekarz w okularach, brodaty okrutnik... Żołnierze.

podli siepacze, trzymają go za ręce, za nogi... O, li-  
tości!...

Porwał się w nim gniew, straszliwa, bezsilna  
nienawiść. Przecież to już było! Było już raz od  
początku do końca i dawno minęło. Jakto, więc  
jeszcze i jeszcze? A tanto? Jak o tem mogli za-  
pomnieć? Gdzie jest Bóg, który liczy rany i krzyw-  
dy? Nagle uspokoił się. Odkrył najwyższą prawdę —  
przecież on zaraz umrze. Rozwarła się przed nim  
głębia nicości i spokoju — śmierć. Poznawał ją  
teraz w ostatniej swojej godzinie i zdumiał się. Jak  
można bać się śmierci? Drżał przed nią w huraga-  
nowym ogniu, w szturmie, w wyprawie nocnej pod  
nieprzyjacielskie druty, w walce wręcz na granaty  
i noże... Bał się jej od trzech z górą lat, jak każdy  
i wszyscy. Ciemni, opętani ludzie!... Przecież tylko  
śmierć jest prawdą, a wszystko reszta mamidłem  
i niczem.

Chwytało go uniesienie. Ból wzgardzony spo-  
korniał i przycichł. Piętrzyły się nad nim rzeczy  
niepojęte, porywało go widzenie tajemnic, w któ-  
rych nie było już nic z tego świata.

Widniało. Górny wiatr przeganiał chmury, roz-  
wlekał je na pasma, z zakrytego jeszcze nieba są-  
czył się blady zmierzch. Od zachodu przedzierało  
się przez chmury słabe lśnienie. Na dalekich pozy-  
cjach czuwały niezmordowanie błękitno-zielone kule  
ogniste, wciąż wzlatując, wciąż spadając i wciąż  
wisząc w powietrzu. Czyniło się szaro, coraz częściej

wybuchały alarmy, żołnierzom na posterunkach i podsłuchach troiło się w oczach, świat majaczył, mienił się — choć daleko jeszcze było do świtania. Mroźny wiatr budził się chwilami, polatywał po ziemi i ustawał, jakby nadśłuchując i stwarzał ciszę. Wśród ciszy dochodziły z niezmiernej odległości z za horyzontu głucho, przeciągłe pogrzmoty ciężkich bateryj. Naraz oblała ziemię blada zwodna poświata. Wionęło smutkiem i ponurością. Wszystko stało się jednym nieogarnionem widmem nędzy i tracenia — okropnością, gorszą od wszystkich niedoli, jakie odślonić zdoła słońce i biały dzień. Jak okiem sięgnąć, obnażyła się ziemia — pustynia wyklęta i zapomniana przez Boga. Był to świat zdeptyany wojną, zamordowany na śmierć. Ległw pokotem poprzez olbrzymie pola jego pohańbione, niepogrzebane zwłoki. Trupia zgnilość wisiała we mgle błakającej się strzępami, trupie było nad ziemią lśnienie księżyca. Jego skradające się patrzenie, niepewne, kosookie i fałszywe, podglądało ukrytą w pomroce tajemnicę. Sierp niespodziany, wąski, ostry z poza kłębu chmur wyjrzał i zawisł na skraju nieba, jak tajemniczy znak zgrozy.

Porucznik von Senden wlepił oczy w zjawę na niebie i osłupiał w zapatrzeniu. Spływał nań od tego skrawka księżycowego zły urok jakiegoś zmarłego wspomnienia. Błady sierp napomykał mu o dawnych udręczeniach i wskrzeszał z grobu jego własne dzieje, które zamordował był w duszy i przywalił kamieniem. Przyszło to teraz jak obce, ukradkiem,

podstępnie, żebrało zmiłowania i łaski. Gdy pożegnał już wszystko na świecie i modlił się tylko o rychlejszą śmierć, musiał teraz wracać ku sprawom przekłętym, do bezmiernego swego cierpienia dokładać mękę duszy. — Dosyć! Nie chcę! Ja umieram...

— Nie umrzesz, póki nie przebaczysz — ja cię nie puszczę... — Idź precz... — Nie pójdę, bo zawsze cię kochałam... Daruj mi w ostatniej godzinie...

Zasłoniły mu cały świat jej oczy przepastne, zarazem złe i dobre, znieawidzone i do końca ukochane. Już nie miał sił obronić się przed ich opętaniem. Słabł, poddawał się!

Tamtej nocy, gdy przybył z frontu na nieludzko skąpe pięć dni urlopu wprost z pod Verdun, patrzył wówczas na ten sam księżyc. Zajrzał do jego okna jarzący sierp, księżyc zamierający, gdy odciągał bezpiecznik na swoim bojowym mauzerze... Podporucznik von Senden, niezłomny żołnierz, cudem ocalały, oszczędzony przez wszystkie pociski, wybuchy, przez bagnety i noże, przez gazy i ognie nad krwawą rzeką Mozą, pod Douaumont, pod fortem Vaux pod fortem Souville... Miałżeby zginąć teraz, we własnym cichym domu, zginąć marnie od własnej kuli? Nie.

Od półtora roku wyzywa śmierć, z podziwem i ze zgrozą patrzą nań koledzy i żołnierze, krzyże i medale okryły jego polową szarą kurtkę — żadne kule go się nie imały. Ale ufał, że nadejdzie dzień i godzina — wyzwolenie i pokój wieczny. Dopiero teraz... Nie przyszedł koniec w celnej kuli,

która razi piorunem i nie da sekundy czasu na jedną bodaj myśl. Zwleka, dręczy i depce wolę cierpieniem nad wszelkie ludzkie siły. Czeka aż dusza ponizona wyzbędzie się ostatniej reszteczi dumy i godności...

— Przebaczam ci, Greto, zdrajczynie i daj mi już umrzeć...

Natychmiast spłynęła po promieniu księżyca, leżała w błocie i owinęła ramionami jego głowę. Podtrzymała ją, okryła ciepłem pocałunków, pieśczołą rąk. W zdyszczanem szeptaniu opowiadała mu swoje winy i ciężką pokutę i żrące tęsknoty, powtarzała swoje niezliczone listy, słane na front, które palił był wszystkie i niszczył nieczytane. Szeptwała, śpiesząc się, by zdążyć, żeby nim odejdzie wiedział o niej wszystko. Niech wie o żonach porzuconych na całe lata, oszalałych z trwogi, targanych niepokojem dniem i nocą, bez jednej chwili wytchnienia. Wciąż przychodzą i mijają wiekopomne zwycięstwa, triumfalne komunikaty, fanfary na ulicach wszystkich miast, jak Niemcy długie i szerokie, i wrzaski pijanego tłumu... Te gazety, co dnia pełne chępliwości i wygrażania całemu światu, pełne oficjalnego łgarstwa i przelewające się od wielkich słów, obrzydłych, wyszarganych przez patrijotycznych pismaków...

Nie zaznała ulgi w modlitwie ani w pracy po szpitalach, ani w kokainie, ani w kłopotach domowych, gdy nie stało co jeść... Obląkała się w cze-

kaniu na straszną wieść i oszalała. A gdy przyszła najgorsza godzina — uległa. Nie — rzuciła się jak w przepaść bez wiedzy i pamięci, żeby się zatracić, żeby zbezczęścić i zabić w sobie cierpienie. Ach, czemuż mu to wyznała?

Słuchał porucznik von Senden i na progu śmierci, gdy oderwał się już od tego świata, zrozumiał Gretę, bo zrozumiał wojnę. Przebaczył.

Znowu chrzęst kroków w pobliżu i przytłumione głosy. Jeszcze raz dźwignęli głowy konający. Ludzie nocy, niestrudzeni kopacze, zaszli aż tutaj, błędząc po polach, w poszukiwaniu punktów jutrzejszego oporu lub wypadu. Porucznik von Senden drgnął, posłyszawszy mowę ojczystą. Naprózno pożegnał był wszystko i czekał tylko końca. Jak gdyby po za nim i bez niego ozwała się wola do życia, potęga nieprzemierzona, która czuwa w człowieku aż do ostatniego tchnienia. Czując tuż swoich jakże kochał swoją więź z rodzonym plemieniem niemieckim! Żołnierze odzywali się zrzadka, ale coraz wyraźniej dochodziły słowa — śnać podsuwali się coraz bliżej, wygrzebując okop i zaraz tu będą.

Nie mógł dać znać o sobie, ale przecież lada chwila zajrzy tu któryś...

Nagle głośniejsz zagadały głosy, były złe ale rozkosznie blizkie. Ktoś krótkim urwanym rozkazem stłumił rozgwar. Stało się cicho, nie zabrzękła łopata — czyżby odeszli?

Kapitan Déspaix słuchał z natężeniem odgło-

sów nocy. Byli to wprawdzie Niemcy, ale gdy przyjdą, to odkopując tamtego muszą choćby nie zechcieli odgrzebać i jego, który leży z nim razem. Nie dobiją go, bo tamtem nie da... W to wierzył, trzymali się wciąż za ręce, Déspaix pocisnął porozumiewawczo rękę Niemca, odpowiedziało mu słabe ale wyraźne poruszenie. — Nie bój się, ja cię obronię...

Oddychał głęboko, czując tuż przed sobą niewiarogodną chwilę wybawienia.

Nagle zakasłał, zakrztusił się. Powietrze zaczerpnięte z oddechem natychmiast wracało z powrotem, jak wypchnięte przemocą. Było straszliwe, nie do wytrzymania obrzydłe... Zaszumiało mu w głowie, zaczął się dusić. Niemiec charczał ciężko. Księżyc zasunął się za chmurę i nieprzejrzana noc okryła wszystko.

Poznał Déspaix okropny cuch zastarzałego trupiego rozkładu. Na nic się zdało szamotanie w uwięzi ani jęki. W nocnej swej robocie natrafili żołnierze na zwłoki zagrzebane ongiś przez pociski i odkopali stare cmentarzysko. Wytrysł z pod ziemi śmiertelny jad grobu i zatruwał wszystko dokoła. Rozbiegli się klnąc żołnierze. Na to zbliżka runęły salwą strzały. Łyskanie ognia. Okrzyki, tupot nóg, szcęk bagnetów, granaty... Przebiegali uciekający, trałując bez miłosierdzia nieszczęsne głowy, potykając się o nieruchome, żywe, niewidoczne w pomroce przeszkody. Już jęczą, stękają i rżęą nowi ranni na miejsce tych, którzy niedawno ucichli.



Kapitan Déspaix zaraz po pierwszych starciach, gdy poznał co to jest wojna, ułożył sobie program na przetrwanie i nowy tryb życia wewnętrznego. Postanowił oderwać się od wszystkiego, co własne i drogie, na czas niewiadomy, gdy skończy się ta wojna, a on — da Bóg — uniesie cało głowę. Dopiero wówczas wróci do swego człowieczeństwa, nawiąże się jego przerwany żywot. Wróci Claude Déspaix do swego opętania, do rzeczy najdroższej na świecie i jedynej, dla której warto żyć na świecie, do swojej samotnej pracowni, do marzenia twórczego i do pracy nad otchłanną mistyką związków chemicznych, tych niepojętych potęg natury, które odgadnięte i rozpoznane odmienić mogą człowieka i jego losy na ziemi. Tak odciął się od całej swojej istoty, żeby się nie dręczyć, żeby podołać straszliwie prostej roli żołnierza. Odganiał każdą myśl o tamtem, nie stykał się z dawnym prawdziwym sobą nawet w przelotne dni urlopu, ani podczas tygodni szpitalnych. Wciągnął się w przymus i wytrwał na wojnie przez te trzy lata — niemal zapomniał jak z nim było dawniej. Stał się ślepą maszyną i jej narzędziem doskonałym. Nienawidził wojny, wszystko w niej było mu obmierzłe, ale raz na zawsze uznał fatum wojny, potęgę, z którą niema innej rady, jak tylko poddać się ślepo i bez granic.

Teraz, gdy całą męką swego cierpienia wiedział niezbicie, że nadchodzi koniec, rozwarła się w nim dusza i wchłonęła naraz wszystko, co było wygnane. Przygarnął do siebie w ostatnim mocnym

uścisku i żegnał dawne swoje dzieje i to niespełnione, co być miało. Bez goryczy, bez przekleństwa rozważał absurd swego życia. Cóż znaczy on, jeżeli ten sam los dzieli w jego pokoleniu miliony ludzi — miliony i miliony?... Myśląc nad tem usypiał...

Mętnie, jak przez mgłę majaczyły korowody znaków chemicznych, ginęły i ukazywały się coraz to w innym układzie. Ich kunsztowne zespoły uparcie dążyły ku czemuś, osaczały jakąś zagadkę, utajoną w głębinach mózgu w bezmiarach pozaświatowej otchłani atomów... Marły w walce, topniały jak szeregi szturmujących żołnierzy, a na ich miejsce jak na wojnie wyrastały nowe zastępy. Czerniały, roily się jak mrowisko, szły na zdobycie nieznaney prawdy, która raz odgadniona odmieni postać świata.

Świt. Znów przypomniały się oczom rzeczy ongiś znajome, odarty pień drzewa z jedyną gałęzią, pochyła tyka od telefonu z drgającym na niej drutem i szczątek rozwalonego muru. Pod murem zasiadł po nocy ktoś nieznanym i spoczywał teraz bez ruchu, głęboko uśpiony. Wsparł się ciężko o ciemno-krwawe cegły, rozwalił nogi, rozłożył ramiona i bezsilnie skłonił na bok głowę. Był unurzany w błocie, okryty skorupą gliny od stóp do głów tak, że niepodobna było rozeznąć kto to jest — nieprzyjaciel, czy swój. Obaj utkwili w nim badawcze spojrzenie, a nie mając sił wydać ze siebie głosu, czekali z napięciem na chwilę, gdy się obudzi.

Nie mieli pojęcia, jak się to stało, ale już rozumieli, że przetrwali jednak tę noc listopadową i oto żyją jeszcze. Ten dar nadspodziewany nie obudził radości, nie zdawał się nawet w ich położeniu być czemś zbyt ważnym. Narazie pochłonął ich ów człowiek nieznan, który przybył tu nocą, żeby czuwać nad nimi, ale snąc zmęczony wielkim trudem usnął. Jego obecność na tem miejscu była dziwem nad dziwy, zjawiskiem niepojętem. Wyłonił się on z wiecznej nocy, przybywał do nich z dalekiego obcego zaświata już dawno, dawno pożegnanego. O tej godzinie świtania mąciło się już w sponiewieranych głowach, potworniały jak we śnie prawda i rzeczywistość zjawisk, pamięć zawodziła zupełnie.

I patrzyli teraz na siebie zbliżając twarz w twarz, w zdumieniu wielkiem, znowu nic o sobie nie wiedząc, choć wciąż jeszcze po dawnemu splecione były ich ręce. Zgadywali się i pytali siebie nawzajem udręczonemi, błędnymi oczami. Każdemu z nich ta zjawa obcej twarzy wydawała się skądś znajoma, jakby jeszcze z dzieciństwa. Niedołężnie rozpamiętywali swe rysy, gubiąc się co chwila. Długo spoglądali szeroko rozwartymi oczami na swoje ręce złączone i palce ich zaciskały się coraz mocniej — w tem uściśnieniu poznali się wreszcie. Obaj po raz pierwszy w tej wojnie mieli możliwość napatrzenia się w spokoju i tak zbliżając twarz nieprzyjaciela. Podziwiali nadspodziewaną prostotę tego zjawiska. Odkrywali w sobie nawzajem cechy osobliwe

a znajome, jakby swoje własne. Budziło się zaciekawienie, a w niem cień zawodu, gdyż nie odtrącała ich nienawiść, jak być powinno. Nie czuli do siebie żadnej niechęci, nawet obcości. Ich porozumienie było przedziwnie proste, przypominali sobie dzieje tej nocy, zdawało im się, że przeżyli ze sobą długie lata.

Porucznik von Senden usiłował przemówić, wargi mu drgały, sine usta roztwierały się i wnet kurczyły się w piętno bólu, które przywarło i zaskrzepło w jego rysach w ciągu tej nocy. Ochryplem stękanem i niemym bełkotem, z którego nie mogło się dobyć żadne ludzkie słowo, oznajmiał coś nader ważnego swojemu wrogowi, z którym walczył od trzech zgórą lat. Chciał zawrzeć z nim pokój wieczny, a przedtem opowiedzieć mu sprawy tajemne, które odkrył był tej nocy. Dopiero teraz wie, co to jest wojna i prawda o tem wydzieraała się z niego. Lada chwila może skonać, a nie może żadną miarą zaginąć to, co z całej ludzkości wiedział tylko on jeden jedyny. Niechże pozna Francuz wielką nowinę, a od niego rozejdzie się ona w świecie okopów, po niezliczonych kretowiskach, w których zagrzebały się narody. Ten Francuz będzie żył, napisane to jest w jego twarzy, a on umrze — tak nie omylnie jasno widzi się prawdę tylko w godzinie śmierci. Jej słowo jest proste i niezbite jak znaki formuły matematycznej. Jest potężne jak czarodziejskie zaklęcie i raz wypowiedziane sprawi cud. Teraz dopiero zrozumiał, co znaczyły w ciągu tych ciężkich lat jego zadumy, nastroje, wizje, przeczucia. Nawet

w przyśnionych obrazach przewijała się wróżba jakiejś wielkości. Snuły się o tem myśli powikłane i szły za nim wszędzie, dokądkolwiek przerzucał go rozkaz wraz z bataljonem. Pamięta je nad Marną, pod Lombardsyde, nad Izerą, a potem pod Gorlicami, w Karpatach, nad Dniestrem, na pozycjach Gallipoli, w fortach Dardanellów i znowu pod Arras, na Chemin des Dames, nad Somme'ą. Gdy ucihał grzmot pocisków, gdy mijała zawziętość boju i stygła oszalała głowa, zawsze i wszędzie przemykały się w duszy iskry i światełka, migocząc między myślami. I nigdy nie było czasu, żeby się opamiętać. Mijały lata, aż dopiero teraz przed samym końcem przyszło jasnowidzenie...

Désaix wysilał się, żeby odgadnąć co mu chciał powiedzieć umierający. Szukał w tej twarzy zbolalej śladów myśli, która nie mogła się z niego wydobyć. Nie była to skarga, ani błaganie ratunku, ani strach przed śmiercią. W rysach skażonych męką kłębiło się jakieś ostatnie wyznanie. Ostatnie słowo pożegnania dla kogoś najdroższego, którego zostawił na świecie? Spowiedź przedśmiertna z jakichś przewinień czy zbrodni życia? Ważne zlecenie, bez którego ciężko odejść? Próbował mu dopomóc i nie mógł wyjąkać zapytania, nie mógł wyszeptać jednego słowa. Dawno już postradał ostatnią resztkę sił. Znużenie i zdręczenie tej nocy przyćmiło nawet ból. Myśli jego błakały się po przeróżnych rzeczach niepotrzebnych, przychodziły mu do głowy głupstwa wierutne, wciąż usypiał i drzemał, a chwilami budziła

go olśniewająca jasność widzenia, rozumiał do samej głębi, swoje beznadziejne położenie, wiedział, że umiera i rozumiał samą śmierć. Nie czuł strachu, ani rozpaczy, w takich chwilach ocknienia rozjątrzała się w nim ciekawość. Co z nim będzie zaraz potem? Tamto, ów świat zagrobowy, jeżeli tylko istnieje, powinien się przed nim roztworzyć natychmiast, wraz z ostatnim oddechem. A jeżeli nic nie będzie? Po prostu nic? W takim razie wszystko jest absurdem. A wojna?! Człowiek nie żyje samą wojną, człowiek pracuje, kocha, myśli, tworzy, człowiek bywa wielki, wspaniały, osiąga boskości w sztuce, w wiedzy... I śmierć ukazała mu się w postaci zadania, które należy rozwiązać.

Szybko, śpiesząc się niezmiernie, zapisuje cyframi i znakami czarną tablicę. Ściera i pisze dalej. Kreda i gąbka w pośpiechu lecą mu z rąk — tak bywało zawsze, gdy go porywała gorączka pracy — natchnienie... Już dochodzi, dochodzi do końca, znaki matematyczne formują się do ostatniego natarcia — za chwilę pozycja będzie zdobyta...

Usnął i we śnie pisał dalej. Kto rozwiąże budowę i ruch w niedościgłych dla umysłu drobiazgach materji... Kto wymierzy otchłań międzyatomowych przestrzeni, w których obracają się, lecąc przez całą wieczność w błyskawicznym pędzie, słońca niepojęcie małe, a równe potęgą światom, wirującym w pozaplanetarnych bezkresach... Ten odkryje przed człowiekiem nieskończoność i wieczność, uczyni go równym wszechwiedzącym i wszechmocnym bogom.

I śmierć stanie się wówczas zrozumiałą i prostą — nikt na nią nie będzie zważać, jak to już nakazano żołnierzom na wojnie...

Gdy się ocknął, drgnął z przerażenia — twarz Niemca wkopanego w ziemię zbliżyła się do niego niepojętym sposobem. Obolałe dzikie oczy stały się naraz olbrzymie i wciągały go w siebie, mąciły mu w głowie, spętywały, budziły strach. Zdawało mu się, że dostrzega przez nie głębiny jego mózgu, a w tych czeluściach kłębowisko szybko wijących się myśli. Zapatrzył się i gonił cudzą myśl. Zgadł ją, odpowiedział spojrzeniem. Twarz Niemca rozpoznała się, oczy złagodniały i po chwili przymknęły je obrzmiałe sine powieki. Kapitan Déspaix naśladował go odruchowo, bez wiedzy i woli i on zamknął oczy. Gdy je roztworzył, Niemiec już nie żył. Patrzył chciwie w tę twarz już krzepnącą w kamienne rysy. Pierwsze cienie śmierci skupiały się w zapadniętych oczodołach i w kątach ust. Przesuwały się po czole, po policzkach, ścierając z nich pozory życia. Jeszcze tułał się tu i ówdzie jego ostatni ślad i wnet zamierał. Kapitan Déspaix czekał na moment gdy z tego oblicza ustąpi tlejąca jeszcze resztką ciepła, kiedy wypełni się do końca wielki przełom. Zdawało mu się, że patrzy na samego siebie. Nie inaczej będą stygły jego własne rysy, tak samo ułożą się w maskę śmiertelną, która nakłada niezmiennie swoje piętno na wszystkich umarłych.

Wreszcie wydarł się z zapatrzenia, mimo wszystko odepchnęła go od tej twarzy jakaś tajemna

okropność. Zdjął go strach. Kapitan Déspaix, który widział zbliżające się tysiące i tysiące konających, który patrzył na to dzień w dzień i od trzech lat pędził życie wśród trupów, teraz zaciskał powieki, żeby nie widzieć umarłej twarzy Niemca. Najstraszniejsze było to, że niepodobna było odsunąć się od niej, bodaj o pół kroku. Był zakopany razem z trupem. Choć wiedział i nie zapominał o tem ani na chwilę, że rychło umrze i on, to jednak buntował się w nim człowiek żywy.

Na tę chwilę snąc za nawrotem porannego powiewu napłynął z pobliza od rozkopanych trupów cikliwy, gęsty odór, uporczywy, obmierzły i jakiś potwornie słodkawy. Kapitan zatrzęsł się z odrazy, targnął się w uwięzi i w tem jednym poruszeniu wyczerpał ostatnie swoje siły — omdlał.

...Wówczas głowa Niemca oderwała się od zagrzebanego tułowia i ruszyła z miejsca. Z usypiska, nawalonego przez wybuch miny, zsunęła się wprost do rowu dobiegowego i jak ciśnięta z zamachem niepojętą siłą, potoczyła się po dnie rowu, objając się o brzegi, a tuż za nią popędziła w pościgu gromada szczurów. Kotłowało się to przez chwilę i za pierwszym zakrętem znikło. Na ten widok żołnierz siedzący pod murem zarechotał na całe gardło zdrowym, mocnym śmiechem i kapitan Déspaix obudzil się ze snu.

Głowa Niemca tkwiła na swoim miejscu. Niemiec żył i podawnemu patrzył mu uporczywie prosto w oczy. Żołnierz pod murem istotnie miał twarz



wykrzywioną w uśmiech szyderczy, ale wciąż jeszcze spał. To widać jemu przyśniło się całe to głupstwo. Ale te szczury są naprawdę. Jeden siedzi na ramieniu żołnierza, zagląda mu do ucha i węszy, drugi wsuwa się do jego rękawa, jeszcze dwa inne szastają się między rozwalonemi nogami. Wszystkie są ogromne, tłuste... Kapitan, widząc że szczury na dobre zabierają się do żołnierza, chce go obudzić. Tuż przed sobą ma jego nogę w olbrzymim bucie, oblepionym skorupą gliny jak poduchą. Ale Niemiec nie puszcza jego ręki. I on patrzy na szczury, a jego przerażenie natychmiast przenika w kapitana. Obu drgają ręce splecione, ten sam popłoch w oczach... Porozumiewają się szybko oczami i głuchem bełkotaniem bez słów. — Przedewszystkiem nie zasnąć. — Tak! Tak! — Odpędzić szczury... — Obudzić tego człowieka... Skostniałemi, niemrawemi rękami zaczęli szarpać zabłocony but. Noga była sztywna jak z drewna, żołnierz nie ocknął się, ale szczury dały mu pokój. Złaziły z niego bez zbytniego pośpiechu i przywarowały tuż pod murem, obserwując przenikliwemi czarnemi oczkami dwie żyjące jeszcze głowy.

Mroźna mgła listopadowa, przedranna, zasnuwała świat coraz szczelniej. Jej niezmierna ławica sunęła zwolna od morza, płynęła nocą przez pola, lasy, przebywała rzeki, puste, senne ulice miast i przed samym wschodem słońca weszła w pustynię wojny. Swoją szarą oponą usiłowała zasłonić nędzę tej ziemi przed brzaskiem dnia. Otulała wyrwy i rozkopi-

ska, kryła ruiny, szczątki, trupy i ludzi, którym nakazano czuwać po dziurach, skrytkach i zasadzkach. Sprawiała ciszę na tych polach i przewlekała chwilę gdy można będzie sięgnąć wzrokiem i pociskiem. Wstrzymywała na dalekich tyłach lotników, gotowych do wyjazdu, nakazała milczenie baterjom. Dawała sen zdręczonym, przemarzłym żołnierzom, którzy noc spędzili grzebiąc i budując w błocie. Na godzinę zawieszała walkę, przedłużała o godzinę życie tym, dla których ów dzień miał być ostatnim. Pod jej osłoną wypełzały patrole, czujki i podsłuchy, pod jej osłoną szukano rannych.

Jej niedostrzegalne drobiny-kropelki tężały na ziemi, na ludziach, na rzeczach, zamieniały się w rozwidlenia i gałązki kryształków, rozrastały się, krzewiły bujnie i wnet, w parę chwil okryły wszystko jak całunem białym szronem. Odświeżnie przybrały się druty kolczaste, ich rzędy, sploty, powikłania, zarysowały się w fantastyczne girlandy i pasma, okryte kunsztowną pajęczą okiścią. Pobielały deski, żerdzie i sine twarze umarłych, przyozdobił się każdy szczątek i śmieć. Poranny przymrozek marszczył i ścinał kałuże w głębokich lejach i w czeluściach wąskich chodników.

Przepływały we mgle widma i zjawy. Kolumny duchów unosiły się nad pobojowiskiem, odchodząc kędyś precz, uciekając w popłochu przed jakąś chwilą, która czała się już w złudnej ciszy. — Prędeej, prędeej — podszeptował zimny podmuch, prze-

ganiając ostatnie strzępy mgieł. W ich gąszczu przezierają już luki i pustacie. Pojaśniało, po ziemi rozlał się niespodziany blask. I nagle rozpostarło się czyste głębokie niebo. Na kresach niezmierzonej równiny, w zamęcie, w rozwichrzeniu stubarwnem obłoków wschodziło słońce. Mieniło się i grało na niebie wspaniałe misterjum rodzącego się dnia. Oto wyrzwał już z poza rubieży ziemi pierwszy rąbek tarczy słonecznej, spojrzął na świat w purpurze ognia i krwi. W tej samej chwili gdzieś daleko runęły ciężkie grzmoty. Za niemi, jak na sygnał, zaczęły się budzić coraz to nowe i nowe, bliżej, dalej, bądź głuche, bądź przeraźliwe w swoim trzasku.

Nadbiegały, oznajmiając się z oddala ponurem wyciem, i przelatywały w zajadłym rozpędzie roje pocisków. Rozszalały się nad równiną ich jęki, westchnienia, skowyty, pogwizdy. W czarnych dymach, w przeraźliwych łyskaniach ognia, w ciężkim huku jeszcze raz po raz setny i tysięczny wywracały, wydzierały, szarpały trzewia tej ziemi. Rozpoczął się nowy dzień wiekopomnych listopadowych bojów tego roku — czwartego roku wielkiej wojny światowej. Dowództwo francuskie nakazało za wszelką cenę utrzymać wczorajsze pozycje, dowództwo niemieckie nakazało za wszelką cenę wytrwać i nie ustąpić nieprzyjacielowi jednej piędzi ziemi. Żadna strona nie zamierzała ataku, obie nie miały już sił. Ale ogień szalał, bój toczył się jakby sam przez się. Wiekopomny od trzech lat trwający spór o pusty-

nię, bez nazwy i imienia, na której ongiś znajdowały się podobno, dziś ocalałe jedynie na starych mapach — lasek Colombe, ferm'a la Routoire, przysiółek St. Vaast i młyn Souchez.

## II

Olbrzymia, oszklona hala dworca Montparnasse pełna była zimnej mgły, czadu, dymu i ciemności. Rzadkie, wysoko zawieszane lampy łukowe tonęły gdzieś w górnej przestrzeni. W półmroku torów roily się sennie tłumy w jakimś pełzającym rytmie. Gromady szarych ludzi skupiały się w zwartą masę u wylotów przejść podziemnych, rozłaziły się po poczekalniach, wystawały przed długimi stołami kantyn dworcowych. Ich pogwar był zciszony, chwilkami wśród tysięcznego tłumu zapadało milczenie i wówczas wybijał się wśród ciszy jakiś przenikliwy, niepoohamowany głos kobiecy, niespokojny, rwący się w łkaniu, zapamiętałym, rozpaczliwym płaczu. Szybko tłumił go pogwar, człapanie setek okutych butów po kamiennych płytach, żelazny rumot przesuwanych wagonów. Ale zaledwie pociąg przewlókł się przez halę, żal i ból kobiecego płaczu odzywał się z innego miejsca, powtarzał się dalej, bliżej, troił się, pomnażał, był coraz to inny i zawsze ten sam. Był to jedyny żywy dźwięk w tęnym, leniwym rozgwarze, głos czyjegoś czuwania wśród uspionej masy, wydzierał się w nim jakby krzyk nagiej praw-

dy z odmětu dręczącego koszmaru. Bez trudu zalewało go jak wątły płomyczek szemrzące morze pogłosów, rozmów, westchnień, pytań i niemilknących sporów z żandarmami, którzy tkwili gęsto na przepisanych punktach, jak dobroduszne i bezlitosne w swym martwym spokoju maszyny, sprawiające tutaj władzę i dyscyplinę. Ale niech przymilknie dworzec na jedną sekundę, natychmiast przekradnie się spazmatyczny okrzyk, nieutulona skarga i ból istoty, której przemocą oddzierają żywą połowę duszy, albowiem on znowu, jeszcze raz wraca na front.

Nie zdołała uwierzyć, że go widzi żywego na swoje oczy, nie zdążyła opowiedzieć mu znikomej części z tego, co się w niej nagromadziło od ostatniego widzenia, co przecierpiała, jak przetrzymała... Nie miała z nim chwili spokoju, nie zaznała ukojenia w jego uścisku, przemknęło wszystko i już przepadło. Gdzież się naraz podział ten olbrzymi czas, — całe sześć dni? Sześć dni — okrucieństwo... Ani odpoczął, ani się opamiętał, był zdiczały, nie-swój, przybył jak obcy i oto już odchodzi niepoznany.

Stare wygi, żandarmi, jowialnie poklepywali po plecach zdręczone niewiasty i pocieszali je ladajakim konceptem. Masa żołnierska była zasępiona i zła. Rozjątrzeni i tylko znużeni tą parodniową wolnością wracali teraz do okopów na całą zimę, jedni już na drugą, inni na trzecią, niektórzy na czwartą zimę. Co było robić? Niech djabli wezmą wszystko... Zacięli się i milczeli.

Stali zwartą, brudno - szarą masą popod murem dworca na tle ściany, szczelnie zalepionej jaskrawymi afiszami, malowanymi przez najprzedniejszych artystów Francji. Tam była cała radość, tam śmiał się junacki humor walki, tam było murowane zwycięstwo. Jakże śmieszny i nędzny był ten podły Niemczura, z rękami podniesionymi do góry i z przerażeniem w głupich oczach... Zdychał z głodu w swoim Vaterlandzie, już miljon ich pracowało dla Francji w pocie czoła w niewoli, przewracał się do góry nogami ze swoją łodzią podwodną i tonął, zestrzelony przez marny szluper rybacki z St. Malo. Wszędzie triumfował bohaterski *poilu* i z uśmiechem szedł na wroga — *on les aura!* Nawet w nad wyraz skąpem wojennem oświetleniu dworca jaśniała ściana barwami i nieprzemogoną ochotą. Patrząc na to możnaby mniemać, że wojna to rzecz lekka, łatwa i pomimo wszystko — właściwie niemal przyjemna. Dlatego też zapewne ciągnie się już czwarty rok.

Z oddali nadlatywał grzmot rozpędzonego pociągu, żandarmi nasrożyli się, zaczęli pokrzykiwać groźnie i urzędować na peronie z najwyższą gorliwością. Jeszcze ich przybyło — cały oddział pchał się do podziemnego przejścia i znikł w jego czeleści. Natłoczony pociąg pełen głów w niebieskich furazerkach i pełen śpiewania, zamętu i wrzasku zaskrzypiał w pędzie, zazgrzytał hamulcami i stanął na przeciwległym torze. Drzwiami i oknami na obie strony wysypywały się roje żołnierzy. Pędzili

do tunelów, walili na przełaj przez tory. Zaleli peron rozhukaną masą, we mgnienu oka starli żandarmów, w przelocie roznieśli trzy kantyny, gdzie szlachetne panie dyżurowały przy zastawionych stołach. Poszły w niwecz bułki, ciastka, marmelady, puszki z mlekiem i inne specjały. Zdziczałe, nieogolone twarze zionęły jakąś surowo wzbronioną buntowniczą pieśnią. Wielu z litrami w ręku dopijało resztek i trzaskało butelkami o ziemię. Ich obłocone, straszliwie złachane mundury, kapoty i portki ziały zastarzałym brudem i stęchlizną ziemi. Bohaterzy z pod St. Quentin, z La Fère, z Coucy... Z pod Craonne, Loivre — Reims — Pèrthes — Massigny — Verdun — Doumartin — Ailly... Z Pont à Mousson, z Hartmanweiler Kopf... Zewsząd przybywali na swoje sześć dni. Grzmot głosów obijał się echami o nagie mury, o szklane sklepienie. Każdy coś krzyczał. Podszuczowali cicho stojących kolegów, którzy wracali na front.

— Nie śpiesz się tak jeden z drugim, jeszcze zdążysz na swój pogrzeb!

— My już nie wrócimy, co to, to nie!...

— Dosyć wojny! Dosyć wszy!

— Nie jechać! Walcie z nami na parlament!

— Stare małpy! Zdrajcy sprawy żołnierskiej!

— To wy przedłużacie wojnę!

— Łamistrajki!

Przelecieli jak burza. Jeszcze przez chwilę kołowało się u wyjść na miasto, gdzie wzmożone posterunki żandarmerji usiłowały rozpaczliwie i bez



skutku przeprowadzać kontrolę i szara masa rozlała się po wielkim placu, po sieci przyległych ulic i wsiąkła bez śladu w ogrom miasta.

Wszędzie posępnie i ciemnawo. Po sklepach skąpo świeciły oszczędnościowe żarówki, nikły był ruch uliczny, zrzadka przesunęła się tramwaj, niekiedy samotne auto. Dopiero w pobliżu Opery skupiał się ruch, jakby po dawnemu, jak za starych, dobrych czasów. Pomimo zimna wysiadali ludzie po tarasach kawiarni, w półmroku, potęgowanym przez mgłę. Wszędzie przewodzili żołnierze. między nimi mnóstwo Anglików. Lekko ranni z rękami na temblakach, z opatrunkami na głowach, kulający, o kijach snuli się w swoich błękitnawych płaszczach pośród czarnych cywilów. Słabo świeciły wejścia do kin, świetne sklepy, kawiarnie i pierwszorzędne restauracje wyglądały z ulicy na opuszczone pieczary, w których ginęły żółte lampki. Rozjaśniło się dopiero przed redakcją *Matin'a*, gdzie na olbrzymim ekranie, sięgającym trzeciego piętra, rzucono ostatnie wiadomości. Zwarty, milczący tłum ze wzniesionymi do góry głowami chłonał te nowiny.

Komunikat wieczorny: położenie bez zmiany, naogół spokój. Nieprzyjaciół usiłował odzyskać południowe wzgórze *Mort-Homme*, odparty z ciężkimi stratami, jedenaście karabinów maszynowych, dwustu siedemnastu jeńców...

Tłum czytał w milczeniu, bez zainteresowania. bez komentarzy, nie znać było, żeby potrzebował

tych nowin, żeby im wierzył albo nie wierzył, wystawał przed tą redakcją poprostu z zastarzałego nałogu, gdyż o swojej godzinie już od trzech z górą lat tak samo czyta gazety, tak samo patrzy na urzędowe bohaterские afisze. Znosi wszystkie ciężary i dolegliwości tych czasów, przebolewał już własne straty i klęski, stępniał, skulił się w sobie i czeka końca. Wie, że wojna mogłaby się bodaj nie zaczynać, ale musi się wreszcie skończyć — mniejsza już o to, jak. Ale i to było raczej teoretycznym przypuszczeniem — bo któż to wie, czy wogóle będzie kiedy inaczej? Życie stało się tak osobliwe, wszystko oddawna wyglądało wręcz niemożliwie, a jednak jakoś przecie trwa i ani razu nie zaważyło się jeszcze...

— Poczekaj no pan, najgorsze jeszcze nie przyszło!

— Najgorsze? Była Marna, było Verdun, czego pan jeszcze chcesz? W rezultacie nic nam nie zrobią.

— Rosja już odpadła, Anglię do Nowego Roku dokończą łodzie podwodne... Ładnie będziemy wyglądać...

— Przyjdą trzy miliony Amerykanów!

— Będiesz ich pan widział — bluff bezczelny, nic więcej.

Paryżanie spierali się bez zapału i przekonania, tak sobie, byle gadać, ale ponieważ stanął za nimi jakiś osobnik wątpliwy, rozeszli się w różne strony. Wszędzie szpiegi i to od samego początku, od września czternastego roku, kiedy aresztowano na Gare

du Nord ową babę, która szerzyła panikę, twierdząc, że wojna nie skończy się przed zimą. Rząd sobie myśli, że szpiegami wygra wojnę, niech ich lepiej wyprawia na front, to mrowie łajdaków, co wysiadują po kawiarniach i podsłuchują, że człowiek boi się gęby otworzyć.

Smutno i w Quartier, na Boul-Michl'u ciemniej, niż gdziekolwiek. Młodzież na froncie, Sorbona i wyższe uczelnie wegetują, duża część sklepów i kawiarni zamknięta na mur i to już przeszło od roku. Zupełnie ciemną ulicę Soufflet sklepił potężny masyw Panteonu, ścięty tuż ponad portykiem przez mgłę. Fontanna Medicis od lat nieczynna, jej basen pełen cuchnącego błota. Przed Odeonem sami żołnierze, zbierają się na jakieś patryotyczne przedstawienie dla rannych, pod kolumnadą u Flammariona, obsługiwanego przez same kobiety, sterczy nad książkami paru starych manjaków.

Senator Guillet-Goudon wyszedł żwawym krokiem z pałacu Luxemburskiego i podreptał jakby lekkim kłusikiem po pochyłości ulicy Tournon. Śpieszył się bardzo — gdzie wy, miłe taksówki — ale rwał tak raczej z irytacji, która domagała się upustu. Już wiedział niezbitcie, że znowu nic z tego. Kombinacja z Lepelletier'em przepadła. O gabinecie Paillot niema żadnej mowy. Dziś w nocy a najdalej jutro rano główni matacze zakończą swoje intrygi, śmiertelni wrogowie, skłócenii od wieków i na wieki wieków, pogodzą się dla ratowania ojczyzny, naj-

bliżsi przyjaciele rozejdą się w nienawiści i gabinet będzie gotów. Pałac Elizejski, ta przeklęta kuźnia szachrajstwa, uzna fakty i świństwa dokonane w ciągu nocy i jutro w porannych dziennikach... Czyżby naprawdę — on? Jakże daleko zajechała nasza polityka od gabinetu, w którym i on... Senator nie mógł zapomnieć, że i on był kiedyś ministrem. Nie zapomni o tem do samej śmierci, choć zdarzyło się to jeden, jedyny raz przed ośmiu laty i nie przetrwało sześciu tygodni. Położenie Francji było beznadziejne. Miljon dwieście tysięcy poległych, około miliona jeńców, miljardy długów... Lekkomysłne absurdalne ofensywy czołowe w rodzaju kwietniowej tego roku afery Nivelles...

Tak wyrzekając poglądał senator na zegarek i dreptał dalej. Spojrzał jeszcze raz i dopiero gdy schował zegarek i zapiął palto, spostrzegł, że nie pamięta, która była godzina. Człowiek jest zdenerwowany, udręczony do ostateczności... Chwała Bogu, dopiero kwadrans na szóstą — jeszcze zdąży... W tych okropnych czasach trzebaż mieć bodaj moment wytchnienia, jakiegoś piękna, ekstazy... Jako człowiek z gruntu rozsądny, wiedział raz na zawsze, że wszelkie w tym względzie rojenia są absolutną niemożliwością, ale samo obcowanie z tą niemożliwością, nawet patrzenie na nią zdaleka, nie mówiąc już o paru zamienionych słowach, o ucałowaniu ręki... Ach... W uwielbieniu bez żadnej nadziei jest też bolesna, jątrząca, ale może właśnie najwyższa rozkosz. Zapewne i to jest dużo — jeżeli już

żadną miarą nie może być inaczej. Senator — choć niezawsze o tem pamiętał, to jednak wiedział, że ma już pięćdziesiąt trzy lata — już, a nie — dopiero pięćdziesiąt trzy. Przy znanej zaś na obie półkule świata bezinteresowności tej wielkiej kobiety, cóż za szanse może mieć człowiek niezbyt urodziwy, nieco zbyt okrągły i do pewnego stopnia łysy? Niepodobna wymagać nawet od artystki tej miary, żeby w jej uczuciu przeważały wielkie zasługi dla kraju, Komandorja Legji Honorowej i powszechnie uznany genjusz stanu. To nic, to nic... „Upijmy się, jak bogowie Olimpu, najsubtelniejszym choć niematerialnem winem aetheru... Można nie być z powołania Petranką, ale jeżeli okoliczności składają się inaczej, to jednak trzeba znaleźć ujście dla namiętności i w czystej poezji, w szczytnej fikcji...

Tu przerwał mu potężny ryk. Odezwała się syrena z dachu pałacu Luxemburskiego. Rozwarła gardziel i zionęła żelaznym wrzaskiem na całe miasto. Jej siła wznosiła się z każdą sekundą, od najniższego chrapliwego basu leciała kędyś wzwyż z niepohamowanym rozpędem zajadłości. Doszła do szczytu — zawyła tak, że senator — choć przywykł już do tego jak wszyscy Paryżanie, przykucnął nagle i zatkał sobie uszy. Z rękami na uszach ruszył z miejsca pędem młodzieńczym. Zanim dobiegł do stacji „Odeon“ kolei podziemnej, już latarnie zgasty na całej ulicy i światła we wszystkich oknach. Biegł wraz z innymi wśród czarnej nieprzebitej nocy, zmierzając ku czerwonemu zamaskowanemu od góry

ognikowi stacji. Potrącano go, potykał się i sapiąc srodze, zdyszany dopadł nareszcie zbawczych schodów. Zanim dopadł odruchowo spojrzął jeszcze w górę — już tam biegały w ostrych podrzutach białe promienie reflektorów, szukając czegoś w czarnej czeluści nieba.

Pierwszą myślą senatora, gdy się znalazł w bezpiecznym podziemiu, było straszne przypuszczenie, że z powodu tego głupiego alarmu, który mu się wydał teraz najoczywiściej fałszywym, jak było już tyle razy, oraz ciemności — ona gotowa całkiem nie przybyć do margrabiny... To go zgnębiło. Ze złością oczekiwał na pociąg i nie mógł się go doczekać, ze złością patrzył na gromady żołnierzy, wałęsających się po stacji. Wszędzie ich pełno — któż u diabła właściwie jest na tym froncie? Ze złością stał w ścisku, trafiwszy na dobitkę do wagonu z samymi Anglikami. Żołnierze byli dobrze podpici i przytupując do taktu okutymi buciorami, ry czeli swoje *Tipperary*. Odezwała się w nim niechęć rasowa, nawet nie z epoki Napoleona, ale nienawiść prastara z czasów Dziewicy. Oczywiście — przyjechali się bawić. Anglja markuje wojnę — niech się leje francuska krew. Anglja nic nie robi, oszczędza swoją flotę i czeka końca, żeby w momencie likwidacji być najsilniejszą... Senator w strapieniu swoim zapomniał, że nie dalej jak tego rana zwymyślał na schodach własną konsjerżkę, która mu wyplatała o Anglikach dosłownie to samo.

Gdy po półgodzinie ostrożnie wylazł z pod zie-

mi, alarm już ustał, syreny milczały, reflektory nie grały na niebie, ale w tej dzielnicy nie zapalono jeszcze latarń. Poomacku, nie poznając ulic w ciemnościach i mgle kierował się ku Avenue Henri Martin. Błąkał się, pytał przechodniów i wreszcie jakoś dotarł do Hôtel Lambesc.

Z okien pierwszego piętra, osłoniętych ciemnymi zasłonami, przesączały się szczeliny blasku — tam zacisze od przeklętych spraw polityki i wojny, oaza wytworności i ukojenia, dostojna atmosfera sztuki — tam jest ona.

Po powitaniach w głównym, błękitnym salonie senator spostrzegł tylko trzech obcych, jakiegoś pułkownika francuskiego w uniformie i dwóch oficerów marynarki angielskiej, rozmawiających osobno w kącie pod olbrzymią, rozszczepioną nad nimi palmą. Reszta to dobrzy znajomi. Margrabina pytała o nowiny.

— Nic pocieszającego, margrabino.

— Więc cóż?

— Obawiam się, że będziemy musieli wraz z całą Francją znieść dotkliwe poniżenie.

— Więc on? — W głosie margrabiny nie było przerażenia. Zdradził się nawet jakby cień radości.

— Zapewne... Tak się wszystko fatalnie układa. Będzie to okres krótki, ale bardzo przykry.

— Cóż, drogi senatorze, w każdym razie...

Senator spojrział na nią zdumiony.

— Jesteśmy w tak wyjątkowo ciężkim położe-

niu, że każda energja, choćby dzika i nie przebierająca w środkach... Naturalnie tylko na czas przejściowy...

Senator rozłożył ręce, skłonił się i odszedł. Był to cios prosto w serce. I ona, ta mądra kobieta, radykalna, tak zwana „czerwona margrabina“ uległa szowinistycznej zarazie... Co za czasy...

W okrągłej narożnej salce lustrzanej perorował jakiś młody człowiek o smutnej twarzy, otoczony kołem pań, zasłuchanych, z oczami wlepionymi w mówcę.

— ...Hurtebize... lasek Brimont... Senegalczycy... Zabetonowane gniazda niemieckich karabinów maszynowych... Nieuszkodzone druty... Ogień w plecy z pozycji na wzgórze Ailette... Czterdzieści tysięcy poległych w ciągu godziny... Tak — czterdzieści tysięcy — zbrodniczo i bezcelowo... I jeżeli były bunty w armji, to któż jak nie generałowie Nivelle, Micheler, Mangin...

Młody człowiek miał medal wojskowy i pusty prawy rękaw od samego ramienia. Oczywiście — nowiny odgrzewane z kwietnia, czyż ludzie nigdy nie zapomną o tem, co było, kiedy tyle nowych kłopotów ciąży nad Francją? Senator ostrożnie zajrzał do ostatniego salonu — ale i tam jej nie było. — Już nie przyjdzie...

Za to ujrzał w dwóch fotelach przed komin-kiem zatopionych w poufnej przyciszonej rozmowie jednego z redaktorów Action Française, starą kanałję Daniela Misereza, który poniewierał jego cześć



niedawno w serii ohydnych artykułów w związku z kampanją przeciwko Caillaux, oraz — swego kochanego przyjaciela z ministerstwa spraw zagranicznych, z którym jeszcze przed tygodniem radzili zatroskani nad obroną wielkiego męża stanu, napaśtowanego nieludzko przez zjednoczoną mafję nacjonalistyczną. Kolana tych panów stykały się, uśmiechy ich kojarzyły się ze sobą w nieprawdopodobnem porozumieniu...

Senator zawrócił i sztywnym krokiem lunatyka minął okrągły salonik.

— ...Proszę pań, byłem tylko prostym żołnierzem, ale znałem do gruntu mój bohaterski, wypróbowany 128 pułk... Zaraz po upadku Lens... Pułk zdobywa pozycję Mont Spin, ponosi okropne straty i siedzi w nędznych, prowizorycznych okopach przez całe dziewięć dni pod ciągłym ogniem artylerji... Nareszcie zmiana! Ledwieśmy odmaszerowali, tego samego dnia wieczorem dowiadujemy się, że nasz Mont Spin już odebrany zpowrotem. Trzeba było słyszeć, co wygadywali żołnierze, którzy pozostawili na tych pozycjach dwa swoje bataljony. Zakwaterowano nas we wsi Prouilly, w nędzy i w ciasnocie. Jedzenia mieliśmy bardzo skąpo, zato wina — trzeba to wyznać — było wbród. Ledwieśmy się trochę odespali, ledwieśmy się opamiętali — w cztery dni przychodzi rozkaz powrotu na linję. Co? A odpoczynek? A przyobiecane urlopy? No — nie. Co to — to nie! Zaczęliśmy się zbierać w kupy. Za-

raz zjawili się mówcy. I ja, jak mnie tu panie widzą, też gardłowałem nie gorzej od innych. Mogli byli i mnie zabrać do Châlons i też rozstrzelać...

Senator, wzdychając ciężko, przebrnął salon błękitny, zaczepiony przez lokaja wziął filiżankę herbaty i lawirując wśród stolików, omijając zagadanych gości, poniósł ją do sąsiedniego pokoju. Był to tak zwany gabinet „dywanowy“, zaciszny i przyćmiony. Chlubą jego były autentyczne arrasy, dwa Coroty i olbrzymi, na całą ścianę, mroczny w swych potężnych złotych ramach Velasquez. Przy okrągłym stole malachitowym w towarzystwie pewnego sekretarza ambasady brytyjskiej siedziały trzy upiory potężnej do tak niedawna i do ostatka najwierniejszej sojuszniczki Francji. Był to podsekretarz stanu Rządu Tymczasowego Amelikow, bohaterski generał Sołomow i rosyjski agent finansowy tajny radca Riżskij, których straszliwa katastrofa październikowa zastała w Paryżu.

Senator znał ich potrosze z dwóch konferencyj informacyjnych, na które w ostatnich dniach zapraszano go do ambasady na rue de Grenelle, jako członka komisji spraw zagranicznych Senatu.

— Cóż tam nowego mają panowie z naszej nieszczęsnej Rosji? Czy nie zaszło coś pocieszającego? — spytał bezmyślnie przy powitaniu, stawiając filiżankę na malachitowym stole.

W odpowiedzi podsekretarz stanu zaczął oglądać swoje paznokcie, tajny radca rozłożył ręce po-

czem złapał się niemi za głowę, a generał Sołomow ryknął krótko basowym odbrzusznym śmiechem.

— No, tak, zapewne, na jakiś czas musimy się uzbroić w cierpliwość.

— Cierpliwość cierpliwością, panie senatorze, ale zgóry muszę pana upewnić, że lepiej nie będzie, raczej gorzej...

— Co, ma być gorzej? Jeszcze gorzej? Gorzej już być nie może.

— Przepadła Rosja, panie senatorze — dudnił generał zduszonym basem. — Dawno przepadła, jeszcze w marcu, kiedy podły cham rosyjski zdradził cara i swego Boga prawosławnego i honor.

Senator doznał jakby ukłucia, było to niemal fizyczne a tknęło go gdzieś w okolicach wątroby. Gruby pakiet stu siedemdziesięciu tysięcy rosyjskiej renty państwowej, spoczywający w pancernym schowku w bezpiecznych podziemiach Crédit Lyonnais, zajął się ogniem i w jednej chwili spłonął na popiół, osiągnięty przez daleki pożar jakiejś barbarzyńskiej rewolucji.

— Jednak na nowym rządzie, jakikolwiekby on był, ciężą dawne zobowiązania wobec Francji?

Tajny radca Riżskij zachichotał przykrym dyskantem, jak puszczyk po nocy. Były podsekretarz stanu oderwał się na chwilę od swoich paznokci i spojrzął na senatora jak na warjata. Generał nasrożył siwe brwi i patrząc brzydko na Francuza zaczął z niepohamowaną zawziętością.

— Zobowiązania, święta rzecz, ale, panie se-

natorze, Francja też zawiniła niemało w tem wszystkim, co się u nas dzieje, zawiniła ciężko, i to od pierwszych dni wojny. Nie trzeba było rujnować naszego planu wojny i wymuszać na nas działań strategicznie niepoczytalnych. Nasze hekatomby pod Tannenbergiem i na jeziorach mazurskich, które sprawiły cud nad Marną, obaliły nasz rozpęd, zatrwały wolę do zwycięstwa, zdemoralizowały nasze naczelne dowództwo... Panie senatorze, zobowiązania, porachunki, to kij o dwóch końcach...

Senatorowi nie chciało się dzisiaj kłócić. Pomimo trwogi o Francję, gdy dziesiątki dywizyj niemieckich już są w ruchu, przerzucane gwałtownie na zachodni front, pomimo dotkliwości własnej ciężkiej straty, którą uprzytomnił sobie dopiero w tej chwili, mimo całej swej pogardy dla tych trzech dygnitarzy in partibus infidelium i jawnej bezczelności generała, widocznie szukającego przyczepki, wstał od malachitowego stołu i rzuciwszy zimno:— Panowie darują... — ruszył z gabinetu, okupowanego przez trzech bankrutów. Na progu błękitnego salonu zetknął się ze szlachetną, słodką panią Buhot, z „wielką kwestarką wojny“, jak ją nazywały nacjonalistyczne gazety, która zastąpiła mu drogę ze swą sakiewką, z listą składek i z ołówkiem.

-- Na moich rannych, panie senatorze...

Niedalej jak wczoraj dał jej pięćdziesiąt franków, gdy grasowała w kularach Izby, dał ze strachu i dlatego, żeby go zostawiła w spokoju. Ta piła wkręcała się wszędzie, tej bezczelnej intrygantce mo-

narchistycznej nikt nie śmiał odmówić, a nie przyjmowała mniej niż dwadzieścia franków. Fabrykowała i roznosiła haniebne plotki i kalumnje, zbierała informacje i szpiegowała na rzecz swojej kliki. Tutaj, w tym domu nigdy jej jeszcze nie widział, ale oto jest i ona — *signum temporis*...

— Pani daruje, ale widzieliśmy się wczoraj...

— W izbie deputowanych, ja pamiętam, panie senatorze, pięćdziesiąt franków, najserdeczniej dziękuję jeszcze raz, ale dla uczczenia radosnego przełomu w dziejach Francji, którego jak pan wie, oczekujemy z minuty na minutę...

— Ty szantażystko! Ty stara k.... -- kłął w duchu senator, dobywając dwudziestu franków. — Ty łakudro! — uśmiechnął się, wpisując się ołówkiem na liście składek. — Conajmniej dwadzieścia procent z tych pieniędzy chowasz do swojej kieszeni i wszyscy o tem wiedzą, a i ty dobrze wiesz, że wiedzą, podła złodziejko...

— Dziękuję gorąco w imieniu moich biednych rannych...

Nagle ujrzał w grupie gości stojących pośrodku salonu niewysłowioną głowę Ewy... Górowała wyniosłą postacią ponad ten tłum salonowców. Była jak bóstwo. Wszystko dokoła niej stało się naraz ordynarne i pospolite, pogasły tak zwane piękne kobiety, których przed chwilą bynajmniej nie brakowało. Witaa się z przedstawianymi jej paniami z uroczą powściągliwością. Z całą prostotą nie dostrzegła, że jest sensacją wieczoru, przedmiotem

natarczywej ciekawości. Z okrągłego lustrzanego saloniku wyległo całe kobiece audytorjum młodego bezrękiego bohatera i otoczyło Evę, a po chwili ukazał się i on sam. Podąa mu rękę z tak cudownie zrobionem wzruszeniem współczucia, że w oczach kilku pań zaperliły się łzy. Mężczyźni starzy i młodzi wstawali od stolików, na progu ukazała się stara kanalja Miserez z jakimś odświętnym wyrazem na bezczelnej, wielekroć obitej twarzy. Od strony gabinetu z Velasquezem z poza pleców senatora Guillet-Goudona wyciągały szyje trzy widma katastrofy rosyjskiej. Eva, przywykła do hołdów, zносиła ukłony, spojrzenia, zachwyty z nieporównaną swobodą, w tem wytwornem towarzystwie, w jednym z najpierwszych salonów Paryża, ona to była niedoścignionym wzorem oglady i taktu. Eva Evard, córka drwała z lasów nad jeziorem Winnipeg w Kanadzie, dziecko Francuza i Angielki — ta, która, jak pisali feljetoniści wielkich paryskich i londyńskich brukowców, była jeszcze jednym żywym ogniwem sojuszu Francji i Anglii... Nie wspominao o tem, że w toku kolei swego życia przez jakieś przelotne małżeństwo pozyskała obywatelstwo norweskie.

Zajął się nią z całą zachłannością żołnierza, który wy dostał się z okopów na kilka dni urlopu, jeden z oficerów brytyjskich — Kanadyjczyk i na mocy wspólnego pochodzenia zagadał się i już nie dopuścił nikogo do słowa. Napróżno pani domu interwenjowała z taktem, nie pozbawionym nawet

pewnej stanowczości. Oficer nie zważał na nic. Eva zносиła to obłężenie, popijając herbatę i wodząc po salonie roztargnionemi oczami. Spojrzenie jej padło na senatora Guillet-Goudona i natychmiast uśmiechnęła się przyjaźnie. Zwrócono na to uwagę — senator pomimo całego swego wyrobienia i opanowania zmieszał się i spłonął rumieńcem. Wywołało to uśmieški i miny. Zbliżył się jednak z całą dostojnością i rezerwą, którą był winien swemu stanowisku, hamując ze wszystkich sił porywczosć ruchów, która wezbrała w nim nagle, przypominając dalekie podrygi młodości.

— Witam pana... Jakże się cieszę, że pana tu zastaję...

— Ach, pani... — pochylił się nisko senator.

— Takbym chciała zamienić z panem kilka słów, ale cóż, już widzę, że się nie da. Mój współrodak nie pozwoli na to — zauważyła przyciszonym głosem — zresztą tak tu dużo ludzi...

— Możemy przejść do gabinetu obok — wyrwał się senator i przestraszył się własnej odwagi.

Nad wszelkie spodziewanie Eva powstała. Senator podał jej ramię i przeprowadził ją z wdziękiem przez ogromny salon usiany stolikami. Właśnie panna Roubichon — prix de Rome — miała rozpocząć arję Gizeli z niewystawionej jeszcze i to od dawien dawna opery znakomitego kompozytora Criarda. Sam autor już zasiadł przy fortepianie i uderzył pierwszy akord.

Nadspodziewane wyróżnienie uderzyło pychą

w czułe serce senatora. Odrazu zaroilo się w nim od fantastycznych przeczuć wyobrażenia poleciała wdał i nie zatrzymała się aż na pewnym dniu, na jakieś jego godzinie i minucie, gdy niebiosa zniżą się do ziemi a nieprawdopodobne stanie się rzeczywistością. Miał tego pewność niezbitą, oszalał — cucił się sam, pogrązał się w rozkosznej topieli i wyciągał sam siebie za włosy. Przedewszystkiem patrzył całą siłą wzroku, napawał się zbliżeniem do zapamiętania i w oczach, w całym wzruszeniu twarzy przebijała się w nim obnażona aż do granic głupoty ekstaza uwielbienia. Ona zdawała się tego nie spostrzegać.

— Panie senatorze, proszę się ze mnie nie śmiać, gdy będę mówić serjo, bo pomimo nadmiernego uznania dla mnie i sympatji nikt mnie nie bierze poważnie. Eva Evard, to komplementy i madrygały, przewracania oczami i wzdychania, mam tego dość. A ja chciałabym naprawdę zrozumieć cośkolwiek z tego, co się u nas dzieje. Wybieram się zagranicę, wszędzie mam znajomych, mogłabym sprostować niejedną fałsz i przekonać kogo należy. Niechże bodaj ten wzgląd praktyczny przekona pana senatora, jeżeli już sama jako człowiek nie mam prawa rozumieć czegokolwiek ani odczuwać poza mojami kreacjami i flirtem. Ot — przed paru dniami zaczęłam o tem z panem premierem, ministrem wojny, który obdarza mnie dużą sympatją i cóż się dowiedziałam? Wyznał mi, że on sam nic z tego wszystkiego nie rozumie.



— O -- to napewno — wyrwało się senatorowi.

— Widzę, że pan też chce mnie zbyć dowcipami...

— Ależ przenigdy! Powiedziałem to, gdyż takie jest moje najgłębsze przekonanie...

— Dobrze Rozmawiałam z posłami, z generałami, z potężnymi dziennikarzami — każdy z nich opowiedział mi kawał, plotkę, anegdotę i natychmiast przechodził do nazbyt znanych tematów. Tacy oni wszyscy. Czynię tedy już ostatnią próbę... Wszak mi pan poświęci godzinę czasu.

— Proszę rozkazywać! Kiedy mam się stawić?

Eva wyjęła z torebki swój karnecik i szukała wolnej godziny. Senator zapatrzył się na jej nogi w zielonych pantofelkach ze skóry jakiegoś bajecznego stworzenia i wchłaniał jej dziwny, rozkoszny zapach, w którym nie było nic ze sztuczności perfum.

— Naprzykład, takie słóweczko „defetyzm“? Nikt nie może mi wytłomaczyć, co to znaczy... A więc, panie senatorze, może pojutrze, dwudziestego, od piątej do siódmej? Będę sama.

Senator tymczasem zerwał się, ale usiadł natychmiast z powrotem. Opanował się i zaczął szybko głosem zduszonym i zawziętym.

— To właśnie słóweczko... Niech pani wie, że w tem jednym jedynem słowie zawiera się tyle podłości i fałszu, tyle zniewagi dla zdrowego sensu, taka otchłań intrygi i bezceństwa, że... że... Do-

prawdy, zaczynam przypuszczać, że wymyślili je i puścili w obieg chyba Niemcy... Odkryli je jak swój gaz, straszliwy Żółty Krzyż, żeby tem jednym słowem zatruć dusze francuskie, pomącić wszystkie pojęcia, tworzyć podejrzenia, stwarzać nienawiść...

Urwał. Eva starała się coś z tego wyrozumieć. Jej oczy skupione trzymały go mocno; było to spojrzenie mądre i przenikliwe, jakieś nieoczekiwane i całkiem niekobiece.

— Pani Evo, na pozór jest to tylko nędzny absurd, ho któżby chciał porażki własnej ojczyzny? Któżby się ważył oskarżać o to działaczy narodowych, wytrawnych mężów stanu, ba, całe stronnictwa? A jednak... W republice szantażu i kalumnji to słowo stało się piekielną potęgą. Rzucone w masę, powtarzane uparcie dzień w dzień przez sprzedających gazeciarzy, roznoszone przez bezmyślne papugi... Tem słowem burzy się najmądrzejsze plany dla zbawienia ojczyzny, obala się tytanów pracy i zasługi, to słowo gorsze, przewrotniejsze niż stara, uczciwa, zbyt prosta i ordynarna zdrada, prowadzi przed sąd, do więzienia — na gilotynę... Ono służy wrogom Francji lepiej niż miljon żołnierzy na froncie...

— Widzę, że doprawdy skorzystam bardzo z wykładu pańskiego i nareszcie czegoś się dowiem...

— Pani... To mnie raczej pochlebia, że będę mógł...

Ręka-cud, jakby sama przylgnęła do jego ust, miękka, chwytna, oplatając palcami jego rękę, jakby

niewiarogodną pieśczęcią. Ale tłum już znieważył świętość tej chwili wniebowzięcia. Już wtargnęła czereda świątowców. Przez okrągły salonik przeszła szybko grupa gości, panowie gadali w podnieceniu jeden przez drugiego. Coś się stało. Czyżby?...

Senator odgadł. Oto się wypełnia straszliwy realizm życia. Zdeptane są prawda, prawość, słuszność przez bezecną hecę. Zaszczuto jedyne go człowieka, który mógł zbawić Francję, a jutro zażądadają jego głowy. Opuszczą go wszyscy — niech czeka wyroku historii. Historia — ha--ha-ha — przecież zawsze będą o tem dwie historie. Zajęknie Francja, zlaną krwią, zasypana gruzami, nowe setki tysięcy żołnierzy oddadzą życie za tę zbrodniczą farsę...

Już mu zabrano Ewę, otoczyła ją przypochlebna, bezczelna gawiedź. Na twarzach jaśniała radość. Gdzieniegdzie tylko przebijało zdumienie, gdzie nigdzie, chyłkiem po kątach toczyły się gorączkowe, szybkie rozmowy, spory... Stare jejmoście, przekwitłe żony dygnitarzy, swawolne damy, których mężowie byli na froncie, rozwyrdrzone pannice — wszystko to miotало się i piszczало z uciechy, wykrzykując, wyplatając głupstwa i androny, niczem baby w sklepiku. Nie za bardzo inaczej rozumowali ludzie poważni. Trzy lata wojny wyjałowiły mózgi, przeżarły nerwy, odebrały pamięć — bo czyż nie dalej jak przed miesiącem, ci sami ludzie, w tym samym salonie...

Miotają się jak opętani, bo znaleźli cudowny

amulet, słowo zaklęcia na wszystkie katastrofy świata. Mają swego człowieka. Ten zaprzaniec bez czci i wiary stał się świętością, niechno kto spróbuje teraz pisać o nim słowo...

Choć nie była po temu pora, ale dla uczczenia wielkiej chwili czerwona margrabina kazała podać szampana. Już wędrowały po salonach olbrzymie tace, ustawione kryształowemi pułkami, gdzieś w oddali w głębi apartamentów ponad gwar tłumu gęsto strzelały korki. Niebawem rozległ się znajomy głos donośny, wyrobiony w przestworzach pałacu burbońskiego.

— Panie i panowie!

Senator lawirował między stolikami, między grupami ludzi, między tacami z szampanem i wymykał się ku drzwiom — nic tu po nim. Był zupełnie osamotniony, a zatem nie miał racji. Przegrał. Jakoś zapadło się w nim wszystko i zawaliło. Nic nie rozumiał, nic nie wiedział. Jak do tego doszło, jak do tego dopuszczono? A parlament? Mafja prezydencka poprostu pominęła parlament! Horrendum, nieznanne w dziejach trzeciej republiki... Czyżby wszyscy, nawet najbliżsi przyjaciele, uknuli przeciwko niemu spisek? Niemożliwe, bo między Bogiem a prawdą, czemże on wreszcie jest? Jest niczem. Jest wpływowym członkiem trzech komisyj Senatu, kręci się i pracuje, nie śpi po nocach nad referatami, bywa na tajnych posiedzeniach, na wszystkich bankietach, nic się bez niego nie dzieje... Ma dwóch sekretarzy i maszynistkę, Komandorję Legji Honorowej,

wyjątkowy szacunek ludzki, a jak przyjdzie do czego wszystko się odbywa poza jego plecami... Czyżby go mieli za idjotę?

— Posłuchaj, Goudon...

Senator zachnął się i wydarł rękaw, za który go chwycono z tyłu u samych drzwi. Ani się obejrzał, złapał się klamki i nacisnął ją z wściekłością, ale zanim szarpnął, na jego ręce spoczęła tłusta, wilgotna i gorąca łapa przyjaciela.

— Posłuchaj, Goudon, to nie czas na obrazy. Obrazisz się i pójdiesz sobie, a Francja?

— Francja aferzystów i renegatów, intrygantów i paszkwilistów, Francja Daniela Miserèza?! Za kogo mnie masz? A ty czym dzisiaj jesteś...

— Człowieku, nie wyrabiaj hecy, bo ludzie patrzą. Zaraz ci powiem w dwóch słowach...

— Dosyć mam słów, wyszastaliście już wszystkie słowa...

— Otóż inne kombinacje okazały się narazie niemożliwe pomimo nadludzkich wysiłków. Zobaczysz, po wojnie będą tomy pisać o tych trzech dniach przesilenia. Kraj domaga się otuchy, wiary, czyli otumanienia, hypnozy, jakiegoś bezdennego kłamstwa, sięgającego granic wielkości. Komu nigdy ani razu nie zabraknie odwagi w przeczeniu strasznej rzeczywistości, kto zdoła kłamać aż do końca, ten utrzyma w dyscyplinie armję i naród. Rozwaga, rozsądek, opamiętanie — na to już zapóźno. Goudon, twoja zasada, którą głosisz co drugie słowo — to prawda, ta twoja naga prawda, a któżby zniósł

prawdę? Pokażno ludziom całą prawdę a natychmiast zawali się wszystko. Francji trzeba brutalnej żelaznej ręki, autorytetu, woli, która nie cofnie się przed żadną zbrodnią. Autorytet — to ten, który jest w danej chwili dziejowej najmocniejszy, ten, który w walce zwycięża wszystkich innych. A on zwyciężył — to fakt. Jakiemi środkami? O to teraz nikt nie zapyta. Przegraliśmy, Goudon, i bodaj że nawet z pewnym honorem. Nic nam nie pozostaje, jak poddać się okolicznościom i pracować dalej i niczem się nie brzydzić, bo — wojna jest, bo musimy uratować front, przetrwać zimę i doczekać Amerykanów, bodaj — jak ciężko ranny — na kolanach doczołgać się do tej wiosny... Czeka nas straszliwa zima, straszliwa próba — dlatego ci powiadam, jak Francuz, jak przyjaciel — nie pora na urazy.

— Więc ja za twoim przykładem mam podać rękę takiemu Miserèzowi?

— Tak, podasz mu ją! Potem możesz się cały wykąpać w sublimacie. Nikt od ciebie nie wymaga szacunku dla tej kanalji, a przede wszystkim on sam. Goudon, te parę miesięcy zimowych to jedna chwila. Wierzaj mi, będzie inaczej.

— A Caillaux? Pozwolimy go szarpać bezkarnie? Opuścimy go? Damy go na pożarcie ciemnej obelganej masie? Nie wiem jak kto, ale ja mu nie będę Judaszem.

— Ten człowiek przegrał, bo nigdy nie wiedział, czego chce wojna. I pomimo jego genjuszu

i tysiąca zalet, wojna go starła na miazgę. Goudon, dajmy mu spokój. To trup.

Zaledwie senator puścił klamkę, stracił odrazu grunt pod nogami. Dziesiątki lat zasad i pracy, homeryckie boje o światło, prawdę i sprawiedliwość, cała niezłomność i posągowa rzymskość jego oblicza moralnego — wszystko to uległo umorzeniu. Czem też on teraz jest? Co z niego zostało? Zawisł w przestrzeni, a pod nim, na dnie poczwarnej otchłani kłębiło się w oparach krwi, w dymie pożarów, w obłędzie zatracenia, jakoweś niepojęte mrowie, sabat potępieńców, w którym nie poznawał nic swojego, nic ludzkiego. To nie była jego ojczyzna, to nie była Francja...

Rozejrzał się po wspaniałym salonie — do stu osób, w ogromnej większości dobrych znajomych, słuchało mówcy w radosnem podnieceniu z kieliszkami w ręku. Paul Thiriet, deputowany z Montmelon, z nieporównaną swadą opiewał chwałę odstępstwa, żonglował jak kuglarz mamidłem, zdradzał, kłamał i brnął przez płytkie wody frazesu, aż wspiął się na same szczyty bezwstydu... Oskarżał. Piętnował. Kogo?! Wczorajszych przyjaciół. Okrzyki, grzmot oklasków — teraz obiecuje zwycięstwo. Zdrajca. Psubrat...

— Posłuchaj Goudon, twoja nieodżałowanej pamięci małżonka, kobieta kochana i mądra, powtarzała ci — ileż razy — gdyś chorował z powodu jakiegoś głupstwa czy świństwa, które się przydarzyło w pałacu Burbońskim czy Luxemburgu...

Pamiętasz? Mówiła — Goudon, mój ty biedaku, nigdy nie będziesz politykiem. Przywiązujesz się do ludzi, ufasz wielkim słowom, głowę masz zapchaną wzniosłymi ideałami i nie widzisz prawdy życia...

— Pamiętam, pamiętam! Mówiła jeszcze: takiego jak ty zawsze nabiorą przyjaciele. Miała wielką słuszność...

— Goudon, czy ja ciebie kiedy nabrałem? Zawsze cię ostrzegałem w porę i oto mówię: nie wrywaj się, siedź cicho. Jeżeli sam nic nie rozumiesz, to zawierz mnie. Ja ci mówię, że idziemy ku lepszemu. Ja ci mówię, ruszymy całą siłą pary, a na wiosnę — przysięgam ci — biada Niemcom!

— Ha-ha-ha! Plagjat — to samo przed chwilą prawił Thiriet... Skąd ty wiesz, co będzie na wiosnę?

— Nic nie wiem, bo nikt nie może wiedzieć, ale będę wołał i wrzeszczał o zwycięstwie przez całą zimę, będę teroryzował, będę z błotem mieszał każdego, kto się zawaha... Inaczej nie przetrwamy.

Czerwono-złoty lokaj stanął przed nimi z taćcą. Salon promieniał radością, wreszcie uwierzono w koniec wojny i w zwycięstwo.

— Co tam, napijmy się, Goudon. Ja już próbowałem — mówię ci — najprzedniejsze Chateau Lambesc, jakiego nigdy już nie znajdziesz w sprzedaży. Na winnicach margrabiny od trzech lat stoją niemieckie okopy. Nasze własne pociski rozniosły na cztery wiatry ich cudowną glebę, zatrwały ją wybuchy i gazy, i trupy... Pij, przyjacielu, bo takiego wina już nie będzie...



— Mam pić za...

— Pij za jego zdrowie, gdyż nie masz żadnego wyboru. Stało się i już. Nic nam nie pozostaje, jak życzyć staremu jaknajlepiej i to szczerze, jeżeli za tym razem jemu to a nie nam wypadło zbawiać Francję. Pij, Goudon, i nie zamyślaj się tak. Wierzajmi, szkoda twojej głowy. Niema na świecie takiego mędrca, któryby ogarnął myślą lub zrozumiał tę wojnę.

— Gadasz absurdy! Bez ścisłej analizy, bez zrozumienia wszystkich zjawisk wojny niepodobna nią kierować...

— No, no — jeszcze czego, słyszane rzeczy? Kierować! Kto kieruje huraganem? Lawiną? Proszę bardzo!

— Trzeba rozumieć, żeby nie tylko kierować wojną, nie tylko zwyciężyć, ale żeby ją bodaj zakończyć... Mój wniosek w senacie z 15 stycznia przeszłego roku domagał się ankiety, któraby zmierzała ku stworzeniu doktryny prowadzenia wojny, zarówno pod względem politycznym, jak wojskowym... Czyż nie widzisz, że od trzech lat żyjemy w chaosie?

— Trzymamy się, brniemy naprzód, trwamy. I na tem koniec. Można i tak. Bardzo można — gdyż upewniam cię, że i Niemcy nic nie wiedzą o wojnie, a w każdym razie znacznie mniej od nas. Gdy podobny stan rzeczy trwa już przeszło trzy lata, to chyba czas się z tem pogodzić.

Senator, który z chciwością człowieka zdręczo-

nego, o pustej głowie i języku suchym jak wiór, wychylał właśnie swego szampana, zanurzywszy w nim bujne zapuszczone po galijsku wąsy, potrząsnął tylko energicznie głową na znak oburzenia. Gdy dopił, przyjaciel już go opuścił. Rzucił go na pastwę tego okropnego salonu, gdzie roiło się od absurdów, nieszczemności i dręczących zagadek. Daniel Misèrez, który przed miesiącem poświęcił był margrabinie cały feljeton pełny łajdackich kalumnji, krążył po salonie od stolika do stolika rozpromieniony i był tu jak u siebie. A on, stary wierny przyjaciel tego domu, czemuże tu był? Zdegradowanym, nędznym wyrzutkiem... Był tu osamotniony, nikt go nie zaczepił, nikt do niego nie zagadał... Zawstydził się własnej marności, jak ktoś znieważony publicznie, jak sromotnie obity. Zdawało mu się, że każdy czyta z jego twarzy całą jego nędzę i ten najtajemniejszy jego upadek, albowiem i on, on sam, niezłomny jak skała senator Guillet-Goudon w głębinach swej prawej duszy już odczuwał zwątpienie, już sam od siebie odchodził i zamiast nienawiści do tryumfującej brutalnej przemocy postrzegał w sobie jak gdyby bezsilne i haniebne, psie ukorzenie przed zagniewanym, wszechmocnym panem.

Eva Evard z niewzruszonym spokojem znosiła obłączenie hołdów, zachwyty i tych wiecznych spojrzeń męskich, uwielbiających, pożądlivych, zamaskowanych oglądą towarzyską lub obnażonych do

zupełnego bezwstydu. Wszyscy co do jednego, starzy i młodzi, wytrawni mężowie stanu i zgrubiali na wojnie oficerowie, wiedzieli doskonale, że do tej wspaniałej twierdzy niema żadnego dostępu, że beznadziejne są tu i najwykwintniejsza salonowość i dowcip, i powaga piastowanej władzy, i rozgłos nazwiska, nawet sława, nie poradzi tu ani młodzięcza uroda, ani żywiołowa żołnierska obcesowość, ani nieodparty na te czasy urok frontu, walki i bohaterstwa, ani podstępny czar paryskiego zepsucia, wreszcie żadne tysiące franków, ani tysiące dolarów, nawet funtów. Wiedziano o tem szeroko po świecie i w opinii tej nie było wyłomu. Nie czepiały się Ewy żadne plotki, najbrudniejszy brukowy reporter feljetonista, podający „nouvelles mondaines“, choć żył z szantażu, nie ośmielił się nigdy sfabrykować na jej rzecz insynuacji, dwuznacznego napomknienia. Podobno umiała w zarodku poskromić nawet aspiracje bliskiego doradcy cara, jakiegoś tam najprzedniejszego z Romanowów, księcia krwi. Swojego czasu opowiadano o tem w Piotrogradzie drastyczne szczegóły. Miała go wyrzucić za drzwi i to bez żadnej przerośni i bez niczyjej pomocy — poprostu własnymi rękami i siłą znakomitej, rekordowej lekkoatletki.

— Jak? Zrobiłam to zupełnie zwyczajnie, jakby to było w studjo, podczas nakręcania pierwszego lepszego filmu. Zresztą Rosja, nawet ta z przed dwóch lat, robiła na mnie wrażenie dobrze zrobionej sztuki filmowej. Wojna, dwór, ogrom i różnorodność

kraju, jego osobliwości i tajniki, no i taki wspaniały filmowo Rasputin... Teraz na bezmiernym ekranie Rosji lud rosyjski wyświetla serje przyśnione, nieprawdopodobne w swojej dramatycznej potędze. Szkoda tylko, że to rzeczywistość, nie fikcja. Zresztą sztuka naśladować to będzie w ciągu długich, długich lat. Już widzę siebie i jako uwięzioną córkę cara, i jako ofiarę bataljonu kobiecego imienia Kiereńskiego, i jako krwawą bolszewiczkę. Ileż tam się przerobiło i dokonało w ciągu kilku miesięcy od marca do listopada... A mówią, że to tylko manjera filmowa nagromadza wypadki. Biedna ta moja sztuka, ileż bogatszy jest teraz nasz czas, jakże szczęśliwi są ci, którym będzie danem przeżyć tę całą wojnę...

— Tak, obserwatorzy, widzę, ale upewniam panią, że nie aktorzy, w każdym razie nie wszyscy — zauważył cierpko generał Sołomow.

— Mnie już śmiertelnie znudziła ta epopeja, nawet nie ciekawy jestem końca — ziewnął arystokratycznie młody dyplomata.

— Niech pan dla urozmaicenia spróbuje okopów — rzucił od niechcienia jednooki porucznik strzelców alpejskich, o twarzy w szwach i w bliznach.

— Ach, gdybym to ja mogła zakosztować okopów, grozy szturm, ognia działowego — westchnęła Eva.

— To się tak mówi... Niema kobiety na świecie, któraby zniosła dołą żołnierza bodaj przez je-

den miesiąc. To jest ciężkie, to okropne, plugawe i podłe.

— A ja panu odpowiem, że mogłabym być żołnierzem nietylko przez jeden miesiąc, wytrzymałabym na froncie całą wojnę, nie gorzej od każdego z was.

— Brawo!

— Niech pani dziękuje Bogu, że panią stworzył kobietą.

— Czyż to znaczy, że pan, panie poruczniku, wolałby na ten czas nie być mężczyzną?

— Nie wiem, cobym wolał. Nie lubię tylko, gdy sobie ktoś żartuje z wojny. Mojem zdaniem tego nie wolno nawet takiej znakomitej kobiecie, jak pani... Przepraszam bardzo — widzi pani, nie jestem salonowcem, jestem człowiekiem z okopów. Nie znam się na żartach...

— Ja żartuję? Ależ od wybuchu wojny nie przestaję się buntować, że wasze głupie prawo wojskowe nie pozwala mi walczyć. Z początku starałam się o to zupełnie poważnie, miałam nawet protektorów w War-Office — wniosłam podanie na imię królowej — nawet mi nie odpowiedziano. W roku szesnastym pewien pułkownik rosyjski zabrał mnie na front w przebraniu za podrobionym dokumentem. Cóż, kiedy mnie wszyscy po drodze poznawali i nigdzie nie dojechałam, potem jeszcze musiałam na wszelkie sposoby bronić pułkownika, któremu protokół spisany o tem zajściu, zepsuł całą karierę... Napisali tam, że przemycił ze sobą ko-

chankę. Broniąc go, dobrnęłam właśnie do owego Wielkiego Księcia...

— Na miłość boską i nacóż pani potrzebne te wrażenia frontowe?

— Nietylko wrażenia. Ja chcę na sobie samej doznać wojny. Ja się wstydzę być daleko od kul, zawsze bezpieczną, gdy od trzech lat krew się leje, bo to mnie boli i poniza.

Młody dyplomata powstał, nieznacznie spojrzął na zegarek, skłonił się z wdziękiem i znikł w tłumie gości. Oszepony porucznik uśmiechnął się do Ewy.

— Umie pani dogryźć naszym dekownikom, ale i to nie pomoże. Kto przez trzy lata zdołał się ustrzec frontu, ten wytrzymał już wszystkie docinki i ponizenia. Strach jest wielką potęgą.

-- Nie miałam zamiaru dokuczyć temu pięknemu panu i mniejsza o niego... Pan mówi o strachu-- otóż to jest właśnie najmocniejsze, co mnie ciągnie na front. Bo ja się nie boję niczego, nigdy, ani razu nie zaznałam strachu, nawet w dzieciństwie... Bywałam w różnych tarapatach, w ciągu dwóch dni siedziałam na mieliźnie na maleńkim parowczyku, zalewanym przez fale. Statek kruszył się i trzeszczał, wicher szalał, znikąd nadziei pomocy i wszyscy się strasznie bali. Drugiego dnia, gdy ich morze dobrze zmogło, nikt się już niczego nie wstydził, strach obnażył się w każdym. Modlili się, płakali, rozpaczali, dochodzili do obłędu — a ja nic. Ci lu-

dzie mnie bawili, groza położenia zachwycała mnie, wiedziałam, że wszyscy muszą zginąć i ja też — ale ani jednego momentu strachu. Potem, gdy z wielkim trudem uratował nas jakiś przygodny żaglowiec, żałowałam, że tak się to skończyło na niczem.

— Wiem, panią kusi niebezpieczeństwo, panią ciągnie śmierć. Tacy nie znają strachu. Nie zaznałyby go pani i na froncie.

— Kto wie... Nasłuchiłam się tyle o straszliwościach nowoczesnego boju...

— To prawda, ale żołnierz z czasem przywyka. Działa hypnoza dyscypliny, czyli absolutna przemoc nad wolą jednostki. Wola żołnierza jest złamana, zanim jeszcze wejdzie on w sferę ognia. Armja nowoczesna jest to szatańsko mądra i precyzyjna machina, opanowuje ona w żołnierzu każde włókienko mózgu i sparaliżuje w nim odwieczną potęgę — instynkt życia, nadwyręży i drugą, jeszcze mocniejszą — strach przed śmiercią, zgnębi, sponiewiera w nim jego ludzkie jestestwo. Ona odgrzebie w cywilizowanym człowieku — a jest nim dzisiaj każdy, nawet najciemniejszy chłop z Owernji — zatracony w czas pokoju dziki, pierwotny instykt gromady, poczucie zagrożonej zbiorowości, upodobni go do stworzenia bez rozumu, do ślepego termita. Armja ma dużo sposobów na to, co pani nazywa strachem przed śmiercią, odbiera duszy ludzkiej wszystko, a więc i strach, pędzi w ogień opętańców, ślepych niewolników. Inaczej wojna byłaby niemożliwą.

— A jednak zczasem i ten ślepy niewolnik po-

trafi się otrząsnąć z hypnozy? Cóż wtedy staje się z wojną?

— Pani mówi o naszych wiosennych buntach w szóstej armiji... Miało to miejsce w kwietniu, a teraz mamy listopad — i front stoi mocno. Należałem do komisji śledczej i znam te rzeczy do gruntu. To były zwyczajne burdy, a w pewnej mierze protesty, i to słuszne, przeciwko nadużyciom.

— Ja wiem, że pan mi nie powie całej prawdy, i słusznie, bo to wielka tajemnica. Obawiam się jednak, że się to może powtórzyć i jeżeli Niemcy spostrzegą się wczas, uderzą i przełamią front. A jeszcze teraz, gdy po Caporetto musieliśmy posłać Włochom na ratunek tyle dywizyj francuskich i angielskich, chyba ze trzydzieści?

— No, nie, tylko sześć naszych i cztery angielskie, ale zato z Foch'em. Ten sam starczy za sto tysięcy żołnierza.

— Jakżebym chciała poznać tego wielkiego wodza...

— Dla pani nie istnieją żadne trudności. Niech pani tylko wyrazi życzenie, a staruszek sam zapuka do pani drzwi. I on kiedyś bywał w kinie i zachwycał się panią, jak cały świat.

— Więc i pan również?

— Jeszcze jak... Wczoraj widziałem panią w filmie „Trwać!“ Jest pani wspaniałą, gdy pani prowadzi żuawów do ataku z szaleństwem męstwa w oczach, z kokardą alzacką na głowie — a do tego Marsyljanka... Ludzie warjują... Co za potężna hyp-



noza! Pani pracuje na front i na tyły, pani wytwarza haszysz wojenny — na przetrwanie...

— To bardzo nieznaczną rolę, posągowo-dekoracyjną. Niecierpię sztuk tak zwanych patryjotycznych. A z innych moich kreacji, w której się panu podobałam najbardziej?

W poszarpanej twarzy porucznika, na której szramy i brózdki wypisały piętno srogości, zapaliło się uniesienie. Całe towarzystwo skupiło się dookoła nadzwyczajnego dodatku gazety, a czytał go donośnym głosem, drgającym ze wzruszenia, jeden z najszanowniejszych gości dzisiejszego wieczoru, senator Guillet-Goudon.

— Pani... Widziałem panią w wielu rolach, we wszystkich... Znam pokorną, skrzywdzoną, wierną Jane z „Zaułka“, w „La Chope de Montrouge“ zbrodniarkę bez czci i wiary, i wspaniałą rozpustnicę panią Destalguèz z „Circe“, i świętą bohaterkę, siostrę Innocentę z „Pożaru Saragossy“... W duszy Evy Evard są wszystkie role! Pani musi być czystą i bohaterką, i wierną, i cudownie czułą, ale tak samo jest w pani demon zepsucia bezwstydnym i jawno-grzesznym. Pani może za cenę życia uratować człowieka i może go pani zgubić dla prostej fantazji. Może się pani wznosić na szczyty heroizmu dla swojej ojczyzny, i zarówno dobrze gotowa pani zdradzić najświętszą sprawę. Jest w pani najlepsze i najgorsze, wszystko ma swój czas i zawsze jest szczerze... Pani jest chimera! Na szczęście dla siebie i dla innych znalazła pani upust w sztuce — ale niech

panią Bóg strzeże, byś się pokusiła zagrać kiedy w prawdziwym życiu, między ludźmi... Pani jest straszliwą kobietą...

Eva słuchała z powagą.

Znikł zdawkowy uśmiezek. W jej wyrazistem, przepięknem obliczu mieniło się od szybkich wzruszeń. Zastłuchała się jak dziecko, któremu opowiadają straszną bajkę. Zapatrzyła się w zmasakrowaną twarz obcego przelotnego człowieka, jak gdyby to był jasnowidz, nieomylny wróżbita. Skąd naraz taka rozmowa w paryskim salonie? Oficer nie odrywał od niej spojrzenia swego jedyne go oka. Opeętała go. Co za rozkosz mówić doniej, mówić o niej i patrzeć w jej oczy, gdy słucha. Od słowa do słowa wciąż rozpętywała się w nim odwaga, śpieszył się, by wypowiedzieć o niej wszystko, zanim się obrazi, lub zanim pierwszy lepszy głupiec podej dzie do ich stolika i z całym okrucieństwem realizmu życia zburzy czar.

...Zna ją oddawna, zna i uwielbia jak miliony ludzi na obu półkulach ziemi. Wpatrywał się w nią godzinami, przenikał ją, odgadywał, a teraz, ujrzawszy ją nareszcie żywą, w całej prawdzie jej istnienia, wie, co mówi, jeżeli ją ostrzega. Zresztą, kiedyś, za niepamiętnych czasów, przed wojną, zanim został żołnierzem, był profesorem psychologii, badał ludzi i życie, pisał książki o tajemnicach dusz... Niechże nie lekceważy jego słów.

— Ja słucham... Niech pan mówi! Niech pan mówi o mnie wszystko, do samego końca!

— Pani pozwala?

— Ja tego żądam.

— Dobrze. Zło i dobro, piękno i ohyda są u pani w równowadze. Niechże pani trzyma w surowej dyscyplinie swoje zło, bo zło jest ciekawsze, bo zbrodnia kusi, domaga się próby, ona rzuca wyzwanie światu, bo ona daje rozkosz tajemną, przy której niczem jest ekstaza zmysłów i spazm miłosnego wyuzdania. Żadna rozpusta ciała nie dorówna w rozpętaniu tej straszliwej pokusie, by przełamać granice moralnego nakazu i zdeptać, splugawić nie tylko prawo pisane czy niepisane, ale i świętość własnej duszy, to, co się naprawdę czci i kocha... Pani jest straszliwie samotna, obcuje pani tylko ze swoją chimerą. Wyobraźnia porywa i niesie panią jak wichurę i nigdy nie wie pani, dokąd cię ona poniesie... Kochasz jątrzenie twego własnego niepokoju, upajasz się niewiadomem, które stać się może z tobą każdej chwili. Przechyłasz się nad przepaścią, lubujesz się swoim śmiertelnym dreszczeniem... Ubóstwiasz życie, upajasz się ciekawością dla jego spraw otchłannych i powikłanych, ale nie cenisz bynajmniej własnego istnienia i to jest w pani napozór paradoksem. Tylko napozór, gdyż zdoła pani obiektywizować i samą siebie i patrzeć na siebie zdaleka jak na obcą. Wówczas pani nie kocha siebie tak samo, jak nie przywiązuje się pani do nikogo. Może z ciekawości pani pchnąć siebie na wyraźną zgubę — wydaje mi się nawet, że pani może skończyć samobójstwem.

— Przenigdy!

— Proszę mnie zrozumieć. Nie zastrzeli się pani, ani się nie otruje — ale dopuści pani świadomie, żeby jakieś okoliczności tak się złożyły, że w ich wyniku będzie pani zmuszona oddać życie. I nie uczyni pani nic, żeby te okoliczności zmienić, choć to będzie w pani władzy — czy to nie samobójstwo?

Porucznik urwał nagle, uląkł się. Eva patrzyła na niego z wyrazem takiego cierpienia, jak gdyby wyrządził jej wielką krzywdę, znać mówiąc w zapamiętaniu dotknął w niewiedzy jakichś jej tajemnych spraw, coś jej niechący przypomniał... Podniosła rękę do czoła, niespodzianym szybkim ruchem zasłoniła sobie oczy, zacisnęła je kurczowo i po sekundzie roześmiała się swobodnie.

— To nic, proszę mówić dalej, zajrzało mi w oczy jakieś widmo... Wie pan, nic określonego, poprostu ciężkie, niewytłumaczone wrażenie, jak to bywa we śnie. Niech pan kończy, niech pan powie nareszcie to, co pan uznaje w tej analizie za najważniejsze, a czego nie ośmiela się pan wypowiedzieć. Ja pozwalam na wszystko.

— Pani zgaduje myśli... Jednak, sędzę, że czas mi się zatrzymać, bo i tak zaszedłem za daleko. Raczej zabrnąłem, znalazłem się w ciemnym labiryncie, już nie mam poczucia prawdy, zaplątałem się w pani...

— Więc ja będę pytała.

— Zgoda.

— Kto pan jest?

— Porucznik Jacques Percin, ci devant, profesor Szkoły Normalnej, obecnie inwalida, przydzielony do Sekcji badań nad moralnym stanem armji.

— Czy pan jest hypnotyzerem?

— Nigdy w życiu się tem nie zajmowałem.

— Bo wydaje mi się teraz, że wszystko, co pan o mnie naopowiadał — to prawda. Urzknął mnie pan, bo ja jestem zupełnie inna.

— Jest pani taką właśnie, jak mówiłem, a jest pani również inną. To nie przeczy jedno drugiemu. W tem pani urok, i to bardzo niebezpieczny.

— Czy mnie można wierzyć?

— A czy pani wierzy w cośkolwiek na świecie?

— Jakto?

— Naprzykład — wojna. Niema człowieka po obu stronach walczących, któryby z całym ślepym fanatyzmem nie pragnął zwycięstwa dla swego narodu, któryby nie nienawidził wroga. A pani? Pani jest wszystko jedno. Oczywiście jest pani po naszej stronie, ale w głębi duszy — przepraszam panią — ta wojna panią pochłania jedynie jako wspaniałe, straszliwe misterjum. Niech się narody mordują, mniejsza o to, kto zwycięży...

— Aż tak? Bardzo pan śmiały w swoich hipotezach. I cóż dalej?

— Nie pójdę dalej. Zresztą nie warto zaczynać, lada chwila nam przeszkodzą.

— Więc proszę mnie odwiedzić, Rue Pierre Charron, siedemnaście.

Eva wyjęła swój karnecek. Porucznik Percin zląkł się. — Nie, za nic nie przyjdzie. Nie chce się dręczyć, nie chce zgorzeć w palącym spojrzeniu tych oczu...

— Więc jutro — od piątej do siódmej będę wolna. Dobrze?

— Tak jest. Dziękuję pani.

— A zatem do widzenia. Na koniec jeszcze jedno pytanie — czy mnie można pokochać?

Porucznik już powstał. Milczał przez chwilę i unikając jej spojrzenia rzucił z bolesnym szyderstwem.

— Nie znam się na tem. Od czasu jak niemiecki „Flammenwerfer“ obdarł mi twarz ze skóry i wypalił mi oko, nigdy nie rozmawiam o miłości z żadną kobietą, tembardziej z panią. Jakżebym śmiał? Nie chcę być śmieszny, jako domniemany aspirant — ja — une gueule cassée, maskara...

Zerwała się z krzesła tym właściwym tylko Evie Evard błyskawicznym podrzutem i stanęła w całej chwale swej urody, wyniosła, nakazująca, nieodparta pogromczyni i ciemnościelka mężczyzn — baronowa Destalguèz z „Circe“.

— A wie pan co? Z tych wszystkich pięknych i znakomitych panów, którzy tu się kręcą... którzy mnie prześladują pochlebstwami i swymi bezwstydnymi spojrzeniami, gdzie tylko się pokażę... Cóż — powiem — stać mnie na to... pana jednegobym ucałowała... Panubym się gotowa oddać... Dlaczego

Nie wiem. Pan mnie opętał, pan mnie zniewala. Dosyć, panie poruczniku — do jutra.

Eva uchyliła natarczywe propozycje odwiezienia jej, nie skusiły jej wspaniałe limuzyny, poszła samotna przez zimny wicher, przez posępną aleję, skarżącą się przejmująco w nagich gałęziach kasztanów. Pod murem cmentarza Passy okrążyła pusty plac Trocadéro i zeszła w dół przez odludne, ciemne ścieżki skweru. Pamiętała, że na ten wieczór ma wyznaczoną jeszcze jedną wizytę, że jest już spóźniona. Oddalała się od swojej stacji Métro i szła bez celu, zatopiona w myślach. Jednooki psycholog szedł obok niej jak widmo i nie przestawał mówić. Wciąż jeszcze słyszała jego słowa ostrzegające, jego zapamiętałe wróżby. Czyż na ekranie tak dalece zdradza się człowiek? Czy obiektyw aparatu jest tem czarodziejskiem okiem, które nawskroś wszystkich sztuczności i kłamstw gry widzi prawdę utajoną na dnie duszy aktora? I jak śmie ów pan wdziierać się w jej samotność i wiedzieć o niej aż tyle? Pozwalała mu mówić i dowiedziała się, że i jej zamkniętą duszę można jednak roztworzyć i zapuścić w nią obce, szpiegowskie spojrzenie. Iluż to ludzi na świecie odgaduje ją nie gorzej, niż ten porucznik!

Weszła na most. Wionęło zimnem od czarnej wody, wicher pchał ją kędyś przemocą, szarpał na niej odzież. Przystanęła, wsparła się o poręcz. Nie wiedziała poco zaszła aż tutaj. Stała jak na wy-

niosłej wyspie wśród morza białej mgły, poginęły światła Paryża, zaledwie parę najbliższych latarni majaczyło w tumanie czerwonym stłumionem lśnieniem. Zapodział się gdzieś olbrzymi pałac Trocadéro, nie zostało śladu z wieży Eiffla. Przywidziało jej się, że ten skrawek mostu i mróz wiejący od rzeki są ostatnią resztką ginącego świata i że tu przyjdzie jej czekać, aż zawali się ten most razem z nią. Runie w lodową głębię, a nad nią i nad nicością wszystkiego rozstiele się mgła, nie tylko mgła, mgła... Poznawała w tem jakiś straszny, dawny sen, który powracał czasami i dręczył ją od dzieciństwa. Była w nim niepojęta okropność i zła wróżba. W jej absurdzie tkwiła jakaś przerażająca nieomyślność.

Ogarnął ją strach. Co ją przyniosło na most? Nic tu nie miała do roboty. Takie rzeczy nie zdarzały się z nią nigdy, zawsze wiedziała co czyni i dokąd idzie. Usiłowała przypomnieć sobie z programu dnia, czy naprawdę nie miała czegoś do załatwienia w dzielnicy za mostem?... Nie знаła nikogo w tej stronie miasta. Ostatnie chwile niepokoju...

Roześmiała się bezmyślnie i głucho. Trzeba wracać. Zaledwie postąpiła kilka kroków, usłyszała czyjś głos. Ktoś na nią zawołał.

— Eva!...

Głos był daleki i niepewny. Ale jakby znajomy. Obejrzała się, dokoła było pusto. Nigdy nie miewała przewidzeń. Nadsłuchiwała. Ale ów ktoś nie wyszedł jeszcze z mgły. Któż to mógł być?



Czyżby ów porucznik, nie mogąc się doczekać jutra, ośmielił się pójść za nią? Co za zuchwalstwo!

— Eva!... Eva!...

Wołanie było zupełnie bliskie i wyraźnie szło zdołu, od wody. Przechyliła się przez balustradę i zajrzała. Na czarnej rzece leżał mętny krąg światła, odbitego od latarni. W tem miejscu falował nurt, który szybko przebiegał przez rozświetlone kolisko i tonął w ciemnej otchłani. Eva zapatrzyła się w tę plamę, pogrążona w tępej zadumie, i nagle poznała głos, który na nią zawołał z rzeki. To on!

Ujrzała tuż przed oczami skrawek wycięty z gazety. Dotąd miała go przechowany w walizce, pełnej starych papierów. Rubryka — „wiadomości w trzech wierszach“:

— Wczoraj o godzinie 10 wieczór z mostu Iena rzucił się do wody Edmund Clary, lat 27, urzędnik Crédit Lyonnais. Ciało wyłowiono w Auteuil. Kostnica municypalna.

To wczoraj było przed siedmiu laty. Zapomniane i zupełnie błahe, czemuż wynurzyło się dzisiaj? Ach, rocznica... Widać odezwała się w nieświadomym wspomnieniu i tu ją przywiodła — człowiek, sam o tem nie wiedząc, nosi w sobie dziwnie precyzyjny mechanizm rejestrujący każde głupstwo. Uśmiechnęła się do biednego Edmunda. Kochała go przez całe trzy dni, ale on, niemądry chłopak, chciał znacznie dłużej, na całe życie. Cóż miała z nim zrobić? Ani przez jedną chwilę nie czuła w sobie winy. Zostawił do niej śmieszny tragiczny list, który

ją obraził. Nie poszła nawet na jego pogrzeb, zresztą nikt nie wiedział o nich ani o tych trzech dniach. To było jeszcze przed premierą „Dziewczęcia z Mont-rouge“, od której zaczyna się jej sława... Nikogo nie kochała dłużej nad dwa tygodnie, budziła się z szaleństwa i zapominała odrazu. Napisał — Chciałem cię zastrzelić, ale ta kara będzie gorsza, do końca życia będzie cię prześladowało moje widmo. Nic podobnego! Co za manja wielkości w ubogim urzędniczku bankowym...

— Pani... Moja paniusiu!... Nie róbże pani takiego głupstwa!...

Ktoś ją ujął pod ramię twardą dłonią. Szarpnęła się, ale ten trzymał mocno. Był stary, siwobrody, nędznie odziany. Szczelnie zapięty w połataną kurteczkę kulił się z zimna, szyję miał okręconą grubym szalikiem, czerwonym jak i twarz starego, obrzękła, znamionująca zapamiętałego miłośnika ordinaire'u po dwadzieścia pięć centimów lirt. Oczy smutne i poczciwe patrzyły na nią z ojcowskim wyrzutem.

— Taka młoda i piękna... Taka bogata!... Co się stało? Mąż cię zdradził? Jeżeli tak, to jest oczywiście bałwanem i idjotą, więc zdradzaj go i ty!

— Ależ ja ani myślę się topić! Niech mnie pan puści!

— Każda tak gada, a popuść no ją tylko — zaraz hyc do wody. Proszę uważać, że woda teraz zimna. A jak pani raz skoczy, to naprawdę będzie

koniec. W takiej chwili się o tem zapomina — a to grunt. Ja to dobrze wiem.

— A pan się już kiedy topił?

— Ja?! Ani razu! Czyli, prawdę powiedziawszy, często wychodzę na most, żeby spróbować wody, ale... Ale, jak się powiedziało — jeszcze ani razu!...

— To i dzisiaj też pan przyszedł próbować?

— Również i dzisiaj, szanowna pani. Mówię prawdę, zrównane są nasze losy. Jednakowa ta Sekwana dla bogactwa i dla nędzy. I dla tego, który się topi z nieszczęścia, jak i dla tego, który to robi dla byle głupstwa. Niech no pani zaraz odejdzie od barjery!

Eva wydarła mu się i odepchnęła go, aż stary zatoczył się i byłby upadł, gdyby się nie złapał za balustradę.

— Oho... Oho... Mocnaś pani w ręku... Oho... Ale ja panią skądściś znam...

— Co panu jest? Ma pan jakie wielkie zmartwienie? Czy poprostu z biedy?

— I jedno, i drugie, a napewno znalazłoby się i trzecie. Może nawet i coś czwartego... O, moja pani!

Stary zaczął opowiadać, gadał szybko, natarczywie, śpieszył się, połykał słowa. Pomagał sobie rozwichrzonymi gestami, które stale opóźniały się i wikłały wyrazistość słów. Zaczynał zbyt głośno, z przesadą i wnet przechodził w zająkliwe bełkotanie. Przesępował z nogi na nogę i zataczał się we

wszystkie strony. Eva dopiero spostrzegła, że jest pijany.

Była to historia o trzech synach. Wszyscy wyszli na ludzi, nie to, co ojciec, który był błaznem na „foire'ach“, połykaczem żab i myszy, wreszcie jarmarcznym astrologiem i magiem, przepowiadającym przyszłość z kart, z ręki, z czego kto żywnie chciał. Wszyscy trzej wyszli na ludzi, ale przyszła wojna. Przez pierwszy rok było bardzo dobrze. Na drugi rok już gorzej — pierwszy zginął Jean pod Soissons, ale zostali dwaj. Na trzeci rok i Georges i Charles — obaj jednego dnia na Chemin des Dames. 3 baon 117 pułk linjowy. I już. No — i już.

Stary zapłakał. Skarżył się, pochlipując i zawodząc. Nie ma poco żyć, nie chce żyć, a nie może ze sobą skończyć. Jeszcze się boi. Czego?! Sam nie wie, a strasznie się boi.

Eva była już znudzona i miała odchodzić, ale patrzyła na starego ze współczuciem. Pod tem spojrzeniem padł na kolana na środku mostu i wyciągnął ramiona.

— Pani patrzy na człowieka jak anioł, jak Panna Najświętsza... Na mnie, starego pijaka... Za moje nieszczęście... Sześćdziesiąt pięć lat żyję na świecie... Nikt na mnie tak nie spojrzał...

Nagle stary urwał swoją tyradę, w jego oczach odbiło się zdumienie, dochodzące do przestrawu. Nie wstając z kolan, podczołgał się do Ewy i zapatrzył się w bezgraniczną dobroć jej twarzy, skamieniał.

— Kto pani jest?! Pamiętam, na Boga żywego... Ja pamiętam!... już raz pani patrzyła na mnie tak samo... Kiedy? Gdzie?... Wówczas było ciemno i było dużo, dużo ludzi, ale pani patrzyła tylko na mnie jednego... Wiem, wiem, działo się na wsi, na fermie, i, za przeproszeniem, pani obrządzała krowy. — Czyż to możliwa rzecz?!... W prostym chłopskim ubraniu, na nogach saboty...

— Niech pan wstanie! Co za głupstwa... I proszę tu odemnie... Niech to będzie za uratowanie życia...

— Dwadzieścia? Dwadzieścia? Cały Ludwik? Dobrodziejko, toż to dla mnie na dwadzieścia dni szczęścia! Dziękuję! Jedna tylko przykra okoliczność... Bo ja nie żebrzę i jeszcze od nikogo nie przyjąłem jałmużny. Ale można zrobić inaczej. Jeżeli pani pozwoli, będziemy to uważać za uczciwe honorarium. Powrócę pani z ręki, jestem stary fachowiec. Proszę zdjąć rękawiczkę. Pani nie chce?... Cóż, szkoda, nie będę mógł, niestety, nic przyjąć... A przydałoby się bardzo i, nawet, że tak powiem, ogromnie...

Eva odwróciła dłoń ku światłu latarni, stary nie śmiał dotknąć tej ręki, tylko przywarł do niej zbliska oczami i patrzył. Pomrukiwał swoje jarmarczne brednie o wieńcu Wenery, o linii Pitagorasa, o linii żywiołów księżycowych...

— Pani jest bardzo szczęśliwa i potężna, linja życia bardzo długa... Ale przecięta w jednym miejscu... To nic wielkiego, jeżeli dbać o siebie. Niech

pani do roku nie wyjeżdża z naszej Francji, bo będzie źle!

— Ale ja muszę właśnie wyjechać zagranicę! Niech mi pan pozwoli, bo muszę!

— Proszę się nie śmiać podczas wróżenia, bo panią tknie urok!

— Dobrze, dobrze!

— Za rok może pani robić, co pani chce, ale przez ten rok...

— Cóż, kiedy ja zawsze robię co chcę?

— Zgoda. Niech pani jedzie, ale broń Panie Boże, nie wracać mi przed rokiem, bo pani zginie, czyli, że tak powiem, umrze. Z taką linią życia nie ma żartów. Fachowiec to pani mówi!

— Dziękuję za radę i do widzenia.

Tu stary wróżbita schwycił ją za rękę i natarczywymi gestami nakazywał milczenie. Zapatrzył się w dal we mgłę ku Trocadéro, pochylił głowę i nadśluchiwał.

— Słyszysz pani? — wyszeptał.

— Nie — odszepnęła mimowoli Eva.

— Niech pani słucha... Niemieckie ciężkie baterie... Tylko niemieckie dochodzą, bo biją nawprost, a nasze stoją do Paryża tyłem... Na mostach nocą najlepiej dosłyszeć... Salwa... Salwa... Salwa... Niechże pani słucha. Bo w gazetach to tylko czyste naciąganie. Ktoby temu wierzył? Ludzie gadają jak obłąkani. Człowiekowi już się dawno pomieszało w głowie. Ale jak człowiek usłyszy armaty na swoje własne uszy, to dopiero wierzy, że jest wojna.

Środkiem mostu, prześcigając się nawzajem, pędziło dwóch chłopaków, każdy z pliką gazet pod pachą. Jeden podbiegł do Ewy, drugi zawahał się, ale pomknął dalej.

— Chute du Cabinet!... Ministère Clemenceau!...

### III.

...Wydarłszy się nareszcie z ciężkiego koszmaru lejtenant baron von Tebben-Gerth spoczywał przez chwilę wyczerpany, zlany potem, z pustką w głowie i niepewny, gdzie się znajduje. Pierwsze, co spostrzegł w półświetle słabej lampki, był to portret cesarza. Władca uśmiechał się do niego ze złotej ramy pocziwie, jowjalnie, po koleżeńsku. Ten uśmiech rósł, rozszerzał się, wreszcie przekroczył ramy portretu, rozpostarł się na całą ścianę i ogromne oblicze cesarskie ożyło. Głowa w hełmie ukształtowała się w potężną bryłę, ciemne oczy nabrały blasku, sięgły wdał. Widziały wszystko.

Cokolwiek czynił, gdziekolwiek zwyciężał i ginał żołnierz niemiecki, na wszystkich teatrach wojny, w trzech częściach świata, na lądzie, na morzu, w powietrzu... Czy pod ziemią kuje podkop pod pozycją nieprzyjaciela, czy nurza się pod wodą zatrzaśnięty w stalowej łodzi... Jakiegokolwiek był on szczepu germańskiego, gdziekolwiek w obcej ziemi spoczywał jego trup — o każdym wiedziały te oczy i pamiętały o każdym. Wszystkie troski walczącego narodu wryły się w brózdach na tem niezmiernem



czole, pisał się na niem głód i chłód tej nadchodzącej czwartej zimy i zękanie wojną i żałobą — ale uśmiech cesarski górował ponad wiedzą o cierpieniach i klęskach. W nim było męstwo wielkiego plemienia ziemi, w nim jaśniała wola do zwycięstwa. Sześćdziesiąt milionów ludzi patrzy w ten uśmiech i krzepi się. Póki uśmiecha się pogodą twarz cesarza, wszystko przetrwa i cudów dokona niezwalczony naród niemiecki.

Jakże uwielbiał to oblicze lejtenant baron von Tebben-Gerth! Kochał je jako żołnierz, kochał je jako syn starego rodu, wiedząc, że w cesarstwie niemieckiem zachowa się wiernie przyrodzony ład świata. I w chwilach zwątpienia w niem szukał otuchy i wiary. Był to jego obraz święty, miał go zawsze ze sobą, w duszy i przed oczami, posiadał go od półtora roku, gdy wraz z żelaznym krzyżem I klasy otrzymał był fotografię z rąk cesarza z łaskawemi paru słowy i z podpisem — Wilhelm II. R.

Nagle uśmiech znikł. Oczy rozszerzały się w zdumieniu, źrenice zalatały w popłochu. Twarz cesarza skurczyła się, zmalala, stała się biedna, strapiiona. Wyrzał z niej strach. Opadły dumne wąsy, usta roztworzyły się jak do krzyku. Strach rozlewał się po twarzy jak powódź, zapanował na niej i zaskrzepł. Kołem stanęły przerażone oczy... Jeszcze chwila i usta podkuliły się, policzki rozszerzyły się i rozmiękły — cesarz rozplakał się bezradnie i zabawnie, jak małe dziecko.

Jaśnem się stało to, co było zakryte, albowiem

wypełniły się czasy. Tuś mi, potężny cesarzu!...

Lejtenant obudził się dopiero, gdy go ktoś twar-  
do potracił w ramię. Zerwał się z pościeli i oprzy-  
tomniał w jednej chwili, po żołniersku. Djabli wic-  
dzą, co się może przysnąć...

— Dochodzimy do pierwszych pól minowych.

— Co widać?

— Idziemy przez mgłę. Rośnie N. N. O. Spo-  
ra fala.

— Akumulatory?

— Naładowane na dwie godziny czterdzieści.

— Jest co nowego?

— Od godziny alarm iskrowy. Woła kabota-  
żowy Holender „Peterhead“ w drodze z Kamper-  
dingu, ster złamany, znosi go na Ower-Bank, czy  
pan lejtenant każe zawrócić na ratunek? Niedaleko.

Lejtenant roześmiał się. Bocman patrzył nań  
okiem przymrużonem chytrze, po zbójceku i kusił.

— Mamy dość tego dobrego. Sześćdziesiąt trzy,  
licząc skąpo, w niecałe dwa tygodnie. Rekord!

— Panie lejtenancie, według mojego rachunku  
będzie siedemdziesiąt siedem. Proszę zawierzyć mo-  
jemu oku. Z Holendrem byłoby równe osiemdziesiąt  
tysięcy tonn.

— Nie bójcie się, Kroll, w sztabie doliczą,  
a w komunikatach jeszcze zaokrągłą. To ich rzecz  
łągać, nie nasza. A co wy myślicie, Kroll?

— Panie lejtenancie, toż to oczywisty „Q“ i to  
djabelnie pewny siebie. Sam nas wyciąga na sło-  
wo... A choćby i nie — to Holender, nie Holender,

niech jucha siedzi w domu, nie trynda się po morzu na takie czasy.

— Jak to może być daleko?

— Godzina drogi i pół, mijamy właśnie Smiths Knoll. Ja dlatego, panie lejtenancie, że znów nam gotowi lada chwila zaiskrować z Emden nową instrukcję, powiedzmy, numer trzysta pięć i cała robotą — stop! Na te czasy co człowiek urwie, to jego.

— Widzę, Kroll, że wam całkiem nie pilno do domu.

— To my już wracamy, panie lejtenancie?

Lejtenant pokazał mu język. Bocman mrugnął okiem, zasalutował i wyszedł, cicho przymykając stalowe drzwi. Potężny, miękki, równy chód Diesela nappełnił kajutę i ścichł. Głucho warczała śruba i wentylator ciągnął wciąż ten sam wysoki, czysty ton. Rzucalo spokojnie, miarowo, łódź szła przeciw fali. Jak pięściami biła woda w stalowe boki, chlustała z metalicznym podźwiewaniem, szorowała przenikliwie.

Jak tylko bocman Kroll zamknął za sobą drzwi, lejtenant opadł ciężko na tapczan. Wsparł głowę na rękach i popadł w ciężką zadumę. Nie chciało mu się spać i nie chciało mu się nic zgoła. Jedyna rzecz, ot, zapaliłby papierosa, gdyby nie to, że trzebaby wstać, sięgnąć ręką na półkę... Właśnie nad tem się namyślał. We śnie poczęła się i ze snu przeszła w niego ta ciężka niemoc woli. Znajoma rzecz, przejdzie i minie — ale w tej chwili ogarniało go tak beznadziejne zgnębienie, że wnet zapomniał,

jak tam z nim kiedy bywało i pograżył się w czarnej rozpacz.

Na wszystko byłby gotów, byleby od niej uciec, ale jakże uciec od samego siebie? Strzelić sobie w łeb to też niezmierny wysiłek, znacznie ogromniejszy, niż zapalenie papierosa... Zapamiętał się. Było to jakby dalszym ciągiem dręczącego koszmaru, tylko daleko, daleko gorsze, bo dobrze wiedział, że nie śpi. Zajęczał głośno... Czemuż, czemu puścił od siebie bocmana? Dlaczego nikt do niego nie przyjdzie? Głos motoru, śruba, wentylator wierciły mu w mózgu. Wściekłe wołania fali, dobijającej się do niego, przejmowało go dreszczem przerażenia. Rozejrzał się dziko po ciasnym pudle kajuty. Stalowe ściany zwały się jeszcze, nastąpiły ze wszystkich stron, strop się obniżył, lada chwila zostanie zaciśnięty, zmiażdżony jak w żelaznej garści olbrzyma... W niemem przerażeniu zapatrzył się na swoją kurtę skórzaną, która wisiała tuż w kącie i raz po raz odchylała się od ściany, jakby się chciała oderwać i podejść do niego. Chwilami dotykała go niemal twardym brzegiem. Wówczas z niezmiernym wysiłkiem odsuwał się.

Otrząsnął się, potarł czoło, zaklął i wreszcie ze skurczem odrazy w twarzy, ze strachem w oczach spojrzął na małą szafeczkę zawieszoną w głowach łóżka.

— Przysięgnij mi, Fell, że nigdy już tego nie będzie!

Tak jest, przysiągł i znowu złamie słowo. Do-

brze... Zaciął się, usta ułożyły się w cyniczne, szydercze wyzwanie całemu światu. Co tam świat — ale jakże ją oszukać... No więc oszuka ją — wielka rzecz — cóż może wiedzieć o podobnych sprawach nieświadoma, czysta kobieta?

— Fell, pamiętaj o zdrowiu, pamiętaj o swojej duszy, na tobie nie powinno być żadnej skazy...

Zdrowie? Dusza? Cóż za bzdury! Każdej chwili może zginąć, jego zawodem jest szukać śmierci po morzu, a tu mu wyjeżdżają ze zdrowiem. Na co mu zdrowie, po co mu dusza, kiedy i tak, a może dziś jeszcze wszystko to razem z nim pójdzie na dno? Niech ona sobie wierzy, że czekają ich lata spokojne i szczęśliwe, on wie oddawna, wie niezbie, że nie dożyje końca.

Szybko odemknął szafeczkę, wyjął ampułkę i nie bawiąc się w żadne dezynfekcje igły, zapuścił ją w przedramię.

-- Fell, nie rób tego...

W jej ukochanym głosie ozwał się bolesny wyrzut, był to jej szept najcichszy, pokorny, serdecznie błagalny. Słyszał go wyraźnie, jak gdyby przyłożyła usta do jego ucha. Przymknął oczy i wchłaniał jej obecność. Zawstydził się po niewczasie jak przyłapany na gorącym uczynku. Napróżno przed nią kłamać, ona i tak wie o nim wszystko swoim nadludzkim zmysłem odgadywania.

— Rito, Rito — tyś mądra, ty czytasz myśli w człowieku, ale nigdy nie byłaś ty, maleńka, komendantem łodzi podwodnej... Zważ, Rito —

w czwartym roku wojny!.... Już nie mogę jak dawniej, Bóg widzi, że nie mogę.

Tłumaczył jej jak dziecku, jak dziecko dziecku, że na te dwa dni do powrotu zabrakło mu woli i myśli, i życia, a trzebaż przeprowadzić statek przez pola minowe, a przedtem, któż wie, co się może nadarzyć po drodze? Na jego głowie najcenniejszy skarb narodu — łódź podwodna, która jedna złamać zdoła Anglję, a ileż ich ginie teraz i na dwie stracone zaledwie jedna przybywa nowa... Na jego głowie dwudziestu ośmiu dzielnych ludzi zaprawionych w walce, każdy z nich stanie za dwudziestu, a gdy ci zginą, już nikt ich nie zastąpi. Trzebaż mieć jasność myśli i wolę, i odwagę, i szybką, błyskawiczną gotowość do decyzji... Skądże ja mam to wziąć i jak? Ty najdroższa...

Już dochodzi do zamulonych, stężyłych zwojów mózgu pierwsze tchnienie czarodziejskiej trucizny, wraca życie. Powstaje z martwych człowiek, powalony przez potworny trud. Lejtenant baron von Tebben-Gerth przywdziewa kurtę skórzaną, kaptur, pogwizduje sobie i jak obudzony ze snu zapomina i już nie wie, czem był dopiero przed chwilą.

Gdy wyrzał na świat owiał go zimny wicher i na powitanie odrazu chlusnął weń spieniony grzebień fali. Wezwał przez tubę bocmana, odesłał na dół oficera nawigacyjnego.

— Idź, odpocznij trochę, Fred, bo walimy na tego Holendra.

Fred Hasshagen, zsiniały, nikły, czarnooki czło-

wieczek, skrzywił się i potrząsnął głową jakby z dotkliwą odrazą.

— A co?

— To mi jakoś śmierdzi, bo za blisko brzegu. Mogą mieć w pogotowiu coś takiego... Twój Hollender mógł się dobrze opasać minami, zanim zaczął wołać o ratunek.

— Będziemy się trzymać dobrze zdaleka.

— A mgła? Wymanewruje nas, cholera, żebyśmy właśnie wdepli.

— Mgła się właśnie rozchodzi, idź spać.

— Ower-Bank — djabelnie płytko, niema gdzie się podziać przed granatami. I do tego jedna jedyna ostatnia torpeda.

— Tak ci jej żal? Chcesz ją przywieźć do domu?

— Napewno ma za plecami torpedowce, mówię ci, że djabelnie za blisko do brzegu. Zresztą wszystko mi jedno — robić to robić.

Ochota wezbrała w sercu komendanta. Z rozkoszą toczył okiem po zwichrzonym morzu. Zakapturzony, ociekający wodą sternik stał na sterze jak posąg, zapatrzony w dal nieruchomem, kamiennem okiem, żyło tylko koło steru w jego rękach, migocząc szprychami bądź puszczone, bądź podbierane, utrzymując statek przeciwko wiatrowi i przeciw fali. Komendant przywiązany był do wszystkich swoich ludzi, ale tego lubił nad innych. Podoficer floty Gebeschuss był z nim od samego początku wojny, towarzyszył mu we wszystkich wyprawach

dookoła Anglii, na morzu Irlandzkim, na morzu Śródziemnym, w Dardanelach, na Azorach i wszędzie. Wzorowy robotnik wojny zawsze spełniał swój obowiązek poprawnie, milcząco, ale nigdy nie zapalał się w boju, jak niektórzy, nic w nim nie było z awanturnika i właściwie nic z żołnierza. Gebeschuss nigdy się nie cieszył, gdy patrzył jak storpedowany lub rozstrzelany okręt konał i pograżał się, nie śmiał się do rozpuku jak inni, gdy widział gorączkowy, obłąkany ruch na tonącym statku, na przepelnione szalupy, szukające ratunku na groźnej fali na pełnym morzu i ginące w oczach jedna po drugiej. Nie radował się zdobyczy, nie martwił się, gdy po tygodniach krążenia po morzu nic się nie trafiło. Było mu wszystko jedno, robił swoje i milczał. Momenty grozy znosił lepiej od innych, nie lękał się niczego, jak gdyby i to mu było wszystko jedno, czy zginie, czyli wyjdzie cało. Koledzy go lubili, choć rzadko kiedy się odzywał, zato jak coś ze siebie wydusił, było to mądre słowo, przecinające spory, albo niespodziany, kapitalny „witz“, którym załoga żyła przez czas dłuższy i który natychmiast bocman raportował komendantowi i oficerom.. W wolnych chwilach spał lub czytał zapamiętałe swoje grube książki, oprawne w zieloną skórę — było to stare wydanie ukochanego przezeń Jana Pawła Richtera, które odziedziczył po ojcu. Stąd koledzy, którzy nigdy nic nie czytali, przewalili go — Herr Richter.

A komendant wiedział od dwóch lat na podsta-



wie tajnego cyrkularza, że Gebeschuss jest niebezpiecznym krańcowym socjalistą. Choć nie ustalono jego związku z Niezależnymi, miał on podlegać surowej obserwacji. Komendant zachował te informacje dla siebie jednego i był z nim podawnemu na dobrej stopie. Nie rozmawiał z nim nigdy, ale nie minął go, żeby z nim nie zamienić paru słów o niczem. Czasami, gdy byli sami, rzucał dla żartu jakąś mglistą aluzję, jak gdyby sam był potajemnym rewolucjonistą. Ale Gebeschuss nigdy się z niczem nie wyrwał na te przyjacielskie prowokacje. Tak samo i teraz.

— Ciekawa rzecz, co się tam stało w Rosji przez te dwa tygodnie, może już djabli wzięli bolszewików? Jak myślicie, Herr Richter?

— Nic im nie zrobią wszyscy djabli, panie komendancie, bo ich sam djabeł urodził.

— Djabeł?

— Tak jest, panie komendancie — nie z czego inszego, a z wojny się ulęgi.

— To znaczy, że i wszędzie tak będzie? Tak powiadacie?

— Ja nic nie powiedziałem, panie komendancie.

— No, to gadajcie!

Sternik zmilczał. Bocman wychylił głowę z pod dolnej klapy.

— Ze sztabu, panie lejtenancie.

— Odcyfrowane?

— Robi się.

Kłapa opadła. W tej samej chwili fala załała

górnym kiosku powyżej kolan. Zdawało się, że czaiła się na moment otwarcia klapy, żeby lunąć i zalać dolny posterunek — nie zdążyła.

— Co tam znowu djabli nadali — myślał baron. Depesze przychodziły codziennie, zapewne znowu nic, jakieś głupie ostrzeżenie, fałszywe albo spóźnione, jak zwykle. Bał się jednak, że każą mu wracać w straszliwą gardziel La Manche, usianą minami i poprzegradzaną już o tej porze niemal szczelnie całym labiryntem sieci podwodnych zdradzieckich, śmiertelnych... Był znużony. W wizji oglądał już na horyzoncie trawler, niemiecki wyławiacz min, który czeka nań, żeby go przeprowadzić przez angielskie i własne pola minowe. Od tej chwili — spokój i odpoczynek — Cuxhaven — raport. Statek idzie na oględziny i gruntowną naprawę do Wulcan-Werke, a on — do domu conajmniej na dwa tygodnie.

W chwili przygnębienia pozwolił był sobie wywołać obraz Rity — źle uczynił. Odtąd już będzie spętany, nieswój. Żadnej ochoty bojowej, ani uniesienia, ani gry na przepadłe. A niekiedy, niekiedy — baron otrząsnął się ze wstydu i wstrętu... Tak, wypełźnie widmo strachu. Gdy siła woli pójdzie na zwalczenie strachu, na jego ukrycie przed ludźmi załogi, którzy w momencie grozy patrzą struchlałymi oczami w twarz komendanta... Odejdź, Rito, zniknij... Litości, Rito, podziejże się gdzieś...

Wolny, pusty przestwór morza wypełnił się ponurością, ściemniło się i spienione białe czuby fal

zaświeciły dookoła jak wyszczerzone zęby, gotowe kęsać, miażdżyć, pożreć kruchą drobinę łądzi. Szalał w nich urągliwy śmiech żywiołu nad odwagą i wolą człowieka. Wszystko dookoła stało się złe, chmurny zmierzch i wicher, i fala, i smugi śniegu, zacinające ostro. We wnętrzu statku zajęczały, zawyły ze strachu jego żywe głosy — nigdy tak nie skarżył się Diesel, nigdy jeszcze tak złowrogo nie zawodziły śruby. Pompy załkały spazmatycznie, upust motoru hałasował jak w obłędzie.

Jakże szybko minęła władza czarownej trucizny... Moment samoomamienia, nic więcej. O gorzka nędzo Niemiec! Nie masz już, biedna ojczyzno, nic rzetelnego, nawet w aptece. Udane podobieństwa leków, podrobione marne ersatze, które dają za ledwie chwilę zapomnienia. To bezczelne oszustwo wzbudziło w nim szal wściekłości. Od dwóch tygodni woził ze sobą skarb fałszywy, przemagał się, walczył z pokusą, a gdy nadeszła najgorsza godzina i uległ — oto go masz. Zaklął głośno ostatnimi słowami, nie bacząc na sternika, ale ten zachowywał się jak głuchy, nawet nie spojrzął na komendanta.

Twardy, zlodowaciały śnieg przelatywał poziomymi smugami. Przecinali pas nawałnicy i znów otwierało się czyste morze. Raz po raz ogarniał ich zamęt śnieżycy.

— Panie komendancie, trawler pracuje za prawą burtą naskos, prawie wprost.

— Co za bzdury, nic niema!

— Jak miniemy śnieżycę zaraz go będzie wi-  
dać, ale i nas też. Brać w lewo na 90 stopni?

— Milczeć! Nie wasza rzecz!

— Stoi o dwa tysiące pięćset, nie dalej, panie  
komendancie.

— Do cholery, mówię — milczeć, kiedy ja tu  
jestem! Zrozumiane?!

— Panie komendancie, przecie on wybiera na-  
sze miny, któreśmy tu zakładali przed tygodniem.

Tuman śnieżny przeleciał i odstłonił dalekie  
czarne widmo, leżące płasko na wodzie a nad niem  
obłok dymu, który wiatr szarpał i słał nisko po  
falach. Gebeschuss nie pytał o nic, tylko sięgnął  
ręką i przekręcił strzałkę indykatora na „stop“.  
Diesel odrazu umilkł. Komendant rzucił piorunują-  
cem spojrzeniem i opanował się natychmiast. Herr  
Richter miał słuszność jak zawsze. Tak jest. Anglik  
najspokojniej psuje mu całą robotę, dokonaną w cią-  
gu dwóch ciężkich dni. To wreszcie zbudziło w nim  
zajadłość bojową. Spokojnie, szybko wydawał roz-  
kazy.

— Wszyscy alarm! Dolny posterunek stery go-  
tuj! Do grążenia gotuj! Prawy wylot Nr. 2 do  
strzału — gotuj!

— To już ostatnia nasza torpeda, Herr Rich-  
ter — rzekł polubownie, chcąc się pogodzić.

— Cóż, panie komendancie, trzeba trafić...

Łódź, pogrążona na jedenaście metrów, zbliżała  
się ostrożnie do przeciwnika. Stop! Bliżej ani kro-

ku, bo własne miny... Soczewki i zwierciadełka periskopu dawały maleńki obraz trawlera, zamacony i zniekształcony przez bryzgające fale. Komendant obrócił łódź prawą burtą do trawlera i urwanemi słowy rzucał w tubę rozkazy do komory torpedowej. Mierzył długo, w skupieniu, bez żadnej innej myśli w głowie jak jeno to, żeby nie uchybić o włos w wyliczeniu. Trawler stał w miejscu i dymił mocno, śnać siedział właśnie na minie i ciągnął siecią, by ją zerwać. Podoficer celowniczy stał pochylony obok komendanta, nie odrywając od niego oczu.

— Popatrzcie no, Stuhr, zdaje się, tak będzie dobrze.

Podoficer ciekawie przywarł do okularów.

— Stoi dobrze... postoi jeszcze. Obie lewe liny mu trzasły, widać zaczepił o coś na dnie.

— Tu niema więcej jak dwadzieścia siedem metrów?

— Przy odpływie do trzydziestu, panie komendancie. Tu może leżeć lejtenant Reimarus, U. C. 16— niema miesiąca jak tu został. O to właśnie bardzo łatwo mogli zawadzić, bo zresztą dno tu gładkie, piasek. Jabym ujął, panie komendancie — na pięć kresek?

— Podajcie!

— Słuchać! Pięć kresek mniej, słyszane?

— Jest -- pięć kresek mniej! — odpowiedziała tuba.

— Dosyć, Stuhr. Teraz wal!

— Słuchać! Ognia!

— Jest!

Torpeda odeszła, statek drgnął i stęknął głucho.

— Proszę, panie komendancie — idzie doskonale... Za nic nie może minąć...

— Patrzcie sami, Stuhr, ja nie będę.

Podoficer spojrział zdumiony i natychmiast chwycił przywarł do periskopu. Biała smuga perlistych bąbli powietrznych szła, przecinając wały fal linią idealnie prostą. Podoficer śledził ją z zapartym oddechem, póki mu nie znikła w zamęcie fal zwałnionego morza.

— Stoi, stoi w miejscu! Ludzie się kręcą na tyle, zapuszczają haki, usiłują wyciągnąć sieć... Nie zdążą...

Baron nie był ciekawy strzału. Zadumał się ponuro. Wspomnienie o koledze Reimarusie zgnębiło go. To, że on tu leży tak niedaleko na dnie z całą załogą w stalowej trumnie, ubodło go dreszczem przerażenia. Ta śmierć wydała mu się dziwnie nową, jak gdyby nigdy ani razu jeszcze o tem nie pomyślał. Zaskoczyła go jakimś przenikliwym, zgrozą przejmującym realizmem prawdy.

Rzecz dawno wiadoma i pospolita odstoniła się nagle do samej głębi i stanęła mu do oczu w straszliwej bliskości. Domniemanie, przypuszczenie stało się pewnością — prawdopodobieństwo już było prawdą. Od trzech lat wyruszał na morze z szansą trzydziestupięciu na sto — tak wykazywała

lista strat, przez trzy lata trwała gra. Teraz wiedział, że przegrał. Stało się, już go wita kolega Reimarus.

Nie czuł strachu. Strach zjawia się w walce, w działaniu, strach jest rozpaczliwym odruchem woli ku przytrzymaniu szansy w grze o śmierć i życie, dla niego skończyła się gra, odchodzi z liczby tych, co jeszcze rzucają kości. Ogarniał go martwy spokój, już niezrozumiały i bezcelowy. Drętwiał. Niczem się stały i napięcie tego momentu, i powaga spraw i rzeczy, i mus, i honor obowiązku. Nie warto myśleć. O czym?

Ogarnęła go nicość nakształt cichego usypiania, ale rozpędzony mechanizm myślenia szedł dalej, już po za nim, nie kierowany, zbaczał i kołował. Myśli, obrazy rozszczepiały się wśród nieogarnionej mnogości skojarzeń, zawadzały o siebie, potracając o rzeczy ważne i błahe, budząc bagatelne wspomnienia, odkrywając jakieś niepotrzebne prawdy, pędząc wdal poprzez tuman naleciałości i strzępów. Myśli traciły wszelki sens, wikłały się ze sobą, przerastały się nawzajem i szły równocześnie, jak obłąkany chór mnóstwa głosów, skłębionych w jedną wrzawę. Na mgnienie oka roztwierał się przestwór zimnej jasności i jedna jedyna myśl wpadała weń, lecąc górną, szybko, wznosiła się zawrotnie i stawała, wisząc u zenitu poznania — wiedziała wszystko i gasła. Jej pamięć wnet zatapiał wicher, miotający pyłem myślenia po opustoszałej głowie. Ktoś mówił szybko, szybko sypiąc niezrozumiałe słowa... Mrowie czarnych liter przebiegało przed

oczami, miarowo, jedna za drugą odwracały się karty jakiejś książki...

-- Minuta piętnaście... Siedzi jeden na maszcie i patrzy ku nam przez lornetę. Choćby dostrzegł ślad, to już w ostatniej chwili, a zaczem ruszy... Przy tylnem dziale obsługa w pogotowiu... U Anglików porządek jak się patrzy, stoją, ani drgną... Ha, ha...

Nie, nie! Tego nie dopuści za nic. Opędzał się i nurzał się w odmęcie głupstw, zamulał sobie głowę... Coraz wolniej kręciło się koło jakiejś maszyny, już nie migotała szprychami, przesuwały się, widoczne oku, ustawały, jeszcze jeden obrót — koło utknęło — usnął...

Objęły go we swą władzę jej słodkie, głębokie oczy. Z przepaści spojrzenia wynurzyły się wraz splecione w jedno — i ogromna powaga tej chwili, i uśmiech czaru miłosnego, i łkanie ostatniego pożegnania, i groza śmierci, i niezłomna dzielność prawej Niemki, żony żołnierza. Taką została mu w oczach na całą wieczność od chwili, gdy wagon ruszył ze stacji Ludwigshafen, żeby go od niej zabrać i cisnąć — hen na morze. Jak z innego świata sięgała do niego ta zjawia, teraz już niepojęta, niepodobna do prawdy. Czy istniała kiedykolwiek? W jakiej przestrzeni? W ojczyźnie niemieckiej? W których czasach? Przed trzema tygodniami?

Tego nie mógł już zrozumieć. Ona i całe życie odeszły od niego, a on sam, unoszony przez niewymierzony, zaświatowy pęd, gdzie był o tej



porze? Napróżno usiłował przeniknąć tajemnicę sen-  
nego zamroczenia. Uwikłał się w obłąd majaków  
i poddał się.

— Minuta, czterdzieści pięć! Jeden na górnym  
pokładzie zapala fajkę, to chyba sam komendant.  
Dobrze, „captain“, pociągnij sobie jeszcze parę ra-  
zy, bo to twoja ostatnia fajka...

Lejtenant baron von Tebben-Gerth ocknął się.  
Strząsnął ze siebie resztkę koszmaru, rozejrzał się  
wokoło. Miał wrażenie, że spał kilka godzin, był  
zdrętwiały, ale wypoczęty, pełen sił, tylko głowa  
ciężła mu jak po nocnym przepiciu. Nie mógł  
uchwycić w sobie żadnej myśli, niczego nie widział  
wyraźnie. Podoficer Stuhr, skulony przy periskopie,  
oddalał się od niego, ciasna żelazna komórka dolnej  
wieży rozstąpiła się, tworząc wielką, pustą halę,  
usadzoną nitami. W uszach dzwoniło uporczywie  
i na tem tle wykwiwały fantastyczne melodje. Wsłu-  
chany w nie usypia.

...Koncert Beethovenowski w Kolonji prowadzi  
Nikisch, śpiewa ukochana uwertura z „Korjolana“.  
W niej wszystko co najszlachetniejsze, górne i po-  
tężne w genjuszu niemieckiego plemienia. Do głę-  
bi duszy przenika zachwyty, do granic bólu sięga  
rozkoszna ekstaza.

...Tuż jasnorudawa głowa kobieca odrzucona  
w upojeniu, w białej twarzy stygmat zapamiętania,  
przymknięte oczy... Przywiera do niej spojrzeniem  
i nie oderwie się już do końca. To widoma, dosko-  
nała, wiernie wcielona zjawa tej muzyki... Nie, z niej

to przed stu laty powstała wizja mistrza, ona była jego muzą — natchnieniem. Pojawia się gdy zabrzmie pierwsza melodia Korjolana, a gdy przegrzmi finał — znika. Jest niewiarogodna, nierealna, to myt kobiety, ach, na ziemi takich niema... Tętni, huczy gniewem, grozą wieje finał uwertury.

Cisza. Grzmot oklasków, ocknienie. Kobieta-bóstwo budzi się z ekstazy, otwiera oczy. Gdy w nie spojrzeł, ciął go przez piersi jak brzytwą rozkoszny ból zachwycenia.

— Dwie minuty, pięć! Zaraz dojdzie... Jednego się tylko boję, panie komendancie. Gyroskopy z ostatniego transportu nie wszystkie pewne... Może zejść z linii...

Szum w uszach wzmagął się, waliło serce. Komendant czuł w sobie dolegliwy ucisk czegoś obcego. Oddech rwał się, pierś pracowała w podrzutach, z przerwami, jak obluźowany motor. Ale mijała senność, wracała potrosze władza myślenia. Co to było przed chwilą? Co mu się przyśniło?

...Korjolan... Ona... I zaraz potem wojna, ta sama, która trwa jeszcze i teraz. Niemożliwe!... Cóż, że niemożliwe — tak jest i już. Tarł sobie czoło, poziewał. — Zatrujęm się. Co oni mi sprzedali? Rito, już jestem ukarany za złamane słowo... Daruj mi i ty...

Nagle podoficer Stuhr wzniósł do góry oba ramiona i, nie odrywając się od peryskopu, załomotał butami po stalowej płycie.

— Jest, panie komendancie, jest! Hurra! Gott strafe England!

#### IV.

Tajny radca profesor Wager opuszczał Berlin w zupełnem zgnębieniu. Nic nie załatwił. Latał od pięciu dni po wiadomych sobie urzędach wojskowych i cywilnych, po komisjach i biurach zupełnie nieoczekiwanych, które wojna spłodziła snąc tylko dlatego, żeby zamienić machinę rządową w nieprzenikniony labirynt i ze sprawy jasnej i prostej uczynić zagadnienie w rodzaju kwadratury koła. Poznał wszechmocnych dygnitarzy, którzy dawali mu swoje potężne poparcie, jako znakomitemu uczonemu, „Twórcy Zwycięstwa“, poznał i mnóstwo lejtenantów i jeszcze więcej feldweblów, cadet-aspirantów, fahnrichów, nawet kaprali i frajtrów, którzy przeczucali go między sobą, jak piłkę od biura do biura. Wysiadywał po poczekalniach, składał podania, zażarzenia, telefonował. Jego upór rozbijał się o pancerz biurokracji wojskowej, która była zbyt złożoną i niejako nazbyt doskonałą, żeby ująć prostotę jego sprawy. Czasami stawiała mu na drodze przeszkodę nie do pokonania w postaci pierwszego lepszego ordynansa, tępego Pomorczyka bez ręki lub Bawara bez nogi, bohaterskich inwalidów, którzy

poprostu nie dopuszczali go do drzwi, za którymi urzędował pan feldwebel, władny przepuścić go dalej i wyżej. Porozrzucał tedy gdzie mógł swoje podania, wylał swą gorycz w kilku pożegnalnych telefonach i pojechał do domu.

Nie miał czasu na obserwacje ani na rozmowy o ogólnym stanie sprawy niemieckiej, ale z tego, co dostrzegał w przelocie między jedną konferencją a drugą, poznał, że w ciągu tych siedmiu miesięcy od jego ostatniego pobytu w stolicy, dokonały się tu zatrważające przemiany. Ulice były zaśmiecone i ponure, oświetlenie skąpe, mnóstwo sklepów pozamykanych, ruch uliczny nikły i nadewszystko jakiś dziwny. Długo nie mógł odkryć na czem to polegało, wreszcie któregoś dnia odgadł — była to zastraszająca przewaga kobiet. Mężczyźni byli na froncie, a półtora miliona Niemców spoczywało na polu chwały, na cmentarzach rozsianych po świecie. Jakże nie miało się to odbić na berlińskiej ulicy?

Z każdego okna każdego domu wyglądała żałoba, w ogromie miasta ziała pustka, przebijała się czyjaś nieobecność. Brak chleba i brak wszystkiego — do tego już przywykł każdy Niemiec, ale przyjezdnego z dalekiej prowincji z nad Renu tu w stolicy przerażała skala tej nędzy. Gdy mu co krok przegradzały drogę nieskończone ogonki przed sklepami, po tysiąc i więcej kobiet, wynędzniałych, obdartych, zsiniałych z zimna w czekaniu od północy na poranną sprzedaż chleba, mąki, kartofli, węgla, nafty, gdy widział wspaniałe halle targowe za-

mknięte na mur, gdy ze swemi kartkami po całych dniach chodził głodny, a nocami ziałł w pierwszorzędnym hotelu, gdzie w każdym numerze wisiały kartki, oznajmiające, że tej zimy centralne ogrzewanie nie będzie czynne... Nigdzie uśmiechu ani żywszej rozmowy. Zgnębienie i tępa obojętność na wszystko. I w Ludwigshafen nie było wesoło, ale życie było jednak możliwe, zakrawało ono na jakieś podobieństwo do dawnych czasów z przed wojny. Tu nastęrczała się myśl, że stan taki nie może potrwać długo, że nadchodzi kres, że w ciągu tej zimy musi przyjść nareszcie upragnione zwycięstwo i niechże się nie opóźnia...

Za to gazety codziennie dostarczały nowych dowodów na to, że zwycięstwo jest bliskie i nieuniknione, i trąbiły zdrowym, oficjalnym optymizmem. Rosja się nie liczy, owszem, zdobędziemy tam niewyczerpany ług i każdy Niemiec będzie się mógł wreszcie najeść... Anglja kapituluje! Statystyka zatopionych statków okrywała mury olbrzymiami cyframi. Rumunja już daje zboże i naftę. Amerykanie? Bluff. Zresztą, gdyby nawet było w tem coś realnego, zajmą się tem po drodze nasze łodzie podwodne.

Łodzie podwodne i nic więcej! Było to czyste zaślepienie. W departamencie chemicznym wręcz mu powiedziano, że Anglja nie dociągnie do nowego roku i koalicja będzie zmuszona prosić o pokój. Wobec tego nie warto już rozpoczynać rozbudowy zakładów w Ludwigshafen, ani w Biebrich, ani w Höchst

na tak kolosalną skalę, co pociągałoby miljonowe koszty i zabrałoby z frontu parę tysięcy robotników. Żółty Krzyż jest bronią uniwersalną, możemy na nim poprzestać do końca, nieprzyjaciel nigdy nie zdoła go w tym czasie wytwarzać na skalę potrzeb frontu.

— Zresztą, panie profesorze, wiemy dobrze, że chemja nie zna granic i gdyby okoliczności nas zmusiły, to przy pańskiej nieocenionej pomocy rzucimy na szalę nowy gaz, straszliwszy jeszcze od tych, które posiadamy. Niech pan pracuje nadal, a sztab ze swojej strony... Co do wyreklamowania z frontu jeszcze pięciu inżynierów i pięćdziesięciu chemików pomocniczych, to jest to drobnostka, którą załatwimy wedle pańskiego żądania. Departament wyda panu profesorowi odnośne zapotrzebowanie i z tym dokumentem uda się pan do Departamentu Ewidencyjnego, idzie o to, by tych panów odszukać, co zabierze trochę czasu. Drobnostka...

W sprawie tej drobnostki profesor pisał już dziesięć razy do Berlina i trzykrotnie posyłał swego zastępcę, a obecnie wybrał się sam i powraca z niczem. Łodzie podwodne i łodzie podwodne — broń chemiczna stała się w sztabie niemodną. Hamują rozwój studjów, skąpią ludzi i środków. Wierzą w jego genjusz odkrywczy. Ale żaden genjusz nie zdoła na jakiś alarm ze sztabu zaimprovizować terminowo olbrzymiej produkcji masowej w swoim laboratorium doświadczalnym... Da Bóg, wojna nie dożyje wiosny, może obejdzie się bez nowych trucizn i bez

pomocy profesora Wagera. Dlaczego nie uwierzyć kierowniczym czynnikom, odpowiedzialnym za bieg wojny? Jeżeli tam u góry są spokojni, dlaczego on ma się dręczyć? Zbytek patryjotyzmu, a właściwie sugestia plotek, które jak zaraza wiszą w powietrzu i przenikają wszędzie, najrozumniejszy człowiek nie zdoła się im opędzić.

Uporczywa plotka niemiecka nie wierzy komunikatom, nie wierzy gazetom, nie wierzy w cesarza, nie wierzy w zwycięstwo, przestała wierzyć w samo bożyszcze narodu — w Ludendorffa. Plotka niemiecka wie wszystko. Zna bezsilną rozpacz cesarza, który już dwukrotnie odbierał sobie życie, zna z imienia i z nazwiska wszystkich zdrajców Parlamentu i jaki żołd pobiera każdy z nich, i który bierze od Anglii, i który od Ameryki, a który zaś od Francji. Zna mnóstwo zakulisowych intryg, zna protokoły najtajniejszych narad, wie co i kiedy mówił cesarz we cztery oczy z admirałem Tirpitzem, z marszałkiem Hindenburgiem, z cesarzem Karolem II, z kanclerzem Kühlmanem. Plotka niemiecka ma własną najściślejszą statystykę, więc trzy miliony poległych, milion jeńców, piętnaście tysięcy samych ślepców, którzy przebywają ukryci i strzeżeni w obozie w Schwarzwaldzie, by nie wywoływać przygnębienia i paniki. Plotka niemiecka ma własną pocztę i własny telegraf bez drutu, rozszerza się błyskawicznie. Bywa fantastyczna do absurdu i wówczas jest rozchwytywana i roznoszona z potrójną gorliwością przez ciemne baby z ogonków

pod sklepami, przez profesorów uniwersytetu, przez członków Reichstagu...

Nie — trzeba ufać rządowi i naczelnemu dowództwu i właściwie profesor ufał. Dlaczego jednak w sprawie wojny chemicznej ustali w pół drogi, teraz właśnie, gdy dzięki żmudnej pracy kilku ludzi-ofiarników, przejętych swem wielkiem zadaniem i — co tu się bawić w skromność — dzięki odkryciom pewnego tajnego radcy otworzyły się nieobliczalne w skutkach perspektywy... Tak, profesor Wager sam jeden podjąłby się wygrać wojnę. Gdyby go dopuszczono do samego pierwszego generał-kwartermistrza, ten człowiek dałby się przekonać. Ale kierownictwo wojny chemicznej spoczywa w rękach tępych biurokratów, ludzi bez wyobraźni.

Dolegało mu, jako człowiekowi nauki, że zahamowano go w rozpędzie twórczym, że nie on, pierwsza powaga w tej dziedzinie, a pan pułkownik, który ukończył tam gdzieś wydział chemiczny jakiejś politechniki, decyduje o przebiegu jego pracy i rozstrzyga los wojny. Zdarzało się, gdy profesor pracował nad barwnikami, że rada nadzorcza zakładów chemicznych „Badische Anilin und Soda“ w Ludwigshafen, złożona z bezmyślnych tłuściochów synekurzystów, odrzucała jego genialne projekty ku szkodzie przemysłu niemieckiego. Ale tam szło o zyski, tu idzie o los Niemiec. Zresztą, jeżeli profesor Wager jest już niepotrzebny, jeżeli wystarczą łodzie podwodne, jeżeli koniec już tak bliski...



W Hannoverze na stacji, jak to było umówione telegraficznie, czekał Niemeyer. Nie widzieli się od wybuchu wojny, a już na parę lat przedtem od śmierci profesorowej stosunki ich obumarły. Profesor wzruszył się, ujrzawszy znędzniałą i postarzałą twarz dziwaka, w której jak żywe przebijały się rysy ukochanej żony i... Kurta... Był dlań usposobiony jaknajlepiej i zamierzał spędzić ten kwadrans czasu na serdecznem pogadaniu o niczem. Kto wie, kiedy się znowu zobaczą? Ale odrazu zaczęło się od kłótni.

— Witam cię, „Twórco Zwycięstwa“!

— Daj spokój, stary... Jak się mają twoje pajaki?

— Dziękuję, zdarzają się i między niemi dziwne bestje, ale nawet Scorpion Narboński nie zasługuje na to, by go porównać z przeciętnym Niemcem, a cóż dopiero z okazem Tirpitz Hecatombicus Wilhelms.

— Daj mu spokój, już go dawno djabli wzięli...

— Ale dzieło jego jest właśnie w najwyższym rozkwicie na wieczystą hańbę Niemiec. Pokolenia miną, zanim ludzkość zapomni nam...

— Ludzkość? Gdzie ta twoja ludzkość? Ten świat obmierzły, który nas blokuje, ogładza i który nam zaprzysiągł zgubę...

— Aha — trzeba było o tem pomyśleć, zanim wleźliście do Belgji, pod..... się owym sławnym „Chiffon de papier“...

— Jeżeli chcesz się koniecznie kłócić, to możemy się zaraz pożegnać...

— Ja się nie kłócę! Mówię prawdę. I gdyby żył twój syn, usłyszałbyś od niego to samo i kto wie, co byś teraz myślał o tem wszystkim. A Kurt siedziałby o tej porze w obozie karnym w Werl, jeżeliby go już dawno nie byli rozstrzelali. Przepadł na marne ten chłopiec genialny, najszlachetniejsze wcielenie rasy Schillera, Beethovena, Mozarta...

— To podłe tak mówić do ojca! Kurt nie zginął marnie! Jego bohaterska śmierć przysłużyła się ojczyźnie! Jego ofiara to część naszego zwycięstwa!

— Akurat. Będziecie wy widzieli zwycięstwo... Zetrą was na proch! I zaprawdę byłaby to zniewaga dla sprawiedliwości dziejowej, gdyby kulturę świata złamał jaskiniowy troglodyta z krzemienną pałą — Ludendorff... Nemezys dokona nad wami swej zemsty na pohańbienie ludzkości! Zresztą wskazują na to wszystkie obiektywne fakty z ostatnich miesięcy i tylko ślepi tego nie widzą... Nadchodzi straszliwy koniec.

— I ty się z tego cieszysz? Czy ty jesteś Niemcem, czy...

— Czy agentem francuskim, chciałeś powiedzieć? Powiedz otwarcie! Mów!

— Nie krzycz, bo ja się ciebie nie ulękę. Jesteś obłąkany, Niemeyer!

— I ja się ciebie nie boję, Wager, choć jesteś

djabło niebezpiecznym furjatem. Twoja wiedza i geniusz twój są na usługach krwawego obłędu... Trużesz i dusisz nieprzyjaciela twojami gazami i sam nie wiesz, że zatruwasz całą ludzkość. I straszliwie zapłacą Niemcy za twoje gazy, gdy na kolana będziemy błagać o pokój...

Zamilkli. Pociąg wciąż jeszcze nie odchodził. Stał i stał ku udręczeniu ich obu. Czekano na transporty wojskowe, które terminowo miały przejść na zachód przed pośpiesznym cywilnym pociągiem. Czekano na pociąg sanitarny, który szedł z frontu i utknął gdzieś po drodze. Szwagrowie w milczeniu palili nędzne wojenne cygara i chodzili tam i z powrotem wzdłuż wagonu.

— Wager, nie chciałem takiej rozmowy. Dawnośmy się nie widzieli, powiem ci, że nieraz już chciałem wybrać się do ciebie, głównie zaś, powiem prawdę, aby zobaczyć Ritę. Popatrzeć na ten cud stworzenia... zadumać się nad niezgłębioną tajemnicą jej oczu... posłuchać jej muzyki... I cóż ona?

— Opanowana, spokojna, jak ongiś matka, ale ja wiem, trzyma się ostatnią resztką sił, wiesz, co to jest w takich czasach mieć męża na morzu...

— Ten wasz baron...

— Dajże mu spokój!

— ...Dostarczyciel tonnażu dla niemieckich gazet... Wiedz i pamiętaj, Wager, zapłacimy za każdą zatopioną tonnę. Praprawnuki nasze jeszcze płacić będą!

— Znowu zaczynasz swoje...

— Przepraszam cię, stary. Widzisz i ja już ledwie znoszę wojnę.

— A pająki?

— Pracuję, owszem, siedzę w tem po uszy... Wydałem świeżo księgę i atlas — owoc dziesięciu lat pracy... Ale i do mojej samotni dosięgła wojna. Nawet ja, stary manjak...

— Cóż, przybyła ci tylko jedna manja więcej, nienawiść do Niemiec, stąd rola Kassandry, którą grasz z takim zapamiętaniem.

— Moja manja? Poza pajakami zawsze miałem jedną tylko manję — to była chluba całego mego życia — cześć dla wielkich idei ludzkości. Wolność! Równość! Braterstwo!... Przeklęte prusactwo...

— Nie krzycz, Niemeyer, żandarmi się nam przyglądają.

Niemeyer urwał. Pluton żandarmerji rozstawiał na peronie placówki. Naczelnik stacji latał i kręcił się, poganiając służbę kolejową.

— Widać wiozą ciężko rannych, czy wiesz, że do takich pociągów nie dopuszczają nikogo? Żeby lud niemiecki, ujrzawszy dzieło wojny, nie opamiętał się i nie zażądał końca tej rzezi.

— Dla Niemca koniec — to zwycięstwo!

— A wiesz jaki będzie nasz koniec? Klęska, jakiej świat nie widział, a potem rewolucja, wobec której katastrofa rosyjska to sielanka!

— I ty na to czekasz?

— Wzdrygam się przed rewolucją! Ale widzę, że ku temu idzie. Staczymy się z fatalizmem. Re-

wolucja zniszczy u nas wiele, ale zniesie ona dy-  
nastję, monarchję wraz z całym prusactwem, za-  
bije bismarkowską pychę, przemoc, cynizm, junkier-  
stwo, urąganie ludzkości... Ona wyłoni nowych lu-  
dzi, mocnych wielką ideą ludzkości, z okopów przyj-  
dą Nowe Niemcy. I gdyby nasz Kurt dożył tej  
godziny, on byłby wodzem odrodzonego narodu...

— Ciszej, ja nie chcę przez ciebie wpaść w głu-  
pią awanturę!

— Dobrze, ciszej. Wiesz, co nas łączyło z two-  
im synem. On był ozdobą mego życia. Spędził  
w moim domu sześć lat — od dziecka do matury.  
Kochałem go jak rodzzonego syna...

Widząc łzy starego człowieka, profesor Wager  
nie mógł się opanować i załkał głucho, odwrócił  
się, przywarł do zimnej ściany wagonu i długo ocie-  
rał sobie oczy. Zły na siebie, zawstydzony i wzru-  
szony, gotów zarówno odepchnąć i sponiewierać  
tego uzurpatora, który rości sobie jakieś prawa do  
jego syna — jak i rzucić mu się w objęcia.

— Nie wstydzmy się, Wager... Nie wstydzmy  
się sami przed sobą... Kochajmy jego pamięć... Przy-  
niosłem tu właśnie... To z mojej strony wielka ofia-  
ra... Ale zwrócisz mi te listy?... Bo — dziwactwo,  
naturalnie — ale tak sobie postanowiłem, żeby mi  
tę paczkę włożono do trumny... Kurt pisywał do  
ciebie z frontu, ale przez pocztę polową. A ja mam  
od niego kilkanaście listów, przesyłanych przez za-  
ufanych kolegów, którzy przybywali na urlop do  
naszego miasta. Listy bez żadnej cenzury! Pisał to,

co widział, co czuł. W tych kartkach sama prawda o wojnie! Czytaj Wager! Czytaj duszą! Poznaj swego syna...

Stary badacz wy dostał nikłą paczuszkę, popatrzał na nią, przycisnął ją do ust i podał ojcu.

— Masz. To są straszne listy. Ostatnie myśli, ostatnie słowa twego wielkiego syna.

Od Berlina nadleciał pociąg. Dwie lokomotywy, szereg olbrzymich białych pulmanów ze złotymi orłami, w oknach oficerowie ze znudzonemi twarzami, w szarych połowych mundurach. W jednym z szerokich okien za szybą przemknęło widziadło starego siwego człowieka, zapatrzone przed siebie bezmyślnym, znękanym spojrzeniem. Żandarmi, żołnierze, służba stacyjna salutowali wyciągnięci jak słupy. Nieliczna publiczność cywilna machała kapeluszami i przebrzmiało nikłe — hoch! Z łoskotem, z żelaznym chrzęstem przeleciał sznur wagonów, znikł...

— To on... Licho go niesie na zachodni front... Nasz Siegfried, Wotan, Parsifal... Wysadzał się na wszystkie role i grał a odgrażał się w szopce niemieckiej przez całe dwadzieścia lat... A gdy przyszedł straszny rok i trzeba było okazać wielkość, być bohaterem i wodzem, uląkł się tego, co sam rozpętał, i odrazu posypały się trociny z nędznej lalki... Jedź, ganiaj po świecie, stary kuglarzu, rychło cię wygwizdzą...

Profesor Wager pojechał z ciężarem w sercu, z najdotkliwszym żalem, wydany na łup bezgranicz-

nemu cierpieniu. Jak mógł go tak strasznie skrzywdzić syn rodzony?... On, który był świętością, zawsze obecną w duszy ojca, nieodżałowany, ileż razy opłakiwany potajmnie w nocy zgryzoty i osierocenia... Zapomniał o swoim domu, o ojcu, o siostrze. Przychodziły zrzadka kartki polowe, nagryzmołone ołówkiem, skąpe słowa pozdrowienia. Czyż żołnierz w polu ma czas na listy?

Ale Kurt znalazł czas, tylko nie dla ojca. Upodobał sobie wuja, jego uczynił powiernikiem swych ostatnich myśli. Zabrał mu syna niepoczytalny manjak, napchany liberalnemi frazesami, pośmiewisko ludzkie, obłąkany wróg potęgi własnego narodu, członek jakiejś loży wolnomularskiej pod zabawnym tytułem „Archimedes zu den drei Ringen“...

— Gdzie moja wina? — pytał się siebie profesor. — Dlaczego utraciłem serce syna? Jak, kiedy odszedł odemnie Kurt? Dlaczego taił się przedemną? Czyż byłem w domu despotą?

Nieszczęsna rozterka z żoną, tragiczna, dziwna i do dziś dnia niewytłumaczona rozbiła dom. Podzielili się, on zatrzymał córkę, a Kurt znalazł się wraz z matką w domu wuja. Gdy zmarła, zabrawszy ze sobą do grobu tajemnicę ich zerwania, a Kurt wrócił do ojca, był on już człowiekiem niemal dojrzałym. Nie dało się już nic odrobić z wpływów wuja. Przeważała krew matki, mocna rasa Niemeyerów, katolickich Saxonów.

Nie była to tylko zazdrość o uczucie, o zaufanie syna. Ktoś się zakradł do tajników jego duszy i ode-

brał mu znienacka, z nieludzkiem okrucieństwem najdroższy skarb, skaził świętość. Nazawsze, do końca zostanie skaza, nic jej nie zatrze. Nie wróci umarły, by można było odzyskać jego serce, naprawić jakiś straszny błąd ojcowski. Nie da Kurt znaku z tamtego świata. Nie uśmiechnie się po swojemu, z urokiem matki w spojrzeniu, nie powie jak to on. — Co tam, ojcze, obaj jesteście morowe, uparte Węgery. Przecież wiesz, stary, że cię kocham...

Gdybyż to było możliwe... A tak zostanie wieczna uraza i jakże z nią żyć?

Porwał go taki żal do zmarłego syna, że gotów był niemal zerwać z nim, wyrzucić go z pamięci i tak już zostać do końca. Ma jeszcze córkę... Ale cały gniew natychmiast odbił się od postaci Kurta i rzucił się na istotnego sprawcę zbrodni. Ten stary błazen jest obmierzłym intrygantem i perfidnym złoczyńcą. Czyż nie mógł utaić listów, gdy je już miał? Zwłóczył przez całe trzy lata, knuł swój spisek, a teraz z obłudnemi łzami cisnął mu znienacka tę paczkę jak minę pod nogi, wysadził w powietrze, rozerwał na strzępy współzawodnika i wroga, zabił w nim ojca... Cóż za podlec!...

Już przejechał kilka stacyj, a wciąż jeszcze trzymał w ręku paczkę listów tak, jak mu ją podał Niemeyer. Nie odważy się nigdy otworzyć tej wielkiej koperty z żalobnym szlakiem. Manjak wykalił grafował coś na całej przedniej stronie ozdobnym gotykiem, zapewne jakieś głupie sentencje...

Drżały mu ręce, obracające bezradnie koper-



tę. Czegożby nie dał, byleby nie wiedzieć o niej... Już stracony cały spokój jego ostatnich lat, od dzisiaj będzie go prześladował upiór syna, żywy w tych listach. Codzień będzie się wahał i dręczył, koperta będzie trwożyć, będzie kusić. Czy nie lepiej zaraz po przyjeździe do domu cisnąć ją do pieca — niech zginie i zczeźnie to, co go oddała od Kurta. Tak będzie lżej...

Ale już jąrzyła bolesna, niespokojna ciekawość. Usłyszeć znowu żywy głos zmarłego... Mniejsza o to, co pisał i do kogo, są to jego ostatnie przeżycia, opowieść z za grobu. Będzie to jak gdyby ożył na chwilę, odnowi się zablizniona rana pamięci i jeszcze raz trzeba się będzie odrywać od niego i po raz drugi trzeba go będzie żegnać... Rita nie ma wiedzieć o niczem. Jej dusza odziwniała jeszcze bardziej w ciągu ostatniego roku, na umyśle jej ciąży jakaś tajemnica, coraz rzadziej przemówi słowo, jej spojrzenie zdaje się nie widzieć tego świata, zatopione kędyś w niewiadomej dali.

Ostrożnie z Ritą, ach ostrożnie... Może zwolnią nareszcie Tebbena z bojowej służby na morzu, wszak i on dociąga resztkami nerwów... Przy nim odżyje Rita, ale jeżeli, nie daj Boże, i jemu sądzono spojrzeć gdzieś na dnie morskiej przepaści...

— A ja panu mówię, że opuściliśmy wszystkie możliwe sposobności do wygrania wojny! Nie mamy żadnej szansy, od trzech lat oglądaliśmy się na Amerykę, zaplątaliśmy się w notach, tymczasem Wilson,

ten najchytrzejszy wróg Niemiec, nabrał nas ha-  
niebnie, wytrącił nam z rąk jedyny groźny oręż,  
który w swoim czasie, przed dwoma laty, mógł być  
przeważyc szalę. Teraz zapóźno. Na wiosnę Ameryka  
runie na nas, wyczerpanych, ogłodzonych...

— Zaraz. Patrzmy na to, co mówią cyfry. Zato-  
piliśmy od lutego, od dnia rozpoczęcia wojny pod-  
wodnej bez zastrzeżeń...

— Tak, tak! A ile naszych łodzi zginęło? A ile  
setek tysięcy tonn dołgano dla podtrzymania ducha?

— Anglja nie wytrzyma do Nowego Roku...

— Gott strafe England! Miljony niemieckich  
jołopów pozdrawiają się codzień temi słowy za-  
miast „Dzień dobry“ i myślą, że od tego zginie  
Anglja!

— Gott strafe England — zaskrzeczał czyjś  
głos przenikliwy i ochryply z zapchanego koryta-  
rza — Und Peru, und Panama mit Paraguay, Gott  
strafe das ganze Briefmarkenalbum! Hi-hi-hi!

— Czas nareszcie spojrzeć w oczy prawdzie...  
Cały świat idzie przeciwko nam.

— A tośmy się ubrali!

Przedział był natłoczony jak zazwyczaj w tych  
czasach, w rzadkich cywilnych pociągach. Gadanie,  
spory o wojnie, złowrogie wróżby i jeszcze głup-  
sze odgrażanie się i znowu plotki... Jakie to niemiło-  
siernie nudne! Profesor, nie zważając na gadaninę,  
spozstrzegł jednak, że do niedawna jeszcze byłoby  
nie do pomyślenia, żeby pozwolono sobie wyplatać  
takie herezje w wagonie, wobec ludzi nieznanym,

tak swobodnie, bez żadnej obawy. Myślał przez chwilę, czy wypada mu słuchać biernie podobnej rozmowy. Powaga jego imienia i stanowiska nakazywała mu zgromić surowo podobną głupotę i małoduszność. Powinien był pouczyć nędzną hołotę ludzką, podnieść ją na duchu. Ogromnie mu się nie chciało w to wdawać... Ma im prawić kazanie? Powtarzać za gazetami górnolotne codzienne frazesy o niemieckim mieczu, o niemieckim twardym pokoju, zalecać genialność wodzów, męstwo żołnierzy, mądrość panów ministrów?

— Gada się, naprzykład, Gott mit uns...

— Każdy Niemiec ma to wyryte w duszy!

— I co z tego? Niechże mi kto powie nareszcie z łaski swojej, co to znaczy?

— To znaczy...

— Każdy żołnierz ma to wyryte na klamrze od pasa!

— A wiecie jak mówią żołnierze między sobą? Bóg jest z nami, ale zato już nikogusieńko więcej na całym świecie!

— Ha-ha-ha...

— Dobry witz...

Profesor słuchał i nie wrywał się z kazaniem. Podupadł na duchu. Czy to sprawił Berlin, czy go przekonał szwagier? Czy to przelotny nastrój, czy też i na jego mocną duszę niemiecką przyszedł czas, i jego tknęła zaraza zwątpienia?

## V.

Baronowa Rita von Tebben-Gerth snuła się po wielkim domu ojcowskim od okna do okna i przystawała co chwila, patrząc na zachód słońca. Zawsze, od dziecka misterjum zachodu przykuwało ją do siebie swoją tajemniczością. W tej godzinie przejmowała ją trwoga, stwarzało się w niej pojęcie o jakowymś końcu wszystkiego. Gdy wielka, purpurowa tarcza dotykała linii horyzontu i zanikała szybko, ginąc w oczach, przejmował ją zarazem ból i zachwyty. Umierał dzień, odchodził na zawsze wraz ze wszystkim, co przyniósł był w godzinach swoich od rana, odchodziły myśli, zdarzenia. Nie powtórzą się nigdy, zabrał je czas, to ogromne cmentarzysko przeszłości, kędy każdy żyjący człowiek składa codzien ze siebie cząstkę za cząstką, zanim sam któregoś dnia nie odejdzie cały. Żałowała dnia, starała się zatrzymać i zapamiętać każdą swoją myśl, najdrobniejsze wydarzenie domowe, swoje przelotne nastroje i beztreściwe zadumy, melodie, które usiłowała odtworzyć tego dnia, te własne, nieuchwytnie, szepczące w jej duszy. I swoje wszystkie niepokoje, i lzy, i wizje, których może być

jeszcze nieskończona mnogość, ale tamte, dzisiejsze nie powtórzą się wszak nigdy...

Smutek codzienny, znajomy. Nigdy nie mogła go opanować, bo chwycił ją podstępnie, zawsze niespodziany. Znikał w dnie pochmurne, wówczas stwarzały się niepewne, fantastyczne szare godziny, dzień odchodził niepostrzeżenie. Ale gdy wielkie pokoje willi „Zyglinda“ zapełniały się kosemi smugami czerwonego blasku, odczuwał się niechybnie urok złowrogi, dręczył i upajał.

Poprzez czarne nagie konary dalekich drzew przegląda jeszcze ostatni skrawek rozżarzonego słońca i żal w duszy przeobraził się nagle w napad strachu. Rita odskoczyła od okna i pędem przelatując pokoje, ślizgając się na zakrętach na posadzce hallu, pobiegła na górę po dwa schody na raz. Minęła pierwsze piętro, potknęła się na fałdzie dywanu, przewróciła się, zerwała się i skoczyła na kręcone schody, prowadzące do tak zwanej rotundy na szczycie baszty.

Goniła słońce. Ale gdy zdyszana stanęła w oknie, nie było już słońca. Obłoki, które czekały tej chwili, rozpoczęły symfonię zachodu. Zapalały się łagodnie, niedostrzegalnie. Rozpościerały się zjawy powiewne i ciskały na siebie nawzajem rzutami barw, mieniły się, gasły i odradzały się, igrały na niebie. Błąkały się wśród nich strzępy melodji, utkanej z westchnień zachwytu i smutku. Rita pograżyła się w zamyśleniu nad jakąś sprawą niewiadomą. Szukała jej w mozole dumania, w tęsknocie rozją-

trzonego marzenia i natrafiała wciąż na przeszkody, które myliły jej drogę.

Niepotrzebnie wdała się we wspomnienia odległych czasów jakiegoś lata, spędzonego w lasach Turyngji... Było tam zielone jeziorko leśne, w którym kąpała się przed zachodem słońca. Przypomnił się zapach mułu i starych kłód, gnijących na dnie, i przenikliwy, cichy szelest trzciny nadbrzeżnych, i tajemnicze głosy ptactwa wodnego, i rozkoszne aż do zawstydzenia cielesne wrażenie ogrzanej wody. Jakże wówczas była szczęśliwą!

Nie, to zupełnie nie to... Nieraz bywała szczęśliwą pustym szczęściem bez żadnej treści. Takiego szczęścia nie warto wspominać. Otrząsnęła się, żeby zapomnieć o leśnym jeziorku i o innych głupstwach, które pchały się do głowy. Niebo na zachodzie pociemniało, przejęło ją zimno w nieopalanej rotundzie, a wraz z dreszczem zimna zakradł się strach. Czowała go w pobliżu, pełzał jak gad wśród cieniów zmierzchu w pustej okrągłej izbie. Uciekła przed nim jak przerażone dziecko.

Dopadła pierwszego piętra i przebiegała pokój, odkręcając wszędzie światło. Szybko zapuszczała story w oknach. Rozejrzała się po salonie, poprawiła szkic Böcklina, przekrzywiony przy sprzątnięciu, przestawiła kilka doniczek na oknach i zasiadła do roboty w swoim zacisznym gabinecie. Tę serwetę o nieokreślonym przeznaczeniu haftowała od trzech lat. Gruby srebrzysto-biały adamaszek już się przybrukał w robocie, ale wciąż jeszcze siedzia-

ła w jedynym rozpoczętym narożniku, któremu daleko jeszcze było do końca. Przerzucała w skrzynecze motki jedwabiu, długo nawlekała igłę i dziubnęła nią parę razy w pysznie zarysowaną ciemnopurpurową różę, której część już uwypuklała się wspaniale na połyskliwym tle tkaniny. Jakże od dawna nie mogła odejść od tej róży...

Ongiś zaczynała tę robotę z tajemną myślą, że gdy ją ukończy — skończy się wojna. Śmieszny zamiar pochłonał ją całkowicie na parę tygodni i wówczas to powstało dookoła obrzeżenie z poprzepłatanych gałązek z kolcami, same kwiaty odkładała na później. Od tej pory w ciągu trzech lat nie mogła rozkwitnąć w pełni nawet ta jedna jedyna róża — jak gdyby wojnie sądzonem było trwać jeszcze długie, długie lata.

I teraz utknęła już po paru chwilach. Zaczęła nadśłuchiwać. W całym domu panowała cisza i to ją drażniło niewymownie, w takiej ciszy zjawiały się zazwyczaj złe głosy, bywało ich całe mnóstwo. Najgorszy był głos morza, rytmiczne, ciężkie westchnienie przypływu. Od małego dziecka nie mogła tego znosić. Bezgraniczny przestwór morza zawsze zdejmował ją strachem, ale ten niemilknący, uporczywy jego odzew pogrążał ją zawsze w ciężkim zgnębieniu. Zawstydzano ją, upominano, przymuszano, wzywano do niej lekarzy, wreszcie, gdy w piętnastym roku życia w Nordawey, w piękną letnią noc nawiedził ją pierwszy atak nerwowy, rodzice dali za wygraną i odtąd Rita nie widziała już morza.

Zjawiało się czasami straszyć ją we śnie, a w ostatnich latach odbywało się chwilami na jawie na tle ciszy wieczornej. Ale dość było szmeru, słowa ludzkiego, turkotu wozu za oknem, by spłoszyć zły głos. Teraz, opędzając się od morza, odruchowo, nie wybierając, zanuciła prastarą, głupią i tajemniczą piosenkę szwabską, którą śpiewała jej niegdyś piastunka:

Ćwir, ćwir, świerszczyku,  
Twój tatuśko na wojnie —  
Ćwir, ćwir...

A mamuśka na Pomorzu  
A Pomorze, a Pomorze  
Właśnie się spaliło —  
Ćwir, ćwir...

Rozrzewnił ją biedny świerszczyk, jak dawniej, gdy była malutką — nikogo nie miał na świecie, bo ojciec poszedł na wojnę — nawet nie wiedziała wtedy co to wojna — a matka zgorzała razem z całym ogromnym krajem... I ćwierka smutno, skarży się za piecem biedna sierotka. Chciała powtórzyć zwrotkę, ale głos jej się załamał w dręczącym rozżaleniu nad świerszczykiem. Postanowiła pracować nad różą przez całą godzinę, nie, będzie nad nią siedziała do dziewiątej, dopóki nie wróci ojciec, trzebaż się czemś zaprzętnąć. Haftowała zapamiętałe w ciągu paru minut, ale niebawem wśród ciszy zaczęły się kształtować jakieś podejrzane szmery. Opędzała się od nich potrząsając głową, ale



chwilowo odpędzone powracały i szemrały, układając się w znajomy rozwleczoney rytm.

Przekłete morze! Nie darmo bała go się od dziecka. Przeczuwała już wówczas, co ją czeka... Litości, potężne, złe morze! Oszczędź mnie, nie gub jego, który jest teraz na twojej łasce... Jakiej daniny, jakiej ofiary żadasz, ty nienasycone?

Potężnie zawrzało hukiem i gromem, i wściekłym zamętem. Odpowiedziało jej morze urągowskiem, zalewem szyderczego śmiechu, ślepą nieprzebłąganą siłą, odtrącało ją precz i szalało nad nią orgją straszliwych swoich głosów. Wśród ryku zwichrzonych fal przebijały się głucho potężne wybuchy, wycie pocisków...

...Przenikliwy zgrzyt żelaza — to rozpędzony torpedowiec-niszczyciel najeżdża na wątłą łódź i roztrąca ją swoim taranem... Cudem znikła mu z drogi, graży się, opada na dno, ponad nią tuż przeleci grobowy jęk śrub wroga, a dalej wałą i grzmią bez końca potwornej mocy granaty, wybuchając w głębinie...

Długo nad tem miejscem krąży nieprzyjaciel i nie odchodzi, pilnuje zdobyczy, idzie za jej śladem, gdy uszkodzona łódź, rażona podwodnym wybuchem, próbuje pełznąć resztą sił i wymknąć się wrogowi. Idzie za nią oleisty ślad wyciekającego paliwa — widzi to wróg — już mu nie ujdzie... Żyje ostatnią resztką siły, jeszcze się wlecze i mija wciąż ukryte, zawieszony w głębi miny, omija je cudem, jeszcze i jeszcze raz, aż któraś wreszcie potrącona

rozszczepi, rozniesie w drzazgi nieszczęsną Łódź... Nie, za łaską Boga ominęła je wszystkie, zapada noc, zdradziecki ślad przestanie prowadzić wroga. Ocalona Łódź doczeka dnia i dowlecze się do swego portu...

Gdy nagle coś ją zahamuje, coś ją ogarnie miękkim, potężnym uściskiem. Już związana jej żywa siła, oplecione śruby, stery... Ani naprzód, ani wtył. Ani się pogrążyć ani wypłynąć... Straszliwe widmo głębin, prężna, nieustępliwa, stalowa sieć-ośmiornica trzyma swą zdobycz i nie puszcza. Nie wypuści jej nigdy.

Szumi morze, wzbiera fala, szerokim płaszczem zalewa wybrzeże, cofa się i znów dźwiga się potężny wał i powraca, naciera w szelestach, w poświstach, w jękach, w ślepym zajadłym gniewie. Dziś nienajmniej sposobu ukryć się przed groźbą morza. Dzisiaj przebijają się wycie fal przez wszystkie głosy i dźwięki świata. Nie zagłuszy go łomot pociągu, przechodzącego przez most na Renie, ani syrena parowca na rzece, ani ostry warkot samochodów ciężarowych, które przechodzą pod samymi oknami drogą od portu. Głowa pełna okropnej wrzawy...

Rita rzuciła robotę, zerwała się i stała przez chwilę, walcząc ze strachem. Za tym razem był on nowy, zupełnie inny, niż kiedykolwiek. Dzisiaj już nie da rady. Czyż poniży się i zadzwoni na pokojową? Czy ucieknie z domu i polecą do Noodtów, do Streindorffów na okropne nudy, czy do Furbrigerów, do domu smutku i żałoby, czy wreszcie do

szalonej kobiety, Greta von Senden? Ojczy, ojczy, dlaczego ciebie niema przy mnie w złej godzinie?...

Rita umiała się trzymać na wodzy, w ciągu trzech lat wynalazła i wyrobiła w sobie i opanowała przeróżne sposoby na tę zmołę swego żywota, na lęk o męża. Była dumna ze swej siły, umiała zawsze poskromić się i taić mękę nawet przed ojcem, nawet przed mężem, gdy spędzał z nią dni urlopu, nawet w najgorszej chwili pożegnania, gdy wyruszał z powrotem na morze. Była jego odpocznieniem i siłą, ona go pokrzepiała w chwilach upadku ducha, słuchała bez drżenia jego straszliwych opowieści i tych najwstydlivszych, najtajniejszych wyznań dzielnego człowieka, którego zmogła wojna... Ona z uśmiechem niezawodnej wróżbiarki twierdziła zawsze, że minie wojna, a on wróci do niej żywy i cały i zacząną nowe życie... Teraz wymykała się samej sobie, snać nadszedł i dla niej kres opamiętania i woli, snać stargały się już w walce nerwy. Albo też...

-- Nie! Nie! Ja nie chcę! Nie!!

Dziko przebrzmiał jej krzyk w zacisznym gabinecie. Nie poznała własnego głosu, był jakiś cudzy, okropny. Wydarł się z niej przemocą... Przeraziła się — tego jeszcze nie było.

Nie śmiała spojrzeć na portret Fell'a, odwracając oczy od tej ściany, chyłkiem wymknęła się z pokoju. Zeszła na dół i długo chodziła po cichych dywanach ogromnego pustego ojcowskiego salonu. Był on urządzony ze staroświeckim zbytkiem, nie

ogładającym się na żadną modę, ciężkie meble, ciężkie kotary, rozległe grubo złożone ramy obrazów i lusterek, dwa ogromne kominy, obłożone bogato błękitno-czarnym marmurem, rzeźbionym w wymyślne barokowe reliefy. Starodawny kryształowy pająk, szeroko rozpięty u pułapu, lśnił w zmroku lodowatym połyskiem. Było tu posępnie i przeraźliwie cicho. Od ogromnych okien padała ostatnia poświata zmierzchu, tam gdzieś w dali zachodu leżało jeszcze pasmo mętnej czerwieni, migotała pierwsza gwiazda. Rita ulękła się ciszy, szybko podbiegła do ściany i czterokrotnie przekreśliła kontakt. Pod nagłym zalewem blasku salon rozstał się we wszystkie strony i okazał swój wspaniały obszar. Wykwitły po bokach zwierciadeł światła kinkietów, zapaliły się świeczniki na kominach. Wielki żyrandol mienił się i grał tęczowymi barwami w tysiącach kryształowych szkiełek. Znikły strachy zmierzchu, pustki i ciszy.

Od małego dziecka nigdy nie pamiętała Rita, żeby w tym salonie choć raz jeden odbył się bal, żeby ta przestrzeń zapełniła się wystrojonymi gośćmi. Zawsze stał pustką, zapomniany w tym domu i niepotrzebny. Zakradała się tu czasami przez szereg ciemnych pokojów, w strachu i zgrozie i wiedząc, że to nie wolno, zapalała wszystkie światła. Siadała na purpurowej kanapie, przymykała oczy, i patrzyła na świetny bal. W oczach się ćmiło od ruchliwej masy ludzi, od różnobarwnych strojów, odurzała wrzawa mnóstwa głosów, lśniły się klej-

noty, ordery, wspaniałe mundury. Czerwoni lokaje roznosili na tacach wino i ogromne torty. Nagle tłum gości rozstępował się, ustawiał się po obu stronach i czekał w skupieniu patrząc ku drzwiom — ani słowa, ani szmeru — wszyscy patrzą ku drzwiom i mała Rita patrzy, a serduszko jej zamiera z ciekawości...

Czasami na tę chwilę wpadał Kurt i fikał koziołki po dywanach, wówczas cały bal znikał. Czasami ukazywał się w majestacie sam cesarz ze swi-  
tą generałów i wówczas orkiestra uderzała poloneza, tłum gości ustawiał się w pary, a cesarz na przedzie wiodąc — kogo? Mamę! Tak wypada, wszak ona jest gospodynią, to ona przyjmuje cesarza w swoim domu...

Czasami we drzwiach stawała skromna dziewczyneczka, ubożuchno ubrana, zawstydzona i najśliczniejsza ze wszystkich, kochaneczka jedyna — Kopciuszek z bajki... Teraz nic jej się nie ukáže, jakże dawno przestała być dzieckiem... Zasiadła jednak na czerwonej kanapie, w tym samym prawym kącie, przymknęła oczy.

Blask światel przesączał się przez jej rzęsy, wewnątrz salonu zadrgało. Naprzód poruszyły się zasłony na oknach, wyduły się jak żagle, potem zachybotały się lustra — tak samo zaczynało się wówczas. Na ogromnym obrazie Kaulbacha, który był chlubą ich domu i całego miasta i przedstawiał jakąś uroczystość na dworze Karola Wielkiego, wszczął się ruch i zamęt jaskrawych płam barwnych. Trwało

to długo, wreszcie jeden z rycerzy, ten w długim powłóczystym zielonym płaszczu aksamitnym, który zawsze stał za tronem królewskim wsparty na mieczu, przekroczył złotą ramę i wyszedł na środek salonu. Za nim wykradł się śliczny biały chart, który na obrazie leżał tuż nad dolną ramą u stóp królewskich z głową opartą na łapach i patrzył uważnie i tak rozumnie na każdego, kto stanął przed obrazem. Straszne i ciekawe! Co oni będą tu robili?

Baronowa von Tebben-Gerth za sprawą dobrej wróżki, która usłyszała jej pragnienie, stała się zpowrotem małą dziewczynką. Cóż za radość! Jak piękne jest wszystko! Wszędzie tajemnice, baśni i niema rzeczy niemożliwych. Cokolwiek zachcieć lub bodaj pomyśleć zaraz się staje.

...Chart Karola Wielkiego już ją dostrzegł, choć schowała się pod stół i patrzyła ukradkiem z pod aksamitnej serwety z frendzlami do samej ziemi. Rycerz nic nie widzi i z upodobaniem przegląda się w lustrze, ale chart psiem czuciem wie nawet, co ona sobie myśli. Patrzy na nią, przekrzywiwszy głowę z nastawionymi uszami, podchodzi, obwąchuje ją i przyjaźnie merda ogonem. Kochany pies — wyciągnęła rękę, żeby go pogłaskać, ale chart odskoczył, przypadł do ziemi i szczerknął wesoło. Zrozumiała, o co tu idzie — on chce się bawić. I ona aż się wydzierała do zabawy, latać, gonić się z chartem, wskakiwać na fotele, chować się przed nim, uciekać, ach, tyle miejsca w salonie...

Ale co robić z rycerzem? I rycerz śnać się domyślił, że im przeszkadza, bo odrazu stanowczym krokiem rusza ku drzwiom, wlokąc za sobą po ziemi zieloną pelerynę. Cóż to będzie, gdy się ukaże w jadalnym pokoju, gdzie właśnie nakrywają do wieczerzy? Co na to powie Hans? Co powie Margareta? Nic nie powiedzą, bo nie zobaczą żadnego rycerza, takie rzeczy nie dla nich. Nikt w domu się na tem nie zna — jedna ona, mała Rita.

Ale miły chart już się gdzieś podział... W salonie zmroczyło się, Wszystkie żarówki naraz zczernieniały i ledwie, ledwie znaczyły się jakąś przykrą konającą poświatą. Trwało to dość długo i sprowadziło nieprzewyciężoną senność. Gdy się ocknęła w jednym z lusterek między oknami ujrzała odbicie ognia na kominie i jakąś osobę siedzącą na taborecie i zapatrzoną w płomień. Obok stał drugi taboret. Nie odrazu poznała kto to siedzi, gdyż wciąż jeszcze była małą Ritą i takiej osoby nie było wówczas. Musiałoby minąć kilkanaście lat, żeby wiedzieć kto to jest.

Gdy się to stało, poznała Kurta. Siedział w potarganym, obłoconym mundurze polowym i grzał sobie ręce. Zmarły brat nigdy jeszcze jej się nie zjawił. Ze zgrozą zapatrzyła się w lustro, nie śmiąc obrócić się i spojrzeć na prawo, gdzie był komin. Kurt był obrośnięty, zaniedbany, ze zwichrzonymi włosami, nigdy go takim nie widziała. Strach zjawiał się i mijał — dlaczego by się miała bać? Wszak to jej brat rodzony... Patrzała chciwie, ale

zupełnie nie wiedziała, co z nim począć, czy można odezwać się do niego? Podejść? Gdy się tak biedziła, na tle ognia ukazała się nowa postać. Była cała czarna z czerwonymi połyskami od płomienia na skórzanej kurtce. Człowiek ten był cały zlany wodą i świecił się w ogniu. Wsparł się o marmur komina i dopiero Kurt podniósł ku niemu głowę. Długo patrzyli na siebie, a serce Rity kurczyło się i kurczyło, jakby ktoś zaciskał je coraz mocniej. Wreszcie Kurt uczynił ręką ruch jakby zapraszający. Człowiek w skórzanej kurtce wystąpił, stanął na chwilę w pełnym świetle płomienia i usiadł ciężko na taborecie przed ogniem. W przelocie dostrzegła jego czoło, jego oczy...

— Fell... To ty?...

Wargi jej drgały, szeptały bezdźwięcznie. Skończyło się widowisko małej Rity. Przyszło niewołane widmo prawdy, która się oto spełniła gdzieś daleko w przestrzeni świata, w przepaści morza.



## VI.

Wreszcie, załatwiwszy się ze wszystkim co do niego należało, baron von Tebben-Gerth zamknął się w swojej kajucie i postanowił nie wychodzić już do końca. Dopiero gdy rzucił się na poście, odczuł jak straszliwie jest wyczerpany. Bezwład spętał mu ręce i nogi, ciężar ciała stał się niezmierzony. Znużenie odebrało mu zdolność myślenia i odczuwania. Martwy, zupełny spokój. Pamiętał wszystko, co było i wiedział, co będzie dalej, ale już nie zaprzętał się tem całkiem. Nie on sam, ale jakby ktoś za niego powtarzał w kółko jedno i to samo, napastował go szybkimi urwanemi myślami, które odzywały się raz wraz, cicho a wyraźnie, wraz z sekundnikiem chronometru. — Przecie to śmierć!!! Koniec — śmierć. Koniec — śmierć. Koniec — śmierć...

I cóż z tego, że śmierć? Niech będzie śmierć. Ogarnęła go rozkoszna nicość i doskonała pustka. Cały świat był już poza nim i oddalał się coraz bardziej. Kula ziemską strząsnęła go ze siebie i potoczyła się swojemi drogami w bezmiar międzypla-

netarnej przestrzeni. Widział ją w postaci ogromnego księżycyca w pełni, na którym rysowała się mapa ziemi. Glob obracał się w biegu, ukazując po kolei znajome lądy i morza. Przewijał się i szmat jego ojczyzny niemieckiej, dla której zginął. Uspokajało go to, że świat i ludzkość zostanie po nim tak jak była i że trwać to będzie jutro i pojutrze i przez całą wieczność. Było to zupełnie nowe odkrycie a w niem jakby otucha. Czyż i tak nie umarłby za jakieś lat trzydzieści? Ale wielki naród niemiecki zostanie i będzie się odradzał z pokolenia w pokolenie. A to jest jedynie ważne.

Śmierci się nie lękał, nawet jej pragnął. Oddawna to przypuszczał, ale teraz dopiero wiedział niezbicie, że choćby wyszedł cało z tej wojny, nie mógłby za nic żyć spokojnie, po ludzku. Wojna strawiła wszystkie jego żywe siły. Łudzi się Rita, gdy twierdzi, że czeka ich szczęście. Niezdolni są do szczęścia. Ani ona, ani on. Nie widział już sensu ani celu tego szczęścia. Nie rozumiał uroku pokoju i spokoju, jak gdyby cały świat i on sam powstali w toku wojny i stworzeni byli tylko dla wojny. Kiedyś, bardzo dawno, w początkach swego morderczego powołania, a i potem przez całe trzy lata myślał inaczej — oto wojna się skończy i ci, co ocaleją, wrócą do domów i życie narodów naturalną koleją rzeczy nawiąże się do tego, co było przed wojną — wszystko było jasne i proste. Tak sądził dzisiaj jeszcze, a nawet nie dalej jak przed godziną, gdy przypuszczał, że jest jeszcze cień ra-

tunku. Dopiero w obliczu końca zrozumiał rację swego istnienia na ziemi.

Jakże mogło być inaczej? Ku temu wszystko szło z nieubłagalną logiką, ale ta prawda odkrywa się żołnierzowi dopiero w godzinie konania, bo inaczej nie miałby w sobie tej ślepej irracjonalnej siły, która daje mu zdolność do walki i do przetrwania. Taki już porządek rzeczy. Mimo całej metafizyki zagadnienia i wszystkiego, co na ten temat możnaby przemyśleć — jest to niczem innym, jak dalszym ciągiem regulaminu służbowego dla armji i floty.

Nie było tylko co zrobić z czasem, który dzielił go od końca. Nic nie trzeba robić, zasnąć jeżeli będzie można, a przedewszystkiem o niczem nie myśleć. Sen zbliżał się, nadchodził, ale wnet się rozpraszał. Powtarzało się to w pewnych odstępach czasu co jakie pół minuty. W przerwach przewijało się coś leniwie, zaczynało się i przygasało.

Ileż to razy wyobrażał sobie jak to będzie, gdy nie zginie dobrą, piorunującą śmiercią, a będzie musiał czekać na nią na dnie przez długie godziny, może w ciągu kilku dni, jeżeli statek nie będzie poważnie uszkodzony, nie zacznie puszczać wody, która pokolei zrywać będzie stalowe przegrody komór, aż wytopi wszystkich. Nastręczał się przedewszystkiem kłopot z załogą, obowiązek utrzymania do końca dyscypliny moralnej, spokoju... Czytanie biblij... Kazanie o ojczyźnie... Ostatnie „hoch!“ za cesarza...

Ale nie wyobrażał sobie przenigdy, żeby to było tak zwyczajnie proste. Z załogą już sobie poradził, mają odpoczywać dwie godziny, poczem znów rozpoczną się prace nad wyplątaniem się z sieci, a ze sobą samym poradził sobie również. Nie przychodził mu na myśl jakiś byt przyszły, ani niebo, czy sąd boski, czy coś jeszcze z pozaświatowych wzniosłości, nigdy go to nie zaprzątało i teraz również. Stępał i właściwie nic go nie obchodziło. Rita? Zdawała mu się chwilami prostem przywidzeniem, o tej porze nie było w niej nic realnego. Czy możliwe, żeby przebywała teraz w domu u ojca w Ludwigshafen? Siedzi przy fortepianie? Co też gra?...

I niewysłowiony, przemądry motyw fugi Bacha wypełnił kabinę swoją rozkoszą i świętością. Dźwięk pełny, głęboki, śpiewny spowijał się w przedziwną tajemniczość we frazowaniu, przemawiał chwilami ludzkim głosem i układał się niemal w żywe słowa... Tak mogły przetwarzać Bacha jedne jedyne na świecie czarodziejskie ręce Rity. Chwyciło go za gardło, zdławiło go boleśnie, odebrało mu dech w piersi wzruszenie serca, to niedopuszczalne, które tu żadną miarą nie mogło mieć miejsca. Jeżeli go nie zniszczy w sobie, nie odejdzie godną śmiercią. Nie dokona tego, co powinien jako oficer niemiecki, a zabraknie mu na to sił. Dopuszcza rozpacz, dopuszcza do siebie obłąd marnego beznadziejnego wysiłku, aby ratować się, gdy niema cienia ratunku. Swoją rozpaczą zarazi innych i nędznie zginą wszy-

szy jutro, pojutrze a choćby za tydzień, gdy zabraknie w zbiornikach powietrza, wyduszeni jak szczury...

— Odejdź Rito! Już cię pożegnałem. Pozwól mi spełnić do końca mój obowiązek...

...W czarnej pomroce błyskawica — raz — dwa, trzy — cztery, pięć, sześć, siedem! „Idziemy na raketę“... Była jeszcze nadzieja! To tylko głupi sen! Ale straszliwie wyraźny... Bywało już podobnie... Trzeba się obudzić...

Przez opętanie snu czuje, nawet wie, że pomimo uszkodzeń, pomimo siedmiu trafionych granatów, wy dostał się z sieci, zdołał wynurzyć się, przemknął się po nocy między torpedowcami i szczęśliwie dobrnął... Śpi w swoim domu, dość sięgnąć ręką, żeby dotknąć Rity... Nie ma władzy w rękę, wysiła się, żeby zawołać, bodaj jęknąć — Rita go natychmiast obudzi, utuli, uspokoi...

...Ostre parokrotne szczęknięcie czemś żelaznem o stalowe drzwi wyrwało go ze snu o śnie.

— Ale też śpisz... Niedobrze to zamykać się samemu w takiej godzinie.

— Cóż znów za godzina?

— No, Fell — między nami... Jabym nie czekał dłużej. Teraz najlepiej, prawie wszyscy śpią...

— Co u diabła? Czego ty odemnie chcesz?

— Nikt prócz nas dwóch nie zna prawdy. Kroll prawie że nie wierzy, ale owszem, gotów próbować. A reszta tak pomordowana, że cokolwiek so-

bie który o tem myśli, narazie śpią pokotem i już. Na co czekać?

-- Nie bądźno ty zanadto mądry...

— Nie czas na komedje, trzeba skończyć po ludzku! Wyniosłem ukradkiem ze składu i mam u siebie w kabinie siedem ćwierćkilówek. Trochę mało?

-- Na jednego głupiego wystarczy. Wal! Aleby było idjotyczne, Fred, gdybym cię miał w takich okolicznościach aresztować.

-- Dobry kawał! Łyknij no mojej herbatki i pogadamy.

Fred odkręcił swój nieodstępny termos i nalał pełny kubek.

— Prosi! Tylko ostrożnie, bo gorące.

Nie było zanadto gorące i nie była to całkiem herbata. Komendant pił drobnemi łykami czysty rum grzany z korzeniami i smakowało mu to bardzo. Wypił do dna.

— Daj jeszcze...

--- Widzisz, przez całe życie brzydziłeś się pićciem i pod tym jednym względem nie byłeś dobrym marynarzem. Dobrze, żeś się poprawił, lepiej zapóźno niż nigdy... No, stary, wypijmy jeszcze po jednym. Fell! Za naszą przyjaźń! Za nasze wszystkie przygody! Za nasze pięćset trzydzieści siedem tysięcy tonn, licząc z tym przeklętym „Peterheadem“, na którym przyszło nam utknąć. Nasza stara U. C. 17 hoch, hoch und hoch! Kochałem cię Fell, wiesz, że nie umiem się wzruszać... Jednak... Jed-

nak... Gdybym mógł cię ocalić za cenę mego życia, zrobiłbym to natychmiast.

— Nie gadaj. Co za głupstwa?... Akurat wybrał sobie porę na czułości!...

— A kiedyż, u diabła, mam być czuły jak nie teraz?!

Długo patrzyli sobie w oczy. Pierwszemu Fredowi zaszklily się oczy, wymknęło mu się parę łez. Komendant odwrócił spojrzenie i patrzył w ścianę. Tak stali z minutę czasu.

— No, Fred, Bóg ci zapłaci za wszystko i ruszaj spać. Ja to sam zrobię, wszystko mam gotowe, nie będziesz długo czekał. Nawet nie będziesz wiedział kiedy wylądujesz w niebie...

— Sądzę, że się tam zaraz spotkamy?

— Bardzo być może. A teraz zostaw mnie samego.

— Rozkaz, komendancie...

Staął na baczność, baron von Tebben-Gerth wyprostował się również. Tak stali jeszcze przez chwilę. Fred zrobił wzrost wtył i nie oglądając się znikł za drzwiami.

...Trzy kubki grzanego rumu szumiały w głowie, nienawykłej do picia. To co się działo omgliło się zlekka, ścierając wyrazistość prawdy. Prawda trzymała się w dawnej mocy, ale przestała być natarczywą. Myśli przechodziły leniwie, zato nabierały stanowczości. Trzeba było coś robić. Namyślał się nad tem, wreszcie zasiadł przed stolikiem i odkręcił pióro. Zaczął pisać. Był to jednocześnie dalszy

ciąg rozpoczętego przed paru dniami raportu do wice-admirała Michelsena, dowódcy naczelnego łodzi podwodnych, i ostatni list do Rity. Te dwie materje mieszały się ze sobą, było to zresztą usprawiedliwione, gdyż na dwa pisma zabrakłoby mu czasu. Po-  
stanowił bowiem przyśpieszyć koniec o pół godziny. Fred ma słusność, niema na co czekać. Sprawiało mu ulgę, że zastanie to załogę we śnie, zasłużyli sobie ci ludzie na lekką śmierć. Trzydzieści dwa żywoty ludzkie zgasną odrazu, w tej samej godzinie, minucie i sekundzie, jak jeden człowiek. Umrze machina, złożona z płyt stalowych, z niezliczonych aparatów, rur, przewodników, akumulatorów, silników, sterów, tablic rozdzielczych, dźwigni, korb, indykatorów, zbiorników i z inteligencji, z woli, z nerwów ludzkich... Puszczą rozdarłe przez wybuch nity i spojenia, w mądry, genialnie obliczony i zbudowany organizm runie potworny napór wody i zgniecie, zniażdży wszystko. Na splątanej, zdławionej masie żelaza i szczątków ludzkich zaciśnie się garść olbrzyma-morza. I na tem koniec. Z regestrów admiralicji wykreślona będzie łódź podwodna — jeszcze jedna — U. C. 17.

...Niechże zostanie po niej ślad, niech wiedzą ludzie co działała w ostatniej swojej podróży i jak zginęła...

Pisał szybko, żeby zdążyć. Mąciło mu się w myślach, usypiał. Skołatana głowa opadała mu na stół. Budził się i pisał. Wczytywał się w dziennik z ostatnich dwóch tygodni. Gdy przewrócił ostatnią



zapisaną stronicę, znalazł tam list Rity, otrzymany na parę godzin przed wypłynięciem z portu.

— ...Fell, jeszcze raz cię błagam, ufaj naszemu szczęściu! Nawet w najgorszej, ostatecznej chwili wiedz, że przyszłość jest przedemną odsłonięta, czytam ją, jak zapisaną na karcie, czarno na białym. Ile okropności przeżyłeś już na morzu? Pamiętaj, z ilu to katastrof wyszedłeś cało? Bo czuwa twoja Rita i nie dopuści... We mnie jest tajemna władza nad naszym losem i dopóki ja żyję...

Koniecznien trzeba jej odpowiedzieć bodaj w paru słowach. Jasnowidzenie jasnowidzeniem, ale angielska sieć stalowa nie chce puścić. On zawsze jej wierzył i ufał, ale teraz czekać dłużej nie może.

— ...bo wyobraź sobie, Rito, te nasze dwa — trzy dni na dnie, chociażby nawet granaty nieprzyjacielskie zawiodły... Do tego nie wolno mi dopuścić! Chcę zginąć po ludzku, z godnością. Właśnie wszystko o tej godzinie śpi, zmordowane do ostatecznych granic. Ja jeden czuwam, ja rozstrzygam, jako tych dzielnych ludzi brat i komendant. Do ciebie, ukochana, idą teraz moje myśli z mroku przedśmiertnego, z przepaści morza...

Gdy się znów ocknął, zaniepokoił się, spojrzął na chronometr i pisał dalej.

— Godzina 12.50 — ostatnią torpedą zatopiłem angielski wyławiacz min, który pracował o 2500 odległości. Przelotne zadymki śnieżne, duże fale.

Po wynurzeniu, godzina 14.20 na horyzoncie parowiec pod flagą holenderską — bez kursu, obra-

cający się dookoła i znoszony ku północnemu krańcowi Dogger Bank. Sygnały SOS nie ustają. To „Peterhead“. Okrążam go na odległości 2500—3000. obserwując. O 15,25 otrzymuję dwie salwy z trzech dział co najmniej 8 centymetrowych, obie za krótkie. Otwieram ogień. Po dwudziestu strzałach „Peterhead“ przerywa ogień, osiada głęboko przodem. Para z uszkodzonych kotłów osłania pole widzenia. Nagle ze śnieżycy, z W. W. N. wysuwa się o 1500 m. niszczyciel w pełnym biegu wprost na nas... Załadowawszy z najwyższym trudem obsługę działa, grzęzę w ostatniej chwili od niszczyciela o 500 m. Uderzam gwałtownie o dno i odchodzę na bok na W. W. N., żeby się minąć z nieprzyjacielem. Detonacje trzydziestu pięciu granatów bez uszkodzenia. Godzina 16,25... . . . . .

Usiadł i starannie zakręcał pióro. Zapisał trzy kartki dziennika okrętowego zanim się domyślił, że jego pismo nie odejdzie stąd nigdy i nikomu na świecie nie będzie wiadome. Stwierdził to z pewnym zdziwieniem, ale bez wielkiego żalu. Do wyznaczonej godziny brakowało jeszcze siedemnastu minut. Po co mu te siedemnaście minut? Wstał i rozejrzał się po raz ostatni po ciasnej kabinie, która była mu domem w ciągu trzech lat. Już tu nie wróci...

Lekkie, ostrożne stukanie do drzwi wzbudziło w nim napad nienawiści do Freda. Ten sobie ubrdał, że powinien mu towarzyszyć do końca. Zniszczył

mu spokój, tym gniewem zatrzał mu ostatnie chwile... Zły, nie wiedząc jeszcze jak potraktuje intruza, odeknął zasuwę — we drzwiach stał podoficer Gebeschuss. Nawet w tej straszliwej godzinie baron von Tebben-Gerth zdumiał się, że podoficer ośmielił się sam, nie wołany, przyjść do kabiny komendanta.

— Co jest? Czego?

Ochłonął natychmiast, gdy Gebeschuss spojrział mu w oczy. Było to spojrzenie spokojne, mocne, przyjazne i niosące w sobie jakby jakąś nieprawdopodobną nowinę.

— Przychodzę pożegnać pana komendanta.

— A gdzież to się wybieracie... Herr Richter?

— Ja wszystko wiem. Nie mam nic przeciwko temu, bo i co robić? Zresztą decyzja należy do pana komendanta, ja będę żołnierzem do końca.

— No, kiedy tak, to żegnajcie, Gebeschuss — odezwał się von Tebben, podając mu rękę — i idźcie z Panem Bogiem.

— Rozkaz, panie komendancie. Ale godziłoby się jeszcze jakie parę słów... Nigdyśmy jeszcze ze sobą nie pogadali... Cóż, na to już niema czasu, ale jedno pytanie, panie komendancie — czy też pan komendant wie, pociosmy wyrabiali to wszystko? Przez całe trzy lata i trzy miesiące?

— Co to znaczy?

— To znaczy, że ja panu komendantowi mogę nareszcie powiedzieć, pociosmy natopili tyle tysięcy porządnych ludzi i taką nieprzebraną moc ludzkiego dobra. Bo, za przeproszeniem pana komendanta, to

zupelnie nie jest tak, jak pan komendant myśli. Całkiem nie idzie o to, która strona wygra — my czy oni, bo to jest głupstwo i dla takiej przyczyny jabym nie popadł w te straszne zbrodnie, choćby mnie mieli rozstrzelać. W takiej wojnie byłoby akurat tyle sensu, co u Jana Pawła Richtera w jego powiastce o oblężeniu Ziebingen, gdzie się dwie gminy pobiły o parę gęsi. Po co się prowadzi wojna? Długo może nikt tego nie wiedział, prócz mnie jednego, ale o tej porze już miljonny ludzi czują to w sobie i z każdym dniem ich przybywa. Musiał nadejść dzień, że ktoś pierwszy wypowie to głośno i wszyscy się naraz uświadomią. Ja miałem być tym, który wyjawi światu największą tajemnicę wojny, ale ja zginę. Zresztą zrobił to już za mnie kto inny — żołnierz rosyjski i wojna w Rosji odrazu ustała. Teraz czas na nas, na Niemców, a za nami pójdzie reszta, aż wszystkie armje świata powiedzą — stop, dosyć! Ze wszystkich frontów wszyscy do domu i robić porządek! Otóż nie byłoby tego bez wojny, panie komendancie, i na to jedno potrzebna była wojna. Trzeba było aż trzech lat mordowni, zniszczenia, głodu, nędzy, żeby się opamiętał lud uciemiężony i ten robotnik, wieczny niewolnik. I jak za starożytności Spartakus podniósł niewolników na Rzym, tak teraz my, żołnierze, wydamy wojnę swoim generałom, każdy u siebie. Dlatego nasze imię i nasze hasło będzie Spartakus!

Baron von Tebben-Gerth słuchał tego zdumiewającego odkrycia bez żadnego zainteresowania. Za-

padał w znajomą sobie czuwającą senność żołnierza, pogrążał się na parę sekund w nicości i wynurzał się, ale za każdym razem wpadał w nowe zagmatwania półśnów.

...Rita podlewa róże, płoną w słońcu jej rude włosy i zapach róż otacza ją niebiańskim, jakimś nierzeczywistym urokiem. Tuż za oknem rozpościera się morze i szmerze łagodnie zielonkawo-błękitną falą. Dziwi go, że Rita jest tak spokojna w obliczu morza, patrzy na nią z obawą, ale ona odwraca się ku niemu i na jej tajemnej, zamkniętej twarzy rozkwita niespodziewany uśmiech.

— Kiedy ty jesteś ze mną, niczego się nie boję...

...Obudziło go groźne, żelazne, głuche trzaskanie, drga i wstrząsa się pod nogami stalowa podłoga. Łódź opada bezsilnie coraz głębiej i nic jej nie zatrzyma, legnie na dnie dwóch tysięcy głębiny, a zanim dojdzie dna lada chwila zmiażdży ją straszliwe ciśnienie, rozerwie na strzępy i zgniecie w jedną miążgę. — Co za straszliwa śmierć — odzywa się ktoś, który siedzi za kuflem piwa i czyta o tem w gazecie, a gazeta trzęsie mu się w rękach. Odpowiada mu na to z mrocznej otchłani morza on, którego dusza w postaci nikłej bańki powietrznej szybko płynie ku górze. — Głupi cywilu, toż to dla nas wymarzona, najłżejsza śmierć!

...Wciąż jeszcze mówi Gebeschuss, głosem przyciszonym, pełnym szacunku. Jego oczy przenoszą się z twarzy komendanta na portret cesarza. Stoi

na baczność z dłońmi na udach i raportuje jakieś niesłychane przyszłe wydarzenia. Co za prorok. Skąd on wie, co będzie? I baron von Tebben-Gerth chce go wytrącić z natchnienia, zapyta go — czy wyczytał to wszystko w książkach Jean Paula Richtera? Nie zapyta, gdyż nagle w oczach podoficera, zapatrzonych weń natarczywie, dostrzeżga i przypomina sobie czyjeś oczy tak samo nieruchome i wbite weń. Co to było? Zapada w sen dawnego wspomnienia...

..Idzie na dno od torpedy „Algorta“, parowiec kanadyjski, dwie przepelnione łodzie na wzburzonem morzu z rozpaczliwym uporem wiosłują ku niemu. Czerwono zachodzi słońce, przegląda przez szczeliny wśród poszarpanych chmur. Tonie pierwsza i kilkanaście głów płąsa na spienionej fali. Rozpierzchają się, skupiają się w podrzutach i wciąż zbliżają się ku niemu. Tonie druga — na przestrzeni stu metrów aż gęsto od płasających głów. Sternik Gebeschuss patrzy nań, czekając rozkazu, odzywa się półgłosem:

— Trzydziestu siedmiu, panie komendancie...

— I cóż z tego, gdzie ja ich podzieję?

Już głowy obległy statek od nawietrznej strony, czepiają się za co mogą, obsuwają się, pomagają sobie, walczą ze sobą, odtrącają je żelazne boki statku, zmywa fala. Trudno oderwać się od patrzenia, trudno wydać rozkaz... Na przednim pokładzie w zamęcie pian roi się od ludzi. Oblepili działło sterczące z wody, pełzną ku wieży, czepiają się

poręczy. Komenda w tubę — do grążenia! Schodzi Gebeschuss, schodzi za nim i on — ostatnie, co ujrzał nad sobą, była to twarz sina, schłostana przez fale. Oczy obłąkane, błagalne, patrzą w niego jak w bóstwo. Cicho nad głową obracają się gwinty stalowej szczelnej pokrywy.

A gdy po spokojnej, cichej nocy na dnie statek o świtaniu wyszedł na powierzchnię, sternik Gebeschuss, idący pierwszy, utknął na żelaznej drabinie do półciała w otworze. Utknął i stoi.

— Co jest, Gebeschuss?

Ale sternik spuszcza się szybko na dół, zatoczy się na ścianę i stoi i drży i oczy ma zaciśnięte ze wszystkich sił. Drgają mu nieme wargi, drgają ręce, głowa tłucze się o stalową ścianę... Gdy komendant wychylił głowę, uderzył weń oczami człowiek zaczajony na platformie wieży. Groził mu skurczony, cały zebrany do skoku. Targnie się komendant i boleśnie stuknie głową o brzeg luki. A zresztą nic ważnego — jeden z „Algorty“ bardziej przewidujący od innych, co też mu się na wiele nie przydało. Przyczepił się pasem do poręczy i został. Ociekał strumieniami wody, zwiślał na pasie, rękami dotykając pokładu i patrzył w oczy komendanta badawczo, spokojnie, jak patrzą ludzie morza. Jego spojrzenie ożyło teraz w oczach Gebeschussa.

Podoficer milczał. Baron von Tebben-Gerth opamiętał się.

— To już wszystko, coście mieli do powiedzenia?

- Tak jest, panie komendancie!
- No, to ruszajcie z Bogiem. Walcie się na pyczę, derkę na łeb i spać!
- Rozkaz, panie komendancie.



## VII.

W salonach hotelu Grépon wszystkie stoliki były oddawna rozchwywane i zaopatrzone w kartki zamówień. Maitre d'ôtel, siwy dostojny dżentelmen, co chwila rozkładał ramiona i z zawodową ponadanielską cierpliwością w coraz to innym języku przekładał napastnikom, że na tę, czyli dzisiejszą noc Sylwestrową niema mowy o uzyskaniu stołu, ani miejsca, ani nawet pół krzeselka. Po przewlekłych targach odchodzili, śpiesząc do innych zakładów: mijali się w kołowrocie hallu z innymi, którzy właśnie z owych miejsc wracali. Wszędzie nawała ludzka.

Genewa była tej zimy natłoczona jak nigdy jeszcze w toku lat wojny. Referent wydziału mel-dunkowego, podsumowując ruch przyjezdnych, zdumiewał się, skąd się biorą ci turyści w trudnych czasach wojny, gdzie się to wszystko zdoła wgnieść i pomieścić. Kupcy, hotelarze, wszyscy autochtoni wszelkich genewskich zawodów promienieli, interesy rosły, pęczniały w niebywałych obrotach. W zamęcie dziejów rodziły się natarczywe nowe potrzeby chwili i stwarzały nowe niebywałe na tym

gruncie zawody, rzemiosła i całe instytucje, z których przeważna ilość kryła się wstydliwie w prywatnych mieszkaniach lub występowała w zagadkowych biurach pod tym lub innym patentem przemysłowym na jakiejś ulicy poza drzwiami z jakąś niewinną mosiężną tabliczką. Nad gwarem miasta o podwojonej ludności, gdzie nowi przybysze wnieśli zamęt, zgiełk i niespokojny nocny obyczaj stolic europejskich, górował ciężki złoty brzęk i sztywny, przenikliwy szelest banknotów. Pieniądz napływał powodzią ze wszystkich krajów świata; niejedyn ekonomista, niejedyn bank już naprzód przewidywali groźny kryzys Helwecji, spowodowany nadmiarem pieniędzy. Albowiem to samo mniej więcej działo się w Zurichu, w Bernie, w Bazylei, nawet w zacisznej sąsiedniej Lozannie... Tymczasem wszyscy zacierali ręce, poczynając od ulicznych czyścicieli butów i tragarzy na dworcu i błogosławili wojnę — oby nie skończyła się nigdy.

Na to też zakrawało. Wojna utknęła na prawdziwych, starych pozycjach okopów i zagrzebała się w miejscu. Od jesieni 1914 stał front bez zmian, kreśląc na ziemi francuskiej ukośną linię pozycji, a po obu jej stronach szeroki pas pustyni, gdzie oddawna nic już nie było więcej do zniszczenia. Od Lombardsyde gdzieś hen na krańcu świata, aż do górnego Renu, do samego przedpoła helweckiej Bazylei, pomimo gwałtu i bluffu wybuchających od czasu do czasu komunikatów, pomimo Verdun, Sommy, mimo epokowych walk, ofensyw, przełomów,

zdobycy, strat, jeńców i trupów — wszystko zostawało jak było na początku — przed trzema laty. Leniwie, z przyzwyczajenia czytano w gazetach dociekania redakcyjnych strategów, nudziły opisy bitew z całą ich grozą i z tysiącami poległych, powtarzając się wkółko do obrzydliwości.

Nie można było już znosić dłużej tej wojny i niepodobna było od niej uciec. Po obu stronach oddawna przestano wierzyć w wodzów, w mężów stanu. Wyglądało na to, że samo wszystko szło, że coś się fatalnie nie udało. Nie było sensu prowadzić dalej wojny, a niepodobna było jej przerwać. Ta wojna bez końca nie prowadziła do niczego, stawała się absurdem, codzienna krwawa rzeczywistość wydawała się zmorą senną. W pomroce, na oślep walczyły ze sobą miliony, niszczały narody, upadały trony. Jakaś okropna prawda wymykała się ludziom. Każdy uchylał się od spojrzenia jej prosto w oczy i jak ślepy zaprzeczał prawdzie, udając, że coś w tem jednak rozumie. O tej porze nie rozumiał wojny już nikt na świecie.

Czas stanął w miejscu. Przemijały dni i miesiące, nie liczone, bez ludzkiego postrzegania i uwagi. Dzień w dzień zachodziły rzeczy okropne, a zdawało się jakby się nic nie działo. Tępa nicość nudy opanowała umysły ludzkie, miliony trwały w biernym poddaniu, znosząc wszystko, nie pytając już o nic. Tak dobiegał końca ów czwarty z kolei rok wojny.

Za parę godzin o północy w salonach hotelu

Grépon kanonada butelek szampana powita Nowy Rok. W toastach i libacjach każdy wypowie poważne życzenie — oby ten rok wreszcie... Ale żaden z pijących nie przypuści ani na chwilę, by cyfra 1918 sprowadziła pokój świata. Po czterech latach wojny byłoby to jakoś zanadto szybko, zbyt niespodzianie...

Przez rozległy hall wciąż przesuwały się postacie, wchodziły, wychodziły, nikły w dźwigach, wypadały z dźwigów, szklany kołowrot u wejścia był w ciągłym ruchu i jak maszyna wciągał w siebie jednych i wypychał wciąż nowych ludzi. Dookoła pod palmami w głębokich skórzanych fotelach czekało na coś mnóstwo osób. Niektórzy rozmawiali ze sobą, inni czytali gazety, ale przeważnie siedzieli w odosobnieniu, poglądali na zegarki, bądź rzucali ku wejściu niecierpliwe spojrzenia. Były to wyszukanie ubrane kobiety, rozparte kokieteryjnie, podstarzałe lub zgoła wiekowe panie, skulone w swoich fotelach, młodzieńcy w kapeluszach, rozwaleni, z arogancko sterczącymi nogami, twarze przeżyte, poorane w rysy i bruzdy, głowy łyse, głowy siwe, oblicza dżentelmenów, twarze prostackie, a wśród nich rozsiane wszędzie przedziwne maski jakowychś ludzi niezbadanych. Było ich tu wielu, przeważali niemal w międzynarodowym tłumie hotelowym. Co krok to osobliwość. Młodzieńcy, panowie w sile wieku, starzy — wszyscy nosili na sobie jakieś pokrewne piętno. Odstreczali czemś drażniącym i przykrem, ich tajemniczość wzbudzała ciekawość a za-

razem i obawę. Co za jedni? Mogli się nie znać ze sobą, każdy z nich mógł być zupełnie obcy, a jednak coś ich łączyło wzajemnie, można było każdego z nich wskazać wyraźnie — i ten także, i ów, i jeszcze jeden... I tam i tu... Niczego nie zdradzały ich oczy obojętne, oczy znudzone, oczy przenikliwe, oczy cyniczne, drwiące, zatroskane, zadumane. Nic nie można było wyznać ani odgadnąć z rysów tych twarzy, ani z kształtu postaci, ani z ubrania, z zachowania się. Ale byli to wszystko — oni. W każdym poza każdego zewnętrzną powłoką czaiło się to samo, coś nieczystego, coś chytrego. W każdym zaskrzepł wysiłek w celu ukrycia się, zamaskowania się przed całym światem. W każdej twarzy napięte czuwanie:

— Czy i ja tak samo wyglądam?

Dr. Ossian Helm od tygodnia obserwował ludzi z Grépon i wdawał się w fantastyczne kombinacje na temat różnych twarzy, napotykanych w salach restauracyjnych i w hallu. Czekał beczynnie na decyzję konsulatu i przeważną część dnia wysiadawał w fotelu klubowym i wypoczywał po wydarzeniach swego ostatniego miesiąca. Tych dziejów starał się nie pamiętać — tak mu nakazano — więc jeśli niepodobieństwem było zapomnieć o tych sprawach, przynajmniej nic nie wspominał, nie rozważał. Lada dzień ruszy w dalszą drogę i z tą chwilą pocznie się w nim jakiś nowy żywot, teraz jeszcze niepojęty.

Odpychał on swą grozą i ponurą brzydkością

i równie mocno kusił wielką próbą, gdzie wszystko jest niewiadome i wszystko będzie niespodziane. Między swą obumarłą dawnością a fantastycznym jutrem trwał teraz w dniach przejściowych jak gdyby poza czasem. Zaczął przeobrażać się psychicznie i od chwili ostatecznej decyzji wyjazdu przed paru tygodniami zdarzały się przelotne momenty, gdy tracała się w nim jego dawna prawda. Ogarniało go potężne wszechwładne urojenie i jak pod czadem opium przenosił się w jakiś nowy wymiar. Trafiały się momenty, gdy niewiadomo skąd, z nicności odtwarzały się niewiadomo czyje wydarzenia, z bezmiernem bogactwem i wyrazistością szczegółów i układały się w pamięci jako własne i przeżyte. Dzieciństwo Ossiana Helma, wieczorne mgły od stawów na farmie w Chilcoat, zapach pomarańczy w sadzie, stara niania murzynka Constitution, dalekie śnieżne góry, choroba matki i jej ostatnie chwile, długa podróż na północ ogromną rzeką Mississipi... Lincoln College.

I oto znikł wraz z matką rodzinny dom... Nowa pani Helm, czarna żmija z Texas, nowy cottadgo, nowa służba. Ojciec starzeje szybko pod rządami pięknej meksykanki i coraz rzadziej, coraz mętniej bełkoce po niemiecku...

— Ruszaj w świat, Ossian, idź między ludzi, a nie zapominaj nigdy, żeś jest synem Niemca i wielkiej niemieckiej ojczyzny!

Najbardziej zastanawiającym z menażerji tajnych typów w hallu hotelu Grépon był tęgi ruda-

wy blondyn o zaspanych oczach. Robił on wrażenie osobnika stale podpitego, często ziewał, odzywał się tylko po francusku i kulał na słabej nodze, posługując się eleganckim kijkiem. Mieszkał w tym samym korytarzu o parę numerów dalej. Był raczej pospolity, czemu zawdzięczał swoje zaliczenie do liczby podejrzanych? Doktor Ossian Helm przypuszczał uporczywie, że skądś się z nim znają. Spostrzegł to od pierwszego spojrzenia i nawet o mało nie popełnił najwyższej nieostrożności i nie zaczepił go, mijając się z nim na schodach. Błada, szeroka wygolona twarz z sennemi oczami prześladowała go w sposób nader przykry. Z rozmaitych warstw przeszłości, z różnych miejsc majaczyło to widmo i nie pasowało do niczego. Była to jakby postać z dawnego snu a raczej ze snu uporczywego, który się powtarzał co kilka miesięcy, co parę lat, a począł się być hen kędyś w dzieciństwie i będzie się tak zjawiał do końca życia. Każdy ma taki sen.

Mógł to być sobie pierwszy lepszy pan, który w toku wojny osiadł był tu na mieliźnie, odcięty od swego kraju i czekał w Grépon końca wojny. Mógł być obywatelem tej lub owej walczącej ojczyzny, który za wszelką cenę postanowił sobie przetrwać tę wojnę zdrowo i cało, nie kusząc się o chwałę bitew ani o zasługę spełnionego obowiązku. Pędził tu żywot z dnia na dzień na przeczekaniu i różnemi barwnemi trunkami o każdej porze dnia słodził swoje próżniactwo. Ale znajomości je-

go w każdym razie były podejrzane. Był za pan brat z najciemniejszymi figurami hallu.

Wśród tych zdawali się przeważać ajenci jakichś mafij handlowych i politycznych, matacze mętnych wód, owi kuglarze-cudotwórcy, którzy umieli przełamać każdy urzędowy zakaz i podejmowali się wwozu, przewozu i wywozu najbardziej zabronionych towarów. Oni to dostarczali ogłodzonym Niemcom cukier francuski i włoski makaron całemi wagonami i całemi pociągami, szerząc niestychaną korupcję na granicy francuskiej, na granicy włoskiej i wzdłuż i wpoprzek całej Szwajcarii. Byli to podrzędni nieoficjalni ajenci dyplomatyczni, ale przy całej podrzędności bez ich nieoficjalnych usług żadna wielka afera polityczna nie miałaby celu, ani sensu, ani skutku. Była to czarna giełda tajemnic wojennych, gdzie ważyły się ceny na bazy operacyjne niemieckich łodzi podwodnych, na „ordre de bataille“ określonych odcinków francuskiego frontu, na nowiny z wojennych portów angielskich, na zamierzone raid'y Zeppelinów, na plany nowych tanków, na formuły nowych gazów duszących, na najświeższe mapy pól minowych morza Północnego, Adrjatyku i Bałtyku, na wierzytelne kopje protokołów najtajniejszych posiedzeń Rady Wojennej Entente'y, na rewelacyjne memorjały wielkiego admirała Tirpitz. Szły tu targi o autentyczną statystykę zatopionych niemieckich łodzi podwodnych i o ilość statków, będących w obiegu. Tu spisywano kontrakty na podpalenie terenów naftowych Austrii,



na wywoływanie katastrofalnych wybuchów i masowych strejków w przemyśle amunicyjnym Francji, Włoch, Niemiec, Turcji, Anglii, Stanów Zjednoczonych. Tu podejmowano się terminowego zamordowania Ludendorffa, Petain'a, lorda Churchilla, Lenina, Clemenceau — i pobierano na te obstalunki grube zaliczki... Tu fabrykowano własnoręczne listy i dokumenty, obciążające wybitnych mężów politycznych obu stron walczących. Tu płacono po dolarze za literę artykułów niemieckich, pożądaných przez Francję, artykułów francuskich pożądaných przez Niemcy. Tutaj topiono i wsypywano niewygodnych szpiegów, działających na terytorjach nieprzyjacielskich. Tu sprzedawano paszporty do wszystkich krajów świata. Tu cała służba hotelowa, począwszy od majestatycznego portjera do ostatniej pokojówki była płacona conajmniej z dwóch stron, nie licząc w to żołdu policji szwajcarskiej, która z urzędu musiała czuwać nad całym tem napływowem łajdactwem, zagrażającym neutralności Republiki Związkowej.

Czekanie dłużyło się doktorowi. Zmuszał się przez parę godzin przedobiednich i zamknięty w swoim pokoju czytał przyciszonym głosem gazety niemieckie. prowadził sam ze sobą długie rozmowy, chcąc poprawić akcent swego ojczystego języka, którym, niestety, nie mówił już tak dawno. Wstyd mu było znaleźć się między ziomkami ze swoją wadliwą, zaniedbaną niemczyzną. Pozatem pogrążał się w półsensnym lenistwie i w marzącym automatycznym dociekaniu co też z nim będzie dalej?

Nagle wszystkie głowy obróciły się w jedną stronę, ludzie zwyczajni tak samo jak międzynarodowe kanale wojenne patrzyli pilnie ku wejściu, gdzie ukazała się wytworna postać kobieca w towarzystwie ordynarnego pękatego pułkownika armji związkowej. Zaszemrały głosy, wielu uniosło się z fotelów, niektórzy bez żadnej ceremonji podchodzili do niedobranej pary, przyglądając się natarczywie pięknej pani. Antypatyczny rudzielec o wybałuszonych oczach przykulał pośpiesznie ze swojego kąta i szastał się z jowialną swobodą, całując rękę pani, a raczej jej zimowe żółte rękawiczki.

Doktór Helm widział ją już kilkakrotnie w restauracji hotelowej. Mieszkała w Grépon w drogich apartamentach na pierwszym piętrze i pracowała nad nowym filmem, o czym niemal codziennie wzmiankowały gazety. Było to przełomowe i przebojowe arcydzieło, niedościgniony superfilm o rozgłosie światowym, zamierzony przez potężne kapitały i znakomite grono międzynarodowych idealistów w celu uszlachetnienia zdziczałych narodów i obrzydzenia im wojny. Pod wysokim patronatem pana prezydenta Rady Związkowej Czerwonego Krzyża, Opieki nad jeńcami i wielu wybitnych osób i instytucyj budowało się to wspaniałe dzieło, tak potrzebne zdępczonej ludzkości. W pacyfistycznym filmie „Pax Mundi“ jedyna na kuli ziemskiej Eva Evard grała rolę Angielki Mary Milford, której narzeczony lejtnant graff Hugo Ortloff był dowódcą niemieckiej łodzi podwodnej.

Obrazy pokoju i miłości, regaty w Brighton, wybuch wojny, Milford ojciec i Milford syn, zaślepienie nienawiści rasowej, męstwo miłości pięknej Mary, która stawiała czoło zdziczeniu całego swego narodu... Mistyczny związek dwojga serc, ich porozumienie się przez fronty i morza w snach i wizjach, bohaterskie czyny hrabiego, miarkowane przez jego niewymowną szlachetność — jego ciężka niewola w starym forcie irlandzkim, szczęśliwe spotkanie z narzeczoną i mnóstwo stąd płynących konfliktów, wreszcie upragniony pokój świata bez aneksji i odškodowań i symboliczne weselisko dwojga zakochanych w zamku Milford w górach Szkocji.

Mówiono, że „Pax Mundi“ jest subwencjonowany przez międzynarodową masonerję, mówiono, że łoży nań opętany przez Evę stary miliardier amerykański i metodysta Thomas Giberson, osiadły w Montreux, którego firma dostarcza po przez Atlantyk dynamitu i stali, żywności, koni, skór i wszystkiego innego dla Francji, Anglii i Włoch. Najbardziej zaś mówiono w związku z przełomowym szlachetnym filmem naturalnie o propagandzie niemieckiej, której w tej dobie dopatrywano się zresztą we wszystkim i na każdym kroku, zwłaszcza w państwach neutralnych. W tych dniach niektóre próbne obrazy filmu miały być demonstrowane za zaproszeniami (po dwadzieścia franków od osoby) na cele pomocy okupowanej Belgji.

Doktór Helm, jak wszyscy w świecie, znał dobrze Evę z jej kreacyj przedwojennych, jednak w ży-

wej rzeczywistości przewyższała ona urokiem wszystkie swoje ekranowe wcielenia. Żadna sytuacja dramatyczna, żadne wyrafinowane oświetlenie zdjęć ani wszelkie zbliżenia nie dawały tego, co teraz grało w jej spojrzeniach, w jej uśmiechu. Działała potężnie i sama bezpośredniość wrażenia, gdy myt Evy Evard, odbicie jej niezliczonych cieniów sprawdziły się nareszcie na jawie, gdy otrząsnęła się ze wszystkich złud, fikcyj, masek i stała się — samą sobą. I w tym nadspodziewanem objawieniu własnem była bardziej fantastyczną, niż w którejkolwiek ze swych ról.

W parę dni, zaproszony do konsulatu, dr. Helm przeżył jeszcze jedno badanie. Tym razem zadawał mu pytania jakiś autentyczny Amerykanin, który rzekomo nie mówił ani słowa po niemiecku. Dr. Helm potniał z wysiłku, podążając za jego bełkotem, ale odpowiadał z całą otwartością i bez namysłu. Potem musiał wypełnić bardzo długi i szczegółowy kwestjonariusz. Sekretarz konsulatu był po dawnemu uprzejmy i przewidywał, że kochany rodak już za parę dni będzie mógł zgłosić się do ambasady w Bernie, gdzie nastąpi ostateczna decyzja. Była to niemiła niespodzianka.

— Jakże trudno dostać się do kraju, panie sekretarzu...

— Trudno, panie doktorze! Musimy być bardzo ostrożni...

— Rozumiem, rozumiem...

Tego samego dnia rudowłosy osobnik z Grépon

zaczepił go na moście na Rodanie. Był zaspany i niezupełnie trzeźwy. Był obcesowy i serdeczny, trząsał go za ręce i pomimo oporu nie puszczał. Gadał i gadał. Wreszcie dr. Helm wydarł mu się przemocą.

— Pan się najzupełniej myli! Bierze mnie pan za kogo innego. Ja słowa nie rozumiem po francusku!

Zdumienie najwyższe, przeproszenia. Pomimo to nie odczepiał się. Przeszli na język angielski, którym rudy mówił jako tako. Przedstawił się, wyciągnął nawet swój bilet.

— O panie, wśród miliardów twarzy ludzkich z niewyczerpaną precudowną odrębnością każdej, zdarzają się jednak zdumiewające podobieństwa. Jak gdyby Stworzyciel świata i ludzi omylił się na chwilę — nie, to jest zgoła niemożliwe... Jak gdyby nieskończoność odmian formy nie była jednak w istocie doskonałą, a ograniczoną... Jak gdyby... Cóż, nie mogę tego wygadać po angielsku — trzeba dać spokój dociekaniom... Jeszcze raz przeproszam pana...

— Żegnam pana...

— Moje uszanowanie panu... Ale ponieważ idziemy w jedną stronę...

— Nawet mieszkamy w jednym hotelu, ja pana dobrze znam z widzenia...

— Doprawdy? I ja pana dotychczas nie zauważyłem? Zdumiewające...

— To się zdarza. Przyjdzie jakaś chwila... A jeżeli nie przyjdzie — nic się nie staje.

— Chwila! Chwila!! Właśnie na tym naszym moście! Zateśkniłem za krajem tak straszliwie... Brze-  
mię mojej hańby przygniotło mnie tak okrutnie...

I rudy zaszlochał. Twarz skurczyła mu się jak płaczącemu dziecku. Zamrugał powiekami i ocierał sobie oczy brzegiem jedwabnego kraciaty szalika, którym miał okrytą szyję.

— Jest zupełnie pijany — pomyślał Dr. Helm. Ale ta wielka twarz zmiętoszona i rozplakana mimowolnie uczyniła rudego jakby jeszcze bardziej znajomym. Wydało mu się, że takim właśnie widział go po raz ostatni.

— Pan się zdumiewa, że ja tak ni stąd ni zowąd wobec człowieka, którego, jak pan twierdzi, widzę po raz pierwszy w życiu...

— Bo ja wiem... Teraz i mnie się coś wydaje...

— Widzi pan! Widzi pan!! — zapał tryumfalnie rudy. — Stał się cud! Albowiem jest zupełnym pewnikiem, że spotykamy się po raz pierwszy w życiu, a jednak obaj już przyznajemy się do siebie nawzajem...

— No, co do mnie...

— Nie wypieraj się pan! To było powiedziane! I cóż to jest? Tajemne pokrewieństwo dusz! Było nam przeznaczone spotkać się ze sobą. I po co? Żeby się zaraz rozejść tu na tym głupim moście? Nie! Zobaczy pan... Ja wierzę... Ja widzę wyraźnie... Choć to może od nas daleko, jeszcze bardzo daleko. Ale ja to widzę — dlaczego naprzykład widzimy teraz obadwaj Montblanc? Czy on jest tak blisko?

Dr. Helm spojrział w tę stronę, biały ogrom szczytu wyrósł nad miastem nadspodziewanie wysoko, jakby się nagle zbliżył. Cały jego grzbiet i śnieżne spady czerwieniły się teraz w zachodzącym słońcu.

— Tam jest Francja, moja utracona ojczyzna... Nigdy jej nie zobaczę... A choć wojna się skończy, choć może czasem jakaś tam generalna amnestja... Czyż mogę wrócić z piętnem hańby? Czy pan podałyby rękę podłemu zdrajcy, deztererowi z pola walki? Co? Ma go pan przed sobą. Oto jestem — i widzę w pańskich oczach odrazę. Nie myślę się! Nie mogę się mylić! To tak oczywiste... I zupełnie słuszne...

— Powiedziałem już panu, że nie rozumiem po francusku! — przerwał mu dr. Helm po dłuższej chwili.

— Ach tak, wiem... Moje nieszczęście wydziera się ze mnie, jak jęk... Trudno jęczeć w obcym języku...

— Pan ma jakieś kłopoty? Pan potrzebuje pomocy?

Tak się poznali. Dr. Helm z początku trzymał się odpornie, ale Francuz przyłgnał do niego z tak naiwną dziecięcą serdecznością i opowiadał zresztą tak ciekawe rzeczy, że szybko nawiązało się między nimi coś w rodzaju zażyłości. W konsulacie sprawa się przewlekała. Sekretarz zawsze uśmiechał się uprzejmie, a pewnego dnia dr. Helm zauważył, że w zamkniętej na sztuczny zamek walizeczce, gdzie

przechowywał swoje papiery i rękopisy naukowe brakowało podróznego notatnika, prowadzonego z dnia na dzień na statku „Cincinnati“, w Marsylii i w Paryżu. Chciał zapisać ciekawą znajomość z Francuzem a przez niego z Evą Evard, ale na próżno przetrząsnął nawet cały wielki kufer. Dokonawszy tej pracy uspokoił się. Snać ojczyzna jeszcze mu nie dowierza. Pomimo paszportu i dokumentów osobistych, pozostawionych w konsulacie, pomimo listów polecających, protokołu badań i kwestjonariusza szperają mu jeszcze w walizkach. Niechby to przynajmniej robili zrzęcniej.

Nowy znajomy — Jules Mousson „Alimentations, Transports“ rue Acacias, 18 — odrazu przyznał się — w największej tajemnicy — że to nazwisko przybrane.

— Nic mi tu nie grozi, ale muszę dbać o opinię, gdyż w Genewie u władz miejscowych przeważają sympatje francuskie. Ktoby to powiedział, że ja, bojowy oficer i najgorętszy patriota, będę naganiancem niemieckim... Trzeba z czegoś żyć — moją specjalnością jest mąka kukurydzana i ryż, ale potroszę przechodzę na kawę. Jest to nieprzyjemne, ale nie całkiem podłe, boć i Niemcy muszą jeść. Gdybym chciał zostać prawdziwym zdrajcą, opływałbym we wszystkie dostatki, zrobiłbym majątek i po wojnie mógłbym zacząć nowe życie w jakiejś Kanadzie...

Jego opowieść zajęła cały wieczór w zacisznej salce restauracyjnej hotelu Grépon. Niewiarogodna



była ilość i różnorodność trunków, które wchłonał w siebie przytem Mr. Mousson. Były one żółte, czarne, czerwone, zielone, nawet niebieskie — w szklanicach, kufkach, w kieliszkach, w kieliszczykach — gorące, ciepłe, z lodem. Mieszanki, dekokty... Pił to, przestrzegając pewnej kolejności, albowiem — jak twierdził — nawet w rozpuście, nawet w szaleństwie powinien być system. Nie upijał się ponad miarę, pod koniec tylko coraz częściej wpadał we francuszczyznę i coraz częściej musiał być zwracany w angielski.

— ...Croix de Guerre za Charleroi, pierwsza rana, pierwsza cytacja w rozkazie dywizji za Douaumont i Legja Honorowa, potem Somma i druga rana — Médaille Militaire i w szpitalu awans na podporucznika. W trzydniowych walkach w początkach grudnia zeszłego roku porażenie od dwudziestocentymetrowego pocisku i zatrucie gazem przez uszkodzoną maskę. Dom ozdowieńców w Evian les Bains, rozkaz wypoczynku, awans na porucznika, uczta koleżeńska i wreszcie, wreszcie po dwóch miesiącach nadeszło to, co przyjść musiało. Lekarze uznali, że dosyć tych rozkoszy, za parę dni w końcu lutego miał wrócić na front. Jeszcze jedna wycieczka na jezioro — mimo zimy stale był czynny wśród ozdowieńców w Evian śliczny jachcik żaglowy „Amphion“. O kilometr od brzegu z poza Dents du Midi wychynął nagle wichur, z którym nie mogli sobie dać rady. Mousson siedział na sterze i uparcie walczył z wiatrem, ale za jeszcze jed-

nym przerzutem głównego żagla, łódź wraz z płótnami położyło na wodzie. Przemoczeni do nitki ledwie się wypętali i łódź wreszcie wstała, ale burza wzmogła się do takiej siły, że nic nie pozostawało, jak gnać za wiatrem na uszczuplonych żaglach. Dobili na drugi brzeg gdzieś niedaleko Montreux, zameldowali się, osuszyli się, ogrzali, zano-cowali w oberży.

Tej nocy Mousson nie bardzo mógł spać. Wstał koło północy, cichaczem zabrał z kuchni wysuszone ubranie. Poszedł z uporem, dążąc ku czemuś niewiadomemu w długą zimową wietrzną noc. Gdy rozedniało, uczuł gorączkę, wielkie znużenie, zasiadł na stacji nadbrzeżnej i pierwszym pociągiem porannym pojechał w stronę Lozanny. Oto wszystko — bardzo krótka historia...

— ...Nadeszło to, co przyjść musiało. Musiało, panie Helm, i inaczej być nie mogło. Obskurne licho zagnieździło się we mnie oddawna i siedziało cicho, czekało swojej chwili. Gdyśmy wyruszali na tę miłą wycieczkę, przysięgam panu, że ani mi do głowy nie przyszło... Sterowałem dobrze, przema-gałem wiatr i fale... Wówczas wypełzło utajone licho i odebrało mi z rąk ster. Potem już samo szło. Pan myśli, że każdy może znieść bez końca swoje bohaterstwo, rany, zaszczytne orderki? Okopy, brud, wszy, ogień huraganowy, gazy, walki nocne na granaty? Smród trupi, strach, zmęczenie okropną nudą wojny? Mnie starczyło na półtrzecia roku, teraz zdumiewa mnie, że mogłem wytrzymać tak długo...

Najgłębszą tajemnicą wojny jest to właśnie, że miliony ludzi wytrzymują jeszcze, choć każdy żołnierz w głębi duszy jest oczywiście taki sam jak ja. Zrozumieć tego niepodobna, to są poprostu jakieś czary! Miłość ojczyzny? Honor żołnierski? No — i sąd polowy. Pan przypuszcza, że ja się dręcę straszliwie swoją hańbą? Że się naprawdę wstydzę? Że się mam za najpodlejszego z najgorszych? Bynajmniej, panie Helm. Dręczy mnie jedynie zagadka, że wojna trwa sobie w najlepsze i ani się zanosi na to, żeby któregoś dnia Francuzi, Niemcy, Anglicy a za nimi wszyscy inni powiedzieli sobie — dosyć tego, walny do domu!

— Powiedziała to już armja rosyjska...

— Genjalna młoda rasa! Otwiera ona nową erę w życiu ludzkości — ale narazie tylko teoretycznie. Bo na miejsce moskiewskiego tytana, który odpadł, w tej chwili, ani wcześniej, ani później, wylazi z za oceanu supertytan amerykański. Kto go zaczepiał? Kto go zmuszał? Czy mu nie dobrze było wyciągać dolary z każdego trupa bez wysiłku, bez ryzyka? Nowy cud, nowa tajemnica wojny światowej... Zaczynam przypuszczać, że obłęd zatracenia ogarnie czasem resztę świata, ruszy dumną Hiszpanję, której hidalgowie, toreadorzy i gitarzyści zawstydzą się bohaterskich liliputów Portugałów i uderzą na tyły Francji. To podnieci Holandję i Danję — nie zabraknie Niemcom kakao, mleka i masy, a nawet tulipanów. Wreszcie na ognie świata zwarjuje i nasza kochana Szwajcarja, przekroczy

własną neutralność, obejdzie lewe skrzydło niemieckie poto, żeby niebawem pułki romańskie starty się z pułkami germańskimi i na wspólnej od wieków ziemi helweckiej, na uciechę świata sprawiły sobie srogie lanie. POCO? NACO? Dla potwierdzenia mojej tezy, że ta wojna, poczęta w obłądnie, musi się zakończyć generalnem delirium świata. Na palcach można policzyć już nie ludy — ale ludzi, którzy oparli się szaleństwu. A więc tu obecna chluba rasy łacińskiej Romain Rolland, potem Liebknecht...

— No i pan...

— I ja! I ja! Panie Helm, ja przedewszystkiem, albowiem ja obchodzę się bez żadnej ideologii. Powiedziałem sobie: nie chcę, bo już nie mogę! Dlaczego nie mogę? Bo nie chcę, panie Helm! Tacy jak ja są rozstrzeliwani, a zatem człowiek mojego gatunku staje się rzadkością. Zatraca on odwagę bojową i zamienia ją na najwyższą w ludzkości odwagę — odwagę cywilną. Staje się rewolucjonistą bez haseł i frazesów, świadczy całym swoim jestestwem, że odrzuca prawa tego świata i przemoc obłądu, przed którym ukorzyli się wszyscy. Kiedyś mogą mi stawiać pomniki, narazie jestem tylko nędznym dezertorem.

Wykradziony notatnik znalazł się nazajutrz na swoim dawnym miejscu w walizeczce z gwarantowanym zamkiem. Dr. Helm pisał:

— ...Tutejsza neutralna Europa na pierwszy rzut oka wydaje mi się bardziej pogmatwaną niż nawet

Francja. Szwajcarów nie znać zupełnie pod grubą warstwą międzynarodowych obieżyświatów. Strony wojujące mijają się spokojnie na ulicach, a nawet prowadzą wspólne interesy. Wszelkie odmiany szubrawców, kanaliż, szpiegów i kontrszpiegów, służących na oba fronty. Tajemnicze samotne panie wałęsające się po korytarzach hoteli i po kawiarniach, sprzedając się, usiłują zarazem coś kupić, są bardzo ciekawe różnych okrucichów i plotek wojennych. Rodaków moich spotykam na każdym kroku, mowa niemiecka nikogo tu nie razi. Mój konsul już wie, że staram się o wstęp do Niemiec, przysłał mi nakaz stawienia się w jego biurze. Zakazał mi stosunków z konsulem niemieckim, groził represjami, zażądał mego paszportu. Bez żadnych oburzeń i tyrad po prostu zabrałem się i poszedłem sobie precz. Odtąd włóczy się za mną krok w krok dwóch młodzieńców. Mr. Mousson zna ich, jeden jest Szwajcarem, drugi zbiegłym Niemcem z Cesarstwa, obaj na służbie amerykańskiej. Dziś przyjął mnie sam pan konsul i oznajmił, że sprawa moja jest na najlepszej drodze, ale ambasada poleciła mu uczynić mi pewną bardzo poważną propozycję, to jest żebym wracał do Francji i podjął się tam pracy na rzecz Niemiec w dziale przemysłu wojennego. Znaczyło to, że mam wraz z innymi agentami wysadzać w powietrze zakłady amunicyjne wraz z robotnikami i okoliczną ludnością. Uchyliłem się od tej misji, oznajmiając, że w decyzji mej wyjazdu z Ameryki aby oddać mi wiedzę na służbę ojczyźnie, podobne możliwo-

ści nie były przezemnie przewidziane. Nie mówiliśmy o tem więcej. Mr. Mousson przyklepił się do mnie na dobre i opowiada swoje dziwy wojenne, co nieraz bywa ciekawe, ale zdaje mi się, że najciekawszy jest on tego, czy ja naprawdę nie umiem ani słowa po francusku. Ma manjerę wpadania we francuszczyznę i swemi pytaniami zastawia na mnie straszliwe pułapki. Ten tragiczny i śmieszny dezerterski alkoholik i rzekomy Francuz jest z pewnością agentem niemieckim. Dziwi mnie, że świetna pani Eva znosi jego natarczywość; nie przebiera ona w znajomościach, zawsze otoczona. I na mnie spłynęło parę jej spojrzeń i trochę uwagi. Pomimo wyraźnych sympatyj koalicyjnych ma uznanie dla mojej decyzji, o której dowiedziała się od Mr. Moussona. Współczuje niedoli Niemców, dręczonych nieludzko w Ameryce, zdumiewa się sile wytrwania Niemiec i pomimo wszystko twierdzi, że koalicji nie pójdzie tak łatwo. Sfery paryskie przypuszczają, że rozstrzygnięcie może nastąpić najwcześniej pod koniec roku 1919-go — co za ponura perspektywa... Zwierzyła mi się, że miałyby wielką ochotę zajrzeć do Berlina, gdzie ma wielu dobrych znajomych z przed wojny — narazie jest to niemożliwe, przesady i nienawiści są zbyt mocne, a choć ona nie zwykła ulegać czemukolwiek, to jednak przez jedną zachciankę nie może palić za sobą mostów i zwracać przeciwko sobie wszystkich przyjaciół po tej stronie frontu. Jest prosta, łatwa i szcera — ani śladu manji wielkości, ani śladu kokieterji, ale i tak powab jej jest straszliwy.

## VIII.

Na rzece od samego rana leżała mgła, zakrywała nadbrzeże, miasto, kominy fabryczne i wszystko zdawało się spać. W mętnej, burej ciemności odbywały się w oddali tajemne porykiwania holowników, zgrzytały łańcuchy dźwigów portowych i co chwila zmarznięta ziemia stękała głucho pod brzemieniem jakichś przetaczanych ciężarów. Niewidzialne samochody miały willę „Zyglindę“ i trzęsły murami, sapiąc, dzwoniąc żelastwem. Gęsta mgła ukryła prace tytanów-niewolników. Co się tam dzieje? Nad czym mozolą się ci ludzie potężni i nieszczęśliwi? Czyż nazawsze już są skazani na trudy złowrogie i bezcelowe? Kogo należy ostrzec, kogo błagać, żeby zwolnił z jarzma męczenników i oszczędził światu dalszych klęsk? Boże miłosierny, czyż nie dosyć?...

Chwilami mgła zgęszczała się, nasiąkała dymem i zasłaniała nawet drzewa nadbrzeżne. Wówczas w pokoju pomimo południa stawało się ciemno. Grobowa ponurość napierała na wielkie okna i przenikała do wnętrza. Wytworny miły salonik stawał się odstraszącą piwnicą, pełną grózb, czających

się po kątach. W lustrze majaczyły cienie głów i usiłowały wydobyć się ze złoconych ram. Na kanapie za stołem znowu zasiądzie nieznajomy, utkany z mgły i dymu, upiór przybłądny, duch złej wieści... Czy się odezwie za tym razem, czy ją wyjawia nareszcie.

Baronowa Rita von Tebben-Gerth nie obejrzała by się za nic na świecie. Lepiej nic nie widzieć, lepiej nic nie wiedzieć... Przywarła czołem do szyby i drząc ze strachu starała się przeczekać nawałę pomroki. Gdy przewalą kłęby mgły, znikną widziadła. Cóż za okropna zima, od trzech tygodni nie było jednej chwili słońca — jakże tu żyć?

Jaśniało i ciemniało znowu. Mgła uścielała się w warstwy, rozwlekała się w pasma. Zdawało się, że lada chwila stanie się cud i wyjrzy słońce, ale wnet napływał gęsty mrok. W odmęcie wzbierały jakby chmury, przesuwały się strzępy nieokreślonych kształtów o dziwnych podobieństwach, które mogły być wszystkim. Za zasłoną mgły ciągnęły głębokie, długie kolumny cieniów, przemijały i nadchodziły inne. Przepływały czarne sylwety okrętów, w szyku bojowym, olbrzym za olbrzymem. Wyraźnie rysowały się kominy, maszty, potężne nadbudowy i godzące w niebo paszcze armat. Nadchodziły niezliczone zaprzęgi artylerji i znowu sunęły ściśnięte ławice piechoty, nad którą zrzadka majaczyły konne widmowe postacie. Płynęły we mgle całe armje. Rita знаła je, to były odbicia odeszłych lat, miraże niezliczonych grobów, zatopionych okrętów, roz-



strzelanych armat, pobitych koni. To — o czym zapomnieli ludzie, żyjący w walce, od czego w grozie odwracała się pamięć narodu, to były widma skruszonej mocy niemieckiej.

Zjawa starganej, zbroczonej ojczyzny żyła w jej duszy własnym istnieniem po nad tem co jest i co będzie. Nie mogła przeboleć strat, nie mogła czytać krwawych komunikatów. Czuła zatracenie swego plemienia, była matką, żoną, siostrą, córką każdego z poległych, żałoba grubym kirem odgradzała ją od świata żyjących. Nie umiała już myśleć rozsądnie ani skrzepić swej duszy, nie miała przed sobą żadnej nadzieji. To cierpienie nie mogło mieć końca, jak bez końca jest wojna. Świat zapadł się w otchłań...

Gdy tak myślała, własny ból i strach, i niepokój jakgdyby wsiąkały w ogrom narodowego nieszczęścia, nie czuła targania serca, nie drżała przed poranną gazetą, przed listonoszem, przed przenikliwym dzwonkiem telefonu. Spędzała godziny i całe dni w kamiennym spokoju, rysy jej martwiały, oczy gasły. Ogarniała ją niema zapamiętała nicość, jakgdyby już wszystko się spełniło.

Od dwóch miesięcy nie miała wieści od męża.

Jasno, coraz jaśniej. Przez lekką oponę już widać las kominów na drugiej stronie rzeki i długie pasma dymów, wytrwale ciągnące za wiatrem. Wyjrzał ciężki ogrom gmachów fabrycznych, idących bez końca wdół rzeki. Rita otrząsnęła się na ten obraz, który знаła od małego dziecka. W tych po-

twornych budowlach, pod buremi dymami, w zatrutych oparach roily się tysiące znikczemniałych istot, które służyły wielkiej zbrodni. Jakże podłe ich dzieło... Holownik idzie pod prąd, wlokąc trzy płaskie barki, głęboko zanurzone. To pociski, pociski, pociski, tysiące, miliony śmiertelnych wybuchów. Za ostatnią barką płynie ostatni szmat zwiewnej mgły, a w niej na chwilę zamajaczą kolumny cieniów — to przedzjawia tych tysiący, które gdzieś tam żyją o tej porze, ale od tych pocisków polec muszą.

Nagle rozjaśniło się tak, że olsnęły oczy. Za rzeką szeroki zakręt toru kolejowego na wysokim nasypie. Mijają długie wagony, poznaczone czerwonymi krzyżami na bokach, na dachach, wloką się ostrożnie, już podchodzą do mostu, lokomotywa zaszlocha spazmem niezgłębionego żalu, i wnet most odezwie się żelaznym swoim jękiem... Na to znowu zmroczy się niebo beznadziejnie.

Rita oderwała się od szyby, ale w ciemnej głębi pokoju westchnęło coś, zaraz zaszepce, wypowie straszne słowo... Tuż za oknem długie nici brzoź płaczących kołysały się na wietrze. Ta umiłowana grupa drzew osłaniała przed nią kominy i dymy fabryki. Jej zwarta zieleń szemrała i szumiała na wietrze, poddając w ciszy nocnej tajemne swoje melodje... Ale to bywało latem, jesienią... Czyż nadzieje znowu wiosna, czy przyjdzie choćby jeszcze jeden raz? Płakały brzozy nagiemi różgami, smutne, cmentarne, chwiały się pod mroźnym podmuchem. Rita uczuła w sobie łzy, przymknęła piekące po-

wieki — może dobry Bóg zesle na nią kojące płkanie, skarb i uciezkę kobiety, gdy pusto w duszy i gdy niema się gdzie podziąć w nieszczęściu. Czemuż nigdy, nigdy nie umiała zapłakać?

Gdy roztworzyła suche obolałe oczy nie poznała świata. Brzozy stały jasne, olśniewające. Okryte welonami okiści o niepokalanej białości świeciły blaskiem i wszystko dokoła nich odmieniło się w jednej chwili. Znikły kominy fabryczne i dymy, za oknem puszył się cud promienny i przeczysty. Uśmiechał się urok zimy, tej dobrej, z dawnych pradawnych dziecięcych lat, majestat i łaskawość bajecznej Królowej Śniegu. I Rita z uśmiechem szczęścia postąpiła parę kroków, zasiadła przy fortepianie i wciąż zapatrzona w białą zjawę w oknie dotknęła klawiszów.

Tajny radca profesor Wager skończył szósty tego dnia list i zaklął z ulgą. Czuł się wyczerpany i ogłupiały ze szczętem. List do dyirekcji Interessen Gesellschaft, t. zw. I. G., list do Kaiser Wilhelm Institut, list do dyirekcji zakładów Bayer w Leverkusen, list do komendanta Heeres-Gasschule w Berlinie, list do dowództwa wojsk gazowych w Głównej Kwaterze. Były to nudne, irytujące bieżące drobiazgi, dla których nie miał nawet sekretarza. Teraz odpocznie przy cygarze, wysączy swoje półbutelki Marcobrunnera i przystąpi do bruljonu siódmego listu, nad którym rozmyślał już od tygodnia. List do pierwszego generał-kwaternistrza nie może być

memorjałem, jakich w Głównej Kwaterze odbierają po sto na dzień. Pismo to od pierwszego zdania ma uderzyć, pochłonąć wyobraźnię człowieka, którego w czwartym roku wojny nie łatwo czemkolwiek zadziwić. List profesora miał zapewnione zgóry to, że dojdzie do własnych rąk Ludendorffa, pułkownik von Voss zobowiązał się, że sam mu go wręczy i jeżeli będzie trzeba zmusi go do przeczytania. To już bardzo dużo. To już niemal wszystko. Ale trzeba porwać, trzeba przekonać. Profesor pisał ciężko i choć miał w głowie wszystkie swoje racje i argumenty, jasne jak słońce, nie wiedział jak zacząć. Wszak najważniejsza sprawa to pierwsze słowo, trzeba je tylko znaleźć. Tu trzeba trafić nieomylnie, inaczej wszystko na nic. Wódz, przeciążony straszliwą pracą, zajęty w ciągu szesnastu godzin dnia niezliczoną nawałą spraw, z których właściwie każda jest najważniejszą, nie może już mieć świeżości umysłu, niezdolny jest podlegać jakimkolwiek wrażeniom i o tej porze musi on być czemś w rodzaju cudownie zmontowanego automatu. Nabył nałogów rutyny, która jedynie może podołać potwornie ciężkiemu zadaniu -- kierowania wojną. Uodpornił się, nie zna upojenia zwycięstwem ani przygnębienia klęską, nie podlega nastrojom, nie zna zapału ani zniechęcenia, jest wymierzony, zimny w swej potędze, jak maszyna. Takiego człowieka niepodobna natchnąć ani zniewolić żadną na świecie nadzwyczajnością. Powinien zdumieć się i uwierzyć. Jak to uczynić? Jak zacząć?

— Excelencjo, chemja ma swoje otchłanne tajemnice i możliwości, graniczące z cudem. Broń chemiczna w tej wojnie stawia dopiero swoje pierwsze dziecięce kroki. Moje nowe odkrycie pozwala wytruć całe armje, całe miasta, całe kraje i narody. W ciągu trzech miesięcy podejmuję się zakończyć wojnę zwycięstwem, jakiego nie znają dzieje. Upraszam o wezwanie mnie do głównej kwatery na audjencję absolutnie poufną. W imieniu ojczyzny niemieckiej błagam o dwie godziny konferencji.

I na tem koniec.

Można i tak, ale cóż, kiedy tak samo właśnie piszą wszyscy manjacy i szarlatani. Powaga imienia Tajny radca profesor Wager — „twórca zwycięstwa“? Pierwszy generał-kwaternistrz pomyśli sobie odrazu, że tak nie pisze człowiek poważny, wreszcie przekaże moje pismo i mnie biednego jakiemuś referentowi, pierwszemu lepszemu kapitanowi gazowemu, a czyż z takim szeregowym osobnikiem można mówić o tak przełomowem odkryciu? Wreszcie szeregowy osobnik złoży raport wedle swego widzimisię i papier ten utonie wśród nieprzebranej zamieci sztabowych świstków, czekających rozpatrzenia. A Niemcy czekać nie mogą, każdy dzień zwłoki w decyzji odkłada szansę zwycięstwa, każda godzina straconego czasu pracuje dla nieprzyjaciela.

Pułkownik von Voss opowiadał profesorowi, że przy Głównej Kwaterze istnieje „Wydział Pomyśłów, Projektów i Wynalazków“, gdzie pracuje trzech kapitanów, którzy w razie potrzeby wzywają

porady rzeczoznawców. To zdarza się bardzo rzadko, ale niema dnia, żeby któryś z kapitanów nie łąził po biurach, odczytując ku zabawie przepracowanych kolegów horrendalne bzdury, wylęgłe w umysłach warjackich. Powaga imienia naukowego... Profesor przy całej swej sławie doznał tylu upokorzeń ze strony schamiałych w wojnie generałów, że nie liczył na urok swych zasług. Sam na własne oczy widział zakreślenia, wykrzykniki i znaki zapytania, kreślone czerwonym ołówkiem na marginesie jednego ze swoich memorjałów i uwagi w rodzaju — Profesor Wager jest uznaną znakomitością w dziale barwników do farbowania perkalu, ale zdradza niesłychaną ignorację w sprawach dotyczących walki. Pomysły jego są gabinetowe, laboratoryjne i czysto teoretyczne. Obcą mu jest psychika żołnierza niemieckiego; w swoich utopjach przekracza on na każdym kroku granice możliwości ludzkich, a zwłaszcza technicznych.

Obrzydłe było cygaro wojenne z liści kapuścianych, bukowych i innych ersatzów, mdłe było nawet wino starodawne, rzetelne z własnej piwnicy. Gorycz zapoznania, brzemie niepowodzeń pograżyło profesora w zjadliwej apatii. Wizje pokotem leżących armij nieprzyjacielskich, wizje wymarłych miast i zniszczonych pól, lasów i wszystkiego co żyje — stawały się snem na jawie, marzeniem głowy ściętej, okropną pomyłką naukową, absurdem... Po przebytych tryumfach zeszedł na to, że fabrykował ordynarne przestarzałe gazy, Niebieski Krzyż, Zielony

Krzyż. Żółty Krzyż i w oddanych mu niby zakładach „Badische Anilin und Soda Fabrikation“ w rodzinnem mieście Mannheimie był zaszczytnym figurantem i tyle, że ocalił swoją pracownię doświadczalną w Ludwigshafen, gdzie siedziało dwóch inżynierów, paru dyplomowanych chemików i garść robotników i posługaczy — wyspa inicjatywy i myśli na morzu niemieckiej rutyny. Zniechęcony, od tygodnia nie jeździł już nawet do fabryki i na kominie „Badische“ patrzył z okna. Jego ostatnia nadzieja była w pozyskaniu dla swojej idei generała Ludendorffa. Jeżeli mu się nie uda, zrezygnuje i będzie patrzył na to, co się dzieje, będzie czekał nieuniknionej klęski. Cóż więcej można zrobić? Profesor był człowiekiem nauki, nie umiał iść przebojem, a jeżeli ulegnie — tem gorzej dla Niemiec — i dla niego samego przedewszystkiem...

Co będzie robił? Czemże będzie, wyrzekłszy się chimery zbawienia ojczyzny? Wytężona praca laboratoryjna, pogoń za trucizną absolutnie doskonałą dawały mu rację bytu, odgradzały go od wszystkich ludzkich niedoli. Czyhały one zewsząd, miał ich pełen dom. Na ścianie portret Kurta, gdy miał dzieść lat, fotografia Rity z narzeczonym. Nieszczęście, śmierć zieje z każdego kąta. W biurku leży nierozpieczętowany zwitek listów syna, leży od sześciu tygodni i strach go tknąć... Rita nie wie o śmierci męża — czy naprawdę nie wie? Od kilku tygodni nie wspomniała o nim ani słowa, a on też, i tak żyją z dnia na dzień.

Profesor otrząsnął się, chwycił za pióro i zaczął:

— Excelencjo...

Stary Hans wyrósł na progu z czyjąś kartą w ręce. Tak jest, na tę godzinę wyznaczył przyjęcie. — Prosić!

— Musimy się poznać zblizej, panie doktorze... My samotnicy z Ludwigshafen żyjemy jak bracia, co sobota między szóstą a ósmą zbierają się w moim domu pańscy koledzy. Ale chciałem pomówić z panem na osobności. Pańskie chlubne postanowienie i przełamanie tylu przeszkód w dążeniu do ojczyzny. W takich czasach... Z drugiej półkuli świata... Jakże się pan czuje na tej ziemi niemieckiej? Jeszcze obco? Nijako?

— Rozglądam się, panie profesorze! I doprawdy jestem zanadto wzruszony, żeby wydać jakiś sąd o tem, co widzę. Ale nie czuję żadnej obcości, odezwała się we mnie stara krew niemiecka.

— Zastaje nas pan w czwartym roku najcięższych zapasów, jakie znała historia. Wiele stron życia zniszczyła wojna, wszystko u nas jest nienormalne. Ale tembardziej świetnie objawia się teraz wielki duch niemiecki w kolosalnym wysiłku, który pozwala nam słać czoło — co tu ukrywać — przeciwko całemu światu. To jest wspaniałe! Tragiczne! I jeżeli Bóg da...

Profesor zamilkł i przez chwilę wpatrywał się w swego nowego pracownika. Oddawna zabiegał o przydzielenie mu dwóch znanych sobie młodych chemików, dawnych uczniów, ale jeden zginął na



froncie, jako oficer gazowy, drugi zaś „nie był rozporządzalny“. Za to z wielkiem zachwalaniem nasyłają mu anonima, jakiegoś amerykańskiego Niemca, który niewiadomo co umie i co może. Dyplomny, prace naukowe — cóż to jest w istocie rzeczy? Czy jest twórczy? Czy umie myśleć, szukać? Tego niepodobna się nauczyć. Podobał mu się, wzbudzał sympatję, w oczach zaduma, jakiś smutek — wyglądał raczej na poetę. Mówił ciekawie o Ameryce, mądrze. Gdy po wstępie przeszli do rzeczy, profesor po półgodzinie rozmowy uspokoił się — miał do czynienia z rzetelnym uczonym. Doktor Helm miał w sobie pasję dociekania, poryw i odwagę w swoich hipotezach, był dostatecznie młody, a zarazem bardzo dojrzały.

— Za jedno z najważniejszych zadań moich uważałem dać komu należy prawdziwe informacje o przygotowaniach chemicznych Ameryki. Pracowałem w doświadczalni amerykańskiej w Puteaux pod Paryżem... Znam organizację kolosalnego arsenału chemicznego w Egdeewood, który powstał w ciągu paru miesięcy i teraz dochodzi do ładowania dwustu tysięcy pocisków dziennie.

— Pan powiedział, — dziennie?

— Tak, dziennie.

— Dwieście tysięcy pocisków?!

— Tak jest, panie profesorze. Edgewood jest największą na kuli ziemskiej wytwórnią chloru. Niebawem straszliwa lawina zwali się na nasz front, jeżeli nie zaskoczymy nieprzyjaciela jakąś niespo-

dzianką. To jedno może nas uratować. W Berlinie słyszałem, iż Niemcy oczekują tego od pana profesora i doprawdy oceniam cały zaszczyt, który innie spotkał...

Tego było zanadto. Profesor zerwał się wzburzony. Gość zamilkł.

— Pan mówi, że odemnie oczekują... Niech czekają! Aż stary Wager przyniesie im cud w małej probówce. Ten cud w probówce nasz as wyrzuci nad Francją z wysokości pięciu tysięcy metrów i koniec z nieprzyjacielem, z jego armjami, z jego stolicami...

Dr. Helm słuchał, uśmiechając się dyskretnie. Profesor pohamował się i zaczął wyrzekać spokojnie. Na biurokrację wojskową, na martwą rutynę wszelkich organizacyj przemysłu chemicznego, na skąpstwo skarbu, który mu odmawia paru nędznych milionów na nowe instalacje...

— Choćbym miał w rękę ów cud, trzeba czasu i środków na rozwinięcie produkcji masowej. na wyszkolenie oficerów i żołnierzy, na zaopatrzenie frontu... Czas, czas, panie doktorze... Czas nas zabija. Nie obawiam się tyle pańskiego fenomenalnego Edgewood, ile naszej niemieckiej biurokracji. A wojnę musimy kończyć szybko — do nowej zimy. Następnej nie zniesie ani żołnierz, ani ludność... A tamci zniosą, bo przedewszystkiem mają co jeść.

— Co do Anglii, to w listopadzie i w grudniu poprzez surową cenzurę wojenną przedostały się tak alarmujące głosy...

— Według mojego przekonania, to był nasz punkt kulminacyjny. Odtąd więcej naszych łożdzi podwodnych ginie, niż zdołamy wybudować nowych. Straciliśmy najlepszy czas na dyplomatyzo-  
wanie z Ameryką... Zbawić nas może tylko broń chemiczna — pomimo całe pańskie Edgewood Niemcy panują w chemji. A od wynalazku prochu nie znamy niczego, co mogłoby dokonać tak głębokiego przewrotu w warunkach wojny, jak broń chemiczna. Pracujemy, pracujemy, panie Helm, ale psychika Niemca jest przyciężka, przywiązuje się zanadto do tego, co już dokonał, zadługo się namyśla nad każdą nowością... Po tamtej stronie jeszcze błąkają się w metodach, nie mogą sobie poradzić z nami. Ręczę, że dotychczas nie zidentyfikowano jeszcze nawet naszego Żółtego Krzyża?

— Zdaje się, że nie.

— A cóż dopiero produkcja masowa! Ile im to czasu zabierze? Ile popełnią błędów?

— I oni podziwiają naszą potęgę, ale pozwolę sobie zaznaczyć, że podążają za nami, podążają olbrzymimi krokami. Najmłodsza, zesłoroczna centrala badań w Ameryce zatrudnia tysiąc dwustu chemików i siedemset sił pomocniczych. Jednocześnie podlega badaniu cztery tysiące substancyj...

— To imponujące, zanadto amerykańskie — za dużo substancyj!... Zabłąkają się. My trzymamy się jednego, ale prowadzimy rzecz do najdalszych i najgłębszych konsekwencyj. Zato obawiam się, że pańscy Amerykanie zaskoczą nas jakąś nieprzewidzianą

metodą w stosowaniu substancyj znanych. Anglosas czasami miewa jakiś genialny zwrot w myśleniu, do czego my nie jesteśmy zdolni. Naprzykład — na pół roku przed wojną kontrwywiad angielski wykrył całą sieć naszego szpiegostwa. U nas zamknięto by ich wszystkich odrazu i nieprzyjaciel musiałby odtwarzać wszystko na nowo. Anglicy nie ruszyli nikogo. Dopiero w dniu wypowiedzenia wojny wyłapano wszystkich i Niemcy zostały bez żadnego wywiadu, bo przyzna pan, że podczas wojny niepodobna już było tego odrobić. Tam się nie śpieszą — tam rozważają. My nie możemy wytrzymać i wyrrywamy się jak zapalony młodzieniaszek. Nie stworzyliśmy strategji gazów, dla przelotnych efektów, których nie umieliśmy nawet wyzyskać, ujawniliśmy przedwcześnie naszą broń. Trzeba było wytrzymać z rok, ulepszyć metody, nagromadzić ogrom materiału i dopiero w jednym genialnem natarciu zaskoczyć i zmiażdżyć bezbronnego przeciwnika i odrazu zakończyć wojnę. Ale na wiosnę roku piętnastego napróżno i daremnie alarmował Główną Kwaterę pewien człowiek przewidujący. Na miłość boską, nie zaczynać! Przycziąć się, pracować, szukać, produkować i za rok — uderzyć na nieprzyjaciela. Efekt majowy pod Ypres pięć tysięcy trupów! A w rok później ległyby pokotem miliony, nie ostałoby się nic przed naszymi pociskami gazowymi... Nie usłuchano tego szalonego człowieka — bo był to manjak, niejaki profesor Wager...

Profesor gadał, wyrzekał, wypominał swoje

krzywdy, to znów, wracając do metod badawczych, odsłaniał cały swój genjusz i wiedzę impomującą. Minęła godzina, doktor Helm słuchał z całym napięciem i dopiero zaczynał rozumieć, jak ogromnego podjął się zadania. Przerazał jego obszar, jego znaczenie dla przebiegu wojny. Tu tała się decyzja kolosalnego zmagania się narodów, tu było zwycięstwo albo klęska. Mimo pesymizmu i rozgoryczenia wielkiego uczonego w jego słowach odsłaniała się potęga Niemiec i przerażała jakaś ich tajemnica, która wisiła nad światem. Doktor Helm słuchał, zapałtrony w oblicze wielkiego czarodzieja wojny, który zdawał się trzymać w swem ręku losy narodów. Ten człowiek miał swój straszliwy plan i pomimo przeszkód i zwłoki wykona go prędzej czy później. Posiada on w tajnikach mózgu jakowyś niezmiernie złożony, a może zdumiewająco prosty znak chemiczny, do którego doszedł pracą całych lat, który jak symbol fatalizmu niesie w sobie zatracenie ludzkości.

I ponad całą grozą zagadnienia w umyśle doktora Helma przeważała ciekawość badacza. Zrodził się zapał do walki o tajemnicę. Odtrącony przemocą od ukochanej pracy, wyrzekł się jej był i zapomniał już czem był kiedyś. Teraz, gdy profesor wydobył ołówkę, pochylił się nad papierem z namiętnością manjaka i śledził za zadaniem, które mu wyznaczono na początek. Szeregi formuł opętywały go, wprowadzały go na nowo w dawny świat, przywracały mu utracone człowieczeństwo. Na chwilę zapomniał

gdzie był i poco. Odezwała się w nim radość istnienia, zamordowana zda się na zawsze. Obudził się z letargu, który trwał przez całe lata i ujrzał nagle, że świat jest zawsze młodzieńczo uroczy.

Podążał za ołówkiem profesora, który mimowolnie przechodził do szeptu, jak gdyby powierzał komuś rzecz najtajniejszą. Stare zmęczone oczy co chwila odrywały się od kartki papieru i zachęcały, kusiły. Te spojrzenia, to szeptanie wciągały doktora w jakiś spisek, w konspirację, w jakąś wielką zbrodnię. Nad tem samym zagadnieniem pracowali w wielu miejscach ludzie zaufani w ścisłej tajemnicy, nie wiedząc o sobie nawzajem. W Hoechst, w Biebrich, w Leverkusen, w Merseburgu, w nadreńskich laboratorjach i w Kaiser Wilhelm Institut w Berlinie. Rozsiani po całym kraju, nie znając się nawet z imienia, tworzą bractwo tajne. W odmęcie splątanych, ukrytych sił przyrody szukają zbawienia dla ginącej ojczyzny. Kto z nich pierwszy wpadnie na trop? Kto po tysiącu zabiegów, błędów i prób sprawdzi nareszcie genialną hipotezę mistrza? Z którego końca niemieckiej ojczyzny nadejdzie wieść szczęśliwa? Komu przypadnie sława?

Doktór Helm z najwyższem napięciem podążał za myślami mistrza. Zagadnienie bowiem było porywające, ale z dziedziny mu obcej i nieznaney, do czego po pewnem wahaniu uważał za stosowne się przyznać.

— Tem lepiej — zauważył profesor i ciągnął dalej.

Wierzył on w natchnienie i intuicję badacza w dziedzinie chemji, która jest niemniej wspaniałą sztuką jak poezja. Dawał rady. Zapamiętać się w pracy, zapomnieć o świecie, zamknąć się jak mnich. Pograć się w zadaniu, jak fakir w swej wyłącznej kontemplacji tajemnic bóstwa, udręczyć się, wpaść w obłąkaną manję. A gdy mózg przemęczony do ostatecznego wyczerpania odmówi posłuszeństwa, gdy z prób, usiłowań, zgadywań wytworzy się chaos i zamęt — oderwać się pewnego dnia od pracy i zapomnieć o niej. Odpocząć. Nie myśleć. Spać, czytać najgłupsze powieści, pić piwo, gadać z ludźmi o niczem. Oszukać samego siebie, wyrzec się całego zamiaru. Nic nie robić i na nic nie czekać. Sam przyjdzie dzień, gdy błysnie światło, musi przyjść, i wówczas na nowo jąć się pracy. Znowu jeszcze o krok zbliży się badacz do swojego celu, albowiem mędrsze i mocniejsze jest w człowieku to, co się samo dokonywa, niż cała jego wola i wiedza. Trzeba pozwolić siłom podświadomym mieć swój udział w pracy twórczej, zawiedzie się ten, kto liczy tylko na rozum i wysiłek woli.

Doktor Helm był jak w upojeniu. W myśli już rozwiązywał zadanie, dumiał teoretycznie i na niewidzialnej tablicy rozstawiał i segregował swoje cyfry i znaki. Wpadł w zapamiętanie, zapomniał o samym celu tego wszystkiego. Aż spostrzegł, że coś go odrywa i coś go jakby usypia. Jakaś zasłona odgradza go od rzeczy, do której jeszcze przed chwilą należały wszystkie jego myśli. Dopiero zauważył.

że profesor zamilkł i w zadumie patrzy kędyś wdał niewidzialną. Przez długą minutę siedzieli w ciszy, obaj zasłuchani.

Zgluszone, przyciszone ale wyraźne dźwięki spływały na nich zgóry. Ktoś grał tam na piętrze i z przymocą, chwytającą za serce, nakazywał słuchać. Stwarzało się przywidzenie, że niema na świecie nic ważniejszego od tych nikłych dźwięków, że odeszło od człowieka i rozpodziało się wszystko i zostały tylko one. Urok tej muzyki obezwładniał, powtarzały się pewne akordy niewysłowionej głębi, dobrane z jakichś nigdy niesłyszanych tonów. Nie odrazu odgadł, że to odzywa się fortepian, melodia przewijała się wśród akordów, dając kolejno głos coraz to innym nieznanym instrumentom. Doktor Helm od dawien dawna zapomniiał był o muzyce i o samem jej istnieniu, tak dziko ułożyły się ostatnie lata jego życia. Teraz uderzył go jej czar i zatargał aż do bólu. Była chwila, że nie mógł już dalej znieść tej potęgi napięcia, zapragnął, żeby to ustało odrazu, natychmiast. I muzyka zamilkła.

Spojrzał na profesora — wciąż patrzył w okno, był zmieniony, jakby w jednej chwili postarzał o dziesięć lat. Twarz zmalala, skurczyła się w zmarszczkach, oczy zmrużyły się, broda zadrgała i z pod złotych okularów wypłynęły duże łzy. Dwie krople błąkały się po pokreślonych policzkach, szukały sobie ujścia i zwolna spływały ku dołowi. Nie zdziwiło to doktora, przeciwnie, sam poczuł w gardle łzy. Było to wzruszenie nieznanne,



przemocne a zarazem łaskawie serdeczne, kojące. Czarem swego nakazu odeгнаło precz wojnę i zabrało duszę, poniosło ją poza wszelką miarę czasu. Zginęły w niepamięci lata okrucieństwa, cała kronika nieszczęść, ruin i krwi, własna męka i cierpienia narodu, przecięte było jak nić nieubłagane trwanie zła. Czyjaś dobra ręka zdjęła przekleństwo losu, ciężące nad pokoleniem, zerwała żałobną zasłonę i odkryła to, co prawdziwe i wieczne — piękno i urok istnienia.

-- Tak — tak... No tak... — zagadał profesor, widocznie zmieszany. — Pan daruje, pan zrozumie... W naszych czasach muzyka... Człowiek budzi się jak ze snu i odnajduje siebie... Ludzkość stworzyła jedną rzecz wyższą ponad własną możliwość, ponad możliwość swego pojęcia, ponad siebie samą — to właśnie muzykę. Zresztą, jestem przepracowany... Zresztą to gra moja córka, istota genialna i nieszczęśliwa. Nikt tak jak ona nie oddaje w Niemczech Bacha. Ale niepodobna uprosić, żeby zagrała dla ludzi, bodaj dla starego ojca. Ją trzeba podsłuchać — właśnie dopuściliśmy się tego wraz z panem — ha-ha... Niechże się pan przed nią kiedy nie zdradzi...

Zaczęło się życie spokojne, jakby nawrót do zamordowanej i pogrzebanej przeszłości, zasklepienie się w pracy ulubionej, samotność wśród retort, flaszek i bań z odczynnikami, w cierpkim zapachu chemicznych, w oparach chloru i siarkowodoru, przy zna-

komicie skonstruowanych najnowszych aparatach niemieckich. Doktor Helm spostrzegł pewnego dnia, że podśpiewuje sobie przy robocie, jak za najlepszych czasów, i dopiero się opamiętał — wszak zapomniał zeszczętem o swoich dziejach i kolejach i o tem, co go tutaj przywiodło! Było to niemożliwe, a jednak spędził przy pracy około dwóch tygodni, jakby bez wiedzy o sobie i bez myśli. To było urocze i jakieś fantastyczne. Nowy byt wydawał mu się snem, z którego nie chciało mu się budzić. Któż będzie nad nim czuwał, gdy nie działa w mózgu pełnia świadomości czasu i miejsca, i rzeczywistości świata, i samego siebie? Wszystko dokoła wydawało mu się czemś nieprawdopodobnie zwyczajnem i jak gdyby od dawien dawna znajomem.

Samo miasto, stary starodawny Mannheim i most na Renie, prowadzący na drugą stronę do Ludwigshafen, i pewne ulice, naprzykład plac przed ratuszem, były to miejsca, w których wyczuwał mętne, a chwilami jak gdyby poznawał, jakąś swoją pradawność. Widać ktoś mu kiedyś opowiadał o przepięknej pięćsetletniej lipie, stojącej na skrzyżowaniu czterech ulic, o tym paskudnym oficjalnym pomniku zwycięstwa... Z za każdego węgła wychylało się i umykało swawolnie żywe wspomnienie, urok dzieciństwa. Otrząsał się z tego, niepokoił się przez chwilę i znów poddawał się złudzeniu, zasypiał i budził się. Było to zabawne.

Pewnej nocy ocknął się i porywczo usiadł na

łóżku. W ciemnościach dookoła niego była próżnia, rzecz można, bez żadnej rzeczywistości. Raczej przeczuwał niż pamiętał, że tuż pod ręką ma kontakt, ale ułakł się światła. Zanim coś ujrzy oczami, musi to odtworzyć w sobie samym. Albowiem od niego zależy to, co zobaczy, jako prawdę. Jeśli zechce, może to zupełnie odmienić. Ale nie wiedział, czego ma chcieć — zgubił się w tej ciemności. Strzępy myśli, obrazów, twarzy, miejsc, czasów przelatowały mu przez głowę. Zamęt walki, trzask i huk w głowie... Maski dolega, pali, dusi... Zimna noc w błocie, strach i ciemności pełne jęków... Słowa, napuszone słowa, bohaterские słowa zbrodnicze we wszystkich językach świata — komunikaty w gazetach... Czwarty rok wojny?... To niemożliwość, to fałsz... San-Francisco, Chicago, New-York, Atlantyk, Paryż?... Znowu kłamstwo!... Zadymiona knajpa Hirschauers-Diehle, w ostatnim pokoju koledzy z „Badische“ i prawdziwe pełnoprocentowe piwo przedwojenne. Kolega Bieder (Żelazny Krzyż) opowiada o szturmach na Douaumont. Wołania — dosyć tego! Zaśpiewajmy!...

— Niema żadnej wojny,  
Nie było i nie będzie,  
To nasze jest orędzie —  
Niech żyje świat w spokoju!  
Etylen, Etylen ojciec rodu  
Błogosławi młodą parę.  
Niech ślubują sobie wiarę  
Dla wybawienia narodów.

Zaślubia Thioglikol  
Cnotliwą Chlorohydrynę...

...Kolumna jeńców francuskich maszeruje ulicą pod strażą jakichś starych, człapiących pseudo-żołnierzy. Zebranie towarzyskie w ogromnym salonie, gdzie ginie garstka kilkunastu panów i kilku pań. Rudowłosa Rita rozlewa herbatę... Ach, ona! Tylko ona! Nareszcie coś rzeczywistego — ale kiedy to było? Gdzie? W gorączce szpitala? W zapomnianej powieści? Duszący wyziew chloru... Odór starych trupów... Żadną miarą nie może odczytać słów telegrafu świetlnego, który łyśka i łyśka w pomroce... Co? Co? Nic nie rozumie...

Maca gorączkowo po ścianie, długo szuka i wreszcie przekręca kontakt. Widzi swoje odbicie w lustrzanej szafie i długo patrzy w zdumieniu — nie poznaje. Na szafie wazon ze sztucznymi kwiatami, na komodzie gipsowe popiersie Hindenburga, na ścianie cesarz i cesarzowa. Aha... Więc to tak...

Dzień biegł za dniem. Doktor Helm pracował ponad przepisowe godziny i nawet po nocach, aż asystent Mücke ostrzegł go po przyjacielsku, żeby nie narażał się kolegom, którzy wszyscy pracują uczciwie, ale trzymają się godzin, jak tego wymaga higiena pracy i jej istotna wydajność. Doktor Helm natychmiast przystosował się do zwyczajów „Wagershölle“, jak w zakładach „Badische“ i w całym Ludwigshafen przezywano ich tajemniczy, odosobniony pawilon. Z kolegami chciał się żyć po

przyjacielsku. Polubił zwłaszcza młodszego asystenta, Hansa Schramma, świeżo dyplomowanego chłopca, który był głośnym z tego, że przez omyłkę i ślepy traf, sam o tem nie wiedząc, przy sprawdzaniu spoistości składników, wytwarzających nowy wojenny gaz gryzący, odkrył nieznaną barwnik o nadzwyczajnych zaletach i otrzymał nań patent, który stanowił spory majątek. Wszyscy koledzy przeszli pewien czas służby frontowej, jeden jedyny Hans uchwycił się jakoś i odrazu po dyplomie, jako wyjątkowo zdolny, przydzielony został do instytutu badań profesora Wagera, zresztą przy poparciu wysokich sfer berlińskich. Koledzy, którzy proch potrosze już wachali, podrzywali z młodzieńca i od czasu do czasu, dość nierzadko napomykali w jego obecności, że do „Badische“ zjeżdża niebawem lotna komisja wojskowa, która przeprowadzi na miejscu surową kontrolę personelu technicznego i wybiera dekonników co do jednego. Nie wiedzieli chemicy z Wagershölle na jak srogie męczarnie wstydu skazywali młodego badacza i na jeszcze cięższe męczarnie strachu przed frontem. Doktor Helm był zdumiony wybuchem młodego kolegi, który pewnego dnia wpadł do niego z płaczem i wyznał swoją straszną tajemnicę. Był nikczemny, był wstrętny, żadną miarą nie mógł się przełamać... On wie, gdzie jest jego obowiązek... Jeden brat poległ, drugi jest inwalidą, dwaj stryjowie, ludzie starsi, od początku wojny są w polu, wuj na morzu, wszyscy koledzy rówieśnicy walczą, ilu już zginęło... A on nie może...

I jeżeli komisja go wyznaczy, odbierze sobie życie w koszarach albo najpóźniej w drodze na front. Nie lęka się śmierci, wszak sam ją sobie gotów zadać... To zgroza, która obezwładnia wolę, straszliwa, niepokonana odraza do wojny... Im dłużej trwa obłąd świata, tem mniej rozumie on to, co się dzieje. Jak to być może? Wszyscy przystosowali się do wszelkich niemożliwości, nikt się niczemu nie dziwi, a on tak samo jak w pierwszych dniach wojny budzi się codzien w zdumieniu. Z nikim nie mówi o tem, bo któż go zrozumie? Nawet koledzy go wyśmiewają i straszą frontem. Jest wyrodkiem, nędzarzem, niegodnym Niemcem, ale w głębi duszy przyznaje sobie słuszność. W nim jednym ocalał instykt jakiejś wiekuistej ludzkiej prawdy, którą wytępiono w całym narodzie. I cóż z tego? Jest i będzie nieszczęśliwy. Tylko bardzo mocny człowiek może znieść pogardę świata i pozostać samotny ze swoją prawdą.

Zaprzyjaźnili się. Hans uważał za zbrodnię prace badawcze Wagershölle, i co do siebie przynajmniej ręczył, że nigdy nie odkryje nowej trucizny, a gdyby to się zdarzyło przypadkiem, to poprostu utai całą rzecz i już. Z rozkoszą patrzyłby na pożar wielkiego miasta gmachów „Badische“, na potworne eksplozje, na strumienie „Żółtego Krzyża“, spływające kaskadami do Renu. Gotów był na wszystko, nawet na zdradę, byleby skrócić wojnę. Poza swemi tajemnicami Hans był dobrym, miłym chłopcem.

On to najskuteczniej wprowadzał zamerykani-zowanego Niemca w atmosferę kraju ojczystego. Zaprosił go do swego domu, zapoznał go z rodzicami, z siostrami. Doktor Helm przyjęty był najserdeczniej. Ogarnęło go ciepło domowe, staroniemiecka poczciwość i prostota. W zamożnym domu przyjmowano go przemarzniętymi słodkawymi kartoflami w mundurach, śledziem oraz wojenną lurą z sacharynką i placuszkami na sztucznym łożu, tym zapewne, który, jak pisano w zagranicznych gazetach, wytapiano z padliny końskiej i z trupów żołnierskich swoich i obcych. Nikczemność stołu okraszała atmosfera kultury, dobra muzyka — Elsa i Inna przy fortepianie. Obie miały narzeczonych na froncie i żyły tęsknotą i niepokojem, co otaczało je osobliwym urokiem. Były podobne do siebie jak bliźnięta, ciche i skupione, jak gdyby naprzód już zrezygnowane na przyjęcie złej wieści. Ruch i życie wprowadzała dopiero najstarsza siostra, która wpadała często w wieczornych godzinach i odrazu odmieniała wszystko w tym domu. Mąż jej był gdzieś na froncie, ale od dwóch lat rozstali się i odtąd nie zaglądał już do Mannheimu i wszelki ślad po nim zaginął. Pani Greta von Senden mieszkała właściwie w niedalekim Heidelbergu, ale życie spędzała w bezcelowych podróżach, miotając się po całych Niemczech. Nazywano ją warjatką, krążyły o niej skandaliczne plotki, z których nic sobie nie robiła, i wyzywała opinię rodzinnego miasta zarówno niebywale krótkim ostrzyżeniem po męsku,

jak bezczelnie krótkimi sukniami. Ukazywała się w miejscach publicznych otoczona bandą oficerów, zdiczałych na froncie i niemożliwie rozpasanych, którzy w ciągu tygodnia urlopu musieli sobie powetować wszystkie udręczenia wojenne i jeszcze ponadto na zapas. Gdy przychodziła do domu rodziców, dyrektor Schramm zamykał się w swoim gabinecie, siostry siedziały cicho, a pani dyrektorowa, przedstawiając córkę pana Helma, szepnęła mu: — To też ofiara wojny, w istocie jest niewinna i bardzo nieszczęśliwa. Proszę dla niej o wyrozumiałość i życzliwość.

Pani Greta promieniała urodą i humorem, i doktor Helm nie potrzebował zachęty, ażeby zainteresować się nią i to odrazu. Posepny, pocziwy dom Schrammów rozjaśnił się i zadźwięczał srebrzystym śmiechem. Była ona tu zjawiskiem egzotycznym, nie nadającym się ani do starych ciężkich mebli, ani do powagi i bogobojności całej rodziny. Wygadywała niesłychane herezje, wyśmiewała rodzzonego ojca, który pozwalał sobie nie uznawać wyrodnej córki, drwiła z wojny, opowiadała zgoła męskie anegdoty. Była urocza. Zaraz na wstępie zaczęła przedrzeźniać amerykański akcent doktora Helma i zabrała się do niego z impetem. Czcigodna pani Schramm, matka rodu, zatykała sobie uszy, gromiła córkę bez przestanku i zaśmiewała się do łez. Elsa i Inna milczały ze spuszczonej oczami i ożywiały się dopiero, gdy Greta zaczynała rozwiązywać swoją paczkę. Za każdym razem przynosiła takie specjały,



o jakich już oddawna zapomniano w tym domu, w Mannheimie i bodaj w całych Niemczech. Znosiła kiełbaski, białe bułeczki, szynkę, kurczęta pieczone, ciastka z kremem, prawdziwą kawę, prawdziwe masło, prawdziwy cukier. Tym razem była to tradycyjna chluba tego kraju, nadreńskiego Pfalzu, od lat zatracona i nieobecna — olbrzymi półgęsek. Zabrano się doń natychmiast i nikł w oczach, jedli wszyscy na wyścigi, jadł nie gorzej od innych i doktor Helm. Szło to tak szybko, że pani Schramm zaledwie zdołała uratować i odłożyć spory kęs dla nieprzejednanego ojca.

— Panie Helm, Niemcy już od dwóch lat jeżdżą to, co w pańskiej Ameryce dają świniom — łubin, otręby, siekanekę z trawy, brukiew. Panie Helm, czy pan spotkał u nas bodaj jednego tłustego człowieka? Wczoraj w Heidelbergu radca Knoff ukradł docentowi Wolffke dwie tygodniowe kartki chlebowe — sąd honorowy. Znakomity von Hintze odkrył dużą pożywność w badyłach łopianu, jeżeli tylko przetrzymamy do wiosny, Niemcy będą zbawione. Wówczas wyręczymy Pana Boga w ukaraniu Anglii, zresztą podobno od jutra trzy razy na dobę wszystkie stacje nadawcze będą eksmitowały odnośne ponaglenie — Gott straffe Egländ... aber schnell!

Odrazu za pierwszym spotkaniem pani Greta wychodząc zabrała ze sobą doktora. Odprowadził ją na dworzec i nawet wsiadł z nią do wagonu, a w pół godziny później, sam nie wiedząc jak się to

stało, znalazł się w jej mieszkanku w Heidelbergu. Był odurzony zachłannością tej osóbk. Jej zachowanie się, nierozważna paplanina, ryzykowne zwroty, pewne spojrzenia otaczały ją palącym tchnieniem pokusy i uprawniały do najbardziej fantastycznych nadziei, a raczej do oczekiwania już teraz jakiejś chwili, w której się one odrazu sprawdzą. W podobnym położeniu doktor nie był jeszcze nigdy w życiu i nie wiedział co robić. To też nic nie robił i czekał. Czuł swoje poniżenie i śmieszność w obrotach pięknej pani, a zarazem jakiś niezaznany urok. Drwiła z niego otwarcie.

— Dlaczego pan nic nie mówi? Dlaczego pan siedzi jak skazaniec? Dlaczego się pan uśmiecha tak głupio? Doprawdy wolę już naszych Niemców, niż tych amerykańskich! Chce pan koniaku?

Wreszcie doktor Helm, nie wiedząc co już począć ze sobą, obrażony na nią, a jeszcze bardziej wściekły na siebie, wstał i zaczął się żegnać.

— Co?!

— Pani wybaczy, ale mam tylko jeden pociąg... Jutro o ósmej rano muszę być przy robocie, mam pilne terminowe zadanie...

— Więc po jakiego licha przywalił pan tu za mną? Idjota jeden... Bałwan!

Te słowa zdzieliły go, jak pałką po łbie. Skulił się i umykał do przedpokoju, szybko narzucił palto, ale z zatrzaskiem u drzwi wejściowych nie mógł sobie poradzić. Zamknięto go. Na jeden moment napadł go szał wściekłości — i to jeszcze raz

na samego siebie. Putyfara już była przy nim. Pokorna, złamana, nieszczęsna, łzy w oczach.. Była tak zmieniona, że doktor na pierwszy rzut oka pomyślał, że to jest przecież niemożliwe...

— Niech pan o mnie myśli, co pan chce... Jestem bez czci i wiary, jestem ostatnią... Ale ja nie mogę, nie mogę żadną miarą zostać dziś sama w domu... Na litość boską, panie Helm... ja błagam... Tylko dzisiaj... Czyż ją się panu tak zupełnie nie podobam?

Gdy wczesnym rankiem śpieszył do stacji, śnieg grubą warstwą okrywał ulice i padał wciąż wielkimi płatami uroczyście i w ciszy. Miasto wyglądało odświętnie, stare lipy oblepione na wszystkich konarach i gałązkach puszyły się wspaniale w radosnym przepychu. Nawet konny pomnik miejscowego Wilhelma Wielkiego stał się piękny pod płatami śniegu. Doktor Helm szedł jak oczarowany, nigdy w życiu nie widział nic podobnego. Ocknął się jak ze snu w tajemniczym niespodziewanym świecie, gdzie niewiadomo jak się dostał. Coś się w nim nagle odmieniło, zdumiewał się samemu sobie, przystanął na rogu ulicy i z wysiłkiem przypominał sobie pewną rzecz, teraz właśnie najważniejszą... Ależ tak! Ależ tak!... Jest to może bardzo dziwne, ale przecież to rzeczywistość i innej niema. Powtarzał sobie i wbijał w głowę fakty wczorajszego dnia i wieczoru, i tej nocy — wszystko pamiętał, tak, ale niczemu nie ufał. Podejrzewał samego siebie. Czy on czasem —

o Boże — nie zmyślił sobie tego wszystkiego? POCO? NACO? Jak sprawdzić, gdzie on teraz jest? Ulica była pusta, szyldy nad sklepami — niemieckie, równie dobrze mógł to być Bern albo Zurich.. Heidelberg? Pani Greta? W jakim języku on myśli w tej chwili? W niemieckim? W angielskim? Same absurdy, absurdy!

To zamącenie nie trwało więcej, niż przez jakąś najniklejszą cząsteczkę sekundy. Przemknęło. Na teraz rzeczą najpilniejszą było nie spóźnić się na pociąg, a dalej najważniejszą, żeby nigdy ani jednego razu więcej nie spotkać się z panią Gretą. Przystanie bywać u Hansa, zresztą ta Greta jedzie teraz na czas dłuższy do Karlsruhe, ale to też nie bardzo daleko — strzec się, strzec się piekielnicy! Nie chce jej drapieżnych pieszczot, ani jej niewolniczych ust, ani cynicznego bezwstydu, ani tragicznego finału spowiedzi nad ranem, ani potoków łez, ani całego jej dramatu niewiernej żony, śmiertelnie zakochanej w mężu. W rozkoszach tej nocy, w owych otchłaniach kobiecej psychiki było jednak coś nad wyraz plugawego. Przy nawpół obłąkanej wszetecznicy sam pogrążał się w zamęcie i teraz doprawdy nie wiedział już, co było tej nocy, a czego nie było. Wszystko pogmatwało się w pamięci. Coś jej jednak o sobie powiedział... W godzinie wzajemnych wyznań, rozjątrzony rozpustą, zatruty tym przekętym koniakiem... Potknął się bardzo niebezpiecznie. A może mu się przywidziało?..

W pobliżu dworca wpadł w awanturę uliczną.

Zdaleka ujrzał kilkunastu ludzi, wprzęgniętych do wielkiego wozu, naładowanego workami. Gdy tylko ich zobaczył, drgnęło w nim coś, a miniona noc, Greta obawy i wstręty znikły przed czymś zupełnie niespodziewanem. Była to zjawia ponura i bolesna, rzecz zupełnie zwyczajna a zarazem niesłychana. Pomyślał — tak zawsze bywa, gdy się zobaczy coś takiego po raz pierwszy.

Gromadka jeńców francuskich z wysiłkiem brnęła w kopnym śniegu, ciągnąc wóz. Wysoko na workach siedziało trzech żołnierzy. Jeńcy wlekli się krok za krokiem, pochyleni, wpatrzeni w ziemię, jak prawdziwi niewolnicy, byli wynędzniali, obrośnięci, w złachanych niebieskawo-brudnych płaszczach. Nagle zaczerniało na jasnym śniegu od tłumy, który niewiedomo skąd się wziął, zapiszczały, zaskrzeczały mnogie głosy i rozjuszony rojowisko babskie oblepiło wóz i jeńców. Zakołysał się stos worków, trzej żołnierze zlatywali jeden po drugim i w jednej chwili z worków trysnęły na wszystkie strony ziemniaki. Mrowie ludzkie rzuciło się je zbierać, ludzie deptali się nawzajem, wydzielali sobie zdobycz, zabierając gdzie się dało, w podołki zadartych spódnic, w chustki. Tworzyły się doraźne zespoły, które taszczyły całe worki, odnosząc je w boczne uliczki, w bramy domów. Tam napadano na nie i rozpruwano im worki. Wrzask, ścisk. Jeden żołnierz leżał i stękał ze złamaną nogą, dwaj inni zrywali się co chwila i natychmiast zpowrotem obaleni byli w śnieg. Z każdą chwilą rósł

tłum. Doktor Helm, zepchnięty na jezdnię, znalazł się między jeńcami. Przeważnie stali z absolutną apatią, nie zważając na to, co się koło nich dzieje, jakgdyby tego zupełnie nie widzieli, niektórzy się śmieli do rozpuku, radzi widowisku, a jeden młodzisieński żołnierz, wymizerowany chłopczyzna, na gwałt zbierał zaśnieżone bulwy i pomagał je ładować w podolek fartucha dziewczynie klęczącej na śniegu, która wciąż powtarzała: danke, danke.

— Caput, Bochenland! On les aura...

— Et bientôt...

Doktor Helm nie odrywał oczu od zapadłych, sinych od zimna twarzy. To jest ów nieprzyjaciel, który opiera się potężnie niemieckiej i śmie trwać, trwać już czwarty rok naprzekór niezliczonym triumfalnym komunikatom...

W tłumie rabującym transport ani jednego mężczyzny, wynędzniałe kobiety, dzieci-widma, opatulone w łachmany. To — naród niemiecki, który stawia czoło całemu światu...

— O la la! Et vous aussi, mon capitaine?!

Podstarzały żołnierz, obrośnięty aż po same oczy rudawo-siwą szczeciną, rozwarł w podziwie usta, okazując resztki zębów. Rogatą furazerkę miał naciśniętą na uszy, szyję omotaną w jakąś szmatę. Dygotał bez płaszcza, w połatanej kurtce, w drewnianych trepach na bosą nogę.

— Oho, panom oficerom to pozwalają spacerować na swobodzie... Panom oficerom wszędzie dobrze, a ty człowieku zdychaj jak to bydlę...

— Gdyby tak pan kapitan użyczył człowiekowi papierosika... — Zabrali nas wówczas w maju pod Perthes.

— Pan kapitan nie poznaje? Kapral Vidal, zwany Zigomar. A pana kapitana dawno urządzili?

Żołnierze go obstąpili, gadając jeden przez drugiego, dookoła wrzał i kłębił się tłum, rosnący z chwili na chwilę. Doktor kręcił się wkółko, szukając któredyby się wydostać, machał rękami na jeńców jakby chcąc ich uciszyć, bełkotał słowa bez sensu niemieckie, angielskie. Wreszcie wymknął się i pobiegł na dworzec. Po drodze minął go samochód ciężarowy, pełen żołnierzy z Komendy Placu, śpieszący na ratunek upaństwowionych ziemniaków.

## IX.

W połowie lutego spadł jak piorun niespodzianie telegram z Głównej Kwatery od pułkownika von Vossa — przyjeżdżać natychmiast, konferencja zapewniona. Zaiste był to piorun, bo choć profesor oczekiwał nań od trzech tygodni, od samego początku nie miał żadnej nadziei na skutek swego rewelacyjnego listu. Zapadł był w zniechęcenie, liczył i przeklinał swoich wrogów, wyszukiwał ich z niemiecką przebiegłością, zjadał się w zawziętym rozpamiętywaniu wszystkich swoich krzywd.

A dookoła krążyły widma. Trzebaż było narzeczcie przygotować Ritę i oznajmić jej, że U. C. 17, która „nie powróciła w przewidywanym czasie“, jak mu to oznajmiono listownie ze sztabu marynarki w Kiel — nie powróci już nigdy. Profesor nie wiedział jak to zrobić. Truchlał przed myślą, że ta zdziwaczała, niesamowita Rita na wieść o śmierci Fella nie wytrzyma ciosu nieodwołalnego faktu i choć z całą pewnością przypuszcza coś niedobrego i może daleko więcej niż daje po sobie poznać, to jednak samo głośne wypowiedzenie straszego słowa posiada swoją moc miazdzącą. Potarga się w strzę-



py jej myśl, wieczny mrok spadnie na przesubtelny umysł i zgaśnie cudowny urok Rity. Co z niej zostanie? Martwy kształt, widmo dawnego piękna i straszliwa choroba obłądzenia, o nieodgadzionych, może najwstrętniejszych objawach, udręczenie, wobec którego grób jest niemal szczęściem. Grób zostawia nietkniętem to, co było drogie i święte, nawet wzmacnia w żalu pamięci wszystkie uroki zmarłego. Ale obłądzenie... Na samą myśl o sponiewieraniu przez obłądzenie takiej duszy jak Rita profesor Wager gubił się i nic już o sobie nie wiedział. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł i to jeszcze znieść i przeżyć. Znikała ojczyzna i jej straszliwy los, ukochanie i dostojeństwo życia — wiedza stawała się martwą izbą, pełną czerepów szklanych, bań, rurek i odorów chemii. Olbrzymie zakłady rozsiane po całym kraju, setki kominów, ziejących dymem dzień i noc bez przerwy od trzech lat, dziesiątki tysięcy robotników, przerabiających jego odkrycia w chmury żrących oparów — wszystko to zapadało się w ciemność i nicość.

Teraz odmienia się wszystko, jak gdyby o tej porze tuż w salonie przy samym ogniu na kominku siedzieli wszyscy troje — Rita z promiennymi oczami, przy niej mąż, a z drugiej strony Kurt. Zmalało wszystko, co było własne, ogrom ojczyzny zasłonił troski i bóle, i stary zgorzkniały człowiek poczuł w sobie bohaterską, wiecznie młodą krew swej rasy. On sam jeden potrafiłby zmierzyć ogrom tego, co uczynił dotychczas dla obrony kraju, ale

teraz — teraz staje przed nim zadanie godne prastarych bogów germańskich — ocalenie Niemiec i triumf Niemiec nad światem. Dzięki niemu to odkupione będą wszystkie groby i wszystkie męki narodu, a poczarne, obłąkane dzieje tych lat odzysczą swe dostojęstwo i chwałę w obliczu przyszłych pokoleń...

Na dworcu w Kreuznach czekał nań pułkownik von Voss. Dzielny żołnierz wychudł i znędzniał, poraz ostatni widzieli się przed półrokiem, a teraz wydało się profesorowi, że postarzał o lat dwadzieścia. — Zdrowie? Owszem, jako tako. Ale czasy straszliwie ciężkie. Niemcy są w matni. Praca ponad siły rozumu ludzkiego. Takie natężenie woli, taki ciężar odpowiedzialności... A tu rwie się wszystko. Kruszą się nawet ludzie z żelaza. Jeżeli w ciągu najbliższych miesięcy nie nastąpi rozstrzygnięcie, to już nie podolamy. Czas! Czas, drogi profesorze, staje wpoprzek niemieckim nadziejom. Czynimy teraz wysiłek, godny tytanów, gromadzimy całą moc, wszystkie zasoby, cały genjusz niemiecki... Rzucamy na szalę krew najmłodszych i najstarszych naszych roczników — ostatnią krew narodu. Stawiamy wszystko na jedną kartę... I daj Bóg...

Profesor słuchał i z grozy tych słów budziło się w nim uniesienie. Jeżeli jest aż tak źle, to tembardziej muszą go nareszcie posłuchać. Wielki Wagner odmieni wszystko. Jeszcze czas. Na szerokim obcym świecie pokolenia będą przeklinać jego imię, ale Niemcy prowadzą je do panteonu, jako wie-

czyste imię święte. W tej chwili profesor wierzył, wierzył w moc swego cudu. Przekona najoporniejszych sceptyków, najbardziej zakamieniałych biurokratów wojskowych. A przecie Ludendorff jest człowiekiem wielkim i wlot zrozumie jego ideę. Przecie jest potężnym władcą i rozkazu jego słuchają wszyscy — sześćdziesiąt milionów Niemców!

— Jego Ekszelencję pierwszego generał-kwatermistrza uprzedziłem jaknajprzychylniej, zresztą samo imię pana profesora... Ale proszę go przekonać! Proszę w razie potrzeby mówić mocno! Ludzie naczelni miewają swoje dziwactwa, upory. My, żołnierze, nie możemy nastawać, napierać na naszą najwyższą władzę. Pan jest człowiekiem wolnym, i gdy on podniesie głos, pan ma prawo krzyczeć! W razie potrzeby niech mu pan powie, iż w broni chemicznej pan właśnie jest Ludendorffem, a on — niczem. Że jego eksperci i generałowie gazowi są fuszerami wobec wielkiego Wagera. Niech się pan domaga nadzwyczajnych pełnomocnictw, inaczej zje pana kamarylla Głównej Kwatery.

...Wytworny biały pałacyk, stare drzewa, kilkadziesiąt uszeregowanych samochodów, na łączce w parku baterje przeciwlotnicze z obsługą w pełnem pogotowiu, straż honorowa w hełmach...

Więc to jest owo miejsce tajemne, Olimp niemiecki w chmurach, warownia mocy uzbrojonego narodu, ognisko jego myśli i woli, tu jest skupiony cały genjusz rasy... W tym białym domku ważą się losy wojny, losy świata... Profesor był głębo-

ko wzruszony, wstępując po kamiennych stopniach na taras willi, jak gdyby wkraczał w dziedzinę fantastyczną, w której króluje męt.

W obszernej poczekalni, gdzie na marmurowym kominku odbijało się w lustrze popiersie cesarza, oczekiwało kilkunastu generałów. Stali w grupach pod wielkimi oknami, wychodzącymi na park, każdy ze swoją teką pod pachą. Prowadzili przyciszone rozmowy, a przeważnie stali w skupionem milczeniu, w pogotowiu. Coraz to któryś z nich nerwowym ruchem podnosił do oczu lewą rękę, na której miał zegarek polowy. Twarze były blade, oczy niewyspane i niespokojne. Wszyscy byli sztywni, jak nieobcy, jakby czemś zakłopotani czy wystraszeni. Pułkownik von Voss posadził profesora w fotelu, poczęstował go papierosem i znikł za ciemną kotarą, osłaniającą drzwi do dalszych apartamentów. Profesor rozglądał się dyskretnie. Co chwila za oknami warczał samochód i co chwila do salonu wchodził ktoś nowy. Poczekalnia zapełniła się. Z za kotary ukazał się młody wyświeżony kapitan i z wojskowym szastaniem się przedstawił się profesorowi. On pierwszy tu odezwał się głośno i tem zburzył urok tajemniczości i skupienia. Pokręcił się wśród przybyłych, odnotowując sobie coś na papierku, gadał, roześmiał się ze trzy razy i znikł.

Profesora onieśmiało to, że on siedzi sam jeden ze wszystkich i że on jeden w tym pokoju pali. Powstał, podszedł do kominka i cisnął w ogień niedopalonego papierosa. Już nie siadał z powro-

tem, stał i czuł się coraz niezręcznie. Ci oficerowie, zapewno wezwani z frontu, stojący tu sznurem w milczeniu, dawali mu przedsmak ogromu tej władzy najwyższej, która przebywała za ciemną kotarą. Za chwilę nadejdzie godzina trzynasta minut piętnaście, wyznaczona mu na audjencję. Czy, gdy stanie przed dzierżycielem losów wojny, zachowa należyłą sprawność myślenia, czy zdoła argumentować jasno i dobitnie, a cóż dopiero bronić swojej tezy, a więc walczyć? Profesor nie był człowiekiem nieśmiałym, ale środowisko, w którym się znalazł, wyglądało mu szczególnie obco. Dlaczego żaden z tych panów nie ośmielił się usiąść? Czy to etykieta wojskowa, czy serwilizm? Czyż będą stali i stali przez cały czas jego audjencji? Profesor spodziewał się być jakichś dwóch godzin, pułkownik von Voss roześmiał się tylko na to, ale dodał, że jeżeli profesor zdoła zainteresować Ekscelencję, to będzie miał dość czasu na zasadnicze wypowiedzenie się. Dręczyli go ci panowie z frontu. Będą tu sterczeli, będą wisieli nad nim, czyhając na jego czas, licząc mu minuty. Jakże tu rozwinąć kolosalny plan? Jak bodaj oswoić wodza z niesłychaną nowością samej rzeczy? Jeżeli on na to niema czasu, to poco go tu ściągał?...

Spojrzał na zegarek — pierwsza trzynaście. W tej samej chwili wyświeżony, uśmiechnięty kapitan uchylił zasłony.

— Panie tajny radco, prosimy...

Twarz wodza wydała mu się niemiłą, martwą.

odstręczającą, wręcz niespodziewaną, mimo tylu fotografii i portretów, które były w każdym domu niemieckim. Ale ze spojrzenia bladych oczu biła moc władzy, to był człowiek, który umie rozkazywać i narzucać swoją wolę milionowym masom. Wypowiedział parę uprzejmych słów, ale twarz jego zostawała martwą, była to jakby uprzejmość maszyny.

— Słucham pana, panie tajny radco. Mamy dla siebie całych piętnaście minut.

To odrazu oszołomiło profesora, jednak przemógł się i zaczął, tylko nieco obcym głosem, który dochodził do niego jakby zdaleka. Wyrzucił wstęp, charakterystykę dotychczasowego okresu broni chemicznej, błędy popełnione przez wytwórnice i przez kierownictwo armji... Oznajmił poprostu, że ma nową substancję, której siła niszcząca, jej trwałość w czasie i zasięg w terenie przekracza wszystko, co do tej pory było znane lub przewidywane w tej dziedzinie. Jeżeli stan obecny chemji na usługach wojny porównamy ze starożytną katapultą, ciskającą głazy kamienne, to nowe odkrycie będzie najnowszym działem Kruppa.

— Tak jest, Ekscelencjo, bez przesady. Wiem co mówię.

I profesor zamilkł wymownie, czekając efektu. Ale nic nie drgnęło w kamiennej twarzy wodza.

— Słucham pana.

— W poszukiwaniach moich idę dalej i dochodzę niemal do substancji nierównie potężniejszej, której samo zademonstrowanie na drobnym odcinku

frontu wystarczy, aby nieprzyjaciel złożył broń i przyjął nasze warunki kapitulacji. Ale i to co mam gotowe wystarczy. Potrzeba mi około trzech miesięcy czasu na zorganizowanie produkcji masowej i na pierwsze zaopatrzenie frontu pod warunkiem, że niezwłocznie rozpocznie się intensywne szkolenie materiału instruktorskiego, a następnie masy żołnierskiej. W tym celu zażądałbym nadzwyczajnych uprawnień nad całą zmilitaryzowaną produkcją chemiczną kraju oraz kredytów w wysokości dwudziestu milionów na pierwszy miesiąc. Na następny oczekiwałbym sumy podwójnej.

Te cyfry sprawiły pewne wrażenie. Koniuszczki rudawych podkreconych wąsów uniosły się nieco ku górze — miał to być uśmiech. Wielka obrzękła twarz tajnego radcy odrazu napłynęła krwią, a gdy przemówił, usta mu drgały.

— Ekscelencjo, sądzę, że zasługuję na zaufanie...

Nie doczekawszy się potwierdzenia, mówił dalej:

— Jeżeli idzie o sprawdzian obiektywny, o dokonanie prób, to oczywiście nic nie staje na przeszkodzie tej konieczności. Prosiłbym tylko, ażeby odnośne zarządzenia wydane zostały niezwłocznie i ażeby odnośna komisja składała się z ekspertów kompetentnych.

-- To znaczy?

— Albowiem, Ekscelencjo, zbyt gorzkie mam pod tym względem doświadczenie z ubiegłych trzech lat. Przez ignorancję i biurokratyzm odnośnych sfer

wojskowych zaprzepaszczano cały szereg projektów, niezmiernie wybitnych. Doprawdy, inaczej wyglądałoby o tej porze, gdyby...

— Panie tajny radco, dziękuję panu w imieniu armji za pańskie tak wydatne prace dla obrony ojczyzny i doprawdy miło mi było pana spotkać osobiście. Co do tak daleko idących propozycji pańskich, to oczywiście są one ponad wszelki podziw, ale w obecnym stanie rzeczy obejdziemy się bez środków nadzwyczajnych. Mamy w ręku taran ofensywy o mocy rozpędu nieznaney w dziejach. Mamy kolosalne zaopatrzenie techniczne, niebywałe jeszcze w tej wojnie, a co do amunicji artyleryjskiej, to czterdzieści pocisków na sto — są to pociski gazowe, to chyba dosyć dla honoru broni chemicznej, panie tajny radco? A dalej, mamy nowe metody walki, które zaskoczą nieprzyjaciela. Słowem — spodziewam się niebawem zakończyć grę. Dziękuję panu jeszcze raz.

Wódz powstał i z powagą wyciągnął rękę na pożegnanie. Adjutant, uśmiechnięty kapitan ukazał się na progu.

— Heinrich, dawaj mi tu na początek dowódców korpusów siódmej armji...



## X.

Północ biła kolejno, zwolna, uroczyście na zegarach miasta Mannheimu, gdy doktor Ossian Helm oderwał się od swej nocnej pracy. Na rokokowym biurczku, twarzą w twarz z gipsowem pobronzowanym popiersiem wielkiego Marszałka Hindenburga, pod portretami pary cesarskiej pisał swój raport z pierwszego miesiąca drobnym maczkiem na najcieńszym papierze, pokrajanym w wąziutkie paseczki. Bez trudu i zachodu zebrał w ciągu tych kilku tygodni olbrzymi materiał, gdyż dla obznajomienia się nowego pracownika „Wagerowskiego piekła“ z dotychczasowym stanem broni chemicznej otwarto mu naocześnie laboratorium, bibliotekę wydawnictw poufnych i tajne archiwum prób i poszukiwań. Codziennie zwiedzał różne oddziały „Badische“, konferował z kolegami, zaglądał do laboratorium doświadczalnego wytwórni masek. W układzie swego raportu starał się być obiektywnym, ale mimowoli wpadał w ton alarmujący.

Potęga niemieckiego przemysłu chemicznego była przerażająca. Od ujmującej dobroduszej postaci profesora Wagera biła groza — ten człowiek

niał w zapasie tajemnicę, której nie znał nikt z braci chemicznej w Ludwigshafen. Szeptano o niej, puszczano się na ryzykowne domysły, plotkowano, blagowano. A gdy w owym czasie ukazał się w piśmie ów fenomenalny wywiad z cesarzem, który zatrwożył cały świat, w Wagershölle wszyscy byli najpewniejsi, że mowa tu o tajemnicy profesora.

— Niechże Bóg nie dopuści, abyśmy w kolejach wojny byli zmuszeni przez nieprzyjaciela uciec się do nowej broni, która jest w naszym ręku, a przed którą wzdyga się nasza myśl... Tak mówił cesarz.

Ów straszliwy „Żółty Krzyż“, który szerzył spustoszenie i panikę na froncie, a z którym wiedza i przemysł Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych nie mogły sobie poradzić, był z łatwością od razu odkryty. Po to został wysłany tak zwany doktor Ossian Helm i jeżeli te skrawki papieru dojdą do celu, zadanie jego będzie spełnione. Może wracać do Francji po nagrodę za swoje trudy i poświęcenie — instrukcja była jasna i wyraźna. Poza tem przesyła formuły i ścisły opis produkcji dwóch jeszcze morderczych nowalij niemieckich — substancyj, nacechowanych na pociskach zielonym krzyżem, błękitnym krzyżem. Wykradł zagadkę Renu. Czyba dość? Jakąż nagrodę wymyślić można za podobne czyny?

Zapewne spokojny, legalny powrót będzie związany z dużymi trudnościami, brak było jakiegokolwiek pretekstu do urlopu, jego zachcianka wyjaz-

du na parę dni do Szwajcarii czy do Holandji wyda się napewno podejrzaną. Mógł przekraść się przez granicę przy pomocy stosunków francuskiej centrali w Berlinie. Zresztą jest na służbie i o wszystkim postanowi jego tajemniczy szef — van Trothen.

Gdyby mu zostawiono do wyboru wrócić do kraju lub zostać i trwać dalej na posterunku — sam nie wie, coby uczynił. Czyżby sądzonem mu było jeszcze zażyć spokoju i własnego szczęścia? Taki obrót losu nie mieścił mu się w głowie. Od wybuchu wojny przeczuwał, że nie wyjdzie cało z kataklizmu, a po czterech miesiącach walk nad Somme'ą — nawet nie chciał już doczekać końca wojny. Zadużo zniósł okropności, do cna zdarły mu się nerwy. Zatracił ochotę i zdolność do spokojnego życia, zatracił samego siebie i bytował z dnia na dzień w okropnych warunkach frontu w obłędnym mniemaniu, że ze wszystkiego co być mogło, to jest jeszcze najlepsze... Najlepsze, gdyż każdego dnia, o każdej godzinie, w każdej chwili może przyjść śmierć — wybawienie. Po tem, co widział nad Somme'ą — nie godziło się wyżyć, śmierć była jedynem odkupieniem żołnierzy za zbrodnie i bezeceństwa, do których przykładał ręki. Ale omijała go śmierć i gdy w szpitalu w Tours odszukał go wysłaniec Ministerstwa z biura Nr. 2 i przedstawił mu propozycje, które jednocześnie były rozkazem — usłuchał bez namysłu. Albowiem ta nowa okropność też niosła w sobie grozę i śmierć, ale zarazem była trudniejsza i nieznaną, zaciekawiała. I było w niej

jeszcze zjawisko niesłychane, dokoła którego obra-  
cało się tam wszystko — na zawsze, na wieki  
wieczne pożegnane ukochane słowo — Chemja.

I tu na wrogiej ziemi niemieckiej, na nowym  
tak osobliwym odcinku walki, w atmosferze zadań  
i zagadek chemji rozpoczęło się jakieś fantastyczne  
podobieństwo życia, jakiś byt rozszczepiony, po-  
dwójny, pochłaniający przez nieustanny niepokój,  
przez ustawiczne czuwanie o każdej godzinie każ-  
dego dnia, nawet we śnie. Był w tem osobliwy urok  
zaprzeczenia wszelkiej rzeczywistości, wzniesienia się  
ponad normy ludzkie, była w tem bezprzykładna  
nowość, jakaś niepowtarzalność w napięciu psy-  
chicznym. Jakże często spadały nań chwile powąt-  
piewania o sobie samym, gdy wymykał mu się  
ostatni sprawdzian jego realnego istnienia... Te mo-  
menty, przelatujące we mgnieniu oka, miały swój  
własny byt i skupiały się już w jakoweś dzieje se-  
kund, a każda z nich posiadała swoje odrębne obli-  
cze, które zostawało nazawsze obecne w pamięci.

Gdy rozmyślał o sobie, wydawało mu się nie-  
podobieństwem, żeby ktokolwiek kiedykolwiek miał  
lub mógł mieć podobne przeżycia psychiczne. We  
wszystkich krajach walczących grasuje niezmiernie  
wielu szpiegów wszelkiego gatunku i kalibru i każ-  
dego z nich jednakowo pali w pięty ziemia nieprzy-  
jacielska, po której stąpa. Ich strach jest inny, roz-  
maitszy, rzecz można bardziej twórczy, mniej ordy-  
narny, niż na otwartem polu walki. Ale z samego  
strachu nigdy nie mogą powstać w duszy te momen-

ty zatracenia pojęcia o sobie, przenikające grozą i śmiertelnem upojeniem. Wierzył, że w jego przeznaczeniach sądzone było, aby wkroczył w tę niebezpieczną krainę ułudy i wyzbył się samego siebie, wyzwolił się. W jakim celu? A czyż ma jakiś cel to lub owo w człowieku? Jaki cel ma naród? Świat? Jakież cel ma wreszcie i ta wojna, jeżeli pominąć fałszyże dokumentów dyplomatycznych, demagogję podżegającej prasy i hypnozę ciemnych mas które dają się mordować, wygładzać, niszczyć i szarpać, nie pytając za co i o co?

To, co się w nim poczynało, było podobne do nałogu pijaństwa, do namiętności morfinisty, palacza opjum. Żądza wyzbycia się samego siebie, wyrwanie się z tego, co w nim samym jest rzeczywiste, albowiem zbyt nieznośną się staje nuda tego co jest. Dopiero tutaj, w poniżeniu kariery szpiegowskiej zaczynał w nim wracać zagubiony w latach wojny instynkt życia, smak istnienia. Gdy chwilami zapominał o tem, że jest Francuzem, gdy czterdzieści lat jego życia odchodziły w senną nicość, gdy stawał się naprawdę doktorem Helmem, przybyłym z Kalifornji, aby służyć swej nieznannej niemieckiej ojczyźnie — wówczas ogarniało go rozkoszne poczucie pełni życia i jego bijącego tętna. A gdy nawiedzały go momenty wahania, niepewności kim on jest, co zdarzało się w nagłych ocknięciach, po nocy, kiedy to kapitan Déspaix spotykał się oko w oko z doktorem Ossianem Helmem, wówczas dostrzegał na mgnienie oka błyskawicę prawdy,

a w niej nietylko absurd wojny, ale jego najściślej-  
szy wyraz, coś nakształt chemicznego znaku.

Żył spokojnie, pracował, znakomicie wypełniał  
swoją rolę. Zawsze czuwał w nim samoczynny nie-  
zawodny aparat, czuły na najslabszy cień niebez-  
pieczeństw. Profesor Wager podziwiał jego po-  
lot w pracach badawczych i szybkość orientacji w  
najzawilszych zagadnieniach. Wyróżniał go i zbli-  
żył go do siebie, koledzy, starzy, zasłużeni pracow-  
nicy profesora zazdrościli przybłędzie, temu osobli-  
wemu Niemcowi z końca świata. Zawiść wzmogła  
się w Wagershölle, gdy w parę dni po powrocie  
z Głównej Kwatery profesor zaprosił obieżyświata  
na obiad. Stary uczony miał w tem pewien ukryty  
zamiar.

Baronowa przyjęła go w małym saloniku i ro-  
biła honory domu w jakimś zadumanem roztargnie-  
niu. Jej oczy były zagaste i jakby niepatrzące. Za-  
częła zwyczajnie: o pogodzie. Tej zimy tak skąpo  
słońca, a ona nie może bez słońca. Śnieg stopniał,  
jest pusto, goło, brudno, obrzydliwie, a do tego ten  
nieustający wicher. Dmie w tym samym tonie, który  
spotyka się tak często u Wagnera, naprzykład w „La-  
tającym Holendrze“. Nie lubi Holendra, tam woła  
morze, a morza ona nie znosi, poprostu boi się  
morza.

O tych rzeczach banalnych mówiła jakoś na-  
wpół tajemnie, spowiedniczo, jakby sama do siebie.  
Mówiła przyciszonym głosem, z namysłem pochy-  
lała głowę. Oczy miała przymknięte, ręce splecione

między kolanami jakby w poddaniu się jakiemuś oczekiwanemu nieszczęściu. Zamilkła.

Doktór Helm parokrotnie wszczywał rozmowę, ale gdy mu nie odpowiadała, poprzestał na patrzeniu na nią i czekał, rychło li zjawi się profesor, którego głos słyszał przez kilka pokoi, wysilający się przy telefonie, by uzyskać połączenie z Höchst.

Wiedział, że pani Rita czeka od trzech miesięcy na wieść o mężu i że ojciec i wszyscy ukrywają przed nią katastrofę UC17. Poraz pierwszy od dawien dawna uzalił się ludzkiemu nieszczęściu, spowodowanemu przez wojnę. Za dużo trupów widział, za dużo płaczących żon i matek... Tu ujrzał cios wojny, wiszący nad tą głową nieporównaną, prześliczne oczy, przymykające się co chwila przed widmem śmierci i, o dziwo, poczuł w sobie łzy. Opamiętał się i zaczął o byle czem, żeby zagadać ciężką chwilę milczenia, które stanęło między nimi. Bał się, że lada chwila pani Rita podniesie nań oczy i powie wręcz:

— I pan wie, że Fell nie żyje i każdy wie — pocóż kłamiecie wszyscy?

Nagle porywczo podniosła głowę i przeszyła go spojrzeniem ostrem i rozpaczliwym, jakgdyby odgadła co pomyślał. Trzeba było natychmiast mówić, gadać, wszystko jedno o czem. Ale nie mógł zacząć, spętany temi oczami. Utonął, zapamiętał się w ich głębinie. Tak mijały minuty. Profesor skrzeczał w telefon, w sąsiednim pokoju służba szczękała talerza-

mi, na ulicy sapały i zgrzytały ciężarowe samochody, a między nimi obojgiem usłała się głucha cisza. Rita zapatrzona zdawała się coś odgadywać w nieznanym człowieku. Pochłonęło ją to zupełnie. Zauważyła na jego twarzy cienie ruchome, które przesłaniały jak gdyby jego prawdziwą obecność, ta twarz mieniła się, to była sobą, to była cudzą i znowu własną. Czuła do tego człowieka zwyczajną ludzką sympatię, to znowu odpychał ją czemś nieokreślonym. Z urody i z całej postaci był to sobie zwyczajny pan doktor, ale to było tylko pozorne w tym człowieku. On jest w istocie zupełnie inny. Dlaczego on udaje? Czy jest za głupi, czy może za brzydki, czy może zbyt niedobry, że musi robić z siebie innego? Kto on jest? I zapomniawszy się zapytała głośno i nieco natarczywie:

— Kto pan jest?

— Ja? Ossian Helm, chemik, pamięta pani... przed dwoma tygodniami...

— Ja pamiętam, ale nie o to pytam, panie doktorze — uśmiechnęła się z wdzięcznym zakłopotaniem. — Tak spytałam i trudno mi powiedzieć dlaczego. Przepraszam.

— Kto jestem? — podjął doktor z uśmiechem — a któż to może o sobie powiedzieć coś pewnego?

— O tak! Tak! — potwierdziła z zapalem. — Ja, na przykład, bywam bardzo często małą dziewczynką i nie pamiętam o niczem, co było później. Wówczas jestem szczęśliwa, ale to trwa bardzo krótko,



o wiele krócej niż dobry sen. Przenoszę się czasami do jakichś tajemniczych obcych krajów, albo też przebywam w czasach Karola Wielkiego, Hanzy, albo wśród Meistersaengerów, ale też bardzo niedługo. Zdarzało mi się bywać listkiem klonu, który płynie z prądem Renu, zdaleka, niewiadomo skąd — ale na tę chwilę ja, jako listek wiedziałam o sobie wszystko i znałam moje macierzyste drzewo. Ono stało na wysokim brzegu na zakręcie rzeki, wyrosło wśród ruin zamczyska i pamięta co się tam działo, gdy na zamku mieszkali ostatni dziedzice. To było w końcu siedemnastego wieku. Ostatni z rodu, zubożały przez wojnę trzydziestoletnią był wówczas starcem, wszystkie jego dzieci pomarły...

Kilka łez wymknęło się z jej oczu, zamilkła. Przez te łzy spojrzała nań ze zdumieniem, zapytała:

— Co pan mówi?

— Nic nie mówiłem, pani baronowo...

— Pan tego wprawdzie nie powiedział głośno, ale pan sobie pomyślał o mnie, że ja jestem bardzo głupia? Nie jestem taka niemądra, ale panu musiało się tak wydać, bo ja nigdy nie umiałam rozmawiać tak jak wszyscy. Dla mnie właśnie zwyczajne towarzyskie rozmowy o niczem są niepotrzebne i śmiertelnie nudne. Często w jakimś salonie wszyscy co do jednego nie mają sobie nic do powiedzenia i nudzą się śmiertelnie, a gadają, gadają — z najwyższem ożywieniem, aż huczy w całym domu. I do czego to podobne? Już lepiej opowiadać sobie plotki po kątach, albo kłócić się o po-

litykę. Ludzie nie umieją milczeć, a ja bardzo lubię nic nie mówić. Ale wówczas wszyscy są zdania, że jestem nudna. Cóż, kiedy najczęściej niema się wiele do powiedzenia. I teraz nie mam o czym... Aha — pan wie? Na obiad będzie szynka!

Dr. Helm słuchał jej z uśmiechem, jak się słucha małego dziecka, a wpatrywał się w nią badawczo, szukając przyczyny jej nadzwyczajnego uroku. Nie była piękna, ale zdawało się być pewnem, że przy niej zgasłaby najwspanialsza kobieta. Sam głos jej czarował i pieścił, ale w wyrazie jego przeważały smutek i skarga. Skarżyły się jasne brwi, wzniesione tragicznie, skarżyły się usta. Jakże musiała być ubóstwianą przez męża, tego, który już nie żyje... Jakże śmiertelnie kocha go ona, która dręczy się tęsknotą, spodziewa się, że lada chwila otrzyma nareszcie wieść szczęśliwą. Nie — już w niej wypisana żałoba, w tajemnem przeczuciu, w wizji podświadomej musi ona odpędzać od siebie straszliwą marę, która staje w progu — i już nie odchodzi na żadne zaklęcie...

— Każ podawać, Rito! Panie doktorze, nasze niemieckie obiady są teraz takie, że nie wypada na nie zapraszać. Ale za tym razem mamy niespodziankę, dar mego przyjaciela, dzielnego pułkownika. Jest to jedyna zdobycz, jaką przywożę z Głównej Kwatery... Odszkodowanie za zawiedzione nadzieje... Pyff, Wager, najedz się raz dosyta i uspokój się!... Nie trap się nad zbawieniem ojczyzny, gdyż jest ona już niejako zbawiona, zajął się tem kto inny...

Cóż mogłem na to odpowiedzieć panu pierwszemu generał-kwatermistrzowi? Kiedy tak, to tem lepiej, Ekscelencjo!... Wie pan, jak długo trwała audjencja? Jedenaście minut, z zegarkiem w ręku... Tam w Kreuznach mają za dużo roboty, żeby się zaprzętać głupstwami...

Po owej szynce, która była wspaniałą szynką amerykańską, a do tego zdobytą w angielskich okopach, Rita wymknęła się a profesor, nie zatrzymując dłużej swego gościa, prosił go, bardzo prosił, żeby przychodził do nich wieczorami. Idzie o biedną Ritę, żeby miała czasami kogoś koło siebie. W samotności rodzą się w niej niebezpieczne przywidzenia, chwilami mówi od rzeczy. Zasklepia się w swoim fantastycznym świecie i niewiadomo do czego to doprowadzi. Rozpacz ogarnia na myśl, co z nią będzie, gdy dowie się o śmierci męża. Przed miesiącem jeszcze był ostatni cień nadziei, że mógł się dostać do niewoli, już były takie wypadki cudownego uratowania całej załogi, nie mówiąc o potwornej zbrodni komendanta krążownika pomocniczego „Baralong“, który gdzieś koło Islandji nie dał uratować ani jednego z rozbitków U28. Ale za tym razem Anglicy pochwaliliby się zdobyczą, w ich obecnym ciężkim położeniu na morzu nie mogliby nie rozgłosić tego na cały świat — a jednak o UC17 od trzech miesięcy cicho... Rita ani jednym słowem nigdy nie wspomni o mężu, tem gorzej...

Korzystając z dobrej sposobności Helm prosił profesora o parę dni urlopu, chciałby zobaczyć Ber-

lin, stolicę swej odzyskanej ojczyzny. Naturalnie, oczywiście, to mu się należy, więc, powiedzmy — za tydzień.

I stało się tak, że w ciągu całego tego tygodnia, dzień w dzień, doktor Helm bywał u Rity. Ojciec nie przeszkadzał im, gdyż wybrał się w podróż okrężną po oficerskich szkołach gazowych z wykładami. Rita przyjmowała gościa we własnym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Za każdym razem witała go tak, jak za pierwszą wizytą, z tem samem zdziwieniem w oczach, jakby go nie poznawała, ale była niemal uprzejmą i czas im schodził do późnej godziny. Doktor Helm odrazu wyzbył się pustych ceregielów towarzyskich i odgadł łatwo jak ma się zachowywać w obliczu osoby tak dziwnej. Ich rozmowa rwała się, wymilczali się niemal gadzinami, a o czemkolwiek zaczynała Rita w swoim stylu fantastycznym, było to przyjmowane tak samo, jak gdyby mówiła rozsądnie. Doktor niczemu się nie dziwił, żadne urojenie Rity nie wytrącało go ze spokoju, potrafił zawsze odpowiedzieć na najbardziej nieoczekiwane pytanie, dostosował się do niej i niejako upodobił. To snać podbiło samotnicę, gdyż już za trzecią wizytą doktor Helm doznał wyjątkowej łaski, jakiej nie dostąpił w tych smutnych czasach rodzony ojciec.

— Pan mógłby wytrzymać bez wojny? Gdyby się jutro skończyła, jakby pan to przyjął? Wszyscy modlą się, męczą Pana Boga, pragną pokoju, a nikt nie wie, że w ludziach i w całych narodach zaszły

takie przeobrażenia, że nikt nie jest już zdolny do spokojnego życia, nie tylko żołnierze, ale i my wszyscy... Ja strasznie nienawidzę wojny, ale drzę przed jej końcem. Boję się że wszyscy powarjujemy... i zawali się cały świat...

— Jeżeli człowiek wytrzyma wojnę, to wytrzyma i jej koniec. Mnie się wydaje, że to przejdzie jakoś zupełnie zwyczajnie.

— Strasznie się pan myli! Niech pan zrozumie, że z chwilą wybuchu wojny świat oszalał, bo inaczej te cztery lata byłyby niemożliwością, i naraz od pewnego dnia i godziny z minutami rozbestwionym żołnierzom zakazują mordować się nawzajem! Od danej godziny i minuty każdy wystrzał staje się zbrodnią, karana przez sądy. Niema już nieprzyjaciela. Życie człowieka nanowo staje się zjawiskiem najważniejszym, a jego śmierć bolesnym dopustem bożym. A to, co było? Jakże to wymazać z dusz, z serc, z nałogów czterech i więcej lat?! Zawieszenie broni będzie straszliwym przewrotem i to co nastąpi potem może być gorszem od wojny...

— Pani myśli o rewolucjach? To bardzo możliwe, ale wywołują je zniszczenie, zubożenie świata, powikłanie stosunków gospodarczych, bezrobocie, upadek pieniądza i wiele innych zjawisk powojennych, których większości nikt nawet nie zdoła przewidzieć.

— Nie! Nie! Powikłania stosunków gospodarczych? Owszem, ale niechże pan wie, że to przede wszystkim człowiek będzie cały powikłany, potargany, obrócony na opak, niemożliwy... Ja sama —

jaka ja jestem? Przeżyłam tyle... Nie ciąży na mnie niczyja krew, ale mój mąż namordował tylu... Ach, może tysiące, tysiące ludzi... Pan wie? Każdego z nich czuję na sumieniu! Widzę jak toną, walczą rozpaczliwie do ostatnich sił, toną w zimnem strasznem morzu... Za to muszę, muszę być ukarana!

Zakryła twarz rękami, zapłakała krótkim łkaniem i nie otarwszy łez chwyciła się za głowę, jej oczy stały się obłąkane a twarz skaził okropny skurcz rozpacz. Tak zastygła. Claude podniósł się i z wolna podchodził do niej, najpewniejszy, że zaczyna się atak nerwowy, rozglądał się bezradnie, nie wiedząc co z nią począć. Ale gdy był tuż przy niej, pochylony nad jej fotelem, spojrzała mu zbliska w oczy smutna i zgnębiona.

— I na panu też krew... Jak pan mógł? Niech pan pomyśli...

— Nigdy nie byłem na froncie, ale gdyby moje życie było potrzebne ojczyźnie...

— Pan nie był na froncie? Więc cóż to jest? Ja się nie mogę mylić! Widzę wyraźnie... To wstyd — pan kłamie.

— Pani Rito, kiedyż mogłem być na froncie? Przyjechałem z Ameryki...

— Nie wiem! Nie wiem! Ale mnie od pana odpycha... Strach, wstręt... Widzę duchy ludzi pomordowanych jak się snują nad pańską głową... Iluż ich tu jest!

— Pani Rito, proszę się opamiętać, to przywidzenie...

Wzniosła ku niemu oczy zatroskane, rozżalone  
oczy dziecka.

— Proszę mi darować, z pewnością się omyli-  
łam, może to nie były duchy zabitych... Zapewne  
jakieś inne — teraz na świecie wszędzie duchów  
pełno... Tułają się nieszczęsne między nami żywy-  
mi... I tu snąć się zabłąkały... Ja, proszę pana, nigdy  
się ich nie boję. One są biedne, skrzywdzone, one  
nie są mściwe. Szukają ciepła, ukojenia. Jeżeli się  
je wyczuje czy spostrzeże, trzeba im coś ze siebie  
dać. Wie pan, ja, kiedy mi się zjawiają, poprostu  
im zagram przez chwilkę, czasami dłużej. Postu-  
chają, pocieszą się i odchodzą.

Podniosła się i z wolna w skupieniu, w dziwnym  
jakimś rytmem, jakby wypełniając tajemny obrzą-  
dek, zbliżała się do fortepianu.

Tak zaczęła się ich przyjaźń. Déspaix został  
dopuszczony do jej tajemnego świata, pozwoliła mu  
być obecnym gdy grała tylko ceniom, wizjom, swo-  
im smutkom. Wówczas nie dostrzegała jego obec-  
ności, zapominała o nim, ale gdy wstawiała od for-  
tepianu nie dziwiła jej jego zjawa. Zaczynała roz-  
mowę, nieraz nawet nawiązując do tego o czym  
mówili poprzednio, godziny gry zdawały się nie  
istnieć, jakby były długim milczeniem. Muzyka Ri-  
ty stała się jego opętaniem, dopiero teraz pojął  
ów tak często powtarzany komunał, że muzyka jest  
wyrazem spraw, dla których niema słów w ludz-  
kim języku. To, co Rita usiłowała czasami wypo-  
wiedzieć o sobie, o świecie, było zawsze mętne,

powikłane, pomyłone, dopiero w tonach objawiała się cała do głębi i stawała się zjawiskiem nie z tego świata, a jednak dostępnym dla pojęcia. W jej muzyce było nietylko upojenie, objawiała się w niej jakowaś wiedza tajemna, która odgradzała od świata i jak na samotnej pustyni okazywała nicość wszelkiej sprawy ludzkiej, budziła tęsknotę do najwyższej prawdy i w pewnych momentach kreśliła jej ślad, pozwalała dosłyszeć samo jej tchnienie. Niekiedy zbliżała się do granic już nie do przekroczenia dla umysłu i wówczas stawała się muzyką obłądu, dręczącą, upiorną. Zdarzało się to najczęściej, gdy Rita improwizowała swoje własne „przygrywki“, jak to nazywała sama. Wówczas Claude drętwiał, zamierał, przygniatało go coś w rodzaju strachu, chciało mu się zasłonić uszy i chciało mu się własnym krzykiem zagłuszyć poczwarne skojarzenia dźwięków, gdzie jęki rozpaczy, głosy anielskie, szatańskie zgrzyty snuły się dokoła głównego motywu, który powtarzał się nielitościwy i kuł w duszę jak młotem, zmuszając ją do podołania niepodobieństwu. Rita nie zważała zupełnie na swego słuchacza, ale zdarzało się nieraz, że udręczywszy go chaosem swych własnych nieodgadnionych myśli muzycznych, koła go a zapewne i siebie samą fragmentem Beethovena, Mozarta, Bacha. Każdego mistrza przetwarzała po swojemu, interpretacją urojoną lub zda się jedynie trafną, zawsze niespodziewanie, nadspodziewanie.

Pewnego wieczoru grała marsza żałobnego z



„Eroiki“ i do wspaniałości obrzędu pogrzebowego na cześć bohatera wszczepiła taką głębię beznadziejnego żalu, tyle łez najserdeczniejszych, iż Claude odgadł bez trudu, że Rita wie już z całą pewnością o śmierci męża. W znaki pisma partytury, jedne dla wszystkich, włożyła cały własny ból i rozsunęła obraz bezmiar surowego morza, samotne, zagubione w przestrzeni zwłoki bojownika, kołysane przez fale, pogrążane i wypływające na powierzchnię. Była to walka pośmiertna poległego żołnierza z przepaścią morską. Wciąga go głębia w swój wieczny mrok, oto już znikł. Jeszcze krążą nad tym miejscem białoskrzydłe mewy, dotykają wody i wzbijają się wysoko, a on z rozkrzyżowanymi ramionami, bezwolny i bezwładny pogrąża się w ciemnościach odmętu, opada coraz niżej, chwiejąc się, kołując, unoszony przez zmienne prądy głębin, aż w jakiejś godzinie, przeznaczonej mu w dniu urodzenia, dotknie niezmiernej dalekości dna i tam narzeczcie spocznie...

Rita urwała nagle i okręciwszy się porywczym ruchem na taborecie spojrzała promiennymi oczami z twarzą jasną, z uśmiechem.

-- Pan nie zna jeszcze mojego męża, cóż to za człowiek, ten Fell... Pan nie ma wyobrażenia, takiego jak on nie znajdzie pan nawet w całej Ameryce... Poprosto nie da się opowiedzieć! Zobaczy go pan lada dzień i dopiero pan powie. Może przyjedzie jutro? Dawno, dawno powinien tu być...

I promieniała radością. Claude'a przeszył dreszcz.

## XI.

Berlin przyjął Claude'a tak, jak należało powitać wroga, zdradzieckiego szpiega, który zakradł się żeby toczyć i podkopywać żywą siłę Niemiec. Przyjął go mrozem i zadymką, trwającą od trzech dni. Nie było komu uprzętać śniegu, ludzie brnęli po kolana. Pokój hotelu był nieopalany od początku zimy i termometr na ścianie wskazywał pięć stopni poniżej zera. Wojenna przepisowa żarówka zaledwie rozpraszała ciemności, szerząc w tem lodowatym wnętrzu nieznośną ponurość. Berlin tego wieczoru robił wrażenie miasta konającego, które niebawem opuszczą ostatni mieszkańcy. Wiatr hulał po ciemnych ulicach, miecąc i kręcąc śniegiem i wnet zacierał ślady zrzadka przemykającego się przechodnia. Ogromne kamienice stały jak wymarłe, w niewielu oknach tliły nikłe światełka, sklepy pozamykane i zawiane śniegiem, a tu i ówdzie po drodze pomimo że dopiero dochodziła godzina ósma, już się zbierały gromady ludzi i ustawiały się pod ścianami w kolei na całą długą mroźną noc. Claude mijał czasami jako tako oświetlone lustrzane okna kawiarni i cukierni, ale ogromne sale stały pustką

i niemal w ciemnościach — nie było kawy, nie było cukru, nie było gości. Coraz zaczepiały go kobiety nieszczęsne, wynędzniałe, bezrobotne ulicznice. Jedna przez drugą obniżały cenę, jedna przez drugą wysilały się na najbardziej świńskie obietnice. Wreszcie napadły go trzy naraz, stara, młoda i trzynastoletnia dziewczyna, pomyślał, że mogą to być matka, córka i wnuczka, prześladowały go długo i w końcu zaczęły błagać i żebrać o parę fenigów.

Melancholja opuszczonego miasta ścisnęła za serce nawet tego tajnego wroga, który raczej winien się był upajać tryumfem i radością. Zdumiewały go reklamy kinoteatrów, niesłychana rzecz — czyż w Berlinie ludzie się jeszcze bawią?

Posłuszny instrukcjom Claude nie pytał nikogo o drogę, ani policjantów, ani przechodniów. Szedł wedle wystudjowanego planu, zbaczając, licząc przecznice. Tramwaje od południa na wszystkich liniach utknęły w śniegu. Trafiały się taksówki, ale były mu one surowo wzbronione, gdyż rzekomo wszystkie szoferki — szoferów dawno już zabrakło — były agentkami policji polowej. Wreszcie zbłądził, zabrął między fabryki i długo włókł się pod czerwonymi murami, napastowany przez przenikliwy zgrzyt maszyn, z wściekłością krających żelazo. Przegrodził mu drogę długi pociąg, wypełzający z bramy fabrycznej. Dwie lokomotywy obmarznęte, ziejące parą, wywlekały z trudem wagon za wagonem. Przesuwały się platformy naładowane kuchniami polowymi, stosami pocisków

w surowym stanie, tak jak wyszły z odlewni, a dalej przeciągały obrócone dnem do góry kolosalne pontony i wynurzały się z szerokich wrotni fabrycznych jeden za drugim, jeden po drugim bez końca, jak kadłuby martwych przedpotopowych potworów.

Claude zaczął je liczyć, myśląc, czy też ów wszechwiedzący van Trothen wie już o nich. Czy wie na jaki front pociągną? Do Ypres, czy do Tyrolu? Na równinę Siedmiu Gmin? Na Bałkany? Do Mezopotamji? Na jakiej rzece świata zbudują na nich mosty? Na Sommie, na Piave, na Maricy, na Eufracie? Może w powtórnym nawrocie dziejów — na onejże Marnie, z której dawno zdążyła spłynąć krew stara z przed trzech i pół lat?

Wyszedł niespodziewanie na Dworzec Śląski. Zawieja hasała po pustej przestrzeni, lampy kołysały się na wicherze. Kilkadziesiąt samochodów, oznaczonych czerwonymi krzyżami, stało w szeregu, czekając snąc oddawna, zawiane po same osie. Ociemniały żołnierz walczył z wiatrem i macając kijem brnął przez plac chwiejną zygzakowatą linią. Piesek, który go miał prowadzić, szedł z tyłu, kryjąc się za nim ze spuszczoneym łbem, z podwiniętym ogonem. Dwaj dziwaczni ludzie w długich czarnych pelerynach, w płaskich cylinderkach na głowie, z trudem wyciągali z zasp śnieżnych dwukołowy wózek z trumną. Za nimi brnęły pochylone pod wiatr cztery kobiety.

Wreszcie Claude zaczął pytać o drogę. Jakiś starzec, ostatni oberwaniec, dźwigający przed sobą

w rękach ogromną bryłę węgla, którą gdzieś dostał czy ukradł, przystanął, złożył swoje brzemię na ziemi i świszcząc spracowanym oddechem, długo nie mógł wydobyć z siebie słowa. Aż jękając się zaczął opowiadać, że taszczy węgiel aż ze stacji towarowej, że ma jeszcze ze trzy kilometry do domu, że niech zdechnie po drodze, ale izbę trzeba trochę ogrzać choćby na jeden dzień, bo Fritz przyjeżdża jutro z eskadry na urlop. Fritz nie wie jeszcze, że matka umarła przed miesiącem, a Karolcia uciekła z domu i puszcza się z żołnierzami. Niechże przynajmniej zastanie u ojca ciepło, bo inaczej tylko splunie, zabierze się i pójdzie włóczyć się po szynkach. Węgiel doskonały, prawdziwy antracyt, taki co teraz idzie tylko dla floty...

Trudno mu było przerwać. Wreszcie na natarczywe pytania o ulicę zażądał papierosa, zapalił i odpowiedział, że nigdy nie słyszał o takiej ulicy. Claude, przeklinając wszelkie instrukcje ostrożności, podszedł do policjanta, zatopionego w olbrzymim kożuchu pośrodku placu pod latarnią na największym wygwizdowie, obudził go i dowiedział się, że ma stąd właśnie bardzo niedaleko. Wpadł do domu pod wiadomym numerem i długo obijał się po ciemnych schodach, dzwoniąc, stukając do różnych mieszkań, niepokojąc ludzi, oglądając na chwilę w szczelinach drzwi złe twarze i słuchając wrogich pomruków. Wreszcie ktoś mu wskazał pożądany numer mieszkania i na piątym piętrze na prawo przy świetle zapałki, gaszonej wciąż przez mroźny prze-

ciąg, odczytał napis: — Centralne Biuro Towarzystwa Opieki nad ociemniałymi żołnierzami. Cofnął się, zapalił zapałkę — numer mieszkania był właściwy. Namyślał się. Wreszcie zaczął się wycofywać, ale zaledwie zeszedł z paru stopni, drzwi od Centralnego Biura Opieki otworzyły się bez dźwięku, buchnęło światło z wnętrza i świeży głos kobiecy zapytał:

— Kto tam?

— Przepraszam, zapewne się pomyliłem, szukam mieszkania pani Sempach.

— Owszem, to tutaj, proszę.

Ogarnęło go przemiłe ciepło. Służąca, młoda dziewczyna, wprowadziła go do pokoju biurowego, przedzielonego balustradą, odkręciła światło i znikła. Pokój jarzył się i pstrzył od żywych barw. Z błękitu rozfalowanego morza wytryskał snop ognia, unosząc czarne szczątki, na niebie tęcza, na dole napis: — Kalendarz zwycięstwa na morzu. Listopad 1917 — 600.000 tonn. — Nowiny ze Wschodu — nieskończony pokręcony wąż towarowego pociągu prze-wija się przez śnieżną równinę między jodłami i cebulastymi cerkiewkami, na otwartych wagonach stopy worków, zciśnięte gromady baranów, świń, beczki z napisami „masło“, „cukier“, „miód“, ogromne paki — „tytoń“, „herbata“, wreszcie „kawior“... Zeppelin nad straszliwym pożarem Londynu. Klucz białych „gołąbków“ z czarnymi krzyżami na skrzydłach szybuje w błękicie nieba, w dole Paryż, sto dymów wznosi się ku górze, wszystkimi rogatkami

na wszystkie strony świata ucieka czarne mrowie nieszczęsnych mieszkańców. Olbrzymia roześmiana twarz Michela w hełmie szczyrzy potworne zęby. Żołnierz zanosi się, pęka ze śmiechu. — Ha-ha-ha! I oni sobie myślą, że nam poradzą! Ha-ha-ha!

Weszła maleńka podstarzała kobiecina z robótką w rękę i szybko automatycznie przebijając palcami po drutach przyglądała się przez okulary spóźnionemu gościowi. Głos jej był słaby i wysiłony, ton wybitnie nieuprzejmy, akcent czysto berliński.

— Nasze biura oddawna zamknięte i niema nikogo.

— Czy pani Sempach?

— Jestem pani Sempach, pan do mnie w osobistej sprawie? Ja pana nie znam!

— Ale szanowna pani zna dobrze panią Schmetterling?

— Schmetterling? Nie znam żadnej takiej!

— Więc radcę handlowego Knopfa?

— Boże jedyny! Knopfa? Skądże znowu mam znać jakiegoś Knopfa?!

— Przepraszam, to jakieś nieporozumienie... Więc przychodzę od państwa Licht i już!

— I już?! Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że przychodzę po kartki na mydło.

— Ależ ja nie mam żadnych kartek na mydło! Proszę się wynosić w tej chwili!! Pan mnie nachodzi po nocy! Pan wypłata głupstwa! Pan mnie chce

łapać na jakichś kartkach! Zaraz telefonuję do policji!

Nie zważając na srogie piski Claude spokojnie wydobyl pudełko zapalek, wyjął trzy patyczki i podstawił je pod sam nos pani Sempach.

— Oto są — trzy — widzi pani — wyraźnie numer trzy! I witam panią!

— Moje uszanowanie panu, proszę do mojego mieszkania. Ale w trzecim haśle pomylił się pan fatalnie — zamiast państwa Licht powinno być...

— Ależ tak — państwo Macht, Macht szanowna pani! Przepraszam!

— Właściwie z takim błędem nie powinnam pana przyjąć, ale Bóg z panem.

— Dziękuję.

Rozmowa była niedługa. Claude wytrzymał w milczeniu wstęp o mrozie, o zawiejach, które wstrzymają pociągi i do reszty ogłodzą nieszczęsny Berlin. Ale uchylił się od pytań skąd przybywa, gdzie się zatrzymał, czy jest Anglikiem, czy Francuzem, może Włochem, jak się nazywa?

— Przybywam z księżycą a nazywam się C.K. N. 123 i tyle, ani mniej, ani więcej.

Pani Sempach pochwaliła go za ostrożność i oznajmiła, że ona nie jest bynajmniej ciekawa takich rzeczy, ale wymagają od niej chwywania interesantów na podobnych kawałkach i donoszenia o tem władzy wyższej dla utrzymania należytej dyscypliny. Niezwłocznie da mu następny adres, gdzie mu powiedzą dokąd ma się dalej udać. Tam już nie-



potrzebne hasła i znaki, wymieni tylko swoją cyfrę.

— A na wypadek gdyby tymczasem...

— Proszę tam być punktualnie o godzinie jedenastej rano, gdyby coś takiego, nie daj Boże, ja będę chodziła przed sąsiednim domem, dam panu znak. A jeżeli mnie tam nie będzie, to znaczy że droga wolna.

— Bardzo pięknie, ale dziś w nocy mogą sprzątać i panią i tamtego i urządzić zasadzkę.

— W takim razie i pana wezmą i powieszą.

Odpowiedź była prosta i żołnierska, Claude zmieszał się nieco. Pani Sempach ani na chwilę nie przestała obracać drutami, olbrzymia gruba skarpetka zwisała jej z rąk. Claude był na odchodnym, powstając rzucił tak sobie:

— Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś tak szybko robił na drutach.

— My Niemki umiemy to nieźle. — I podnosząc do góry skarpetkę, wielką jak torbę, dodała: — To dla naszych żołnierzy... I ja miałam dwóch synów na froncie, obaj polegli na polu chwały. Teraz nie mam nic i wszystko mi jedno, co się ze mną stanie. Jak się wsypię i stanę przed sądem, to powiem tym panom w same oczy, co i jak...

Claude zaciekawiał się niezmiernie, co też by ta Niemka mogła powiedzieć swoim sędziom. Ale ta czekała tylko, żeby się czempredzej zabrał i poszedł.

— Tak, tak — mruknął ze współczuciem.

— Pan mówi — tak, tak? Mój panie, to zupełnie

co innego, niż pan sobie myśli. Tylko jeżeli im wolno przez cztery lata pędzić na rzeź miliony porządnych ludzi, to w takim razie — wszystko wolno. Mogą mnie powiesić, może temu będę jeszcze rada, ale nikt mi nie dowiedzie, że mi nie wolno pomagać francuskim szpiegom i brać za to piękne pieniądze... Zresztą całe to szpiegostwo to jedna blaga. Tego co ważne nikt nie wyszpiguje za żadne miliony, a te tam różne nasze kawałki, obrywki — to nic tylko śmiecie. Co to pomoże Francuzom? Co to zaszkodzi naszym? Świat jest głupi...

Po nocy spędzonej o głodzie i chłodzie Claude przebywszy jeszcze trzy pośrednie etapy zakonspirowanej łączności zmierzał ku siedzibie tajemniczego van Trothena. Zabrało mu to trzy godziny, przez ten czas na krańcach Friedrichstrasse poznał zegarmistrza Hoena, który w tyle sklepu za szafą dał mu następny adres, a dowiedziawszy się, że klient gotów w tym Berlinie skonać z głodu, wrzucił się i poczęstował go kawałem prawdziwego chleba z prawdziwym masłem. Na Johannisstrasse poznał pracownię panny Emmy Jess, malarki-kubistki, osoby pełnej uśmiechów i radości życia. Musiał z nią wypić szklaneczkę koniaku i obejrzeć horendalne obrazy, porozwieszane od góry do dołu na wszystkich czterech ścianach. Zaofiarowała się oprowadzić go wieczorem po mieście, gdyż w Berlinie i teraz można dobrze zjeść, wypić i zabawić się jak za starych dobrych czasów, bodaj nawet lepiej — trzeba tylko

znać pewne adresy. Potem może przenocować u niej w życzliwej atmosferze i, co najważniejsze, w ciepłe.

Ale na pierwszym piętrze wielkiego domu przy Steglitzerstrasse namyślał się długo, zanim zadzwonił. Na mosiężnej tabliczce stał napis: — Freiherr Adolf Buxhövdén Artillerie-Oberst. Tego już miał zanadto. Dopiero po długiej chwili dostrzegł w niezbyt widnej klatce schodowej przyczepiony na drzwiach bilecik: — Dr. phil. Lucas Wetzler. Otworzył mu żołnierz-ordynans.

Doktor filozofji siedział w fotelu przed fortepianem, nakryty pledem i nie wstał na jego powitanie; podał mu lewą rękę, prawy rękaw wisiał pusty od samego ramienia. Podniósł smutne oczy i przemówił dziwnie miękkim kobiecym aksamitnym głosem:

— Pan wybaczy, że nie wstaję, straciłem władzę w nogach. Czem mogę służyć? Z kim mam przyjemność? Proszę siadać...

Claude przedstawił mu się jak należało i spostrzegł, że w bladej nikłej twarzy pana Wetzlera odrazu po pierwszym jego słowie zagaśł senny miękki uśmiech. Twarz zwarła się i zastygła, stała się zaciętą. Oczy pociemniały. Zasłonił twarz ręką i natychmiast ocknął się.

— Pan daruje. Wyrwał mnie pan z mego zapamiętania. Jestem muzykiem i siedzę właśnie nad moją symfonią. Natychmiast panu służę. Od panny Emmy... Tak, a przedtem?

— Zegarmistrz Hoen.

— Dobrze, dobrze. A któż tam jeszcze?

— To było wczoraj wieczorem, ta desperatka pani Sempach.

— Desperatka? To jest szelma, kosztuje nas bardzo drogo. To jest szelma, ale trzymamy ją mocno, mamy na nią brzydkie dowody. Ta nie zdradzi.

— Jednak cały ten wasz aparat wydaje mi się mocno niepewny.

— W naszym zawodzie nic niema zupełnie pewnego. Jakoś idzie. Trudno zmieniać maszynę w ruchu. Ulepszenia by nas zdeorganizowały. Dobrnjemy i tak do końca. Więc pan dalej, a raczej wyżej do tamtego... Do samego pana... Właściwie do kogo?

— Do pana van Trothen.

— Tak jest, dobrze. Pan może prosto z Francji? Ach, jakże dawno nie mówiłem w ludzkim języku!

Dźwięk mowy ojczystej uderzył w Claude'a swym czarem. Od dwóch miesięcy nie słyszał francuskiego słowa. Ale wytrwał, uśmiechnął się tylko.

— Słusznie! Słusznie! Ale w istocie to komedia.

— Tę komedię mógłby podsłuchać bodaj ordynans pana pułkownika, albo i on sam.

— Herr Oberst jest na froncie i ostrzeliwuje w tej chwili nasze pozycje na Chemin des Dames, a ordynans to wtajemniczony, mój rodak Alzatzczyk. Bez niego nie dałbym sobie rady. Nie potrzebuje się pan spieszyć, van Trothen zjawia się u siebie dopiero o drugiej.

— Nie chcę panu przeszkadzać w pracy.

— Na dzisiaj już mi pan przeszkodził. Ale mam czas. Zagrałbym panu, niegdyś byłem wirtuozem, ale cóż... Wie pan, jaki jest tytuł mojej symfonji? „La statue de la ville de Strasbourg“. Ta z placu Concorde, co roku zakwefiana kirem w rocznicę klęski, ta, przed którą tego dnia klękają i modlą się dzieci francuskie. Myśl z przed wojny, marzenie szczepu w niewoli, odrąbanego od macierzy. Ta idea i jej wyraz muzyczny zawiodą we wrażeniu, gdy Alzacja będzie wolna. Realizacja marzenia będzie tak brutalnie radosna, że w jednej chwili zapomną ludzie o wszystkich swoich cierpieniach, ofiarach, łzach, tęsknotach swoich ojców. I biada temu, kto im to zechce przypomnieć! Wiem, że ta symfonja, dzieło mego życia, będzie zmiążdżona przez zwycięstwo. Bo cokolwiek rozprawiają i piszą o tem mędracy, niema czystej muzyki....

— Cóż, nasze zwycięstwo jeszcze za górami, za lasami... Kto wie, może jeszcze przez sto lat dzieci francuskie będą klękały na placu de la Concorde, a w każdym pokoleniu zrodzi się jakiś Déroulède, który będzie co rok perorował pod posągim Strsburga...

— Pociesza pan biednego muzyka...

— Nie śmiałbym żartować.

— Owszem, proszę, sam wiem, że jestem śmieszny manjak. Jednak zwycięstwo będzie. Niemcy gonią ostatkiem tchu. Jak wygląda Berlin? Ale zanim zginą, spróbują się odegrać i na to poświęcą wszystko bez reszty w rozpaczliwym natarciu —

wówczas trzeba nam się trzymać, bo możemy utonąć przy samym brzegu. Amerykanie jeszcze za oceanem. Wpadł nam w ręce plan potężnej ofensywy we Flandrji, obejście prawego skrzydła angielskiego, co oznacza wrzucenie Anglików do morza. Boulogne, Calais stają się podstawą operacji łodzi podwodnych i ogłodzona Anglja podpisze pokój. A my zostaniemy sam na sam z całą potęgą niemiecką, wzmożoną przez sto dywizji, zwolnionych ze wschodniego frontu. Lada dzień w Brześciu stanie pokój. Po Caporetto i po tym pokoju Niemcy poraz pierwszy w tej wojnie będą mogli rzucić wszystkie swoje siły na nasz front. Wiosna, która nadchodzi, to najgroźniejsza faza wojny, jeżeli to przetrzymamy — zwyciężymy. A co słyhać u nas? Co w Paryżu?

— Dawno nie byłem w kraju. Co słyhać? Ciężko. Francuska struna napięta do ostateczności, raz już nawet nadpękła latem zeszłego roku, przeżyliśmy ciężkie przesilenie w armji. Nie był to głębszy kryzys moralny, a raczej załamanie się dyscypliny. Na szczęście...

— Na szczęście Niemcy dowiedzieli się dopiero w trzy tygodnie potem, gdy kryzys już minął, że między Soissons a Paryżem były w rezerwie tylko dwie dywizje jako tako pewne. Gdyby uderzyli w nas — doszliby do Paryża. Ale nie wiedzieli.

— A dlaczego nie wiedzieli? Bo nie znalazł się w całej zbuntowanej VI armji na sto tysięcy żołnierzy ani jeden, któryby im to był powiedział.

Bo żołnierz francuski nie ciskał broni, jak dziki „muzyk“, jako obywatel domagał się tylko swoich ludzkich praw, przepisowych odpoczynków, sprawiedliwych zmian i wreszcie jakiegoś sensu w prowadzeniu wojny. Nauczył on rozumu naszą Wielką Kwaterę po zbrodniczych, bezcelowych hekatombach ofensywy generalissimusa Nivelles... Kiedy sześćdziesiąt tysięcy ludzi padło — za nic i o nic.

— A teraz?

— I teraz i zawsze żołnierz francuski wytrwa do ostatka sił i ponad siły. Może ulegnie, ale póki tchu w piersi nie popuści z ręki broni — ja za dobrze znam naszego żołnierza...

— I ja go poznałem. Nie odrazu! Jako pruski lejtenant na prawoskrzydłowej armji von Klucka 5 września szedłem w przedniej straży IV korpusu generała von Gronau i nocowałem we wsi Escardes. Gdzie to było? Trzydzieści kilometrów za Marną! Byłem najpewniejszy, że Paryż już wzięty. Ta noc... A nazajutrz...

— I to był cud...

— Cud narodu! Cud wodza! A w istocie — cud francuskiego żołnierza. Wówczas dopiero mogłem usiłować przejść do was, ja, niewierny Tomasz. Postrzał w ramię, zabrano mnie. A w parę dni już pod Soissons, gdy francuskie armaty biły w masę naszych taborów na pontonowych mostach przez Aisne, ciężki pocisk rozbił moją budę sanitarną i poraził mi krzyże...

— Wówczas byłem i ja tam, gdzieś w tych stronach, niedaleko.

— Tak zakończyłem wojnę. Ale po roku wróciłem na front bojowy i jakoś trzymam się do dziś dnia.

Rozgadali się. Dopiero po godzinie spostrzegł się Claude, że mówią w najlepsze po francusku. Odurzyły go przesłodka dźwięki mowy ojczystej. I nagle wszystko wydało mu się snem. I ten Berlin, i Alzacyk dr. Wetzler wraz ze swoją symfonją, i patryota niemiecki dr. Ossian Helm z Ameryki. I Mannheim-Ludwigshafen nad Renem, i profesor Wager i jego córka Rita. I cała wojna światowa.

Zamroczenie trwało jedną sekundę, ale Claude uląkł się sam siebie. Otrząsnął się z tego natychmiast, wstał, pożegnał się przesadnie zimno i poszedł.



## XII.

Dzień ciepły, mglisty. Berlin tonął w błocie i witał odwilż jak błogosławieństwo boże. Mróz, który trzymał od dwóch tygodni, zmordował masy wygłodniałe, źle odziane, bez węgla. Zaroilo się na ulicach. Wszyscy zdawali się biedz kędyś na źer, każdy w swoją stronę, gdzie miał coś upatrzonego, przyobiecanego, lub przypuszczalnie możliwego do zdobycia lub wyszachrowania. Ta pogoń za rzeczami pierwszej, pierwotnej potrzeby narzucała na twarze przechodniów tępą zapalczywość. Na ulicach wspa-  
niałej stolicy zdawały się wracać czasy pra-pra-  
przodków, gdy panowała tu głucha puszcza a w niej dziki zwierz, za którym uganiało się plemię myśliw-  
ców odzianych w niewyprawne, kudłate skóry, z krzemiennymi toporami. Jedyłą ich myślą było ratować się od śmierci głodowej — zdobyć jedze-  
nie. To samo jest teraz. Tłum ubrany był nikczemnie, klekotały po chodnikach drewniane wojenne trepy. Ogromna przewaga kobiet czyniła tę nędzę jeszcze bardziej jaskrawą, jakby wystawioną na urągłiwy pokaz. Szmaty wypłowiałych chustek, kapelusze, na-  
dające się do śmietnika, wyjedzone futra, zaszar-

gane, wystrzępione spódnice, salopy, uszyte ze zdartych obić meblowych, z fantastycznych kotar, z pasiastych chodników i z czego się tylko dało. Człowiek lepiej ubrany zwracał uwagę i tylko wojskowi, zarówno oficerowie jak i żołnierze, poprawni od stóp do głów w swoich polowych płaszczach, obszytych płótnem pikielhaubach i lśniących butach, zdawali się być jakimś innym rodzajem ludzkim, plemieniem panów wśród poddanej, nędznej hołoty.

Eva, idąc przez Kaiserwilhelmstrasse wstydziła się swych karakułów. W jej dobrym sercu zadrgało współczucie dla tych pokracznych poniżonych kobiet, opuszczonych żon, matek, córek, skazanych na wszystkie utrapienia duszy i na nędzę, głód, poniewierkę. Bolały ją zlikwidowane, puste sklepy. Gdy mijiała kolosalne hale targowe, niegdyś centrum ruchu i zbiegowiska, a teraz szczelnie zamknięte i bezludne, zrozumiała tragedję Niemiec. Ani z przesadnych opowieści, ani z agitacyjnych artykułów gazet paryskich, które wciąż trąbiły o dogorywaniu Niemców, nie miała pojęcia o istotnym stanie rzeczy. Było gorzej. Wzbierały łzy na widok wynędzniałych, sinych dzieci o zatroskanych, chorych oczętach — patrzyła w twarze ludzkie, spotykała widma, napiętnowane przez śmierć, oblicza zapadłe, pełne goryczy, złości, lub powleczone nudą ostatecznej obojętności, gotowej na wszystko, nie spodziewającej się już niczego na świecie.

Każdy, każdy z tych ludzi dźwigał swoje brzemię żałoby. Nie na darmo od półczwarta roku dzień w

dzień z zachodu i wschodu nadchodziły krwią pisane komunikaty, świadectwa niemieckiej chwały. Uzbierało się tego i teraz, jak Niemcy długie i szerokie, nie było rodziny i nie było domu, na któryby nie spadł zaszczyt udziału w narodowej chwale. Technie nie śmierci ciągnęło ulicami wraz z tym tłumem, snuło się wszędzie, przenikało przez szyby i mury. Zdawało się, że pośród żyjących krążą niewidzialne duchy tych, którzy nie wrócą — Eva ulękła się swej wizji. Tego co teraz nie czuła po tamtej stronie frontu, ani w Rosji, ani w Anglii, ani we Francji, ani we Włoszech. Tutaj nad wszystkim leżał potworny ciężar wojny, na każdym kroku znać było śmiertelny wysiłek narodu, który musiał stawić czoło całemu światu. Zdumiewała potęgą tego uporu.

Bywała w domach niemieckich i kiedy rozmawiała z dostojnikami państwa, zarówno oni, jak jakaś skromna cicha matka w żałobie po synu, jak pierwsza lepsza żona oficera, żyjąca od trzech lat w niepokoju o życie męża — wszyscy okazywali wolę do walki i wiarę w ostateczne zwycięstwo, coprawda już w tej dobie bez aneksji i odszkodowań. Nie słyszała tu jeszcze krytyki ani szyderstwa, ani paryskich dowcipów. Podziwiała to, wiedząc jak wycieńczone, jak osaczone są Niemcy, jaka straszliwa nawała ciągnie na nich z za oceanu.

— Jacy wy spokojni, nie widziałam tego nigdzie z tamtej strony okopów.

— Trudno — odpowiedział jej na to stary wielbiciel z przed wojny, generał von Sittenfeld

z Ministerstwa Wojny — teraz walczymy o samo nasze istnienie. W takiej potrzebie dobywa się na jaw to, co w narodzie najlepsze. Nie czas na krytykę, na oskarżenia, na czcze biadania. Zresztą, niech by kto spróbował... U nas się to tępi. Bo my musimy zwyciężyć, zanim tamci nadejdą.

Jej szczerze i ugruntowane sympatje prokoalicyjne, którym była wierna od wybuchu wojny, zawały się już w pierwszych dniach jej pobytu na ziemi niemieckiej. Uderzyła ją niezgłębiona niedola narodu, który ginął, konał, ścigany nienawiścią całego świata. Sama nigdy nie odczuwała w sobie tej nienawiści. Narody były dla niej jeno ciekawymi odmianami plemienia ludzkiego i w jej ciągłych wędrówkach po szerokim świecie wszędzie było jej jednakowo dobrze na jakiś czas. Sama nie odczuwała wspólnoty ani ze swą ojczyzną Kanadą, a zatem i z Imperjum Brytyjskiem, ani z Francją, krajem ojcowskim, ani z państwami Skandynawskimi, skąd pochodził jej mąż. Podobały się jej pewne rzeczy w Rosji, w Niemczech, w Szwajcarji, wszędzie znajdowała upust dla swej ciekawości ludzi i krajów, obyczajów, typów, zagadnień i zagadek danego środowiska. Nadewszystko kochała niewyczerpaną rozmaitość ludów. Lubiła ich wzajemne zatargi, bawiły ją wszelkie „przesilenia“, rozmowy z dyplomatami zwaśnionych stron. Dla niej to dawano ciekawe przedstawienia, dramaty, komedje, farsy w ogromnym teatrze Europy.

Wybuch wojny dla Evy Evard był wielkiem

świętem. Zaczęło się upajające misterjum, prawdziwa tragedia narodów, pełna krwi, grozy i rozszalałych namiętności, niewyczerpana w efektach, w swoich niespodziewanych zaskoczeniach widza. Eva była niestrudzonym, nigdy nie sytym obserwatorem, pochłaniała perypetje katastrofy dziejowej, kochała chaos zjawisk i wydarzeń, starała się nawet odgadnąć sens, logikę wojny. Nigdy nie dawała się uwieść uczonym rozprawom, pisanym przez znakomitości światowe, ani rozbestwionej, wściekłej prasie, która wiedziała wszystko. Ani mądrym, poufnie szeptanym słowom polityków i dyplomatów, znawców rzeczy ukrytych.

Domyślała się dawno tej najgłębszej, utajonej prawdy, bez której nie było zrozumienia wojny — że rozszalały świat nie dał się ująć w żadne karby, że już w pierwszym roku wojny „wszystkie stery zostały złamane“, że wojną nikt nie rządził. Potoczyła się sama, rozpętana, nieodgadniona, w starciu z potęgą rzeczywistości oddawna już szalona. Skruszeni byli ludzie przodowniczy, najmędrsi, najmężniejsi. Do ostatka wysilała się ich myśl i o tej porze głowy państw, rządy, główne kwatery, miały się w popłochu, jak w płonącym domu. Na jednym stało wszystko, na martwym punkcie. Wojna utknęła w murowanych twierdzach — okopach, po obu stronach tak potężnych, że przełamać się nie dały za cenę żadnych ofiar. Z rozpaczyny zrodziła się doktryna absurdu — czekania na zużycie przeciwnika, na wyczerpanie jego sił, odporności, rezerw

ludzkich i materiału. Czekanie przeplatane było rozpaczliwymi ofensywami, a za każdym razem padały setki tysięcy trupów, by jeszcze raz dać świadectwo obłądnemu urojeniu wodzów, że mur betonu i żelaza można przełamać ślepym posłuszeństwem żołnierza i jego żywym ciałem. Zbankrutowała strategia, zbankrutowała dyplomacja. Najwyższym nakazem, najwyższą cnotą stało się — trwać. Mijały lata i niszczały narody, chwiały się trony a niczyja wola, niczyj geniusz nie zdołały wyłamać wojny z okopów i pchnąć jej na otwarte pole do rycerskiej szybkiej rozprawy. I wojna znikczemniała, stała się potworną rzeźnią bez ładu, bez sensu, bez celu.

Dreszcz zachwytu przenikał Evę na myśl jaki będzie tej wojny koniec. Z ciemności nieprzeniknionej dla żadnego ludzkiego domysłu wystrzały się wizje o piekielnym uroku, koszmarnie, przyśnione wyobraźnią klęsk i przewrotów, z których świat wyjdzie jako okryty ranami kaleka, obłąkany nędzarz, wspaniały jeno ogromem swego nieszczęścia. Czy się odnowią i odrodzą wielkie narody Europy? Czy zwyrodnieją i zczezną? To było dla Ewy wszystko jedno. Jej tajemną rozkoszą stała się myśl, że ona doczeka końca wojny i widzieć będzie to, co nastąpi dalej.

Ale dopiero tu w Berlinie stała się naprawdę neutralną. Po paru dniach odpadły sympatje dla tamtej strony. Niemcy wzruszyły ją swem osamotnieniem i niedolą, pociągnęły ją wspaniałym schyłkiem swej epopei, gdy w obliczu nieuniknionej

zguby, której widmo wychylało się już na każdym kroku, cały naród nie poddawał się rozpacz, tylko zbierał wszystkie ostatnie swoje siły do walki na śmierć i życie. Nie pokochała bynajmniej Niemców ani ich straconej sprawy, poprostu w tragicznym swoim losie byli oni dla niej nierównie ciekawszy niż tamci. Wszystko tu było nowe, a wreszcie dość miała jasnych aniołów koalicji, walczących o prawdę i o sprawiedliwość, teraz zachciała już do końca być w obozie przeklętych przez świat szatanów Europy.

Po kilkunastu wizytach, po odnowieniu starych znajomości cała prasa powitała ją owacyjnie.

— Eva Evard zpowrotem na ziemi niemieckiej!

— Eva Evard — wcielenie wiecznej neutralności sztuki!

— Eva Evard mówi nam o wojnie!

— Eva Evard wystąpi na wielkiej Akademji na rzecz niewidomych żołnierzy!

— Eva Evard przystąpiła do pracy nad podwójną kreacją Margarety — Brunhildy w filmie patriotycznym „Bogowie Germanji“ — wytwórnia Mundus-Film (van Trothen i Sp.).

A generał von Sittenfeld ponownie oszalał. Lata wojny pobieliły mu skronie, wychudł na skąpym chlebie kartkowym i na przemarzniętych kartoflach, po przestrzeleniu przez oba płuca w Argonnach w samym początku wojny poruszał się wolniej i sztywniej, przepracowanie, udręczenia i gorzkie zawody służbowe, intrygi w ministerstwie, troska o los

ojczyzny i dynastji wyłobiły się zmarszczek koło oczu. Ale czarne oczy podawnemu pałały, gdy patrzył na Evę. Wzruszające było ich pierwsze spotkanie.

— Panie generale, przedewszystkiem wiesz, szarzy. Gdyśmy się widzieli po raz ostatni był pan podpułkownikiem.

— Evo, ty Evo! Niepodobna cię zapomnieć... Wiesz, że teraz tak jak zawsze... Ach, ty najcudniejsza... W przeszłym roku wygrzebano tu stary twój film „Dziewczyna z nad jeziora“, pamiętasz? Na szczęście rzuciłem po drodze okiem na afisz... Przesiedziałem zrzędu przez trzy przedstawienia, telefonicznie odwołałem ważną konferencję, na której przewodniczyłem, nie mogłem się od ciebie oderwać. Wojna mi cię zabrała, wojna zabrała i mnie całego, przez te wszystkie lata na nic nigdy nie miałem czasu, ale nie zapominałem, nie!

Generał w życiu Ewy był przelotnym czerwcowym tygodniem w uroczym zakątku Szwarzwaldu w przededniu wybuchu wielkiej wojny. Wspominała go przyjaźnie, ani mniej ani więcej, lecz tak samo jak wielu jemu podobnych szczęśliwych a dorywczych wybrańców jakiegoś jej szalonego momentu. Teraz wzruszył ją potrosze wspomnieniem ostatnich dni dawnego świata, który już nie wróci nigdy. Zresztą generał był jej potrzebny w różnych sprawach i ważnych i drobnych, które też były dość ważne. Gdy wspomniała, że jej hotel nie ma opału, nazajutrz samochody wojskowe nawiozły tyle węgla,



że dyrekcja hotelu nie wiedziała, gdzie podziąć cały ten niewiarogodny skarb. Natychmiast wywieszono olbrzymi napis i rozesłano do gazet ogłoszenia: — Hotel opala wszystkie pokoje do końca zimy — i podniesiono ceny o 15%.

W salonach reprezentacyjnych wytwórni „Mundus-Film“ obchodzono uroczyście rozpoczęcie prac nad „Bogami Germanji“. Zaproszenia otrzymało około stu osób, wybranych ze sfer literatury, sztuki, z pośród prasy, armji, parlamentu. Paru dygnitarzy państwowych i jeden minister przyobiecali swą obecność ze względu na wyjątkową wagę filmu dla propagandy w państwach neutralnych i dla podniesienia ducha w kraju. W istocie przybyła podwójna liczba gości i w salonach „Mundus-Filmu“ zrobiło się ciasno. Wszyscy chcieli zobaczyć Evę Evard, tembardziej, że przybywała po trzech latach pobytu wśród nieprzyjaciela z tajemniczych krajów, odciętych przez front. Była światową znakomitością, ale była w tych czasach i osobliwością, gdyż od wybuchu wojny żadna ze sław Europy nie zajrzała do znieprawionego Berlina.

Eva królowała ze zwykłą swoją dostojną prostotą. Okazało się, że z łatwością mówi po niemiecku, co odrazu ujęło wszystkich. Była osaczona zwartem kołem natrętów pełnych uwielbienia, a najpierwsi jak zawsze i wszędzie pchali się dziennikarze. Umiała to znosić z pogodą, a dziś była szczegó-

nie ożywiona w tym tłumie najosobliwszych istot, jakby wywołanych i zgromadzonych tu na chwilę dla jej uciechy sztuką magiczną czystej fantazji. Roiła sobie, że lada minuta zgasną te wszystkie twarze i postacie, a ona ocknie się zpowrotem w Paryżu, w Londynie i czytać będzie w gazecie, że gdzieś w przestrzeni świata za podwójną linią drutów, okopów i armat istnieje Berlin, a w nim fantastyczne stwory — odszczepieńcy rodu ludzkiego, wywołańcy Europy, winowajcy wszystkich klęsk świata — niemczury — les Boches. Wyglądali zaś zwyczajnie, jak ludzie, tylko w porównaniu z tymi z przed wojny mówili znacznie ciszej i byli Niemcami nie tak obcesowo pewnymi siebie. Ich oczy, ich twarze stały się bardziej wyraziste, karki mniej potężne, wogóle spuścili jakoś z tonu i naogół spadli z ciała. Byli znacznie sympatyczniejsi. Niebawem zauważyła, że zarówno wśród oficerów, jak i cywilnych przeważali mizeracy lub ludzie starzy. Wszędzie widać było figury pokraczne, ułomne, garbate, chorowite, bezrękie, okulałe. Dorodni, dawni Niemcy byli na froncie, a tu zostały wybierki ludzkości oraz odpadki frontu — inwalidzi. I znowu uderzyła ją w dobre, czujące serce niedola nieszczęsnego narodu.

Zarzucano ją pytaniami, jak jest w Paryżu, co słyhać w Londynie? Czy to prawda, że w Paryżu wszyscy mieszkają w piwnicach i w tunelach Métro? Że w całej Anglii szaleją rozruchy głodowe, że zbuntowane wojska kolorowe tudzież czarne opuści-

ły front i okopały się na tyłach, pałac, rabując i gwałcąc kobiety w trzech departamentach?

— Jak pani mogła tak długo wytrzymać między mordercami, którzy uwzięli się wymorzyć głodem nasz naród?

— Jak pani odważyła się przyjechać między Hunnów, którzy pożerają żywcem dzieci belgijskie i francuskie? Podobno nasze ludożerstwo figuruje w filmach propagandowych?

— Czy Paryż zawsze jest tak uroczy? W początkach września czternastego roku byłem już bardzo niedaleko rogatek St. Denis, ale wypadło mi zawrócić, zresztą zostawiłem tam jedną nogę...

— Pani Evo, „Bogowie Germanji“ będą pani najświetniejszą kreacją. Albowiem tylko na naszej ziemi zobaczy pani maximum niedoli i maximum męstwa...

— Pani zaświadczy przed Europą, że niema takiej mocy, która zdołałaby poniżyć naród niemiecki...

— Mój Boże, my biedne Niemki wyglądamy przy pani jak wyrobnice. Jakże niewiarogodnie zmieniła się moda! A my wciąż chodzimy po dawnemu.

— Pani Evard — pani pozwoli — pan minister spraw wewnętrznych...

— Pani Evard, pani pozwoli — pan poseł von Hundius...

— Pan poseł Saltwedel...

— Pan tajny radcy Bunterbardt...

— Pan Dithforth, autor dramatyczny..

— Pan Amberger, artysta malarz...

— Pan redaktor Gaester...

Podczas ciężkiej mowy inauguracyjnej dyrektora van Trothena Eva przygryzała usta, żeby zachować powagę i godnie reprezentować swoją osobę, gdyż wlepione w nią były setki oczu. A chciało się śmiać, śmiać, śmiać... Swawolny śmiech wydzierał się z niej przemocą, jątrząc nieprawdopodobieństwem zawrotnym, szczytem komizmu tego, na co patrzyła własnymi oczami i co słyszała na własne uszy. Po prawej stronie miała pana ministra spraw wewnętrznych Rzeszy, po lewej generała von Sittenfelda, szefa centrali kontrwywiadu wojskowego, a o pięć kroków przed nimi stoi w uroczystym żakiecie i wypłuwa frazesy patryjotyczne van Trothen... Teraz mówi o niej, patrzy jej prosto w oczy i ani się zająknie — oklaski, oklaski... Podnosi się sam pan minister i dudni głuchym głosem komunały o znaczeniu kina, o wojnie, o Nibelungach, o najświetniejszej gwiazdzie ekranu, która... która i która...

Oklaski. Niech żyje Eva Evard! Hoch! Hoch!! Hoch!!!

Zamiast zbojkotowanego i niedostępnego zresztą szampana podano rodzime musujące wińsko, które pieniało się arogancko i bez miary, jak ordynarny dobrokiewicz, doprowadzający do karykatury manieri arystokraty. Na długich stołach rozstawiono półmiski ze stosami przekąsek — biały chleb, masło, rostbeef, sardynki, szynka, kawior. Na chwilę Eva została osamotniona. W szturmie na czarodziejskie stoły nie zabrakło nikogo. Po pewnym namyśle udał

się tam i pan minister spraw wewnętrznych, którego obowiązkiem było czuwać najsurowiej nad rygorami aprowizacyjnymi, a po niejakej chwili oderwał się od Ewy nawet generał von Sittenfeld.

Wówczas van Trothen zamienił z Ewą przelotne osobiwe spojrzenie i zacierając ręce rzekł z ulgą:

— A zatem możemy sobie powinszować, początek wypadł wspaniale. Z tą chwilą cały Berlin stoi przed panią otworem — szansa poprostu niesłychana. Pani Evo, musimy dokonać czegoś naprawdę wielkiego. Ale jeszcze raz ostrzegam panią przed tym generałem. Jego szelmostwo jest zaiste kolosalnej miary. To jest dopiero gracz!

Eva się śmiała.

### XIII.

W końcu lutego o zmierzchu dżdżystego dnia, gdy holownik na Renie zawył swą niemiłosiernie długą skargę czy groźbę, Rita odskoczyła od okna na środek pokoju i oglądała się dokoła w strachu i rozpacz. Chciała krzyżeć, wołać pomocy, ale coś ją ostrzegało natarczywie z ciemnego kąta pokoju... Ktoś niewidzialny machał na nią rękami, uciszał i wreszcie groził. Więc szeptała z cichym jękiem — ratujcie mnie, ratujcie...

Holownik wciąż wzmagął swój głos olbrzymi i wył chrapliwie, szarpiąco, całą mocą. Teraz obwieszczał światu jakoweś niezmierne nieszczęście, nieodwołalne, bo już spełnione. Ktokolwiek marzył jeszcze, że doła się odmieni, kto czekał na lepsze jutro, kto się łudził, że śmierć, wisząca nad najdroższą głową, ominie ją i wybierze kogo innego, kto chciał zakończyć ten dzień w spokoju i usnąć błogo, kto się uśmiechał w tej chwili, kto nucił piosenkę... Wszyscy, wszyscy, gdy usłyszeli ten nielitościwy, martwy zew, truchleli w grozie i gotowali się na cios nieszczęścia. Zła wieść grzmiała wyraźnie, wlokła się powtarzając swe straszliwe słowo, jej ponad-

ludzki dech wołał, trwożył, dręczył bez końca, pod jego wściekłym naporem łamało się serce, drgały cicho brzęcząc szyby.

— Ratujcie mnie... Ratujcie... Dobrzy ludzie... O ludzie...

Kogo miała na myśli tak szepcząc we twodze? Nikogo. Czyż jest ktoś tak nieskończenie dobry, żeby zrozumiał jej rozpacz i mądrym słowem, odgadnięciem prawdy utulił jej złowrogie przycucie?... Pomyślała o tym Ossianie Helmie — czemuż go niema przy niej teraz właśnie? Nie przychodzi w najgorszej potrzebie, niedobry, niewierny... Dawno go nie było, pojechał daleko, kiedy ona jest najniezwyklejsza. Zapragnęła jego milczącej obecności, jego spokojnego spojrzenia... Ojciec znowu gdzieś gania po świecie, zresztą, cóż ojciec...

Holownik zachłysnął się i urwał nagle, uczyniło się przeraźliwie cicho i doktor Ossian Helm stanął w progu. Nie wierzyła własnym oczom.

— To pan? To pan naprawdę?

— Jestem, witam panią. Może nie w porę?

— Ach, w porę!

Poraz pierwszy powitała go radośnie. Zaczęła szybko mówić o byle czem, o niczem, urywając zdania, jakby jej brakło tchu. Zarzucała go pytaniami, nie dając mu odpowiedzi, ani wtrącić jednego słowa. Pytała o Berlin, skarżyła się na ojca, że pojechał przeziębiony, oznajmiła, że syn adwokata Minna poległ pod Lombardsyde, że młody Schramm przedwczoraj otruł się, ale go odratowali. Wuj

Niemeyer z Hannoveru wybiera się do nich, w „Badische“ zanosi się na strejk głodowy, bo od tygodnia zupełny brak dowozu. Wczoraj eksplodowały dwa nowe generatory. Same wypadki! W Gernersheim zapalił się wielki statek-cysterna, cała benzyna poszła z wodą. Wczoraj przez cały dzień płynęły Renem zdechłe ryby — wielkie i małe. Nikt nie przypuszczał, że w Renie mogło być tyle ryb. Pomimo zakazu policji ludzie je wyławiali i jedli. Nareszcie lada dzień otrzyma wiadomości o mężu. Właśnie pani von Senden pojechała do Wilhelmshaven i obiecała natychmiast napisać...

Zamilkła i z niepokojem wpatrzyła się w niego. Pomimo zmierzchu dostrzegła w nim wielkie zmiany, wyczuła w nim coś wrogiego. Było to zatajone i złe, mimo jego zwykłego dobrego uśmiechu.

— Co się z panem stało? — zapytała z bólem w głosie.

— Ze mną?

— Jest pan jakiś zupełnie inny... Pan coś przedemną ukrywa...

Wpatrywała się weń, wpatrywała. Poskoczyła do ściany, odkręciła światło. I nagle krzyknęła wysiłonym, obcym głosem:

— Niech pan mówi odrazu! Już! Natychmiast!!

— Pani Rito...

— Nie! Nie! Niech pan jeszcze nie mówi! Błagam pana...

Zgasiła światło. W pokoju uczyniło się zupełnie ciemno. Claude zaledwie ją dostrzegł na tle okna.



Holownik znowu odezwał się, teraz już skądś zdaleka, jego głos przytłumiony jęczał posępnie, roznosząc innym dalszym ludziom żalobną wieść.

— Proszę pani...

— To ty, Charlotto?

— Jakiś człowiek do pani... Mówi, że jest z fortu Schilling, jakiś marynarz.

Claude uczuł, jak chwyciła go za ramię mocno, oburącz. Dygotała.

— Ratuj mnie — zaszepiała — pomóż mi... O Boże miłosierny... Cóż teraz będzie? Panie Helm, co ja mam robić?

— Pani pozwoli, ja się rozmówię z tym marynarzem.

— Nie! Ja nie pozwalam!

— Proszę pani, to ja go odprawię — odezwała się Charlotta.

— Za nic w świecie! Zawołaj go, niech tu wejdzie. Przepraszam pana, panie Helm, jestem dziś wyjątkowo zdenerwowana.

Zaświeciła lampę, stojącą na stole w kącie saloniku. Ciemno-niebieski abażur stłumił światło i nappełnił pokój martwym księżycowym półmierzchem. Oczy Rity biegały w popłochu, ich spojrzenie było niewidzące i błędne. Claude nerwami wyczuł jakąś groźbę, wiszącą nad nimi. Ten marynarz... Trzeba było koniecznie coś uprzedzić, odwołać rzecz, która ma się stać. Ale było zapóźno. Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki niemiłosiernie skrzypiących butów. Rita odwróciła się do okna, na progu ukazała się

wyniosła postać w grubej marynarskiej kurcie i skłoniła się niezgrabnie. Był to człowiek potężnej budowy ale przerażająco wychudły, szeroka kurta wisiała na nim jak na kij, a twarz w przykry sposób przypominała trupa czaszkę, w sinem świetle lampy była okropna. Rita podchodziła do tej postaci z wolna, opornie, jakby przemocą pchana. W twarzy jej zakrzepło przerażenie. Claude stanął między nią a złowrogim gościem jakby chciał jej bronić.

— Pan... do mnie?

— Tak jest. Ja do pani komendantowej w krótkiej sprawie... Bo ja jestem z UC 17... I pan komendant mi nakazał... Ale nie mogłem do tej pory... Długo chorowałem... Leżałem w szwedzkim wyprawili... Znowu leżałem... Już w naszym szpitalu... Znowu leżałem... Już w naszym szpitalu... We Flensburgu... Potem mnie odesłali do Kiel... Dopiero przed tygodniem wypuszczony jestem na urlop... Za pozwoleniem pani komendantowej... Melduję się posłusznie... Jestem podoficer nawigacyjny floty, Gebeschuss, sternik.

W głosie, który to mówił, nie było nic człowieka. Zgrzytliwy, martwy szept wychodził jakby z blaszanego głośnika. Zacinał się co chwila, był przenikliwy, świszczący, sztuczny, przerażająco wyraźny. Był wysilony, jakby przemagał niezmierną trudność, dźwięczała w nim niemoc i jakby szyderstwo. Tak mogła szeptać jakaś naśladowająca człowieka maszyna.

Sternik urwał i odpoczywał, gwiżdżąc oddechem. Rita zapatrzona w niego skamieniała. Claude wyrwał ją z osłupienia, zaprowadził do kanapy i posadził bezwolną i posłuszną. Gestem poprosił siadać marynarza. Ten usiadł i milczał. Wyglądał jak widmo; gdyby nie połysk zapadniętych oczu i świst oddechu można go było wziąć za trupa usadzonego w fotelu. W tej twarzy jasno kościstej i nieruchomej nie znać było żadnej myśli ani śladu jakiegokolwiek czucia, rozpościerała się na niej martwa maska śmiertelnego wyczerpania. Minuty upływały i wreszcie ta cisza stała się tak okropną, że Claude, po tysiącu rozpaczliwych pytań — co robić, bojąc się spojrzeć na Ritę, przerwał milczenie i natychmiast tego pożałował.

— Więc, panie sterniku... Bo pani baronowa, rzecz prosta, spodziewa się jeszcze wciąż...

— Nieprawda, panie Helm! Niczego się nie spodziewam! Panie Gebeschuss, proszę mówić dalej, jak było. Ja pana dobrze znam z opowiadań męża — niech pan mówi. Ale pan jeszcze chory — Charlotta! Podaj wino i cośkolwiek do zagryzienia! Panie Helm, niech się pan nie obawia o mnie. Będę zupełnie spokojna, żadnych spazmów...

— Pani jeszcze nie wie, co on powie...

— Wiem, dobrze wiem.

Opowieść sternika była negadatliwa. Snać w chorobie nauczył się szcędzić słów.

— Nad samem ranem pan komendant i pan zastępca postanowili spróbować jeszcze szczęścia...

Sieć nie popuściła ani o włos... Śruby, wszystkie stery zapętane... Jak było tak zostało... Tedy ostatnia próba, puszczać się po jednemu z powietrzem, wyniesie nie wyniesie, zabije nie zabije... Do stracenia my nie mieli nic... A wyrzuci żywego, nie rozbije po drodze o żadne żelazo, to Anglik, co nad nami waruje, może pomoże i tego człowieka wyciągnie... Może dostrzeli... Może tylko popatrzy sobie spokojnie, aż ludzie pokostnieją i na jego oczach zmarzną na śmierć... Nie słyszeliśmy nigdy, żeby się kto kiedy tym sposobem ratował, ale co... Napuściło się powietrza ze zbiorników, aż dusiło... Pan zastępca wyszedł na górę odmykać pokrywę i odrazu go porwało... Wody sporo przecieka, ale naogół się trzyma... Wypychamy jednego po drugim, ja byłem w kolei jedenasty. Każdemu pan komendant powtarzał — że jakby łaska boska... to do Ludwigshafen, do pani komendantowej. Powiadał przytem — to nie rozkaz, ja proszę... Mnie jeszcze rękę podał i wypchnął. A kiedy mnie poderwało z drabinki, to na dole stali wszyscy we wodzie już po szyję... To jest wszystko, proszę pani komendantowej, co miałem do zameldowania...

— To już wszystko?

— To już wszystko i więcej nic, bo lecąc w górę urznąłem o sztangę od schodów i ocuciłem się dopiero na rybackim statku, na szwedzkim.

— A tamci?

— O tamtych nic mi nie wiadomo... W jakie dwie godziny po mnie „Frederica“ wyciągnęła

jeszcze dwóch, to był młodszy mechanik Krech i podoficer torpedowy Hoppe... Jeden miał całkiem głowę rozbitą a drugi, ten Hoppe, był cały, ale też pływał już nieżywy, bo zmarł.

— A później?

— Potem, powiadali, nawaliła mgła i nic już nie było widać przez cały dzień... A tę sieć, przez którą my przepadli, to włączył za sobą torpedowiec... Jeszcze z wieczora warował nad nami i czekał, ale nocą trafił widać na minę, bo wyleciał w powietrze... Przerwało go przez pół i nie uszło ani żywego ducha... Tak gadali ludzie z „Frederici“, rybaki, te Szwedy...

— No i co więcej, panie Gebeschuss? Niech pan sobie przypomni... Proszę, niech pan pije, wino chyba dobre? Jabym chciała znać najdrobniejsze szczegóły...

— Wino doskonałe, pani komendantowo, ale musiałbym zebrać myśli, żeby wszystko opowiedzieć... Bo kiedy więcej mówię, to mąci mi się w głowie...

— To nic, my poczekamy...

Długie milczenie. Sternik Gebeschuss odpoczywał, dysząc ciężko, chwilami przymykał oczy i twarz jego zamierała. Po tem, co opowiedział, wydawał się zjawiskiem nieprawdopodobnem, widziałem z niedobrego snu, upiorem z głębiny morskiej. Budził się, odmykał oczy, popijał ze szklanki, a gdy dopił, Rita dolewała mu natychmiast. Korzystając z chwili Claude uczynił mu znak i sternik zrozumiał

go odrazu. Odpowiedział potakująco ledwie dostrzegalnym mrugnięciem powiek. Posiedział jeszcze, dopił wino, podziękował za więcej i zaczął się dźwigać z fotela. Z trudem wyprostował się. Za nim powstali Rita i Claude, oboje wyglądali przy tym olbrzymie jak dzieci.

— Więc cóż, panie Gebeschuss?!

— A nic, pani komendantowo... Nie pamiętam. Jak mnie przepytawali i męczyli we sztabie floty w Kiel... A nic więcej nie umiałem powiedzieć... Kazali mi napisać... Napisałem, ale to był krótki raport... Nic oni się nie dowiedzieli odemnie więcej, niż pani komendantowa... Co było więcej? Może co było, może i nie było... Zapomniałem i już...

Wyprostował się, trzasnął obcasami po żołniersku i odchodził.

— A mój mąż? Gdzież on teraz może być?.. Jeśli pan się uratował...

— Pan komendant? U nas we flocie to jest tak, że komendant ratuje się na ostatku... Ja byłem jedenasty, czyli że za mną czekało nas jeszcze dwudziestu i jeden...

— Aha... I wszyscy już stali w wodzie po szyję?

— Tak jest, po szyję, pani komendantowo.

— Dobrze. Dziękuję panu bardzo. Gdyby pan czego potrzebował, to jestem zawsze gotowa... Gdyby się panu coś jeszcze przypomniało, to pan do mnie napisze, prawda?

Gebeschuss skinął głową i poszedł. Ciężkie skrzypiące kroki oddalały się, głucho, ucichły, gdzieś tam trzasnęły drzwi.

Rita zadumała się i stała pośrodku pokoju. Claude myślał bezradnie, co też teraz będzie. I niespodziewanie ogarnęła go fala najserdeczniejszego wzruszenia. Troska tej Rity baronowej von Tebben-Gerth stała się jego własną, rodzoną. Ona sama? Nie było ofiary, którejby dla niej nie uczynił teraz. Teraz i zawsze. Odezwało się w nim serce, sponiewierane przez wojnę, zmartwiałe i skrzeple. W tej chwili ożył w nim człowiek, ten, którego sam zdusił był w sobie i zatracił przez wysiłek rozumu, ażeby przetrwać wojnę. Odpadła jak skorupa sztuczna mądrość i w duszy pojaśniało. Te czasy straszliwe, ten wrogi kraj, ta jego rola zdradziecka — wszystko stało się naraz jak przez czary wiosennie urocze, młodzieńczo piękne. Los tak chciał, żeby przez wszystkie piekła doszedł do tej chwili. Ażeby błędząc przez bezdroża wojny spotkał Ritę i przed nią się ukorzył. Czyż nie w tem było wypełnienie jego żywota? Któż wskazuje człowiekowi jego szczyty, najwyższe napięcia, cel życia, sens życia i jego godny koniec? Niema na to rad, wskazań, nakazów, bezsilny jest rozum i namysł. Wszystko — w natchnieniu serca, całe życie — w jednej chwili...

Jeszcze raz obejrzał się wokoło, jakby po raz ostatni pytając, gdzie on jest, co czyni, czego chce? Obudzić się? Uciekać? Dokąd uciekać? Od czego?

Pokój tonął w ciszy, w niebieskawym zmierzchu.

Wszystko tu było niepewne, jakby kiedyś przysnio-  
ne, zatracaly się zarysy sprzętów, przestrzeń kurczy-  
ła się, to znów rozstępowały się ściany. Majaczył  
w kącie czarny połysk fortepianu z białymi kartami  
nut na pulpicie, majaczyły na ścianie złote ramy  
portretu.

Tyżeś to jest, człowieku nieznanym, baronie von  
Tebben-Gerth? Na to pytanie rozjaśnił się w ramach  
cień ludzkiego kształtu, zapełgał raz i drugi jak do-  
palona świeca i zgasł. Spoczywaj w pokoju...

Jarzyły się z poza Renu sznury lamp i setki  
okien fabrycznych. Stary zegar cicho, niezmordowa-  
nie klekotał swoje sekundy, z półki bibliotecznej  
biała marmurowa głowa Goethego dumiała nad świa-  
tem, nad tą wojną i nad nimi dwojgiem. Rita stała  
przy oknie, jej czarna sylweta otoczona była jak  
gwiazdami rojem światła zakładów „Badische“. Clau-  
de podchodził ku niej zwolna, krok za krokiem.  
Sen trwał, ale strach było spłoszyć go skrzypnię-  
ciem posadzki, głośniejszym oddechem, myślą. Wszak  
wizja Rity mogła zgasnąć, a z nią nowy, niewiario-  
godny jego świat. Urwie się nagle, zamilknie jak  
ostatni akord symfonji, która nie powtórzy się  
nigdy. Rita, baśń fantastyczna podobna mgłę wie-  
czornej nad leśnem jeziorem... Cmentarna brzoza  
płacząca, na wieczny czas pochylona nad mogiłą...  
Osmętница, żyjąca nieutulonym żalem, skazana bez  
ratunku, żeby zostać na świecie jeno cieniem...

Bądź jaką jesteś — ale zostań! Nie znikaj  
jeszcze, nigdy z mych oczu nie znikaj...



— Czy pani mi każe odejść, czy mogę przy niej zostać?

Odwróciła się od okna, spojrzała nań bezwiednie, przelotnie i ostrożnie, na palcach, jakby się skradając, znikła w ciemnym kącie, rozplynęła się w ciszy. Claude czekał w uniesieniu, jak gdyby od tego, co teraz nastąpi, zależał jego los. Czego się spodziewał? Nie wiedział. Pragnął dostąpić cudu, zatracić się w ekstazie, oderwać się od wszystkiego, co było ongiś w czasach pradawnych — przed tą chwilą. Roztopiał się w nicości, obezwładniony. Może na zawsze utonie w pustce i zaprzepaści swój los, może sam sobie stanie się obcy i obojętny, a każdy zrobi z nim co zechce?... Może otrząśnie się ze złudy opętania? Powróci do siebie i nadal będzie człkiem prostym, zwyczajnym, wplątanym jeno w poczwarne rzuty i skręty huraganu dziejowego? Zostanie z piętnem tragicznej swojej śmieszności, jako pył, jako nic — ofiara wśród milionów jemu podobnych.

A może i to wnet, natychmiast — rozsunie się przed nim zasłona, która od dnia urodzenia odgradzała go od prawdy jego przeznaczeń? Dostąpi łaski cudu — odnajdzie siebie i własną drogę...

Czyjaś ręka, lekka jak westchnienie, dotknęła strun jego duszy. Oddźwięki ledwie dosłyszalnym szeptem i wypowiedziały słowo najtajemniejsze, to samo, które zawsze spoczywało na dnie duszy, uśpione, niepoznane. Zaczęło się misterjum ekstazy.

...Błąkały się tony najcichsze, szybko zmienne. Urywała się ich myśl, powracała, szukała drogi i wyrazu. Pytała, wątpiła, zamilkła na długo raz i drugi. Sięgała wkoło siebie jak niewidoma w miejscu obcym, nie poznając niczego. Bezradna, spłoszona, znękana myśl zamierała — zagaśła... Cisza.

Odezwał się jeden ton i uderzał głucho jak jęk dzwonu, jak dalekie, dalekie echo dział, bijących miarowo, kolejno jedno za drugim. Przewinął się i przebrzmiał motyw dręczącego pytania, targał niepokojem i zmilkł. — Z trudem, z wysiłkiem dźwigała się ku czemuś melodia posępna, jeszcze spętana, wlokąc niezmierny ciężar cierpienia. Zmaga się ze straszną prawdą, lęka się prawdy, przystaje, milknie i zwleka...

Aż znienacka wydrze się jak gromem roze-grzmi zła wieść.

— Śmierć — śmierć...

Zwała się bezmiernym brzemieniem niepokonana prawda śmierci. Przygniata, w ziemię wdeptuje straszliwy żal...

Olbrzymim głosem, na wszystkie strony świata huczą chrapliwe surmy, roznoszą, powtarzają wieść — żałobę, aby płakał naród wszystek.

— Śmierć! Śmierć!...

...A teraz własny żal, dławiące, dręczące łkanie. W bólu niepojętym wydzierają się z duszy łzy. Zapada serce coraz głębiej w otchłań nieszczęścia, żegna sprawy, radości życia, zstępuje w mrok wiecznej żałoby...

Rita grała bez końca w zapamiętaniu, do utraty sił i utraciła już świadomość tego, co gra. Ale wciąż wracała, nie wiedząc o tem, do przejmujących dreszczem akordów marsza żałobnego na śmierć Siegfrieda ze „Zmierzchu Bogów“. I za każdym nawrotem motywu śmierci dowiadywała się jakby nanowo, że nieszczęście już się spełniło i prawdą się stało. Chwiała się ze znużenia, ręce jej drżały, palce nie trafiały na klawisze, ale nie mogła przestać. Bała się ciszy, która nastąpi natychmiast po ostatnim dźwięku. Ta cisza wciągnie ją w jakiś okropny odmęt, w tej ciszy wypowie się na nią wyrok, będzie musiała poddać się i zginąć. Ona gotowa, o, dawno gotowa, ale jeszcze, jeszcze bodaj jedną chwilę...

Na fortepianie z lewej strony od ściany na wysuwanej hebanowej tafelce, gdzie dawniej staowało się świece, leżała na swem zwykłym miejscu maleńka chińska skrzyneczka z oliwnego drzewa z brązowem okuciem. Kiedyś przywiózł ją Fell z podróży z eskadrą na Daleki Wschód. Wprawiona w nią była na spodzie szkatuleczka do nakręcania z miłym, starym menuetem, ale zostawało jeszcze dużo wolnego miejsca na przeróżne drobiazgi. Rita spogląda na nią z utęsknieniem, ale jeszcze odtrąca ją strach. Igra ze skrzyneczką jak dziecko, które ciągnie, kusi psota, rzecz surowo zakazana. Co będzie? Ejże... Ejże... Jest znowu maleńką Ritą, cudownie szczęśliwą, bez trosk, bez myśli — ale cóż, tej skrzyneczki za nic nie wolno ruszyć. Dlaczego?

Nie wolno i koniec! Też dopiero... A jeżeli nikt nie zobaczy? Tylko zajrzy, delikatnie odemknie wieczko, niczego nie ruszy, nie! Potem się nie przyzna. Oszuka mamusię? Nie, nie oszuka, jakżeby mogła? Ona tylko troszeczkę odemknie śliczne pudełeczko, zajrzy przez maleńką szczelinę...

Nagle klawisze zadźwiękły zgrzytliwym fałszem. Same ręce porwały skrzyneczkę, otwały — zimno w dłoni, zimno w mózgu...

— Fell... Fell.. Ja nie mogę bez ciebie,.. Nie mogę... Nie mogę...

Ktoś ją porywa za rękę, rozkrzyżowuje przemocą. Szarpie się, broni się. Skrzyneczka pada na ziemię. Czyjeś ramiona zaciskają się na niej. Napastnik łamie jej palce, rozdziera zaciśniętą dłoń. Strzał! Drugi strzał...

Rita stoi oparta o ścianę, cała zdrętwiała z przerażenia patrzy na zboczoną rękę doktora Helma, krew bije z rękawa i już ścieka na podłogę. Ze zdumieniem patrzą nawzajem w swoje twarze pobladłe i zmienione, ze zdumieniem słuchają słodkich cichuteńkich dźwięków mozartowskiego menueta, które sączą się z porzuconej na ziemi chińskiej skrzyneczki.

## XIV

Greta von Senden ocknęła się ze snu i długo leżała w odrętwieniu, niepewna gdzie się znajduje. Roje przyćmionych myśli przesłaniały się nawzajem, prześcigały się, pomieszane w przestrzeni i w czasie. Wszystko równocześnie było i nie było. To, co jest teraz, stawało się przelotnym wyobrażeniem o dalekiej przyszłości. Teraz? Teraźniejszość — ten dzień i godzina były nieobecne. Ciemny pokój, czerwony odblask od drzwiczek pieca i huczący ogień — to dom rodziców w Dreźnie. Za chwilę będzie musiała wstać i śpieszyć do szkoły... Uśmiechnęła się do niej gwarna klasa pełna koleżaneczek i doroczny bal szkolny, który wypada za trzy dni. Biała sukienka z falbankami, z niebieskimi wstążeczkami wisi gotowa w szafie. Mama obiecała, że dziś nieodwołalnie kupione będą lakierowane pantofelki, takich nie miała jeszcze nigdy w życiu — co za radość... A na balu napewno będzie prześliczny kadet niewiadomego nazwiska, który na ulicy za każdym spotkaniem obrzuca ją czarodziejskiem spojrzeniem.. I kadet już tańczy z nią walca, wszyscy patrzą na najpiękniejszą parę. Kadet przyciska ją mocniej, wy-

tańcowuje ją z sali do jadalni, krążą dokoła wspólnie zastawionego stołu, potem wpadają do pustego, słabo oświetlonego pokoju, a potem już tańczą w ciemnościach. Ziemia wymyka się z pod ich stóp unoszą się w górę, wirują coraz szybciej i szybciej, kadet miażdży ją w uścisku i nagle żar i płomień ogarniają usta, płonie cała, wytryska z niej niepojęta, niezaznana, szalona radość... Co za wstyd... Co za szczęście...

Zasypia, ale coś ją ostrzega — nie śpij! Nasłuchuje — szmery w ciemnościach, mysz gryzie coś zapamiętałe pod podłogą, mucha piszczy żałośnie, dręczona przez pająka. Mucha wysysana żywcem rozpaczliwie wibruje skrzydełkami, ciszej, mocniej, tony zmieniają się, dochodzą do najwyższego napięcia bólu, strachu... Greta nie może tego znieść, zrywa się i szuka pająka. Nie może znaleźć kontaktu, nie może trafić do okna, błąka się w ciemnościach potracając o mnóstwo nieznanomych sprzętów, albowiem jest w obcym domu. Mucha już ucichła. Obżarty pająk w ciemnościach rechoce szyderyczym śmiechem. Jest to obrzydliwe i straszne. Teraz pająk jej szuka. Dygoce, z przerażenia nie może krzyknąć, ucieka macając wokoło, naraz rękami natrafia na okropną wielką głowę, łysą i lepłą. Obejmują ją potężne macki, wielokrotne twarde, włochate ramiona oplatają się dokoła jej ramion, bioder, nóg, zawisa na niej ciężar, obala ją, przytłacza do ziemi, obrzydła, żarłoczna gęba wpija się w nią i ssie. Wówczas, starając się naśladować muchę, zaczyna

piszczyć przenikliwie, najcieńszym, świdrującym głosem. Ohydnie mlaskając i sapiąc pajak wyciska z niej życie, wypija krew do ostatniej kropli. Już nie słyszy własnego głosu. Umiera.

Budzi się. W piecu huczy, za oknem przechodzi oddział piechoty. Przez szczelinę kotary wciska się biały dzień. Za nic nie chce dnia. Nakrywa się z głową i z rozpaczy zasypia. Udaje, bo wie, że już nie zaśnie. Odpędza złe myśli, cóżby dała za to, żeby one były tylko złemi snami. Udaje, broni się. Takie myśli są wręcz niemożliwe, są głupie i warjackie, lepiej spać. Udaje, wymyśla sny. Idzie jej łatwo, wszystkie sny są gotowe, biegną jeden za drugim, jak na zamówienie, są okropne, tak jak powinny być prawdziwe sny. Jęczy i odpędza od siebie koszmary, napróżno. Obległy ją straszliwe zmory. Wrzeszczy nad nią gromada obcych mężczyzn, śpiewają każdy co innego, wszyscy pijani. Ubrani w morskie kurtki, niektórzy do pasa nadzy, kilku zupełnie nagich. Przerzucają ją z rąk do rąk obnażoną, pijaniusienką... Co chwila oblewa ją któryś winem z butelki. Raz po raz porywa ją któryś i najbezwstydniej na oczach wszystkich, tak brutalnie... Krzyczy, broni się.

— Zlitujcie się, już nie mogę, za nic nie chcę...  
Ja doprawdy umieram...

Jest niemożliwie ciasno, wszyscy duszą się w żelaznej skrzyni bez żadnych sprzętów prócz żelaznego stołu i na tym zimnym stole... O Boże, ratuj. — Znowu... Śmieje się nad nią, ryczy, świeci

zębami mnóstwo pijackich twarzy, znowu zlewają się na nią strugi czerwonego wina... Za innymi, jak zarażona, sama zaczyna się śmiać bolącym opętanym śmiechem.

...Zatulona w pled drzemie w wagonie. Ruch, głuchy łoskot kół kołysze ją do snu. Wypoczywa rozjątrzone, splugawione ciało, dusza oddała się od tego, co było tej nocy, już zapomina. Za pół godziny będzie wolna od gnębiącej zmory. Błogi sen przygarnia ją do siebie, koi, przebacza... Gdy otworzyła oczy, młody człowiek siedzący naprzeciwko w futerku z lisim kołnierzem odwrócił od niej spojrzenie. Ten sam. Widziała go w Kiel w kabarecie „Zielona Maską“, a potem w forcie wojennym, gdy już trochę pijana siadała do motorówki, żeby jechać do eskadry na resztę nocy... Znać, że chce do niej zagadać... Więc przymyka oczy i udaje, że zasypia... Ale on przemówił z cicha, spokojnie, niby do siebie. Zdrętwiała. Słucha... Ten człowiek wszystko o niej wie... Czyta jej dzieje jak z książki, gdzie wszystko o niej zapisane. Książka jest francuska. Ale on fatalnie wymawia... Ach, i to jeszcze... Rzecz, o której nie wie nikt na świecie... Teraz grozi... Teraz wyznacza jej spotkanie... Nakazuje... Nie może dłużej — otwiera oczy. Młody człowiek czyta półgłosem książkę w żółtej okładce.

— Może pani przeszkadzam? Czytam głośno dla wprawy w języku. Będę już ciszej...

— Proszę bardzo! To mi nie przeszkadza.

— Dziękuję pani...



..Zabłądziła w nieznanym mieście, śpieszy-  
na dworzec i nie może trafić — ucieka. Za wszelką  
cenę, za cenę życia musi ukryć gdzieś papiery,  
które ukradła. Czuje za sobą pogoń, wszyscy prze-  
chodnie patrzą na nią podejrzliwie. Byle dopaść...  
Gdzież ten dworzec? Dworzec ucieka przed nią,  
kryje się chytrze w labiryncie nieznanych ulic, od-  
zywa się to tu, to tam, dalej, bliżej gwizdem paro-  
wozów, ludzi cierpkim czadem węglowym. Słyszy  
za sobą wołanie zdyszanych, biegnących ludzi —  
Złodziejka! — To ona! Ona! Łapaj! Trzymaj!  
Terkoce za nią, zacina się, strzela motocykl policyj-  
ny. Ach, dworzec... W tłoku oddziału bagażowego  
widzi zdaleka okropną głowę w kraciastej czapce  
sportowej, wysterczającą ponad wszystkie głowy. —  
Pan nie wie, o której odchodzi pośpieszny do Ko-  
lonji? — Za dziesięć minut, łaskawa pani! Długie  
wstrętne palce chwytają zwitek — jaka ulga...

...Ubiera się pośpiesznie, wciąga pończochy,  
ręce jej drżą z odrazy. W głębokim fotelu klubo-  
wym sterczą jasnokościste cienkie kolana, rozwała  
się brzuch rozdęty, pajęcze piszczele rąk, splątane  
długimi palcami, rozparte śpiczastymi łokciami,  
fajka dymi w zębach. Maleńkie, wysadzone, czar-  
ne oczka, tępy nos, skąpe, sterczące szczeciny wą-  
sów, płaska, łysa czaszka, obleśny uśmiech kanalji  
zbrodniczej.

— Jak pan chce, ale zapowiadam, że kraść dla  
pana nie będę. Co pan tylko chce — byle nie to.

— Będiesz robić wszystko co każe. Musisz!  
Zrozumiane?

Wie o tem i wybucha płaczem. Kanałja w fotelu, olbrzymi długi szkielet, włochata skóra i krzywe kości z ogromnym, wydętym brzuchem pośrodku to jej władca i pan. Cóż za obłąkany sen...

Trudno już dłużej kłamać sny. Przez odmęt skołatanej głowy, przez rozpaczliwy wysiłek zaprzeczenia, przez mrok panujący w pokoju, przez kołdrę, narzuconą na głowę, przebija się to, co jest — spokojna, niemiłosierna rzeczywistość. Co robić? Płakać? Kłąć ostatniemi słowy?

Krzyczeć w niebogłosy?

Zwarjować?

Odrzuciła kołdrę i wstała spokojnie. Rozsunęła zasłonę, podniosła roletę, blask słońca ciął ją tak brzytwą prosto w udręczone oczy. Gwałtownie odwróciła się od okna i znalazła się twarzą w twarz ze swoim odbiciem w wielkim lustrze. Odtrąciło ją to nieznośną brutalną prawdą. Wszystko naraz odbiło się w lustrze, wszędzie żywe ślady, w oczach, w całej twarzy, na nogach. Była napiętnowana, cała okryta obrzydliwością. Uciekła...

W jadalni stół był nakryty do śniadania, poczuła głód. Na ścianie portret z czasów panieńskich, na rok przed ślubem. Mądre, wesołe oczy i uśmiech witały niezaznane, nienapoczęte jeszcze życie. Promieniała pięknnością duszy. Wspaniałe sploty jasnych włosów, spięte po grecku, błękitna tunika, obok w rosenthalowskim złożonym wazonie garść narcyzów. Tak było pięć lat temu... Była czysta, jak te narcyzy. Najbardziej pożałowała włosów, łzy sta-

nęły jej w oczach — poco, poco się tak oszpeciła. Uciekła od portretu, stanęła w oknie.

Z góry widać podwórze koszarowe, odgradzone od ulicy wysokim murem. Orkiestra ze sztandarem — bataljon marszowy odchodzi na front. Plutony siarczyście wytupują paradny krok w defiladzie przed generałem, grzmią trąby. Wszystko dobrze, ale pod murem przeciąga kompanja — same dzieci, nikli chłopcy, mizeractwo zabiedzone... I ci także?.. Z drzwi koszar wypętza na podwórze gromada jakichś pokracznych, podstarzałych niedojdów. To mają być żołnierze? Ustawiają się niedołąźnie w dwurząd, na każdej twarzy wypisane nieszczęście.

Ochoczo grzmią trąby, bataljon marszowy ryczy — Hoch! Hoch! Hoch! Przed zamkniętą bramą tłum kobiet, zajęły całą ulicę, wynędzniałe, zapłakane, stoją w milczeniu, zbierając siły na chwilę, gdy przez rozwartą bramę z orkiestrą na czele wystąpią bohaterskie czwórki ich mężów, ojców, żywicieli w uroczystym marszu przez miasto na dworzec, a stamtąd...

Pani Greta nie mogła na to patrzeć. Odeszła od okna, pokręciła się bezmyślnie po mieszkaniu, aż znowu paniński portret zastąpił jej drogę. Wówczas pobiegła do biureczka w sypialni, wysunęła znajomą szufladkę, choć dobrze wiedziała, że nic tam nie znajdzie. Zaczęła szukać w podróźnej walizce, wyrzucając wszystko na podłogę, śpieszyła się jak opętana, z rozpaczliwą samowiedzą, że czyni to na próżno. Pobiegła do dawnego gabinetu męża, tam

w szafie bibliotecznej za książkami miała swoją skrytkę. Może stanie się cud? Może tam...

I w ostatniej niedoli padła w fotel przed biurkiem. Porucznik von Senden spojrzął na nią ze ściany. Wybuchła podłym śmiechem załganym i usiłowała szydzić. Mówiła do portretu przez łyżę. — Wszystko djabli wzięli, a on tu został... Senden, żyjesz, czy ziemię gryziesz? Co robisz? Czy ty już też jesteś lajdakiem?

Dzwonek. Z przedpokoju głos znajomy. Zerwała się, pobiegła.

— Masz?! Masz?!

— Greta, jak ty wyglądasz? Uspokój się.

— Nie mogę... Dawaj zaraz... Najdroższa!

Pani Hipper, pięćdziesięcioletnia, ongiś i teraz jeszcze piękna pani, przytuliła ją do siebie i wpiła się w jej usta. Greta poddawała się jej, dygocąc z niecierpliwości, wreszcie oderwała się i chwyciwszy jej torebkę z jaszczurczej skóry, pobiegła do sypialni. Pani Hipper zasiadła przy stole i kazała podawać śniadanie

— Klarchen, co słytać?

— Pani przyjechała o jedenastej, okropnie zmęczona drogą. Nic jej nie mówiłam o panu Hansie. Nie wiem, czym dobrze zrobiła?

— To nic, mały jest coraz lepiej. Właśnie stamtąd wracam. A nikogo tu nie było przez ten czas?

— Dowiadywał się tu jakiś stary pan, taki szykowiec, nie mogłam się go pozbyć. Przysta-

wiał się do mnie na całego, wreszcie poszedł, wetknął mi w łapę dziesięć marek.

— O co pytał?

— Niby o nic specjalnie, ale gadał jak młyn, chciał obejrzeć mieszkanie, wedle ogłoszenia. Oprowadziłam go.

— Nie trzeba było, Klarchen. Czy był i w gabinecie?

— Wszystko mu pokazałam.

— Aleś go nie zostawiała samego?

— A, broń Boże, tylko na jedną chwilkę poszłam do telefonu.

— To źle. Mógł co ściągnąć.

— Proszę pani! Taki poważny pan? Czy ja nie widzę, z kim się ma do czynienia?

W sypialni rozległ się srebrzysty głos Grety, nużącej jakąś piosenkę kabaretową. Pani Hipper uśmiechnęła się.

— Greto!

— Jestem, jestem...

Wpadła w czarnej jedwabnej pyjamaie, świeża, roześmiana. Wysoka, długonoga, ostrzyżona krótko, była jak śliczny zniewieściały chłopiec. Siadła na kolanach przyjaciółki, objęła ją za szyję i szepotała wśród pocałunków:

— Ty jesteś moje bóstwo... Ty moje życie... Uratowałaś mnie... Cały flakonik dla mnie? Prawda? Cały, cały... Ja muszę mieć zapas... Od pięciu dni nie miałam ani okruszynki... Tylko dlatego szalałam... Ach, co za paskudztwo..,

— Powiedz mi wszystko!

— Nie mogę... Tego już za nic nie mogę...

Okropności...

— W Kiel?

— Zabrali mnie na jakiś torpedowiec...

— I co? I co? Mów wszystko, wszystko! —

Pani Hipper przycisnęła do siebie Gretę, oplótła ją ramionami. Na ulicy zagrzmiały trąby.

Tłum kobiet zalał chodniki i jezdnię po obu stronach kolumny, uczynił się zamęt i zgiełk, biegająca, nawoływania. Kobiety kręciły się jak oszalałe szukając, wracając, doganiając. Trudno było odnaleźć swojego, wszyscy zrobili się obcy i jednakowi w głębokich hełmach, w obciążeniu bojowym, z bronią na ramieniu. Latały, krzyżowały się w powietrzu i tonęły w zamęcie imiona, imiona, imiona. Nikt się nie odzywał, żaden nawet nie spojrzął na stronę. Wszyscy, czwórka za czwórką, pluton za plutonem, kompanja za kompanją patrzeli ostro w dal, gdzie za górami, za rzekami czekało na nich jakieś miejsce, dzień i któraś godzina. Żaden nie wiedział i nie pytał, dokąd go prowadzą, każdy wspominał dawne swoje służby bojowe, przeróżne, a zawsze te same. Bywały płaskie pola, niebotyczne góry, trzęsawiska, bezwodne stepy, rzeki, jeziora, spalone słońcem wybrzeża morskie, zdradzieckie lasy. Wszędzie zastawali to samo, głębokie okopy, murowane schrony, blokhausy, przyczółki i druty, poplątaną gęstwinę rowów dobiegowych i chodników. Gdzie-

kolwiek los nimi rzucił, zakopywali się w ziemię. tam walczyli, tam ginęli. Przemierzyli kraje północy i południa, wschodu i zachodu. Wszystkie strony świata zaznały ich niemieckiego miecza i wszędzie rozrzucone były ich kości. Starzy żołnierze,, Jedni pamiętali wybuch wojny i Marnę, inni przełom pod Gorlicami, zdobycie Warszawy, ci byli w Karpatach, ci nad Sommą, ci w Argonnach, tamci pod Verdun. Ten był ranny nad Dniestrem, ten w Rumunji, ten w Serbji, ten w Turcji. Żołnierze z pod Rygi, z nad jeziora Narocz, z Tyrolu, z Gorycji, z nad Piave, z nad Tagliamento. Wybrani z rozbitych pułków, z różnych dywizyj, korpusów, armij, najdzielniejsi, którzy przetrwali wszystko — bataljon szturmowy Nr. 117. Każdy pamiętał swoje, ale bataljon pamiętał wszystkie fronty, wszystkie natarcia, wszystkie odwroty — znał i pamiętał całą wojnę. Co sobie myślał który, czego chciał? Czem się gryzł? Czem się truł? Wszystko jedno. Albowiem bataljon tysiącgłowy szedł twardym krokiem mierzonym, jakby szedł jeden człowiek. Bojowa machina zbudowana przemądrze, spojona z żelazną mocą, nastawiona była na ślepą żądzę boju, na krew, na zwycięstwo. To głosiły trąby bataljonu i jego grzmiący krok.

Zbiedzeni przechodnie, mieszkańcy starego Heidelbergu zatrzymywali się i setkami oczu patrzeli w twarze przechodzących żołnierzy. Patrzeli z żalem, że oto i ci jeszcze zginą i nie wrócą. Patrzeli z otuchą — dzielnych żołnierzy mają jeszcze Niemcy! Niektórzy wołali — niech żyje armja! — Kończ-

cie tę wojnę! — Na Paryż! Krzyczeli — Hoch Vaterland! Hoch Kaiser! Okrzyki były nikłe, jak gdyby mieszkańcy Heidelbergu w tym czwartym roku wojny nie mieli sił ani głosu.

Dzielnie maszerował bataljon, nie gorzej niż za najlepszych czasów. Niebawem została w tyle większość odprowadzających kobiet, rozciągnąwszy się w bezładną, rozproszoną gromadę. Pierwsze ustały stare babki i matki z niemowlętami na ręku. Śpieszyły jak mogły, kłapiąc po bruku drewnianymi chodakami, ciągnąc za sobą po dwoje, po troje, po czworo krzyczących, zapłakanych dzieci. Wlokły się beznadziejnie, wiedziały bowiem dobrze, że dopóki bataljon się nie zawagonuje i nie odjedzie, na dworzec nie wpuszczają nikogo z publiczności. Szły coraz wolniej, ustawały, ostatnia czwórka oddawna znikła im z oczu za rogiem ulicy. Nie dochodził nawet dźwięk trąb...

Pani Greta wyszła z domu uśmiechnięta, z blaskiem w oczach. Spowiedź przed przyjaciółką, jej pieszczoty subtelne, kąpiel i dwie dawki białych kryształków z weneckiego flakonika dały jej zapomnienie wszystkich brudów, żalów, strachów, przywróciły jej zwykłą nie dbającą o nic lekkomyślność. Serce napełniło się dobrocią, wszystkie jej myśli były szlachetne. Śpieszyła na dworzec, gdyż od dwóch tygodni nie była u rodziców, a tymczasem ten mały, głupi Hans o mało nie sprowadził na dom nieszczęścia. Po drodze zatrzymała się przed



sklepem kwiaciarskim. Śliczne kwiaty... Przynajmniej tego jeszcze nie brak biednym Niemcom, choć kwiaty w tych czasach to zbytek. Zbytek, ale i rzecz najpierwszej potrzeby — codzień przybywa tyle mogił bohaterów... I w niespodzianem natchnieniu weszła do sklepu i kazała sobie zapakować wszystkie cięte kwiaty. Zabrała ogromny snop, wyłożyła zań grubą wiązkę pięciomarkówek. Do cmentarza miała blisko, szła tam jakby spełniając zamiar dawno powzięty, chciała ukorzyć się przed świętością ofiary za ojczyznę i wśród czarnych krzyżów żołnierskich żałować brudów swego żywota, bezceństw i... zbrodni. Będzie ślubować nowe życie, odrodzone i czyste. Gotowa była przyjąć najcięższą pokutę.

Za starym zadrzewionym cmentarzem rozciągała się obszerna naga przestrzeń. W nieskończonych szeregach ciągnęły się jednakowe, wymierzone krzyże z daszkami nad kopczykami darniowych mogił. Miejscowy szpital garnizonowy był niewielki, parę pomocniczych szpitali w szkołach miejskich liczyły zaledwie po kilkadziesiąt łóżek, a jednak w czwartym roku wojny i tutaj, w zacisznym ustronnym miasteczku zdołały one zaludnić taką ogromną przestrzeń. Ze łzami w oczach obchodziła Greta mogiły, rzucając na każdą bodaj jeden skromny kwiatusek. Padały u stóp krzyżów tulipany, fijołki alpejskie, prymule, żonkile. Wydzielała je oszczędnie, wkrótce jednak znalazła się z pustymi rękami już w trzecim szeregu mogił, a zostało ich jeszcze tyle...

Wracała zawiedziona i strasznie smutna. Nie

zdołała wypowiedzieć ślubowania ani uczcić w sobie tej chwili. Wszystko się w niej załamało. Z pochyloną głową, zdręczona szła ulicą cmentarną i sama nie wiedząc kiedy stanęła przed marmurową płaskorzeźbą dwuletniej dziewczyneczki ze wstążeczką we włoskach, z kwiatkami w ręku. Wtulona w blok czarnego polerowanego granitu uśmiechała się do matki.

— Dziecino, dziecino najśłodsza, pocóżeś mnie opuściła? Gdybyś ty była żyła...

Stała długo i nie mogła się oderwać od mogiłki. Zakopana tu była jej dola prawdziwa, to co być z nią powinno. Jej szczęście, godność i cześć. Gdyby nie została opuszczona, sama jedna, nie dałaby jej rady wojna. Łudząc się, kłamiąc i widząc własne kłamstwo, oskarżała los, jego przemoc i okrucieństwo. Broniła się wielomównym wyrzekaniem, wbrew oczywistości i prawdzie. Wszystkie dowody i racje odbijały się od dziecięcego skamieniałego w rzeźbie uśmiechu zmarłej córeczki.

— Może jednak będzie tego dosyć? Niepotrzebnie pani zwleka. Im prędzej, tem lepiej.

Obejrzała się i zanim ujrzała mówiącego, już wiedziała, kto za nią stoi. Wczorajszy sen z wagonu, młody człowiek w lisim kołnierzu patrzył na nią obojętnie i zimno. Pod tem wejrzeniem zadygotała ze strachu. Czyż obiecała mu przyjść na cmentarz? Zapomniała o tem. Jak mogła zapomnieć? Kto on jest?! Czego chce?! Pomieszały się w niej rzeczy byłe i przyśnione. W głowie szum i chaos.

Wreszcie odgadła, uciekła ostatnia myśl. — Teraz trzeba płacić. Hańba, szubienica, śmierć. I został tylko sam jeden niepojęty, fantastyczny strach.

Młody człowiek mówił spokojnie i niemal grzecznie. Ale właśnie w tej grzeczności było coś przerażającego. Rozumiała każde słowo, ale im dłużej słuchała, tem bardziej nieprawdopodobnem stawało się to wszystko. On wiedział, kiedy się to zaczęło, był mu znajomy każdy jej krok, wszystkie podróże, wszystkie orgje. Wymieniał nazwiska jej przelotnych, przypadkowych przyjaciół na jedną noc, gdy ona sama nie pamiętała już wielu, a o niektórych nie wiedziała nawet zgoła kim są. Wyliczał oficerów floty, lotnictwa, broni chemicznej, sztabów, etapów. Wykazał jej utarte marszruty i główne punkty jej zbrodniczej działalności. Kiel — sztab marynarki, mapy pól minowych, Schilling — łodzie podwodne, Hamburg — zakłady „Vulkan-Werke“, Frankfurt—zakłady chemiczne „Casella“, Biebrich— „Kalle et Com.“. Dalej Drezno — fabryki amunicyjne, wytwórnie masek przeciwgazowych, zakłady graficzne i tak dalej.

Greta jak człowiek tonący miotała się w niezgłębionej powodzi rewelacji, usiłowała rozpaczliwie chwycić się za cośkolwiek, utrzymać się na zalewającej ją fali. Nadaremnie. Każde nowe słowo obciążało ją i pogrążało. Wówczas dygocąc ze strachu ogarnęła młodego człowieka spojrzeniem podstępem, kuszącym. Ukradkowo ciskała obietnice, podsuwała obrazy bezwstydu i zapamiętania, zaprze-

dawała się w niewolę, w rozchyleniu ust, w skurczu policzków, w przymknięciu powiek objawiła całą swoją sztukę rozbestwiania mężczyzny. Aż jej oczy zamgliły się żądzą nieudaną, oblał ją dreszcz ekstazy i wparta w młodzieńca szalone oczy. Wszak to jedno mogło ją uratować. Ale młody człowiek nie zauważył tego. W tonie spokojnym, złowrogo uprzejmym oznajmił jej, że jest zbrodniarką bez czci i wiary i że zarobiła uczciwie na dziesięć szubienic, ale że jedna jej nie minie. Obiecał odroczenie szubienicy pod warunkiem, że wyzna o sobie wszystko. Obiecał złagodzenie kary na dożywotnie celkowe więzienie, jeżeli wyda znanych sobie współników. Obiecał darowanie kary i zapomnienie win, jeżeli dopomoże do wykrycia centrali wywiadu angielskiego. Dotychczas była nędzną podrzędną szpiegówką, brudną aferzystką, kradła naoslep papiery ważne lub błahe swoim pijanym kochankom i podsłuchiwała to i owo, nic z tego nie rozumiejąc. Zbierała gdzie się dało śmiecie, w których przypadkiem trafiało się coś lepszego. Teraz może zostać człowiekiem, odkupić swoje winy. Może nawet dostać duże pieniądze. Niech wybiera. Nie trudno się domyśleć, co wybierze, ale niech pamięta, że najłżejszy ślad fałszywej gry zaprowadzi ją na szubienicę. Niech wie, że to ma zapewnione zgóry ponad wszelką wątpliwość.

— A teraz do rzeczy. Otrzyma pani plan naszej wielkiej wiosennej ofensywy. Termin co do dnia i godziny, odcinek wypadowy i ordre de bataille. Posiadając w ręku dokument tej wagi, musi pani dotrzeć do centrali angielskiej. Daję pani na to

cały tydzień czasu. Niech pani porzuci swoją lekko-  
myślność i wysili cały swój spryt. Niech pani nie  
traci ani chwili czasu, bo tu idzie o pani życie. Każ-  
da godzina opóźnienia będzie pani policzona, a je-  
żeli pani nie wywiąże się z zadania na oznaczony  
termin, pójdzie pani na stryk i na tem koniec. Dzisiaj  
stawi się pani w Mannheim, ulica Schloss-Strasse  
Nr. 27, drugie piętro na prawo, godzina siódma  
minut piętnaście wieczorem u pani Doroty Meissner.  
Zapytać o pana Willich. Proszę powtórzyć!

— Pani Dorota Meissner, ulica Schloss-Strasse  
Nr. 27, drugie piętro na prawo, godzina siódma  
minut piętnaście. Zapytać o pana...

— Willich! Willich — to ja Powtórzyć!

— Willich...

— Ma pani pociąg za godzinę. I tak wybierała  
się pani do rodziców, prawda? Odwiedzić brata,  
który się truł. Chce pani wiedzieć dlaczego to  
uczynił? Zginęły mu tajne plany nowo zmontowa-  
nych generatorów do udoskonalonego wytwarzania  
gazu marki Żółty Krzyż, bo pani mu je ukradła.  
Czy pani ma je u siebie zpowrotem, żeby je pod-  
rzucić?

— Mam! Mam!... Nie — nie mam... Litości,  
panie... Ja nie mam...

— Fuszerka angielska. Więc oto są. Wpadły  
nam w ręce.

Podał jej wielką kopertę z numerem 12—C, o-  
stemplowaną czerwono w paru miejscach — Ge-  
heim... Geheim... Geheim...

Odwrócił się i poszedł.

## XV

Z chaosu obrazów, powydzieranych z całości, przeskakujących przez siebie nawzajem, z urywków, epizodów wynurzało się stopniowo dzień za dniem wielkie przełomowe, przebojowe, rewelacyjne arcydzieło „Bogowie Germanji“, epopeja wojny, nie-dościgły superfilm, bijący wszystkie europejskie i amerykańskie rekordy. Reklama szalała.

— Prawdziwe zdjęcia z frontu! Nasi żołnierze w okopach i w ogniu! Bohaterscy operatorzy „Mundus-Filmu“ na czołowych pozycjach!

— Dziesięć tysięcy cywilnych statystów! Dwie dywizje piechoty, cztery baterje artylerji ciężkiej, trzy eskadry lotnicze uczestniczą w filmie!

— Eva Evard ukończyła wszystkie wystąpienia Brunhildy, które wypadły wspaniale. Pozostają obrazy w terenie, co rozpocznie się w połowie maja.

— Znakomity artysta, Hjalmar Butzke, kapitan Hofacker—Wotan, prowadząc swoją kompanję, ostrzeliwaną — autentyczne — z pozycji nieprzyjacielskich — autentyczne — został lekko ranny odłamkiem granatu. Odłamek jest wystawiony do obejrzenia w witrynie lokalu „Mundus-Filmu“.

— Opera Cesarska w Berlinie oraz jedyny na kuli ziemskiej magazyn rekwizytów w Bayreuth dla wielkiego dzieła narodowego ofiarowały bezinteresownie bezcenne kostjomy do obrazów mitologicznych.

— Kreacja Ewy Evard głównej bohaterki Margarety Hart—Brunhildy — wedle jednomyślnej opinii najpoważniejszych rzeczoznawców nacechowana jest przedziwnie głębokiem odczuciem duszy germańskiej.

— Ze wszystkich krajów neutralnych już napłynęły zamówienia na „Bogów Germanji“, ten nieśmiertelny wytwór ducha niemieckiego, dokonany w najcięższych czasach wojny. Świadczy to o stanowczym zwrocie opinii neutralnej, która...

— Wiadomość o wzięciu do niewoli przez Anglików znakomitego operatora Gottfrieda Huncke na szczęście okazała się nieścisłą.

— Nieporównana Eva Evard w łaskawie udzielonym nam wywiadzie uznaje, że „Bogowie Germanji“ są najwyższym wyrazem sztuki filmowej. Zarówno szczytna, głęboka koncepcja, jak ogrom rozporządzalnych środków technicznych...

Eva Evard jak i dyrektor van Trothen pracowali bez szczególnego zapału. Film był ordynarną bombą patriotyczną, z całym aparatem tandety sentymentalnej i przesadnych, karykaturalnych efektów bojowych, które znieważały powagę wojny. Oczywiście nie było żadnych zdjęć na froncie. Reżyser ganiał po polu dwie nieszczęsne kompanje landszturmu, udzielone przez ministerstwo za protekcją gene-

rała Sittenfelda i kazał im się mordować w sztucznych okopach. Przeplatanie współczesności przez kostjumową Nibelungjadę i podwójne role głównych aktorów potęgowały zamęt konstrukcji do szczytu absurdu. Mimo to van Trothen twierdził, że film będzie miał wyjątkowe powodzenie, oczywiście dzięki udziałowi genialnej Evy.

Eva odrabiała swoje, byle zbyć, gdyż pochłaniała ją nowa, niezaznana gra we własnym ultrafilmie, który stworzyła sobie sama. Tutaj dyrektor van Trothen był tylko ułamkowo reżyserem. Kierownictwo niebawem wymknęło mu się z rąk, musiał poprzestać na ułatwieniach technicznych, na dobrych radach, związanych ze znajomością terenu, i na nieustających nigdy ostrzeżeniach. Na grę Evy patrzył z przerażeniem i z zachwytem. Jej ambicje były zawrotne, postanowiła dokonać cudu, ni mniej ni więcej tylko — przeważyc szalę wojny na rzecz mocarstw sprzymierzonych. Oznajmiła mu to odrazu. Spierali się przez długie godziny. Van Trothen z początku żartował, potem się irytował, potem zląkł się, doszedł do przekonania, że Eva jest manjaczką, opętaną uporczywą ideją, spokojną, więc w danych okolicznościach właśnie najniebezpieczniejszą obłąkaną. W końcu powołał się na swoje pełnomocnictwa i zabronił jej najsurowiej zaczynać coś na własną rękę. Tak czy owak był jej władzą. Ale Eva drwiła z jego pełnomocnictw i z władzy.

— Panie van Trothen, pan sądzi, że panu przysłano z Paryża jeszcze jedną agentkę? Otóż mnie



nikt nie wysyłał, oznajmiłam tylko gdzie należy, że mam zamiar spróbować moich sił na tym zajmującym terenie. Pan generał Dubreuil był tak łaskaw, że na paru konferencjach udzielił mi nader pożytecznych instrukcyj oraz polecił mi pańską szanowną osobę jako doradcę technicznego i człowieka zaufania — tylko tyle.

— Ależ pani zginie! I to marnie! I bardzo prędko... Taka amatorka — dyletantka! Czyż pani nie wie, że nastawiona jest na nas straszliwa machina kontrwywiadu? Pani się zapłacze, pani im wpadnie w oko odrazu. Wówczas zastawią jakąś nader kunsztowną pułapkę a pani złapie się w nią z całą swoją inteligencją i ze swoim nieporównanym wdziękiem. No i już.

— Proszę zważyć, że ja nie mam żadnych metod ani sposobów im znanych. Że z natury jestem indywidualistką i to dość nieodgadnioną. Że sam rozgłos mego imienia będzie mnie dobrze osłaniać...

— Ręczę pani, że od pierwszego dnia pani pobytu w Berlinie a może od samej granicy jest pani śledzona. Mogę to sprawdzić z bardzo małym zachodem.

— Więc cóż? Przypuśćmy Ja nie mam nic do ukrywania. Niech mnie śledzą, ile im się podoba.

— Jakto?

— Jedyłą moją tajemnicą jest pan, panie van Trothen, i ta pańska centrala. To jedyne niebezpieczeństwo. Namyslałam się długo, czy dopuścić pana do spótki, ale tak się cudownie złożyło z tym

filmem, że choćby pan się wsypał, to mnie nic nie grozi.

— Pani sądzi, że pani sława obroni panią przed karą? Stąd ta przerażająca lekkomyślność! Proszę być pewną, że Niemcy nie zawahają się ani przez chwilę i powieszą panią z całą pompą. Zresztą będzie to dla pani wspianiałą reklamą. Właściciele starych filmów z Evą Evard zrobią doskonały interes. Cały świat będzie chciał jeszcze raz zobaczyć panią, jako ofiarę i bohaterkę.

— Pan mnie straszy, bo pan mnie nie zna. Ja się nie boję niczego. Gdyby nie to niebezpieczeństwo, aniby mi się śniło wdawać w te sprawy. Ja też chcę zażyć wojny. Na front mnie nie puszcza, więc przynajmniej na tej drodze miło mi będzie poigrać ze śmiercią. A zresztą wojna tak się wlecze... Postaram się przyśpieszyć jej koniec.

— Na miłość boską, pani Evo, czy pani wie, co pani mówi?! Czy pani chce, żebym oszalał?!

— Generał Dubreuil zapewniał mnie, że van Trothen jest mocnym człowiekiem...

— Do stu djabłów — za pozwoleniem pani — jestem nim i to bardziej, niż to widzi generał Dubreuil ze swojego Paryża. Wytrzymałem tu trzy lata, rozumie pani, co to znaczy? Nie, pani tego nie może zrozumieć...

— Owszem, owszem...

— To łaskawej pani -- owszem — dowodzi najlepiej, że pani nie orientuje się w niczem, co dotyczy tutejszego terenu, jego trudności i zasa-

dzek. Tu niema miejsca dla improwizacji pięknej kobiety. A jeżeli pani nic jeszcze nie zdziaławszy zaczyna od fantastycznych ambicji, to ja muszę się od pani trzymać daleko, właśnie jako człowiek mocny.

— Panie van Trothen, człowiek mocny przede wszystkim umie znieść nową śmiałą ideję. Człowiek mocny mierzy zamiar na siły, nie odwrotnie.

— Nie w naszym fachu, łaskawa pani.

— Proszę mnie nie zaliczać do fachu szpiegowskiego.

— A czemże pani jest?

— Jestem wolnym człowiekiem, który przemyślał i zamierzył pewną rzecz i nie uląkł się jej ogromu. Skrócenie wojny i Eva Evard? To się wydaje śmieszne. A czyż nie są śmieszne główne kwatery obu walczących stron, które od końca czterdnastego roku spoczywają w rozpaczliwym bezwładzie, uwikłane przez wojnę? Czy miały jakikolwiek sens krwawe hekatomby pod Ypres, pod Verdun, nad Sommą? Co za znaczenie dla rozstrzygnięcia wojny miały dziesięć ofensyw włoskich nad Isonzo? Żadnego — jeżeli nie liczyć miliona trupów i jeńców. A absurdalna bitwa pod Skagerrak? A Dardanele, jedyna idea w wielkim stylu, kolosalny zamiar obejścia prawego skrzydła niezmiernego frontu? Samo odkrycie, że ten niebywały front bez skrzydeł daje jednak możność okrążenia — nosi znamiona wielkości. Cóż się stało z tym jedynym w tej wojnie

świetnym manewrem, z ideją lorda Churchilla? Zaprzepaścili wszystko tępi biurokraci głównych sztabów i intryganci polityczni, te małe głowy zahypnotyzowane nikczemną, godną eunuchów doktryną wojny za zużycie przeciwnika. Poprowadzili operację niedołącznie, bez zapłału, nie wytrwali i cofnęli się w połowie zadania. A Dardanele kosztowały pół miliona strat w ludziach, a ile pancerników, ile miljardów pieniędzy, ile straconego czasu, tej bezcennej wartości?

— Innemi słowy, należałoby panią mianować naczelnym wodzem wszystkich wojsk koalicyjnych na wszystkich frontach. Takiego stanowiska, niestety, niema, ale dla pani wartoby je stworzyć. Owszem, nie miałbym nic przeciwko temu, tylko to się nie da zrobić z Berlina. Co pani właściwie zamierza?

— Co zamierzam? Pan pozwoli, że to zachowam dla siebie, chciałbym tylko dla zgodnej współpracy z panem, żeby pan zrozumiał, jaką rolę w chaosie wojny, w potopie jej niezliczonych wydarzeń może odegrać jednostka, świadoma swego celu. W grę wchodzi ogromne siły, milionowe masy, jest to bój tytanów. Jeżeli sięgamy do nomenklatury mitologicznej, powiedzieć można, że jest to bój dwóch cyklopów, którym obu wypalono oczy. Walczą na ślepo, ciskają skałami we wszystkie strony, nie trafiają ani razu i wreszcie oddalają się od siebie coraz bardziej. Absurd. Kto zdoła przewidzieć koniec podobnej farsy? A kto przewidzi koniec naszej woj-

ny? Pan wie, co mi na to pytanie opowiedział w Paryżu szef gabinetu i minister wojny, mądry Painlevé? Licząc na pomoc Ameryki i biorąc pod uwagę wszystkie sprzyjające okoliczności, przypuszczał, że rozstrzygnięcie nastąpi mniej więcej za dwa lata — było to w listopadzie zeszłego roku, czyli na późną jesień 1919 roku... Walczący cyklopi mają czas, no a mnie, jak to panu powiedziałam, ta niemrawa wojna już się znudziła. A teraz, co ja biedna mogę uczynić?

— Otóż to. Lepiej było od tego właśnie zacząć.

— Każdy wyklada swoją rzecz po swojemu. Co mogę zrobić? Trzeba wśród niezliczonych momentów wojny odnaleźć pewien podstawowy pierwiastek, który sprawia, że dzieje się to, na co patrzymy. Weźmy jeden przykład. Zaden czołowy atak nie przełamie umocnionego frontu. Znamy niejedną tytaniczną, znowu „tytaniczną“ ofensywę, wszyscy pamiętamy Flandrję, Verdun, Sommę. W rezultacie milionów pocisków, miotaczy min, miotaczy ognia i naprowadzenia ogromnych rezerw, pomimo zaskoczenia przeciwnika, mimo przewagi liczebnej i coraz to okropniejszych niespodziewanych gazów, atakujący był zawsze zatrzymany o trzy kilometry czy — co wychodzi na jedno — o trzynaście kilometrów od starej pozycji. Tworzył się na przestrzeni kilkadziesiątu kilometrów nowy zarys frontu, na którym nie zyskiwała nic strona atakująca, a zarabiali na tej zmianie jedynie wydawcy miłych, kolorowych mapek, przeznaczonych dla czytelników codziennych

komunikatów. Jaka jest przyczyna tych niepowodzeń? Proszę odpowiedzieć.

— Trudno się w to wdawać. Przyczyn jest mnóstwo, a za każdym razem są inne.

— Przyczyna jest jedna i za każdym razem ta sama. Tak potwornie prosta, że nikt jej nie zauważył w przeciągu trzech lat...

— Dopiero pani?

— Nie, nie ja. W zeszłym roku wreszcie spostrzeżono to w Anglii.

— Co za cuda mi pani opowiada?

— Tą prostą prawdą jest, że dopóki obie strony siedzą w okopach i schronach, to o tyle o ile żywe ciało ludzkie jest zabezpieczone przed kulą i pociskiem, ale gdy atakujący po najstraszliwszym nawet przygotowaniu artyleryjskim wyleżą z poza swoich osłon, to karabiny maszynowe, ogień zaporowy i tak dalej biją w ich żywe mięso i w rezultacie atak się załamuje zawsze. Straty atakującego są tak potworne, że wreszcie żołnierze nie chcą iść dalej, nietylko ci przemęczeni i zdziśiatkowani, ale nawet świeże rezerwy.

— Tak jest, ale cóż pani na to poradzi?

— Znowu sprawa genialnie prosta. Trzeba, żeby żołnierz atakował, nie opuszczając okopów, czyli żeby je zabierał ze sobą.

— Ha—ha—ha... To rzeczywiście proste!

— W tym celu Anglicy budują ruchome stałowe pancerne blockhausy, które na gąsienicowych kołach przejdą przez wszystkie druty, doły, okopy.

Zawierają one garść żołnierzy, karabiny maszynowe, armaty i idą naprzód jak żywy taran, nieczuły na kule i granaty.

— Tak, Niemcy zabrali trochę tych cudów na angielskim froncie. Pokazywali je tu w kinie, widziałem te zabaweczki.

— Nic pan jeszcze nie widział. Ale tysiąc fabryk we Francji, w Anglii, w Ameryce z niezmiernym pośpiechem wytwarza nowy typ czołgów—olbrzymów i w swoim czasie dziesiątki tysięcy tych maszyn ruszą do ataku. Już nie bezbronny pojedyńczy człowiek będzie żołnierzem w tej ofensywie, ale fantastyczna zbiorowa jednostka — czołg. Czy to nie proste? A jednak trzy lata minęły zanim się tego domyślono.

— A ktoś zabroni Niemcom budować czołgi?

— A czy to robią? Pan powinien wiedzieć.

— Zamierzają, owszem, ale jakoś jeszcze nie zaczęli.

— Już nie zdążą. I choćby im dano czas, nie podołaliby już zadaniu. Ich przemysł jest i tak przeciążony. Jednak mniejsza o czołgi, chciałam panu tylko pokazać na przykładzie, że w zjawiskach wojny tają się nieskończone możliwości, trzeba je tylko spostrzedz wczas i zanalizować, zanim nieprzyjaciel zdąży to zrobić. Tak było i niestety jest dotychczas z gazami trującymi, którymi biją nas Niemcy. A poza techniką mamy zjawiska psychiczne, urojeń, ciężkie zamroczenia, psychozy wojenne... Właśnie moje zamiary leżą w tej dziedzinie.

— Pani Evo, pożądanie kobiety, czyli tak zwana miłość wywołuje u mężczyzny zamroczenia i szaleństwa, dzieje się to od tysięcy lat, było to podczas wojny trzydziestoletniej i po niej, jest i dziś i będzie jutro, po zawarciu pokoju. Ale niech pani nie liczy pod tym względem na generała von Sittenfelda. Ostrzegam panią jeszcze raz. Znam go dobrze, to mój przyjaciel. Widujemy się dość często, ale od roku nie mogę zgadnąć, czy on już wie o mojej tutaj roli, czy tylko coś niejasno podejrzewa. Obserwuję go i to bardzo podstępnie, a nic nie wiem. Czasami przychodzę do niego na butelkę i na szachy. Gramy, godzinami siedzimy sam na sam, gadamy o wszystkim, patrzymy sobie w oczy — i nic.

— Ależ to cudowne! Musi się pan znakomicie bawić?...

— Wolałbym nie. Jeśli panią ostrzegam, to wiem, co mówię. Ten człowiek wydaje mi się do szaleństwa rozkochany w pani, a swoją drogą pani rzeczy w hotelu są przetrzāsane z jego rozkazu przynajmniej raz na tydzień.

— Pan to wie, czy pan tylko wyobraża to sobie?

— Dowodów nie mam, ale znajomość generała starczy mi niemal za dowód rzeczowy. Źle pani zaczęła, chodząc do biura generała Dubreuil w ministerstwie na rue St. Dominique. Trzeba było urządzić te konferencje w jakimś prywatnem mieszkaniu. Mogło to być zaobserwowane przez wywiad



niemiecki. A potem Genewa, a dalej — Bern. Nie mogło się obejść bez jakiejś nieostrożności. To wlot podchwycili jego łapacze.

— Łapacze będą ze mną zawsze nieszczęśliwi, ja zawsze i wszędzie obracam się w takiej ciżbie, tylu ludzi znam i jeszcze codzień poznaję nowych, że ze mną nikt sobie nie da rady. Zresztą mnie każdy na ulicy pokaże palcami — patrz, to Eva Evard — ja się nigdy i nigdzie nie mogę ukryć, w tem cała moja osłona, a co do generała von Sittenfelda, o którym tyle mówimy, to bynajmniej nie zamierzam eksploatować jego uczuć, byłoby to z mojej strony niehonorowe

— Co pani mówi? — Dyrektor van Trothen wyskandował te słowa z najwyższem zdumieniem— Niehonorowe?! Niehonorowe?! Co to znaczy? Więc pani przyjechała tu na ten straszny teren, żeby nagrywać jakiś cudacki film z romantycznymi kawałami? A więc pani chce się tylko zabawić... Niech się pani bawi czem i jak się pani żywnie podoba, ale niech pani nie igra sobie z wojną! Od tego wara!

Zdziwiła się z kolei Eva — czego on od niej chce? Był naprawdę oburzony, jakby czemś obrażony i przebijał się w nim strach. Jego ostatnie słowa napomknęły jej o czemś dawnem. Zdawało jej się, że już słyszała raz to samo ostrzeżenie — gdzie, kiedy?

Van Trothen powstał, wysztywnił się i zaczął głosem namaszczone, uroczyście i dobitnie. Siwe

piękne włosy, zaczesane za uszy, długi czarny surdut, złote okulary i skupione natchnienie, rozlane w wygolonym, aktorskim obliczu, czyniły go podobnym do kaznodziei. Zdobywał się na patos, na górnolotne porównania, czekało się tylko, że lada chwila zacytuje jakiś werset z pisma świętego. W piętnowaniu grzechów i zbrodni tego świata wpadał w zapal i w stylu wznosił się na wyżyny proroka.

— ...Niema takiej postaci brudu, podłości i świństwa, którychby pani nie spotkała na tej drodze. Wszystkie gatunki wymuszenia i szantażu, na każdym kroku zdradziecki podstęp, wszędzie chytra gra, nieraz naprawdę genjalna w swej przewrotności, żeby panią wciągnąć w sidła. Piekielne są sztuki szpiegowskie! Niech się pani strzeże łatwych zdobyczy! Napotka pani zdziecinniałych starców, dygnitarzy nieprzytomnych z rozkochania, którzy nie pytani sami zaczną opowiadać pani tajemnice państwowe, spotka pani naiwnych, zapalonych podporuczników, którzy nie będą mieli dla pani nic do ukrycia, proszę się takich strzedz jak ognia! Niech nigdy nie dostrzegą w pani cienia zainteresowania temi rewelacjami, gdyż wężą tylko za tem, a zresztą wszystkie ich tak ciekawe informacje będą skłamane, żeby, gdy dojdą do nieprzyjaciela, wprowadziły go w błąd. O ile wiem, oblegają panią uwielbiające panie, jest to wśród Niemek wyższych sfer gust dość rozpowszechniony, a wzmógł się jeszcze podczas wojny. Między niemi znajdzie się niejedna nasłana umyślnie. Ten gatunek jest szczególnie niebezpieczny. Melancholij-

ne, niepocieszone wdowy w rodzaju cnotliwej, czystej pani Berty, opętane rozpustą kokainistki, grające doskonale rolę zatraconych, nie dbających na nic desperatek, przeżartych przez nałóg i marzących tylko o samobójstwie, kobiety uspołecznione, bardzo poważne i rozumne, drżące o los ojczyzny i gotowe o każdej porze dnia i nocy dyskutować o klęskach Niemiec i szeptać ze zgrozą najtajniejsze informacje o planach kanclerza, o zamiarach cesarza, a wszystko pochodzące z najbliższego otoczenia monarchy. To są naganiaczki, to dopiero wstęp do rzeczy. Niech spostrzegą, że pani słucha rada i, broń Boże, rozpytuje i chce wiedzieć coś więcej, na ich miejsce występują aktorzy poważniejsi, prawdziwi zawodowcy. Mają oni swoje sposoby, żeby w niedługim czasie uwikłać upatrzoną ofiarę. Są to panowie z towarzystwa, zamożni, na dobrych stanowiskach, powszechnie szanowani, dobrodusznymi i ujmujący. Jeżeli pani mnie nie będzie słuchać, to niebawem doczeka się pani bardzo ciekawego momentu, gdy taki pan, korzystając z odpowiedniej chwili, odezwie się do pani najbrutalniejszymi słowami, zagrozi, nastraszy panią...

— Zawiedzie się na mnie...

— Nie! Albowiem już będzie panią miał w ręku. Zaczyna się gra otwarta, cyniczna, staje się pani niewolnicą kontrwywiadu i pod grozą więzienia, tortury, śmierci będzie pani robiła co każą, do granic najhaniebniejszego upodlenia. Na początek zdradzi pani i wyda van Trothena, na szczęście mnie

jednego, gdyż nie pokażę pani nikogo z moich podwładnych...

— To nic nie szkodzi, już pan ich wyda wszystkich ze strachu czy pod batem, albo na torturach...

— Każdy człowiek jest słaby, to też na ten wypadek...

I van Trothen wydobył z kieszonki od kamizelki małą pigułkę w celuloidowej pochewce. Ujął ją w dwa palce i demonstrował ją z tragiczną dumą przez dłuższą chwilę.

— Niech pan to schowa, nie należy nadużywać efektów.

— Pani! Pani! Wyrwało się pani słówko o honorze i stąd całe moje utrapienie.. Jeżeli pani wyobraża sobie, że dokona pani czegoś i że wyjdzie pani ze wszystkich oparów jak biała kotka... Pani się unurza w paskudztwie po szyję, wyżej głowy..

— Nie, tego nie będzie. Gdyby pan znał mój plan, zaoszczędził by pan sobie irytacji. Obawiam się, że pan cierpi na serce?

— Tak, nerwica — choroba zawodowa. Jeżeli pani nie chce jej pogorszyć, niechże mi pani opowie bodaj ogólnikowo o swoim planie w wypadku, gdy go pani posiada. Bo nieraz tak się mówi, nie tyle dla blagi, o którą nie śmiałybym pani posądzać, ile z kobiecej przekorności, jak we flircie.

— Mój plan? Polega on na tem, że chcę kiedyś wrócić do Paryża i otrzymać Legję Honorową a może nawet Médaille Militaire za czyny męstwa w obli-

czu nieprzyjaciela. Dlatego też nie mogę panu powiedzieć o sobie nic więcej.

— Może jednak w tych paru słowach powiedziała pani zbyt wiele? Proszę być ostrożniejszą..

— Powiedziałam to rozmyślnie.

— A pani honor? Lojalność wobec swoich zobowiązań?

— Właśnie z poczucia honoru uważałam za właściwe napomknąć panu o zakończeniu mego planu. Będzie to raczej jego epilog.

— Jeżeli wogóle będzie miał miejsce.

— Czyżby pan chciał temu przeszkodzić?

— Choćbym nie chciał, to będzie to moim obowiązkiem, a obowiązki moje wypełniam sumiennie.

— Pan zapomina, że jestem obywatelką Norwegji, kraju neutralnego i że mam prawo pomagać jednej albo drugiej ze stron walczących. Jeszcze nie dokonałam wyboru, wiele z tego co widziałam dotąd w Niemczech skłania mnie do rewizji moich dawnych sympatji koalicyjnych. Zresztą, jak to panu już oznajmiłam, obchodzi mnie przedewszystkiem jaknajrychlejsze zakończenie rzezi. Nie rozstrzygnęłam jeszcze, która strona powinna zwyciężyć dla dobra świata i ludzkości. Obecnie skłaniam się ku przypuszczeniu, że żadna. Zapewne zacznę działać w tym kierunku.

— I pani chce, żebym ja pani w tem pomagał?

— Żądam tego

— Jakiem prawem?!

— Prawem silniejszego, przecież mam pana w ręku, nieprawdaż?

— Niezupełnie, pani Evo.

— I to wystarczy, żeby pana zgubić. Czy panu się tak śpieszy do owej pigułeczki cyankali? W pewnej mierze zepsułoby to moje plany, bo bardzo liczę na pana, ale jako mocny człowiek nie robi pan tego głupstwa. Możemy pracować zgodnie dla dobra ludzkości. Jakiej pan jest narodowości, panie van Trothen?

— Jestem obywatelem niemieckim, a moja narodowość... Wie pani, że doprawdy nie zastanawiałem się nad tem.

— Niech pan da temu spokój. Nie warto dociekać. Moglibyśmy zawiązać uczciwą spółkę ponadnarodową pod sztandarem ludzkości. Doprawdy mielibyśmy szansę odegrania wielkiej roli dziejowej, aż szkoda, że niktby tego, niestety, nie wiedział...

— Nie, ja nie wierzę w taką spółkę. Pani daruje, ale — nie.

— Musi pan uwierzyć.

— Muszę?

— Jeżeli pan natychmiast nie podda się mi na ślepo jak niewolnik, jak pies, to za godzinę Sittenfeld będzie o panu wiedział!

— Za godzinę... Za godzinę... Pani mniema, że pani wogóle wyjdzie żywa z tego pokoju?

Eva Evard wybuchła swoim swobodnym, szerokim śmiechem, podziwianym przez całą kulę ziemską, naśladowanym nieudolnie przez liczne gwiazdy

ekranu i przez miliony kobiet na całym świecie. Van Trothen patrzył na nią badawczo nie tracąc z oczu żadnego jej poruszenia.

— Panie, litości! Jakże pan tego dokona? Zamordować mnie tutaj, w swoim gabinecie i to w hełmie Walkirji, z rozpuszczonymi włosami, w gwiazdzistej tunice, z bosemi nogami w sandałach? Jak pan ukryje trupa? Naokoło pełno ludzi, statyści, aktorzy, robotnicy... Panie dyrektorze, to niemożliwe. A więc, zgoda? Zresztą, będę się bronić, mam miecz i tarczę!

— Musi pani zginąć, więc pani zginie.

— Teraz? Tu na miejscu?

— Natychmiast.

— Pan gra bardzo dobrze. Dlaczego pan nigdy nie wystąpił na ekranie?

— Nie pora na żarty!

— Już wiem! Pan naciśnie pewien guzik i zapadnę się w przygotowane podziemie. Niech pan jednak nie zapomina, że jesteśmy na drugim piętrze a pod nami znajduje się firma „Kuhnke und Schatz“. Jeden z tych panów napewno przygarnie mnie i obroni. Stamtąd właśnie zatelefonuję do mojego Sittenfelda... Panie dyrektorze... Co to jest?... Co się z panem dzieje?

Van Trothen podniósł się z fotela i gotował się jakby do skoku. Eva ujrzała przed sobą twarz zbrodniarza. Na sekundę zapomniała o żartach. Po sekundzie rozchyliła usta i roześmiała się serdecznie i rozgłośnie.

Nagle śmiech zamarł. Van Trothen sięgnął do kieszonki kamizelki, wydobyl coś i szybko włożył do ust. Eva skamieniała z otwartymi ustami — cyankali — śmierć... Absurd! Absurd! Van Trothen konając strzepnął ku niej palcami. Poczula coś w ustach, rozplynęło się to w ciepłym, mocno pachnącym, żywicznym posmaku. Zerwała się, zakrztusiła się, upadła na fotel.

Eva patrzyła na dyrektora „Mundus-Filmu“ jak spokojnie zapalał cygaro. Opanowała się dopiero gdy wypuścił pierwszy kłęb dymu. Uśmiechał się ironicznie, z zadowoleniem.

— Chciałem pani pokazać, jakby to wyglądało naprawdę... Niech pani nie wypluwa rzekomego cjankali, to bardzo miłe, łatwo rozpuszczalne pastylki eukaliptusowe.

— Zrobił pan to... doskonale... Niech mi pan powie...

— Ach, dosyć nagadaliśmy głupstw, czas do roboty. Pani już odpoczęła?

— Tak, chciałam tylko zapytać, poco pan udawał, że pan sam chce połknąć tę pastylkę?

— Ach, to panią zaciekawia! Pro prostu trzeba było, żeby pani pomyślała bodaj na sekundę, że ja naprawdę... Właściwie szło o to, żeby pani z przerażenia otworzyła usta, bo inaczej nie mógłbym pani wrzucić tej piorunującej trucizny.

— A gdybym nie otworzyła?

— Każdy w przerażeniu roztwiera usta, zarówno prostak, jak największa gwiazda ekranu.



— A cóżby pan zrobił potem?

— Nicbym nie miał więcej do roboty. Narobiłbym gwałtu, zwołałbym ludzi... Samobójstwo! Tu w moich oczach! Szalałbym z przerażenia... Jakto? Jakto? Młoda, piękna, u szczytu kariery... Doktora! Doktora!

— Swoją drogą padłoby na pana podejrzenie...

— Nie myślę. Wszyscy wiedzą, że pani jest ekscentryczną, niesamowitą Evą Evard, a zresztą narazie, najważniejsze, żeby pani nie wyszła żywcem z mego gabinetu.

— Jeszcze jedno. Czy pan naprawdę nosi przy sobie truciznę?

— Stale, ale w górnej kieszonce — o, tutaj.

— A gdyby się pan przed chwilą tak przypadkiem omylił?

— Każdy człowiek jest omylny, ale ja myślę się tylko wówczas, gdy tego koniecznie potrzeba.

## XVI.

W „Wagershölle“ zapanowała stagnacja. Szef oddawna nie pokazywał się w laboratorium, pracownicy zostali bez kierownictwa i potrosze demoralizowali się. Nie wyznaczono im nowych zadań, nawet nie odebrano prac ukończonych. Stało na tem, że schodzili się dopiero około południa i spędzali godzinę lub półtorej na koleżeńskie pogawędce, a opowiedziawszy sobie najważniejsze plotki i wypaliwszy moc papierosów, rozchodzili się do jutra. Ustalono, że „stary“ doznał jakichś wyjątkowych nieprzyjemności ze strony dyrekcji I. G., Centrali przemysłu chemicznego, do której tajemnymi drogami doszedł jego poufny i wysoce nieprzyjemny memoriał, złożony w zeszłym roku Najwyższemu Kierownictwu Wojny. W wyniku tego odkrycia I. G. odbiera profesorowi jego pełnomocnictwa i budżet, a „Wagershölle“ ulega likwidacji. Zaufani pracownicy, rozproszeni po wielkich wytwórniach chemicznych i pozostający pod wyłącznym kierownictwem profesora, przechodzą pod ewidencję Departamentu Gazowego, a ich siedemnastu z Ludwigshafen przez ślepią zemstę I. G. mają być oddani do dyspozycji

Naczelnego Dowództwa. Widmo frontu spędzało sen z powiek biednych chemików, rozwiewała się legenda o cudownem odkryciu wielkiego Wagera, w którym wszyscy oni pośrednio mieli swój udział, a które miało rozstrzygnąć wojnę. Na wszelkie sposoby przerabiano te smutne tematy, ale w istocie nie wiedziano nic pewnego. Profesor był niedostępny.

Przybłąda amerykański, dopuszczony do łaski pańskiej, doktor Helm nie pokazywał się również, pielęgnując zranione ramię, a choć widywano go z ręką na temblaku w okolicach willi Zyglindy, nie raczył odwiedzić kolegów, a przy spotkaniu był niechętny i małowówny, twierdził, że sam nic nie wie o losach Wagershölle, co było oczywistym fałszem. Usiłowano na różne sposoby komentować dziwny wypadek z bronią w domu profesora, plotkarze i plotkarki w Mannheim i w Ludwigshafen roznosili przez jakiś czas przeróżne wymysły. Najbardziej drastyczny oraz najgłupszy polegał na tem, że baronowa strzelała do doktora Helma, nie mogąc się obronić przed jego natarczywością, poczem dopiero uległa, gdyż raniony zalotnik przebywał u niej po cały dniach, a stary Wager nie orjentując się w całym skandalu patrzył na to przychylnie. Usiłowano go uświadomić i opamiętać za pomocą listów anonimowych. Otrzymywała bezecne listy Rita, otrzymywał je i Claude. Od dnia pamiętnych odwiedzin upiora z UC 17 zaczęły się dla nich trojga czasy smętne a ciche, Claude wrósł niejako między ojca i córkę i stał się członkiem rodziny.

Profesor przyjechał do domu nazajutrz po wypadku i powiadomiony o wszystkim przez doktora uściskał go, zalał mu twarz łzami.

— Mój drogi doktorze, wiem, że rodzice twoi pomarli. Pozwól, zrób mi tę łaskę, żebym mógł cię uważać za syna. Bądź bratem dla nieszczęśliwej, dopomóż mi wyciągnąć ją z niedoli, może zdołamy ją jeszcze przywiązać do życia.

Rita ani jednym słowem nie wspomniała nigdy o tem, co zaszło między nimi i Claude przypuszczał, że się to zatarło w jej chorej pamięci. Zdawała się nie pamiętać i o odwiedzinach sternika, ale od tego dnia przestała mówić o mężu. Była spokojna i cicha, a Claude'a witała zawsze dobrym uśmiechem. Dużo rozmawiali i dużo ze sobą milczeli. Ojciec dotrzymywał im czasami towarzystwa, ale przeważnie siedział na dole w swoim gabinecie. Nie pisał już memorjałów ani listów, nie czytał swoich grubych tomów ani nawet gazet, nikogo nie przyjmował, wyłączył telefon. Dnie upływały mu na wypalaniu mnóstwa cygar i na ciężkich, stękających westchnieniach, myśli płynęły leniwie, krążąc, błędząc i wracając wiecznie do smutków jego życia. Po parę razy na dzień otwierał i wysuwał środkową szufladę biurka, gdzie przechowywał ważniejsze papiery, jakby zamierzał nareszcie zabrać się do pracy. Ale po chwili, nieraz po półgodzinie namysłów zamykał szufladę i szedł na górę do Rity. W godzinach poobiednich zawsze zastawał tam „tego nieocenionego Ossiana“, który przesiadywał

u Rity do późnego wieczora. Wówczas po paru chwilach rozmowy zostawiał ich samych i wracał do siebie, znowu otaczał się kłębamii dymu, wzdychał, wysuwał i zasuwiał szufladę.

Był bankrutem.

Los go wyniósł wysoko, zaznał sławy i władzy. Dał ojczyźnie nową broń, wydobył z zapomnienia archiwów chemji starą substancję lotną i genialnym rzutem myśli zamienił ją na straszliwy środek walki. Długą pracą po niezliczonych próbach i zawodach zbudował przemysłne aparaty i wygotował plan produkcji na kolosalną skalę. Potem musiał ciężko walczyć z rutyną i ignorancją czynników decydujących o wprowadzenie w czyn swego odkrycia. Wreszcie zwyciężył. Pamięta chwilę, gdy z zakładów w Levenkusen wyjeżdżał na front pierwszy pociąg z nowemi pociskami, nacechowanemi znakiem żółtego krzyża. Pamięta gorączkowe tygodnie oczekiwania na pierwsze wyniki masowego działania pocisków na placu boju. Wreszcie depeza ze szlaku XVII armji — Żółty Krzyż przeszedł wszelkie nadzieje, dokonał przewrotu, rzucił panikę na nieprzyjaciela.

Pismo Sztabu Sanitarnego Głównej Kwatery: — Żółty Krzyż dał wyniki przepiękne. Badania przeprowadzone na dwustu piętnastu jeńcach angielskich, porażonych i porzuconych na placu boju, okazały nader głębokie urazy poparzeniowe poprzez zimowe ubranie, nawet skroś grube podeszwy obuwia. W 15,5% wypadków wyjątkowo szczęśli-

wych poparzenie dochodzi do kości, wywołując cięższe cierpienia przewlekłe, pozwalające rokować nadzieje na wynik śmiertelny. Przeżarcie krtani, płuc i dróg oddechowych w 19,1% nader skuteczne. Z materiału, zostającego pod obserwacją, zaznaczono 13,7% ślepoty, niestety czasowej, przechodzącej w ciągu 5—12 dni...

Powinszowania, wizyty znakomitych osób, listy gratulacyjne. Siedem uniwersytetów mianuje go profesorem honorowym. Wywiady, reporterzy, fotografie we wszystkich gazetach: — Ojciec narodu, profesor Otton Wager — twórca zwycięstwa... Wielka wstęga orderu Orła Pruskiego... Pismo odręczne cesarza wisi na ścianie w złotej ramie... Na biurku stoi pamiątkowa łuska z 10-cio centymetrowego wystrzelonego pocisku z napisem „Od wdzięcznych oficerów i żołnierzy VI-ej armji. Chemin des Dames 17 lipca 1917 roku. Temu, który odwraca śmierć od swoich i razi nią wroga“.

Laury, laury... Nie czas spoczywać we chwale, gdy ważą się losy ojczyzny. Profesor Wager zagrzebał się w pracowni, zgromadził koło siebie zastęp najzdolniejszych specjalistów i oddał się pracowitemu marzeniu nad wykryciem w tajemnych odmętach chemji nowego związku, któryby przeżerał i truł idealnie żywe tkanki człowieczego ciała, szerzył rany i śmierć w najszerszym zasięgu przestrzeni i trwał w swej mocy przez całe miesiące na miejscu rozpylenia.

Zaden poeta, marzący dzieło swoje we wnie-

bowzięciu natchnienia, nie przeżywał tak upajająco samotnych godzin i dni jego poczęcia, jak profesor Wager, gdy rodziły się w nim pierwiastki i zarysy tej nowej siły niszczącej, jakiej przez stulecia morderstw i okrucieństw nie zaznała jeszcze ludzkość. Opętała go wizja błyskawicowo szybkiego zwycięstwa i twardego pokoju, który Niemcy nałożą na świat jak jarzmo. Czyż na to trzeba cudu? Nie, trzeba tylko odnaleźć rozproszone składniki nieistniejącego jeszcze związku i drogą mozolnych oddziaływań, przetworzeń i reakcji, ceną zbiorowej pracy setek badaczy spoić je w wyraz — jedyny i niepowtarzalny pośród nieskończonej liczby możliwości. A na tej drodze ileż może być trafów i niespodzianek? Może tuż za progiem poszukiwań w pierwszych fazach pracy wpadnie w ręce tego czy innego najskromniejszego bodaj badacza pierwszy ślad zagadki, początek nici przewodniej do szczęścia Niemiec i wówczas orle oko starego Wagera dostrzeże i uchwyci moment cudu. Profesor wierzył niezłomnie i nałożył na siebie dyscyplinę mądrej cierpliwości, a gdy czas się przewlekał, kiedy z przemęczenia nadchodziły godziny zwątpienia, krzepił się i podniecał wyczerpane nerwy wizją wyobraźni.

...Pewnego dnia stacja iskrowa w Königswusterhausen rzuca w przestrzeń świata ultimatum Głównej Kwatery niemieckiej. Armje zachodniego frontu francuska, angielska, belgijska, portugalska złożą broń, zapasy, zostawią na miejscu baterje, amunicję, magazyny i wciągu trzech dni odejdą na odległość

pięćdziesięciu kilometrów wtył od ostatnio zajmowanych pozycji. To samo uczyni armja włoska. To samo armja na Bałkanach. To samo uczynią wojska koalicyjne nad Suezem, w Syrii, w Mezopotamji. Floty mocarstw sprzymierzonych w przeciągu trzech dni zatopią lub zniszczą swoją amunicję i wydadzą mapy wszystkich swoich pól minowych...

I tak dalej.

Główna kwatera niemiecka stawia powyższe ultimatum kapitulacji z pobudek humanitarnych dla zaoszczędzenia niezliczonych ofiar zarówno w szeregach armji na froncie, jak wśród ludności cywilnej na tyłach, zwłaszcza w stolicach i głównych ośrodkach krajów koalicji. W wypadku pozostawienia bez odpowiedzi powyższego ultimatum Główna Kwatera armji niemieckich w polu po upływie wyznaczonych trzech dni zostawia sobie całkowitą swobodę działania w użyciu nowych środków zniszczenia przeciwnika dla niezwłocznego zakończenia wojny.

Bezprzykładne orędzie groźby doprowadza do obłędu mężów naczelnych koalicji, dociekających przedewszystkiem autentyczności tego dokumentu. Ustalono, że zapewne telegrafista centralnej stacji niemieckiej zwarzjował lub też puścił się na kolosalną mistyfikację. Ale tego samego dnia wszystkie dzienniki niemieckie umieszczają ultimatum. Agencje prasowe roznoszą je po całym świecie. Mija pierwszy dzień.

Nazajutrz chmara lotników rozrzuca na froncie



i na tyłach miliony egzemplarzy płomiennej odezwy ostrzegającej. Naród niemiecki do narodów strony przeciwnej... Domagajcie się zawieszenia broni! Nie zmuszajcie nas do użycia przeciwko wam straszliwej broni, przed którą wzdryga się dusza niemiecka! Inaczej zginą miliony żołnierzy na froncie, wyludnią się wasze stolice i obróćą się w pustynie...

Zamęt, panika. Upływa drugi dzień. Nareszcie koalicja reaguje na wyzwanie Rządu, naczelne dowództwa, gazety zieją szyderstwem, nakazują spokój. Nic nam nie grozi. Prosto Niemcy uciekły się do rozpaczliwego środka — zastraszenia przeciwnika przez niebywałą w dziejach świata absurdalną mistyfikację, graniczącą z szaleństwem... Czekać my spokojnie jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny, a uśmiejemy się dowoli, wraz z nami będzie się śmiał cały świat, prócz Niemców i ich nieszczęsnych sojuszników.

...Czwartego dnia o świcie stu lotników niemieckich wzbije się w powietrze. Na odcinku frontu flandryjskiego od Lombardsyde do Ypres z dziesięciu dywizji angielskich i belgijskich nie ocalał ani jeden człowiek. Na głębokości trzech kilometrów od linii obronnej zapanowała śmierć. Kto przestąpił tę granicę padał martwy.

...Mówi stacja iskrowa Königswusterhausen — Ostrzeżenia nasze minęły bez skutku. Śmierć osiemdziesięciu tysięcy dzielnych żołnierzy angielskich spada na sumienia kierownictwa frontu zachodniego. Główna Kwatera niemiecka oświadcza, że

jutro, dnia ..... nasze eskadry lotnicze ruszą na Paryż. Główna Kwatera oczekuje odpowiedzi do godziny... W wypadku odmowy nawiązania rokowań w sprawie kapitulacji, jutro o świcie wejdą w wykonanie wyżej zapowiedziane zarządzenia. Główna Kwatera boleje nad losem świetnej stolicy Francji, ale oświadcza, że postanowienie jej jest niezłomne.

Tajny radca profesor Wager upajał się tą wizją jak dziecko, porwane czarodziejską baśnią. Przeżywał ją, przerabiał ją na tysiąc odmian i warjantów, opętany wyobraźnią. Podniecało go to do pracy. Zaprzęgił do niej najlepsze siły naukowe i techniczne. Powagą swego imienia zdobył wielkie środki materialne. Za punkt wyjścia poszukiwań służył mu zdobyty już Żółty Krzyż, przewany przez nieprzyjaciela „yperitem“ od pierwszej hekatomb pod Ypres, gdzie położył 15.000 trupów. Nowa substancja miała za zadanie spotęgować jego duszące działanie i razić przede wszystkim drogi oddechowe, dławić i zabijać na miejscu. Dotychczasowy Żółty Krzyż był zbyt humanitarny, obezwładniał, przyprawiał o wielkie cierpienia, przewlekał wyzdrowienie, ale w końcu 95 proc. porażonych przychodziło do siebie i prędzej lub później wracało na front. Nowy gaz powinien przewyciężyć każdą maskę. Winien trzymać się miejsca w ciągu kilku miesięcy. Miał być środkiem bojowym morderczym, idealnym, uniwersalnie skutecznym, nieodpartym.

Prace szły wartko, wszystko było na najlepszej drodze, na jedynej, prowadzącej do celu przez ścisły plan, przemyślany do najdrobniejszego szczegółu. I wraz z nowym rokiem zaczęły się powikłania, przykrości, niepowodzenia, które ciągnęły się już nieprzerwanem pasmem, wyrastając coraz to nowe, niespodziewane, pochodzące ze złej woli, z ignorancji. Mogło się zdawać, że jacyś tajemni wrogowie Niemiec sprzysięgli się, żeby szkodzić wielkiej idei, nękać ją i wreszcie zabić jedyną nadzieję zwycięstwa. Wyglądało na to, że sława i wielkość Wagera zaczęły dokuczać różnym dygnitarzom, małym zawistnym ludziom. Jego wymagania uważane były za zbyt wygórowane. Jego nowy plan produkcji chemicznej rzekomo rujnował przemysł. Neurasteniczni ministrowie, udręczeni polityką, nie mający pojęcia o gazach, coraz to nowi podsekretarze stanu, z urzędu słuchający jeno podszeptów wielkich figur przemysłu chemicznego, cynicznych groszorbów, pasożytujących na wojnie, a wkońcu tradycyjnie tępi, zatępiali na pruski sposób generałowie—oto oka olbrzymiej sieci, w której uwikłał się przełomowy zamiar „twórcy zwycięstwa“. W zasadzie przyznawano mu słuszność i odmawiano reszty, zabijano go komplementami, a na odczepne obwieszano nowemi orderami, jak gdyby przypuszczając, że tego tylko szuka, jak tylu innych. Dobiło go przyjęcie w Głównej Kwaterze.

Teraz odpoczywał. Po raz pierwszy w życiu uczył w sobie starość. Przyszła w tym strasznym mrocz-

nym roku wojny, w najcięższej potrzebie ojczyzny. Snać jest za stary, żeby sprostać wielkiemu zadaniu. Już nie zdoła przekonywać ludzi, narzucać im swoją wolę, ani przełamywać przeszkód. Łudził się, że gdy odpocznie, wrócą dawne siły. A może w ostatniej obierzy, gdy spadnie klęska, zwrócą się doń ci wszyscy, którzy odtrącali go, dadzą miliony, oddadzą mu co zechce — Wager, ratuj Niemcy! Będzie za późno, wszak i teraz właściwie jest już za późno...

Truł się gorzkimi myślami, palił cygaro za cygarem, patrzył bezmyślnie na dymiące kominy „Badische“, wzdychał nad niedolą Rity, dumiał nad otwartą szufladą biurka i niczego nie poczynając zasuwiał ją zpowrotem, zamykał na dwa spusty i chował klucz do kieszeni.

## XVII.

Pokój w Brześciu Litewskim, zawarty nareszcie w końcu lutego, był pierwszym od dawien dawna wielkiem świętem narodowym, jeżeli nie liczyć do-  
rocznych uroczystości styczniowych w dniu urodzin cesarza. Odbudowała się w masach nadszarpnięta wiara w rząd, w parlament, w Główną Kwaterę i w ubóstwianego monarchę. Nareszcie w gazetach ukazała się wieść prawdziwa. Pohopni gazeciarze trąbili już o zwycięstwie i dowodzili tego swoim zbyt nudnym żargonem patryjotycznego patosu oraz kolumnami cyfr, ale za tym razem nie uwiedli nikogo. Zato ożyły nadzieje na koniec wojny. Pokój, o który modlił się naród wszystek, stawał się pojęciem coraz bardziej fantastycznym i o tej porze był jakimś mytem, zagubionym w bezmiarze czasu. Teraz po ostatecznem zażegnaniu niebezpieczeństwa od Wschodu wszystkie siły tam uwięzione przejdą na front zachodni i może samem zjawieniem się swoim w obliczu wyczerpanego wroga wymuszą pertraktacje pokojowe. Wojna przejdzie w ręce dyplomatów i po długich targach zakończy się tak lub owak, może niezbyt świetnie, ale i nie ostat-

nio — przy pomocy niemieckiego Boga, łodzi podwodnych i kolosalnych zapasów zboża i wszelkiego dobra, które niebawem zaczną napływać z Rosji i z Ukrainy. O tych zaczarowanych darach Wschodu mówiono oczywiście najwięcej, co natychmiast podchwycili dziennikarze i w kuszących artykułach pełnych lekkomyślnego okrucieństwa rozbestwiali żarłoczne żądze w narodzie głodomorów. Oblepiono mury wszystkich miast nowymi afiszami, wśród których celowały świetne martwe natury w postaci bochnów chleba, pieczonych kur i soczystych porozkrawanych szynek. Miljony ludzi gapiły się na przyobiecane cuda, wystając w ogonkach w długie zimowe noce i dławiąc się ościstym chlebem kartkowym. Ukraińskie kury i szynki przesładowały ludzi na jawie i we śnie, obrzydając im do reszty wojenną strawę wraz z odżywczeimi wynalazkami genialnych filantropów lekarzy i kucharek, zalecających wyszukane przyprawy do rzeczy niejadalnych.

Jednak każdy inteligentny obserwator nie mógł nie zauważyć w tych czasach znacznego podniesienia ducha. Mówiono o decydującej ofensywie wiosennej, o kolosalnych przygotowaniach. Coprawda, Niemcy przeżyły już parokrotnie w tych latach kolosalne przygotowania i kolosalne ofensywy. Czyż nie kolosalne były Flandrja, Verdun, Somma? Ale za tym razem zamierzeń Głównej Kwatery nie można było określić tem pospolitem mianem. To, na co się zanosilo, przekraczało wszelką wyobraź-

nię. Przygotowania były trzymane w absolutnej tajemnicy, cenzura nie dopuszczała w tym względzie najlżejszego nawet napomknięcia. Tembardziej gadano, tembardziej szeptano po kątach. W kuluarach parlamentu operowano cyframi i powoływano się na źródła najwyżej postawione. W salonach, na zebraniach towarzyskich prześcigano się w coraz bardziej szczegółowych informacjach, zalecając sobie nawzajem dyskrecję ze względu na szpiegów. W kawiarniach w braku cukru słodzono sobie czarną lurę wojenną ordynarnem rozpasaniem wyobraźni na rzecz potęgi przygotowań, wymieniano nawet odcinki wypadu i szpiegi francuskie, szpiegi angielskie, szpiegi amerykańskie dobrze nadstawiały uszu, cóż kiedy wymieniano pokolei i na wrywki wszystkie ważniejsze punkty sześćsetkiłometrowego frontu od Lombardsyde do granicy szwajcarskiej. Zato wszyscy i wszędzie zgodnie rozwodzili się nad nowym piekielnym gazem, który zaskoczy nieprzyjaciela i zmusi go do zawieszenia broni i do rokowań pokojowych — ale o tryumfalnym wkroczeniu do Paryża nikt jakoś nie wspominał, zapewne w przesądnej obawie, aby nie uroczyć zwycięstwa.

— A ja panu powiem, że pominąwszy sfuszerowane przez Moltkego możliwości nad Marną — nigdy nie byliśmy tak bliscy zwycięstwa, jak właśnie teraz.

— Teraz?

— To znaczy w przeciągu najbliższych dwóch-

trzech miesięcy. Jeżeli nie zdobędziemy się w tym czasie na rozstrzygnięcie, czeka nas klęska. Ale do tego nie dojdzie.

— A więc zwycięstwo?

— Tak jest!

— Panie generale, jesteśmy djabelnie przemęczeni.

— Nasi przeciwnicy tak samo, jeżeli nie gorzej — powiedzmy, że w tym względzie szanse są równe.

— Ale głód zrobił swoje...

— Armja ma wszystkiego poddostatkiem, ludzie z urlopów uciekają na front do pełnego kotła.

— Owszem, tylko zostawiają swoich na kartkowym, pożałuj się Boże, chlebie i w nędzy, o chłodzie, i głodzie, to działa całkiem nieszczególnie...

— O chłodzie, o głodzie... Naprzód za miesiąc będzie ciepłej, a chmara naszych agentów już się kręci po Ukrainie, niebawem zaczną napływać transporty.

— Pan generał wierzy w artykuły naszych gazet, w miliony ukraińskich pudów i w te smakowite afisze?

— Rada Narodowa Ukraińska gwarantuje nam najformalniej owe miliony pudów. Ukraina dusi się od nadmiaru zboża i wszelkiego dobra.

— Choćby się dusiła, trudno wyciągnąć coś poważniejszego, a do tego w szybkim czasie z kraju zanarchizowanego, bez kolei, bez rządu...



— Uporaliśmy się z większymi trudnościami, bez przesady można powiedzieć, że Niemcy po wielu cierpieniach wkroczyli do ziemi obiecanej, mlekiem i miodem płynącej — jest to niesłychanie ważny czynnik zwycięstwa. Ale sedno rzeczy leży gdzieś indziej — w cyfrach masowego obrotu materiałem ludzkim. Pan napewno wie, ile pociągów przechodzi dziennie przez Berlin z dywizjami, zwolnionymi na wschodzie?

— Skądże mam to wiedzieć?

— Ach, tak. Otóż przechodzi ich siedemdziesiąt sześć z Rosji, a drugie tyle z Ukrainy idzie przez Galicję, Śląsk na Strassburg. Jeżeli wyobrazimy sobie olbrzymią wagę o dwóch szalach, na których złożone są równowartości liczebne naszej armji i nieprzyjacielskiej, to w ostatnich dwóch latach nasza szala stała wysoko a tamtą przeważała ją stale. Teraz nasza zaczyna się obciążać, będzie się zniżać z każdym dniem, niebawem zrównoważy nieprzyjacielską a dalej będzie przeważała i przeważała, aż gdy różnica osiągnie przewidzianą cyfrę, nastąpi dzień natarcia. Oto wszystko. Cyfra rozstrzyga i nic więcej.

— A do tego podobno nowy gaz profesora Wagera i jeszcze inne niespodzianki...

— Owszem, owszem, to są głupstwa. Zresztą bardzo pożyteczne. Grunt — to cyfry. Na szalę nieprzyjaciela również zaczynają padać odrobiny transportów amerykańskich, na razie są to rzeczy zupełnie znikome i nie mogą wchodzić w rachubę.

Za rok, owszem, Amerykanie mogliby przeważyć szalę. To też za rok, chwała Bogu, będziemy spoczywać na dobrze zasłużonych laurach i wspominać tę wojnę, jako dawno minioną przeszłość.

— Brawo, panie generale! To się nazywa brać wojnę ze stanowiska matematycznego. My, zwyczajni śmiertelnicy, ulegamy żalom, bólowi, zwątpieniom, strachom, na nas działa głód, nędza, żałoba... Nam się wojna dłuży, nudzi nas, nęka.

— A ja kocham wojnę! To sztuka prawdziwie anielska, ale opiera się na zimnej logice i na cyfrach. Cudowna jest jej gra. Wojna jest jak ta nasza szachownica, tylko że...

— A zatem szach królowi! I w rezultacie zabieram generałowi więzę.

— Do diabła, tak jest! To pańska taktyka — wciągać mnie w gadanie i łapać na najgłupszych błędach. Niezły środeczek pomocniczy..

— Na wojnie wolno wszystko.

— Tak się mówi, zwłaszcza o nas Niemcaci, a jednak nie dopuściliśmy się przez cały czas wojny ani jednej wielkiej niegodziwości. Z pobudek honoru i niemieckiej uczciwości odrzuciliśmy propozycję zamordowania Petain'a i Clemenceau, choć niktby się nigdy nie dowiedział, że to my zapłaciliśmy za to. Nie rzucaliśmy bomb gazowych na Paryż ani na Londyn. Jak daleko sięga nasze poczucie honoru wojskowego, tej zaiste średniowiecznej niemieckiej rycerskości, dowodzi fakt, że posyłając lotników na punkt węzłowy Compiègne zabro-

niliśmy im formalnie bombardować Główną Kwaterę francuską, która zajmuje kompleks budynków liceum. A lord Kitchener zginął śmiercią żołnierską, wraz z nim zatonął „Hampshire“ z całą załogą, był to akt bojowy, niejako bitwa morska, co nie przeszkadza, że pozostanie na zawsze chlubą naszego wywiadu. Dalej — osławiony wagon zaplombowany z Leninem, Trockim i kompanją. Było to posunięcie czysto dyplomatyczne, a zresztą dlaczego nie oskarżają o to Szwajcarji, która ich wypuściła? Pan się uśmiecha, panie dyrektorze?

— Obawiam się, że pan utraci resztę swojej kawalerji.

— Mój ostatni koń? Nic groźnego, proszę posuwać.

— Narazie nic groźnego, ale po mojem trzecim posunięciu...

— Pan jest aż tak przewidujący? Ja widzę naprzód tylko na dwa ruchy, to wystarcza. Inaczej łatwo się zaplątać w kombinacjach, tak samo w grze, jak na wojnie. W walce nie należy być zbyt subtelnym.

— Zobaczymy, panie generale. Bo gdyby nasz kanclerz przewidywał na trzy ruchy naprzód, to możeby nie był przepuścił Lenina i towarzyszy.

— A cóż? Starli z powierzchni ziemi Rząd Tymczasowy, który upierał się prowadzić wojnę do zwycięskiego końca, rozwalili armję, zawarli z nami pokój. Dali nam kolosalne atuty.

— Teraz jest nieźle, ale co będzie za rok? So-

cializm gadający, parlamentarny, ewolucyjny już jest niebezpieczną rzeczą, a cóż dopiero bolszewizm, władający największym obszarem świata?...

— To już kłopot na po wojnie, nie pora zaprzętać się nim teraz.

— A jaka statystyka obliczy odsetek naszych żołnierzy, którzy już teraz podpadli pod urok bolszewizmu — pytam o te dywizje, które są w ruchu na zachodni front?

— Wszystko było przewidziane. Przed wyruszeniem w każdej kompanji odbył się kurs przeszkolenia politycznego, gdzie specjalny nacisk położono na utopijność bolszewizmu i jego wrogłość do socjaldemokracji, jako kierunku humanitarno-ewolucyjnego. A ten kierunek przeważa w armji, jeżeli mówić o jej uświadomionej części.

— Wykładali zapewne sami panowie feldfeble?

— Bardzo proszę... Znaleźliśmy dostateczną ilość żołnierzy z inteligencji, partyjnych socjaldemokratów, którzy doskonale wywiązali się z zadania. Przemawiali żołnierze do żołnierzy, a w pewnej mierze dopuszczona była i dyskusja, w formie zadawania pytań instruktorowi. Pozatem specjalny wywiad wykrył nieznaczny procent niepewnych i ci wyłączeni zostali z transportów, przeznaczonych na front. Pójdą do garnizonów okupacyjnych w Belgji, w Polsce, Rumunji, w Serbji.

— Jeżeli tak, to dobrze. I zabieram panu wreszcie tego konia.

— Niech wszyscy djabli!... Znowu się zaga-  
dałem.

Generał uskarżał się na przemoczenie. Miał pilną, denerwującą robotę, ale dokonał wielkiego dzieła, mianowicie — tu prosił o poufność — wykrył i trzyma w ręku centralę szpiegostwa angielskiego. Operowała ona głównie w portach wojennych a interesowała się przedewszystkiem, rzecz prosta, pracą naszych stoczni morskich, łodziami podwodnemi i rozkładem pól minowych.

— Od pół roku obserwowałem tę robotę i miałem u nich gdzieniegdzie swoich ludzi, którzy wpychali im ważne dokumenty i informacje z najlepszego źródła, bo ze specjalnego biura sztabu marynarki. To biuro pracowało wyłącznie tylko dla nich, fabrykując tajne akty i dokumenty wedle najściślejszych wzorów służbowych. Raporty komendantów łodzi podwodnych, wykazy założonych min, ewidencja obstalunków, plany nowych motorów i urządzeń, statystyki strat, instrukcje... Poszło tego dużo w ruch. Płacili od sztuki, kosztowało to rząd brytyjski około pięciu milionów marek, co jest drobnostką, ale niejeden ich torpedowiec czy krążownik wyleciał w powietrze, płynąc wedle naszych map. Dziesiątki statków pomocniczych czyhają na nasze łodzie podwodne tam, gdzie ich niema, a tymczasem... Zabawne historie...

— Na miły Bóg, niechże pan ich nie spłoszy! Zrujnuje pan tak wygodną organizację!

— Miałem po temu swoje powody. Ale nie

ruszyłem ani tknąłem ich biura łączności z wywiadem francuskim, bo koalicja nie ma u nas jednej centrali, jak nie ma jednolitego dowództwa na froncie. I przez to biuro dotrę nareszcie do Francuzów, których osaczam napróżno od dwóch lat. Wpadają od czasu do czasu podrzędni agenci, którzy sami mało wiedzą i żadne najwymyślniejsze metody badania niewiele z nich wycisną. Cała satysfakcja, że się którego powiesi — i tyle. Ale teraz — oho!...

Dyrektor van Trothen usiłował odezwać się, bąknąć parę słów uznania, żadną miarą nie można było teraz milczeć. Ale kurcz zwarł mu szczęki, przenikliwie zimno sączyło się po krzyżu. Więc mruknął coś pod nosem, udając, że go pochłonęła gra. Wpatrywał się uporczywie w szachownicę. Pierwszy ruszył z miejsca jego czarny koń i zaczął się wałęsać po szachownicy. Potem wszystkie naraz figury generała posunęły się naprzód o jedno pole wprost, nawet laufry. Chciał ująć i poskromić konia, ale prawa ręka zacisnęła mu się kurczowo w pięść i żadną miarą nie mógł jej rozprostować. Lewa ścierpła w dłoni i palce straciły czucie. Całą swoją istotą wyczuwał na sobie ciężkie spojrzenie generała. Niepodobna było zwlekać ani o sekundę dłużej. Dźwignął głowę, roześmiał się i spojrzał wesoło w twarz partnera.

— Ciekawa kombinacja — co?

— Bardzo ciekawa. Wydaje mi się, że teraz nic nie zdoła uratować pana od mata.

— No — nie zaraz, panie generale.

— Nie mówię, że zaraz, ale to już wszystko jedno.

— Będę się bronić.

— Nic to panu nie pomoże.

— Kto wie. Tymczasem może pan zrobić jakiś gruby błąd... Może go pan nawet już zrobił...

— Gdzie? W czym?

— Proszę dobrze patrzeć. Jakże ja mogę ostrzegać przeciwnika?

W tej chwili, jak na zamówienie, z drugiego pokoju zabrzączał telefon. Van Trothen pomimo najwyższego natężenia nie mógł dosłyszeć słów, ale z intonacji, z barwy głosu generała, poznał już po paru chwilach, że mówi on z kobietą. Z początku był oschły, potem zaczął się skarżyć. Wreszcie, usłyszawszy coś miłego rozpląnął się w rozczuleniu, głos uczynił się miodowy, modlitewno-błagalny, uwielbiający. Nie do wiary zdawało się młodzieńcze gruchanie w ustach złowrogiego generała, człowieka o nadzwyczajnych pełnomocnictwach, który czuwał nad bezpieczeństwem armji i państwa od tajnych zamachów wroga. Była to przesłodka pieśń bez słów, nieopanowana, chwilami jakby łkająca — wysoce zabawna. Z jej niewyraźnej melodji, przebijającej się przez aksamitną kotarę, dyrektor van Trothen wyczytał to, czego żadną miarą nie mógł się dowiedzieć od samej Ewy — generał von Sittenfeld nie dostał jeszcze szczęścia. Dla osiągnięcia

tej łaski gotów był na wszystko i znać było, że nie może już wytrzymać. Czy Eva nie przeciąga zbyt długo struny?

...Biuro łączności Anglików z wywiadem francuskim... Niema takiego biura. Ale jest pewien człowiek dość podejrzany (K.O. 7), który od wczoraj mógł się wsypać. Nie zna on bezpośrednio dyrektora, ale ma z nim łączność przez niejaką panią Emmich, bardzo zręczną agentkę (D. D. 19), która zdradzona może uleść terrorowi siepaczków Sittenfelda. Trzeba ją, nie tracąc chwili, wyprawić z Berlina z nowym dowodem osobistym. Jeżeli zaś o tej godzinie i ona jest ujęta... Nie, tego się nie robi tak szybko, jeżeli K.O. 7 ją wsypał, to poprostu puszczą za nią obserwatorów, żeby ich zaprowadziła wyżej. A jeżeli im bardzo pilno? Jeżeli im pilno, to wsypią jej na poczekaniu dwadzieścia pięć prętów gumowych, a jak będzie trzeba dołożą jeszcze pięćdziesiąt — tego wystarczy na każdego. Na szczęście jest chora na serce, ona nie wytrzyma i dwudziestu pięciu, zatknie ją zanim zdoła krzyknąć, że wszystko powie. Tak właśnie byłoby najlepiej... Ale jak jest naprawdę? Narazie prawdą było, że generał dziś telefonował doń parokrotnie, natarczywie zapraszając na dziś na szachy. Chciał go tu mieć, żeby opowiedzieć o wyspie Anglików i zajrzeć mu w oczy. Albo go stąd już nie puści, albo...

Dyrektor dotknął górnej kieszonki od kamizelki. W tej chwili najbardziej pożałował, że nie zo-



baczy końca wojny. Nagle uderzyło go pytanie, pó-  
co poszedł na tę drogę i poco dręczył swe ner-  
wy wciągu trzech lat? Co go obchodzi Francja?  
Czy mu tak dalece były potrzebne pieniądze? Zu-  
pełnie mu nie są potrzebne, miał dosyć własnych.  
Więc poco?! Poco?! Śpieszył się, żeby o od-  
gadnąć, bo za chwilę może być za późno. Połknie  
swoje cjankali i pójdzie precz, jak głupi, nic o so-  
bie nie wiedząc. Zdumiał się. Dlaczegoż ani razu  
nie przyszło mu do głowy pomyśleć o tem?! Miał  
na to trzy lata czasu. Czyżby absurdem i niczem  
więcej nie były jego wielkie afery, jego niesłychane  
sztuki i sztuczki, jego świństwa, jego zbrodnie?

Jak w migotaniach błyskawicy objawiały się  
i gasły pokolei wydarzenia, miasta, ludzie, przy-  
padki, tryumfy, zasadzki, niepowodzenia, okropno-  
ści, upodlenia ludzkie, trupy ludzkie, strach — dzieje  
trzech lat. Strachu zaznał do syta, nosił go w sobie  
wiecznie, o każdej chwili, na jawie i we śnie wi-  
siał na cienkiej nici przez cały ten czas. Niepewna  
była każda jego godzina, darowany każdy dzień.

A teraz był jak wyzwolony, nie czuł żadnego  
strachu.

Ogarnęła go namiętna ciekawość tego, co się  
już zaczynało wypełniać. Wszak na tę chwilę cze-  
kał od tak dawna, poto igrał ze śmiercią i pchał  
ludzi na śmierć od trzech lat. Ujrzał teraz, że całe  
jego życie, bujne i napozór bezładne, zmierzało  
właśnie do swego jedyne go celu, który był przed  
nim zakryty. Ileż tysięcy razy stawał mu w myśli

ów moment przewidziany, gdy się nareszcie uwi-  
kła, gdy się potknie i poślizgnie.

Ciemno-czerwona aksamitna kotara a z poza  
niej głos przytłumiony... Było to znajome od dzie-  
cka i wciąż przy nim obecne jak natrętne nic, jed-  
no z niezliczonych głupstw bez znaczenia i sensu,  
które jak pył wałęsają się po głowie. A jednak  
teraz, za tą samą zasłoną tai się jego los. Czło-  
wiek, którego głos słyszy, trzyma w ręku jego ży-  
cie i śmierć. Nietylko — on włada jego duszą,  
on może skazać ją na upodlenie, wydobyć z niej  
bohaterstwo. W jego ręku pałka gumowa, w jego  
ręku powróż szubienicy, może go zakładać mu na  
szyję, zaciskać stryk, rozluźniać, zdejmować. Bę-  
dzie odmykać rygle jego więziennej celi i zostawiać  
szczelinę, przez którą całą noc będzie go wabić  
i kusić życie. Zatrzaśnie drzwi i nakaże mu nurzać  
się w obrzydliwościach bezpłodnego myślenia, wa-  
hania, strachu... Co zechce, to z nim robi.

Ejże... Z popłochu myśli, z pomroki wyrzече-  
nia się już wszystkiego na tej ziemi, objawił się  
niespodziewanie pierwszy promyczek woli. Upór?  
Ambicja? Punkt honoru? Walka do upadłego bez  
celu i sensu?

Nie. Jedna jedyna, samotna, sobie samej star-  
czająca bezcelowa ciekawość. Namiętność gry te-  
ktoś obcy z niezbyt zatajonym swoim uśmiechem  
raz już o nic, o zachciankę, o przywidzenie. Jakby  
pchał go na wymyślny eksperyment. Obcy obiec-  
wał mu nieprzebraną różnorodność w tej śmiertelnej  
zabawie.

— Nie śpiesz się za tym razem, śmierć cię nie minie, popatrz jej oko w oko, poigraj ze straszliwością, nic nie myśl, jeno patrz, co z tego wyniknie. Nie będziesz miał zachodu, samo się przed tobą rozwinie najciekawsze w świecie widowisko. Nora więzienna? Pałka gumowa? To głupstwa nikczemne, gdy się nie zna strachu. Daleko za tobą zostało wszystko, co jest z tego świata, bo wiesz, że giniesz, zaznaj że tego, co nadludzkie.

Zainteresował go obcy, słuchał dalej. Były to argumenty i racje niewyraźne i niepojęte dla czuwającego rozumu. Wypowiedziane w słowach byłyby prostym absurdem, ale obcy szeptał splotami obrazów, znajomych ze snów, otumaniał go kabalistyką jakiegoś nieistniejącego języka, wciągał go w tok obłąkanego rozumowania, uwodził i do czegoś go prowadził.

Dyrektor van Trothen wstał i podszedł do okna. W pokoju było pełno dymu, od dwóch godzin obaj ćmili cygara. Pod tym pozorem otworzył okno i nieznacznie wyrzucił nikłą i kruchą szklaną rureczkę. Odetchnął czystym, zimnem powietrzem, spojrzął na rojną, gwarną ulicę i odrazu oprzytomniał. Myślał bystro, szybko, jak osaczony zwierz.

Gdyby w tej chwili całkiem poprostu ubrał się i wyszedł, byłby ocalony. Jeżeli tylko dadzą mu wyjść na ulicę, za kwadrans nie pomogą już żadne alarmy i pościgi, ani chytre sztuki potężnego generała, ani sfora jego szpiclów i żandarmów,

ani telefony, ani telegramy gończe na wszystkie stacje graniczne. Van Trothen nie wstąpi do swego luksusowego mieszkania na Kurfürstendamm, nie ucałuje nawet na pożegnanie panny Kitty Steidorff na Hochstrasse. Opuści świetnie prosperujące zakłady „Mundus-Filmu“ wraz z niedokończonym arcydziełem „Bogowie Germanji“, nie zajrzy do Süd-Banku, gdzie ma złożony poważny depozyt i utonie bez śladu w odmęcie Berlina, a w swoim czasie generał von Sittenfeld otrzyma z Holandji parę uprzejmych słów usprawiedliwienia za odejście bez pożegnania, przed rozegraniem tak interesującej partji szachów.

## XVIII.

W pochmurny dzień w połowie marca siedzieli we troje w saloniku Rity. Od godziny żadne z nich nie wymówiło słowa. Profesor dumał w swoim fotelu i co czas pewien zapadał w drzemkę, zdradzając się lekkim pochrapywaniem. Claude przeglądał album rysunków Dürera, zrzadka odwracając kartę. Rita siedziała osobno pod oknem z zarzuconym na kolanach atlasowym obrusem i szperała w koszyczku pełnym pasemek różnokolorowych jedwabi i od godziny nie mogła zabrać się do roboty. Rozpoczęty narożnik nie wypełniał się barwami, jedna jedyna wykończona róża, pamiętająca bitwę nad Marną, dotychczas nie mogła się doczekać pierwszego listka. Kontury wzoru zarysowane kalką zamazały się już dawno, śnieżno-biały atlas zbrukał się i poszarzał...

Rita zapatrzyła się w okno. Środkiem pustej rzeki płynęła kra. Nieskończony korowód brył lodowych sunął zwolna głównym nurtem, nużąc i nudząc wzrok swą martwą jednostajnością i jakby wzmagał ciszę i pustkę, które zapanowały na rzece. Nie porykiwały holowniki, nie widać było ła-

downych barek, na wybrzeżu nie zgrzytały dźwigi, od trzech dni nie przejechał pod oknami ani jeden samochód ciężarowy. Nie dymiły kominy „Bassche“, na moście o żadnej godzinie dnia nie roilo się od tłumów robotników śpieszących z miasta do fabryki na swoją zmianę lub wracających z roboty. Na Renie, za Renem zamarło ruchliwe, hałaśliwe życie pracy, a choć to sprawiało ciszę, nie dawała ona wytchnienia, raziło coś utajonego w niezwykłym świętowaniu i mimo całego spokoju wokoło, w duszy budziła się trwoga. Od trzech dni wszystko w Ludwigshafen stało w strajku.

Wojsko zajęło fabryki, obsadziło dworce kolejowe, porty, mosty, patrole krążyły w dzień i w nocy, ale masy robotnicze zachowywały spokój, nie trzeba było wzbraniać lub rozpędzać zgromadzeń, ani pochodów, robotnicy siedzieli cicho po domach, albo wyruszali gromadami na wieś, szukać na własną rękę kartofli, mąki, słoniny, gdy olbrzymia machina zaopatrzenia fabryk utknęła i od dwóch tygodni przestała żywić masy. Był to strajk głodowy, żywiolowy i powszechny. Nikt nie jątrzył, nie podburzał, policja nie miała nic do roboty, prosto praca sama ustała, gdy robotnik nie miał co jeść. Tak samo ustaje martwa maszyna, kiedy zabraknie paliwa. W dziwnym spokoju bezrobocia tała się groźba, złowrogi znak wyrastał ku ostrzeżeniu świata, zapamiętałego w wojnie. Tak samo jak w Ludwigshafen stawały już fabryki w stu innych ośrodkach przemysłu, strajki głodowe szły falą przez Niemcy.

Napróżno we wszystkich gazetach wyłaczano najgrubszym drukiem kolumny cyfr statystycznych, dowodzących czarno na białem, że żywności w kraju jest podostatkiem, że starczy jej do nowych zbiorów. Pisano po raz tysięczny, że myt i legenda staną się rzeczywistością, którą będzie można upiec, ugotować, włożyć do gęby, pogryźć i połknąć, albowiem w dniach najbliższych nadejdą pierwsze transporty z Rosji i z Ukrainy. Cyfry były niezłomne, transporty najpewniejsze, a tymczasem zamierało życie pracy, zawodziła olbrzymia mądrze zbudowana organizacja podziału zapasów, oparta na surowej dyscyplinie spożycia. Lotne pociągi aprowizacyjne uwijały się po kraju, ratując doraźnie bardziej zagrożone miejscowości i nie nadążały z gaszeniem ognisk głodu. Jego widmo wyzierało ze wsząd, wywołując panikę w masach, krzyżując plany polityczne rządu i wielkie zamierzenia Głównej Kwatery. Zdawało się, że nadchodzi kres dla mocarza wojny, który na podziw i udręczenie całego świata opierał się zwycięsko — oto już czwarty rok — zjednoczonym potęgom nieprzyjaciela i wciąż groził mocą swego miecza. Ale o tej porze niezwykciężony w walkach miecz zdawał się już wysuwać z rąk tytana, obezwładnionego przez karę boską — klęskę głodu.

Ocknął się profesor Wager i ujrzał na tle okna pochyloną, jakby złamaną sylwetkę Rity a nad nią wystygłe, niedymiące kominy „Badische“. W tym obrazie uderzył go jakiś rys ukryty, niedopowie-

dziany, niepokojący. Zawierała się w nim jak w obrazkowej zagadce treść, którą należało z kształtów zamienić w myśl i w słowa. Przypominała się w podświadomem skojarzeniu jakaś wizja, pochodna od tego okna. I pora dnia, i szara barwa nieba i wiele cech najzupełniej nieuchwytnych przywoływały na pamięć rzeczy dawne a tak głęboko zagrzebane, że strach było do nich sięgać. To było dawno, przedawno... Kiedyż to było? Ach, w pierwszym roku wojny!

Zagubił się w ogromie czasu. Niepojęta otchłań czterech niespełna lat rozwarła się przed nim jak wizja z dręczącego snu. Była nieogarniona, fantastyczna i bezspornie rzeczywista. Wydawało się, że między rokiem czternastym a dniem dzisiejszym przeminęło i wymarło kilka ludzkich pokoleń. Jakimże cudem on ocalał i żyje wiecznie?

Ujrzał nagle własne istnienie jako niezrozumiałą osobliwość, zawieszoną w niezmiernej chmurze czasu. Unosił się nad odmętym obcych wydarzeń, które przebijały się z trudem przez oponę niepamięci. Chwytał w tem cośkolwiek znajomego, jakiś fakt, czyjąś postać, ale wnet gubił rzeczy przypomniane i tonął w głuchej niewiedzy. Usypiał na sekundę i budził się w jakiejś poczwarnej krainie, gdzie wszystko było niepojęte a zarazem pełne straszliwej prawdy. Męczył się jak tonący i nie mógł się wyrwać z obłądnych majaków. Nie wiedział, czy się obudził, czy jeszcze śpi.

...Ale mocno zaciskał w dłoniach suche, szczu-



płe, drgające nerwowo ręce. Dusiły go łzy i przez ich płynną oponę patrzył w ciemne posępne oczy, pełne troski i myśli. Była w nich mądrość i surowa, niezłomna prawda. Niepodobna było znieść ich spojrzenia. Ogarnął ramionami syna i przywarł doń ze wszystkich sił. Zapomniana została wczorajsza tragiczna kłótnia, ostatnia rozprawa z buntowniczym synem... Teraz żegnał go z dumą ojcowską i w nieprzebranym bólu. Nie trzeba było słów, wszystko wypowiedziało się w mocy uścisku, w westchnieniach, w starczem szlochaniu, ale Kurt nie uronił ani jednej łzy. Jeszcze raz ucisnął ręce ojca, spojrzął, błysnął oczami i poszedł. W tym dniu sierpniowym, olbrzymim i szalonym, który otwierał wspaniały epos Germanji i nowe dzieje świata... W trudach bojowych, w ogniu walk odrodzi się dusza zbuntowana, poczuje rodzoną więź z wielkim narodem i bohaterstwem swoim uczci jego chwałę i wielkość. W ogromie i grozie wydarzeń wygasną wpływy wuja, zczezną fałszywe doktryny partyjnej. Za dwa—trzy miesiące wróci na skrzydłach zwycięstwa i będzie chlubą starego ojca, opromieni opustoszały dom. Wojna odradza narody, uzdrawia ludzi, wojna zespala z ojczyzną. Niechże go ochrania i strzeże niemiecki Bóg...

I stary człowiek zaszlochał, zerwał się z fotelu i pojękując, bełkocąc słowa bez związku, wypadł z pokoju, ciężko szurając nogami.

Spojrzał za nim ze swojego kąta Claude, Rita na chwilę odwróciła głowę w roztargnieniu, żadne

z nich nie wymówiło słowa. Claude przymknął powieki. Teraz, gdy zostali sami, w ciszy i w półzmiernym zaczęła się rozpościerać między nimi słodka łącząca zaduma. Mógł stać ku niej swobodnie myśli, niepodobne do wyrażenia, uwielbiające i poddane. Mógł się wsłuchać w jej tajemne zamyślenia i rozpętanem wyobraźni odgadywać świat w niej zamknięty. Pieszczotą myśli, wszystkim co miał w duszy najlepszego koił jej smutki, przesłaniał natarczywe widma, rozpraszał zapamiętanie. Coraz głębiej i głębiej pogrążał się w ekstazie i stopniowo upajał się, zatracając poczucie rzeczywistości.

Zdawało mu się, że ona słyszy każdą jego myśl jak słowa mówione i nie wzbrania mu mówić. Czekał, że lada chwila poczuje w sobie pierwsze drgnienie jej myśli, odpowiedź jej duszy. Od dawna łudził się, wierzył i nie wierzył, że w godzinach wspólnego milczenia wiąże się między nimi coś przesubtelnie jednoczącego, inaczej żadne z nich nie mogłoby znieść tego milczenia. Rita zaiste jest bardzo dziwna i niewiele można z niej odgadnąć, ale szczerem niepodobieństwem byłoby dopuścić, że ona nigdy o nim nie pomyśli. Nie zważa na niego, chwilami zapomina o jego obecności, ale w chwilach, gdy zwróci nań uwagę, czemuż jest w jej myślach ów utrapiony, nieodłączny cień — Ossian Helm? Claude nie spodziewał się niczego, nietylko nie miał względem niej jakichkolwiek zamiarów, ale nawet w wyobraźni niczego od niej nie żądał ani nie potrzebował. Wystarczała mu odrobina przychyl-

ności, to co było teraz. Niech go znosi przy sobie, czyż tego nie dosyć? I tak niech trwa wiecznie...  
Wiecznie?

Dawno już przestał myśleć o tem, co z nim będzie jutro, za miesiąc, za rok. Utracił pojęcie czasu, żył dniem bieżącym, a istniał tylko w godzinach, które wolno mu było spędzać u Rity. Zaginęła również cała jego przeszłość. Zacierała się stopniowo, z dnia na dzień, opadała z niego po strzępku, jak obca skorupa. Niby wiedział o sobie jeszcze, pamiętał niemal wszystko, ale przestało to ważyć w jego myślach, stawało się obce i jakby nie obowiązujące do niczego.

Czasami zdawało mu się, że był to jakiś byt pomyłony, fałszywy, który schwytany na kłamstwie, zgasł i odpadł w nicość.

Czasami musiał odpędzać jego zmorę i wówczas odkładał na później rozprawienie się z tem dziwnym powikłaniem. Ogarnęło nim leniwe niedbalstwo. Nauczył się żyć chwilą, jak małe dziecko.

Czasami po nocach budził się w zgrozie i strachu. Rozpamiętywał, wbijał sobie w głowę fakty, ludzi, miejsca, czasy, wchłaniał zpowrotem zgubiony byt, ale ileż razy budził się rano i w blasku słońca poczuwał się, że jest istotnym Ossianem Helmem, którego cała przeszłość została za oceanem. Niezmierny Atlantyk odgradzał go od dawnego życia, już tam nigdy nie wróci. A długa noc, wielolecie letargu, odmęt zapomnianych snów poprzedzały ten okres, były one jakby majakiem, wywo-

dzącym się z pod świadomej pamięci o jakimś bycie z przed urodzenia, jednym z niezliczonych jego kolejnych przemian i wcieleń. Przeżył ich tyle, co każdy człowiek, nastąpią inne, nowe, idąc w nieskończoność. Teraz jest Ossianem Helmem na cały swój czas aż do pozornej śmierci. Cóż go obchodzi to, co było? Cóż go obchodzi ten, który nastąpi po Ossianie Helmie?

Nie może być inaczej. Inaczej czemże by był wobec Rity? Podłym szpiegiem, kłamcą i fałszerzem.

Niedarmo generał Dubreuil z II oddziału ministerstwa wojny i dwaj jego instruktorzy w rzemiośle szpiegowskiem wbijali mu w głowę, że jeżeli wysilając swoją wolę, inteligencję i wyobraźnię postanowi być amerykańskim Niemcem, chemikiem Ossianem Helmem aż poczuje go w sobie naprawdę — to reszta jego zadania będzie już łatwa. Odpowie na każde pytanie, nie zawaha się nigdy i nikt go nie złapie.

— Przecież i Niemiec może mówić po francusku — bronił się, gdy mu nakazano zapomnieć ojczystego języka.

— Niemiec może mówić po francusku, nawet po chińsku, ale ekspert od pierwszego pańskiego słowa pozna, że ma do czynienia z rodowitym Francuzem. Zdradzi pana melodia języka, rzecz, której niepodobna się pozbyć.

Zaopatrzone go w metryki i akta zgonów rodu Helmów, kazano mu przestudjować z gotowego skryptu dzieje rodzinne, polecono poszukać w Ba-

denie i odwiedzić przy sposobności krewnych ojca Helmów i rodzinę matki w Augsburgu, znany mieszczański ród Zwillich'ów. Niech się niczego nie obawia, jego papiery są autentyczne, a dziadek Helm, wyemigrowawszy do Ameryki, szybko zagubił związek z ojczyzną, może swoim krewnym opowiadać co zechce. Niech wie, że tam na miejscu przez cały czas do końca wojny będzie pod obserwacją — krewni mogą mu się przydać, jeżeli ich nawet nie odwiedzi, niech o nich rozpowiada szeroko. Kontrwywiad sprawdzi to i uspokoi się na długo, może na zawsze.

Zwłaszcza obaj instruktorzy, którzy obrabiali go intensywnie przez trzy tygodnie, trzymali go jak pod hypnozą, wmawiając w niego rzeczy zmyślane, aż doprawdy zamęcili mu w głowie. Z początku bawiło go to bardzo. Jeden z nich, kapitan, zdawał się być lekarzem neurologiem, drugi z odznakami porucznika artylerji, był zapewne ekspertem w kunszcie wyższej szkoły szpiegostwa, wypożyczonym z Sûreté Générale. Ci na wyścigi męcili mu w głowie, skołatanej jeszcze po niedawnych dwóch dobach, spędzonych na pobojuwisku po szyję w ziemi.

Pewnego dnia opamiętał się w szpitalu w Tours, gdzie odnalazł go nareszcie wysłaniec II Biura.

— Pan kapitan pracował w ciągu trzech lat w Ameryce, jako stypendysta w instytucie fundacji Carnegie w Barrow?

— Tak jest.

— Mówi pan po niemiecku i angielsku? Czy dobrze?

— Po angielsku zupełnie dobrze, po niemiecku średnio.

— Chwała Bogu. Szukamy pana od roku po wszystkich formacjach, na wszystkich frontach! Przenosimy pana kapitana do Paryża, tam przyjdzie pan prędzej do siebie. Mamy dla pana piękną, zajmującą robotę. Dla chemika jest ona doprawdy zachwycającą. Uda się pan w celach naukowych nad Ren.

— Nad Ren...

— Tak, do Niemiec, na ich głębokie tyły, tam wzdłuż Renu rozsiane są kolosalne ogniska przemysłu chemicznego, tam kryje się zdradliwa, zabójcza dla nas tajemnica. Panie kapitanie, tę tajemnicę trzeba zdobyć. Dokonać rozpoznania nowego gazu, zidentyfikować przekłęty Żółty Krzyż, wy badać całą technologię fabrykacji. Oto wszystko, na front nie wróci już pan nigdy, ale i tam bardzo można zginąć.

Tak to się rozpoczęło. Był to fakt już zamierzony. Zostawił on wrażenie dawno czytanej, a raczej przerzucanej niedbale powieści kryminalno-sensacyjnej, jej pierwszy feljeton w „Matin’ie“ lub „Journal’u“, pełen romantycznych efektów, zakończony słowami — à suivre — dalszy ciąg nastąpi.

Teraz ciągnie się druga opowieść, ona pochłania i ciekawi, a tamta poszła w zapomnienie. Jej urokiem jest mglista niepewność, rozpętana dowol-

ność — fantastyczność, która drwi z faktów realnych, pomija rzeczywistość i nie podlega przymusowi rozsądku. Pisze się ona poza czasem i przestrzenią, Rita baronowa von Tebben-Gerth i doktor Ossian Helm unoszą się ponad światem, na którym toczy się jakaś obca wojna. Nie dochodzą do nich echa strzałów ani jęki mordowanych. Od dalekich pobojuwisk ciągnie z wiatrami czad zatruty, idzie przez świat, a kogo napotka po drodze dusi, nawskroś przeżera i znaczy obalone trupy piętnem zarazy, bladym znakiem Żółtego Krzyża. Dla tych dwojga nie straszny śmiertelny jad, czarodziejstwo obróciło ich w cienie, oderwane od oszalałej ludzkości, wyzwolone z nienawiści. Nie mieszają się do spraw życia i nie chcą żyć. Trwają pogrążone w tajemnym swoim misterjum, każdej chwili gotowe zniknąć z tej ziemi, albowiem ich jest wieczność..

Claude rozmyślał nad tem i badał siebie bez strachu. Nieraz przypuszczał, że pogrąży się w obłędzie, bo tak się to zresztą nazywa. Wówczas przewijał się po jego ustach przekorny, uporczywy uśmiezek. Niech tam... I brnął dalej—coraz głębiej.

Rita odezwała się jakby do siebie samej, cichym półgłosem, tak zazwyczaj rozpoczynały się o zmierzchu ich osobliwe rozmowy. Zaczynała w tonie zdziwienia, pytania, jakby budziła się ze snu. Nagle przypominała sobie coś ważnego i szybko, szybko musiała to wypowiedzieć, wyrzucić ze siebie czempredzej. Mówiła urywkami, nie wiążąc zdań,

przeskakując w myśli wiele rzeczy, nie licząc się zupełnie ze słuchaczem, choć czasami zwracała się wprost do niego.

— ...Niby wszyscy żołnierze są mężni, tak się to mówi... Ale Fell był zawsze wyjątkowo spokojny w swej odwadze... Mówił mi, że istnieje mnóstwo odmian odwagi i tyleż strachu. Jeden się boi karabinu maszynowego, a nic mu nie znaczy ogień artylerji, drugi przeciwnie, trzeci boi się tylko podkradania się po nocy pod druty nieprzyjacielskie... Naprzykład wielu marynarzy boi się morza, nie znosi morza, a jednak robią swoje bardzo dokładnie i mężnie, chociaż żyją w ustawicznym strachu... To samo zdarza się wśród lotników... Ludzie się przełamują i niszczą sobie nerwy, a Fell też się nieraz najadł strachu. Najgorzej było, gdy się kończył urlop — za ostatnim razem powiedział mi nawet, że za nic nie wróci na morze. — Jakto? — Dlatego, że już nie mogę żadną miarą, niech będzie, co chce. — Fell, na miłość boską, cóż będzie? — Nie wiem, pewnie mnie rozstrzelają. Musiałam go utulić, ukoić, namówić... Bo ja nigdy nie przypuszczałam, że on może zginąć. A on czuł, że nie wróci.

...Kiedyś na morzu Irlandzkim przez kilkanaście godzin nie mógł dźwignąć się z dna. Nocowali na dnie i wie pan co myślał sobie Fell? Był przekonany, że go przyparła nienawiść ludzka i nie puszcza łodzi na powierzchnię, bo straszliwie nienawidzą Niemców za to, że jakoby wywołali wojnę.



Przywidziało mu się, że trupy wszystkich zatopionych przez niego ludzi obsiadły łódź i to był taki straszny ciężar... A kiedyś znów, puszczając torpedę, umyślnie zrobił złe wyliczenie żeby nie trafić i torpeda poszła bokiem... Żal mu się zrobiło ludzi na żaglowcu, bo na morzu był sztorm i niktby się nie uratował. Tę litość uważał za zbrodnię, ale nie mógł się opamiętać.

Zato w pierwszym roku był zapalony, krwiozerczy, zapamiętałe składał tysiąc do tysiąca zatopionych tonn. Marzył o tem, żeby dojść do miliona. Opowiadał mi ze śmiechem rzeczy okropne, chlubił się okrucieństwem. Nie mogłam tego słuchać. Zatruił mi cały pierwszy urlop, wciągu tych dwóch tygodni bałam się go, był cały odmieniony, obcy. Płakałam, rozpaczałam, nie mogłam go kochać. Po tem już nigdy nie wspominał o swoich bohaterskich czynach, a później, w trzecim roku wojny, kiedy zaczął o tem, to już się tylko skarżył. I cóż? Musiałam go pocieszać, umacniać, to ja mu przypominałam, że jest żołnierzem.

— ...Powtarzał mi, że już nigdy nie będzie szczęśliwy. Po tem co przeżył i widział na swoje oczy, po tych wszystkich zbrodniach na morzu nie zazna spokoju. Chociażby wojna skończyła się zwycięsko a on wyszedł cało, będzie do śmierci ruiną. Mówił nieprawdę, jabym go była uzdrowiła, wypielegnowała, zabrałabym go z floty, wywiozłabym daleko od przeklętego morza, w góry, w lasy... Zagoiłabym w nim wszystkie rany pamięci. Grałabym dla

niego jego najukochańsze utwory, komponowała-  
bym rzeczy nowe, niesłychane...

— Pani baronowo, dlaczego pani zupełnie prze-  
stała grać? Muzyka ukończyła panią...

Zamilkła. I nagle zaśmiała się szyderczo, obraź-  
liwie, obcym histerycznym głosem.

— A panu by się mniej nudziło pilnować mnie  
tu po całych dniach? Wierzę, że byłoby panu przy-  
jemniej, ale ja, panie Helm, nie poczuwam się do  
obowiązku uprzyjemniania panu jego przykrej roli.

Protestował, oburzał się, mówił najczulszemi  
słowy. Podszedł do niej, w zapamiętaniu odważył  
się po raz pierwszy ująć ją za rękę. Pożałował tego.  
Rita wydarła mu się z odrazą, odskoczyła od okna.  
Przez pewien czas słuchała jego usprawiedliwień,  
zakłęk, błagań. Przerwała mu głosem spokojnym,  
w którym zabrzmiał manjacki upór.

— Pan doktor został przydzielony do mnie, że-  
by mi nie dać spróbować po raz drugi. Co za idjo-  
tyzm... Czyż nie mam dla siebie całej nocy? Kto  
zdoła upilnować człowieka zdecydowanego? Gdy  
zechcę dam sobie rady. Ale powiem panu, że nie  
zamierzam bynajmniej. Co innego tamtego dnia...  
Ale wnet, bo już nazajutrz, ochłonawszy i pomy-  
ślawszy dobrze odkryłam, że jednak z całej opo-  
wieści tego głupiego sternika nie wypływa bynaj-  
mniej, żeby Fell miał koniecznie zginąć. Co się zresz-  
tą wie? Ja więcej wiem, mam niezłomne poczucie,  
że Fell żyje. Jest w niewoli i lada dzień otrzymam  
o nim wiadomość, ale takie rzeczy idą przez Hiszpa-

nję, potem zdaje się jeszcze przez Szwajcarję...  
Mówię to zupełnie na serjo, żeby pana zwolnić z dy-  
żurów, które przecież zabierają panu tyle czasu.  
Jeszcze raz przepraszam za ten strzał, cieszę się, że  
ramię pańskie goi się pomyślnie. I żegnam pana.

## XIX.

Eva Evard, powróciwszy z Wiednia, gdzie bawiła około dwóch tygodni, oznajmiła swemu stęsknionemu generałowi, że zamierza odwiedzić niemiecką Główną Kwaterę. Generał von Sittenfeld uśmieł się serdecznie.

— Czarodziejska Evo, tego pani nie dokáže, proszę się zastanowić, czego pani żąda. Dość powiedzieć, że nawet ja — ja — pani Evo, przy najlepszych moich chęciach i staraniach nic nie mógłbym dla pani zrobić w tym względzie.

— Dziękuję bardzo, ale ja nie proszę pana o protekcję, dam sobie rady sama.

Generał śmiał się dalej i całował jej ręce. Przywarł i nie mógł się oderwać. Przypadł głową do jej kolan, objął jej biodra, zacichł, zamarł. Tonął w rozkosznej błogości, dopóki nie ośmielił się nieco dalej o nieznaczną, niemal niedostrzegalną wążką odrobinę.

— Panie generale...

Zerwał się na równe nogi, znał dobrze ten ton cichy, dobitnie ostrzegający. Już wielokrotnie odpo-

kułował srodze, gdy nie posłuchał odrazu przestrogi. Ileż razy tracił wszystko, co był uzyskał i psią pokorą po długich błaganiach i przysięgach wysługiwał sobie na nowo okrucich łaski. O tej porze srogi, wszechwiedzący i wszechmogący generał był już dobrze wytresowany. Tajony bunt, wściekłość i wszystkie podstępny zostały pokonane przez kaprys Ewy, przez jej wzgardliwy uśmiech i przez niezłomną taktykę. Generał nie mógł odgadnąć celu tego okrutnego przewlekania. Miał zapowiedziane, że szczęście go nie minie, niech czeka grzecznie. Zapuszczał się w najdalej idące, bezsensowne nawet hipotezy, puszczał wodze fantastycznym rozważaniom, niejako w tajemnicy przed samym sobą, nad możliwościami Ewy. Nałóg podejrzliwości, choroba zawodowa węszenia zawsze i wszędzie ukrytych zamachów i zakusów wroga sprawiały, że nie ominął i przypuszczenia, że Eva mogła być nieświadomym narzędziem nieprzyjacielskiej intrygi. Szybko wycofał się z tej pozycji — Eva była nie do pomyślenia jako czyjeś narzędzie, a do tego nieświadome, zresztą ani razu nie zadała mu niedyskretnego pytania, a jej zainteresowania wojną były raczej akademicko-filozoficzne. Rozmawiali nieraz o wojnie i generał, namiętny zbieracz faktów, uzyskał od niej mnóstwo cennych informacji z tamtej strony frontu, które notował skwapliwie. Pewnego razu, zachwycony przenikliwością jej obserwacji, zauważył, że gdyby zechciała streścić swe wrażenia i wnioski w obszernym, przemysłanym referacie, to mogłaby

sprzedać taki dokument już nie na wagę złota, ale na wagę radu.

Eva skrzywiła się zlekka na ten generalski dowcip.

— Ja nie sprzedaję ani siebie, ani moich informacji, zresztą, nie potrzebuję pieniędzy. Ale jeżeli panna zaciekawiają moje spostrzeżenia, mogę w wolnej chwili napisać takie wypracowanie i darować je panu na pamiątkę.

Generał nie mógł dociec, poco Eva jeździła do Wiednia. Wierny swej metodzie nie pytał o nic, ale okólnymi drogami naprowadzał ją na wynurzenia i dowiedział się, że przyjmowano ją w najwyższych sferach a dwukrotnie (w ciągu dwóch tygodni!) była u cesarzowej w Schönbrunn i za drugą bytnością rozmawiała przez półtorej godziny z cesarzem Karolem.

Młody cesarz zachwyił ją swą uprzejmością a zwłaszcza zdumiewającą energją, którą promieniał jako mężczyzna i monarcha. Oto władca! Jego zapał i optymizm ubawiły ją szczerze. Rozegrał on przed nią kapitalną scenę z tragifarsy austriackiej. Kiedy podwójna monarchja wali się w gruzy i gdy już nic nie zdoła jej uratować, zjawia się młody, dzielny cesarz i król, którego nieugięta energja targa i wstrząsa zbutwiałą ruderą i bezsprzecznie przyspiesza jej koniec. Piękny Karol zrobił na niej wrażenie szaleńca, który w płonącym domu przestawia meble. Ale dzieci cesarskie są czarujące, widziała je wszystkie sześcioro, zresztą cesarzowa jest znowu

w ciąży. Dynastia Habsburska ma zapewnione spadkobranie tronu co najmniej na lat pięćdziesiąt w tej gromadce zdrowych, pięknych arcyksiążątek. Nie poradzą im zamachy ani choroby, zawsze coś z tego zostanie, inna rzecz, czy zostanie tron...

Generał von Sittenfeld powziął stąd natychmiast podejrzenie, że Eva może być agentką dyplomatyczną pierwszej klasy i kto wie, czy po księciu Sykstusie Burbońskim, po hr. Revertera i innych niewiadomych próbach, nie kręci się zkolei i ona koło odrębnego pokoju Austro-Węgier z koalicją? Kontrwywiad niemiecki od roku już obserwował niepewnego sojusznika, którego jedyny ratunek leżał w nikczemnej zdradzie. Generał nie wyobrażał sobie, żeby gwiazda filmowa, bodaj największa na kuli ziemskiej, mogła być używana do poważnych mactw dyplomatycznych, ale zbyt wysoko cenił inteligencję Ewy, żeby odrzucić to przypuszczenie, więc jeszcze wzrósł jego żar miłosny. Opanować tę kobietę, wydobyć z niej tajemnicę i wykryć jakąś kolosalną intrygę dla ocalenia cesarza i ojczyzny, tudzież dla własnej kariery...

Teraz przywidziało jej się odwiedzić Główną Kwaterę...

— Pani spodziewa się zobaczyć tam coś osobliwego? Pani przypuszcza, że dotrzeć do naszego marszałka lub do pierwszego generał-kwatermistrza jest równie łatwo, jak otrzymać zaproszenie na podwieczorek do Schönbrunn?

— Chciałabym pomówić z cesarzem...

Nowy atak śmiechu. Eva przeczekała to spokojnie.

— Rozmawiałam przed dwoma laty z nie-szczęsnym carem Mikołajem, teraz z tym sympatycznym skazanym przez los Habsburgiem. Brak mi trzeciego... Kto wie, może w tej wojnie wygasną wszyscy cesarze? Trzeba się śpieszyć z cesarzem Wilhelmem, bo za pół roku może być za późno... Pan mnie zna, jestem nieuleczalną snobką, kolekcjonuję ciekawe znajomości.

Generał o tej porze był zdręczony przez Evę do jakichś już przedostatecznych granic. Chwilami szczerze jej nienawidził. Widząc ją otoczoną przez roje mężczyzn szukał wśród nich współzawodnika i wciąż się gubił w ich mięsie, podejrzewając codziennie kogo innego. Pokojówka korytarzowa w hotelu Carlton była oddawna na żołdzie jego biura i co trzy dni składała komu należy raporty. Generał prowadził je pedantycznie i porównywał z doniesieniami agentów i agentek, którzy śledzili Evę na mieście, nie tracąc z oczu żadnego jej poruszenia. Eva miała swoją tekę a w niej kilka innych, dotyczących szczególnie podejrzanych panów. Byli to — aktor filmowy Feldt, młodszy sekretarz kanclerza Kühlmana Pilzecker, kapitan sztabu generalnego Lannburg, lejtnant Ramien z gabinetu morskiego Jego Cesarskiej Mości. Byli to ludzie młodzi, niektórzy dość urodziwi. Dalej szli starzy panowie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat, którym Eva poświęcała znacznie mniej uwagi — deputowany do



Reichstagu tajny radca Schelle z centrum, jego kolega socjaldemokrata Noodt, bardzo wpływowy dziennikarz, redaktor „Nordeuropy“ Max Edeling. Ten był szczególnie niebezpieczny, był w wieku generała, interesująco piękny, słynny automobilista i uwodziciel, bogaty, bardzo inteligentny i bezczelny.

Aktora filmowego i kapitana generał pozbył się szybko — obu wypchnął na front. Resztę obserwował i jak dotąd nic nie mógł wykryć. Rywalką jego była jeszcze poniekąd pani baronowa von Steth-Schulzburg, w której domu Eva była jak u siebie, otoczona siostrzaną czułością i adoracją namiętą, wysoce nieopanowaną nawet przy ludziach, a cóż dopiero... Tak o tem sądził generał von Sittenfeld, który u baronowej bywał częstym gościem. Łączył ich stosunek nader osobliwy — uczucie wzajemnej zazdrości o Evę, która bawiła się tem i drażniła obie strony.

Napróżno generał przypominał Evie ich tydzień czerwcowy w Szwarzwaldzie w roku pańskim tysiąc dziewięćset czternastym i wywoływał czarowne momenty i obrazy. Uśmiechała się i dopowiadała jeszcze od siebie to i owo z dalekich wspomnień i prowokująco bezlitośnie rozplamiała go zdręczonego i żebrzącego łaski.

Lubiła go widzieć u swoich stóp, śmiesznie rozciągniętego na perskim dywanie i słuchać miłosnych jęków i westchnień, słów górnołotnych do absurdu oraz bezgranicznych obietnic. W takich chwilach roz-

ważała na chłodno z całym krytycyzmem, czy generał jest już gotów do podjęcia nad nim pewnego eksperymentu? Czy jego zaślepienie jest zupełne? Czy naprawdę, jak to powtarzał tyle razy — nie odmówi jej niczego i spełni natychmiast wszystko, czego tylko od niego zażąda? Gdy generał ośmiewał się zsunąć jej z nóg pantofelki i mrużąc jak niedźwiedź, który dobrał się do miodu, palił jej stopy gorącym swoich ust i oddechu, namyślała się, czy udzielić mu dla zachęty cośkolwiek więcej, czy też mądrzej będzie wytrzymać go aż do końca i dopiero uzyskawszy maximum tego, co można będzie z niego wyciągnąć, oddać mu się, lub równie dobrze zerwać z nim i skończyć. Taki człowiek może się mścić — ale cóż on jej robi?

Pewnego razu, było to u niej w hotelu, czuła się do ostateczności znudzona zaklęciami i przysięgami, które powtarzały się do obrzydzenia. Stało się to jakby rytualną litanją błagalną, którą już umiała na pamięć, powtarzały się te słowa — Dlaczego? Evo, dlaczego, na miłość boską? Warum... Warum?...

— Więc powiem panu dlaczego... Oto, znużona wojną, uczyniłam przed rokiem ślub mistyczny, złożyłam go przed samą sobą, tem niemniej obowiązuje on mnie tak samo jakbym to była uczyniła najuroczyściej w kościele przed ołtarzem wobec tłumu ludzi. Ślubowałam, że nie oddam się nikomu aż do końca wojny. Może to śmieszne, ale my katolicy dotrzynamy zobowiązań wobec Boga.

— Wobec Boga?! Pani sobie ze mnie drwi?

— Bynajmniej, jest to dowodem najgłębszego zaufania, że wogóle wyznałam panu moją tajemnicę. Pan myśli, że ja jestem z kamienia? Że mnie to nic nie kosztuje?

Generał nie mógł mówić ze wściekłości. Dźwignął się z ziemi od ubóstwianych stóp i zmagął się ze sobą. Wydzierał się zeń człowiek pierwotny, dziki brutal. Rozwiął się urok panowania Ewy, niewolnik się zbuntował. Gotów był rzucić się na nią i sponiewierać te jej wszystkie świętości. Nienawidził jej do szaleństwa. Eva paliła papierosa, jej promienne, zielone oczy spokojnie wytrzymały jego wściekłe spojrzenia. Wreszcie przemogły nawyknięcia kultury, generał opamiętał się.

— Wasze ślubowania katolickie... mistyczne... Jeżeli to wszystko nie proste drwiny... Zapewne spowiednik pani, jakiś mądry kazuista jezuicki, dla złagodzenia ostrości tych wyrzeczeń pozwala a może i sam doradza... Z osobą tak miłą jak baronowa von Steth-Schulzburg znacznie łatwiej dotrzymać ślubu...

— Ach, pan posądza tę biedną Lisbeth?... Bardzo śmieszna zazdrość...

— O pani i o Lisbeth mówi cały Berlin!

Ewa zaśmiewała się bynajmniej nie urażona i kaskadami śmiechu gasiła jego wymyślne złośliwości. Generałowi przypomniał się szatański urok szyderstwa Clary Jou-Jou, ulicznicy portowej z filmu „Jedna noc w Marsylji“

— Dosyć tych żartów, piękna Ewo! Proszę mi

odpowiedzieć wręcz, jak długo mam jeszcze czekać?

— Powiedziałam. Do końca wojny. Naturalnie, nie do zawarcia pokoju, bo to byłoby za długo, nawet dla mnie, ale do zawieszenia broni. W pewnym roku, w jakimś miesiącu o godzinie X, gdy ustanie rozlew krwi, będę zwolniona z mojego slubu... Z jakąż rozkoszą oddam się panu, jedynemu na świecie mężczyźnie, którego pożądam... Ja panu wynagrodzę wszystkie udręczenia...

I margrabina Destalguez z „Circe“ patrzyła nań oczami zamglonemi namiętnością, z rozchylonemi ustami, dysząca pożądaniem. Generał w odpowiedzi chwycił ze stolika chiński wazon, dar hrabiny von Steth-Schulzburg, i cisnął nim o ścianę. Świetny ciemno-błękitny wazon, po którym pełzały złote i srebrne jaszczurki, zadzwięczał i rozsypał się w proch. Eva zdawała się tego nie dostrzegać. Kuśiła spojrzeniem, uśmiechem, bezwładem całego ciała. Wreszcie wyszeptała:

— Możemy przyspieszyć nasze szczęście...

— Jak?! Co mam zrobić?! — krzyknął generał z brutalną groźbą w głosie.

Na sekundę zaślepiło go potworne przywidzenie. Przez sekundę pomyślał zupełnie serjo, że Eva jest obcą agentką i opętała go jedynie w celu wymuszenia na nim jakiejś niemożliwej zbrodni.

— Niech pan posłucha spokojnie i rozważy rzecz jak mężczyzna, jak dygnitarz, który ma wielką władzę, jak prawdziwy mąż stanu... Nie namawiam

pana do niczego złego, poprostu chcę, żeby pan zrozumiał, że jest w naszej mocy przyczynić się w pewnej mierze do przyśpieszenia końca wojny, a przez to samo...

Generał jak rażony udarem osunął się na fotel, bezwładnie zwiesił ramiona, głowa opadła mu na piersi. Sapał. Zaczął wzdychać. Jęknął raz i drugi, poczem zachlipał cichutko, bezsilnie. Płakał jak stary, nieszczęsny człowiek, opuszczony przez wszystkich i bezradny. Nie miał już żadnych chęci ani pożądań, jego twarda dusza zwiotczała na szmatę. Zapomniał kim był, znikła godność własna, ambicja, zatracił się w nim ostatni okrucuch wstydu. Był sponiewierany, pokorny jak zbity pies i gdyby w tej chwili Eva zażądała od niego niepodobieństwa, zbrodni, hańby, nie znalazłaby w nim sprzeciwu. Oddałby jej klucze i znaki od stalowych szaf w swoim biurze, patrzyłby bez strachu i zgrozy, jak jej precudne szpiegowskie ręce grzebałyby w najtajniejszych dokumentach... Nawet nie żądałby za to nagrody. W swem niezgłębionem ponizeniu nie spodziewał się już niczego.

Eva obserwowowała go z niezmiernie natarczywą, ale z całych sił poskramianą ciekawością. Nie odzywała się ani jednym słowem, żeby nie spłoszyć jakiegoś czaru, żeby nic nie ująć z działania tajemnego jadu, który teraz właśnie przesącza się po labiryncie zwojów mózgowych tej czaszki, okrytej czarno-siwym spotniałym włosiem. Bała się odechnąć głośniejsz, odwracała oczy od zwieszanej, sko-

łatanej głowy, żeby bodaj siłą swego spojrzenia nie uroczyć przesubtelnego momentu, gdy dawny niezłomny generał von Sittenfeld przeobraża się i zamiera, kiedy na niemożliwej możliwości, nikłej jak nić jedwabnika, wisi i polega wszystko. Nawet w głębi myśli wstrzymywała upust pierwszego tryumfu nad przeciwnikiem, odkładała na później swoją radość z przełomu, na który ciężko zapracowała. Trzymała na wodzy swoją moc opętującą, która z niej promieniowała i usiłowała zapomnieć bodaj na chwilę o swej ofierze, myśleć na razie o czem innym.

Całą swoją istotą czuła upojenie, unosiła się ponad ludźmi i ludzkością, ponad zagmatwanem straszliwym zjawiskiem wojny. W tej chwili jej zamiary nie miały żadnego celu, jej radość nie posiadała w sobie treści. Igrała życiem, ludźmi tak samo, jak swojemi myślami. Nikomu nie sprzyjała, nikogo nie zwalczała.

Losy narodów? Wynik nawałnicy światowej? Czyż nie były to sprawy wyobrażone? Czyż jednym skinieniem myśli nie mogła zgasić w sobie ciekawości do wojny a przenieść jej na co innego, na jakieś głupie dziwactwo, na byle co? Uczyni to, kiedy jej się wreszcie znudzi. Narazie pochłania ją gra, ciekawy, niebezpieczny eksperyment nad ciekawym i niebezpiecznym człowiekiem. Jest to zabawne i nieco straszne, ale strach jest naprawdę rozkoszny w swej powikłanej subtelności.

Zresztą nic jej nie grozi poza niepowodzeniem

próby. Jeżeli zawiedzie generał, zostaje redaktor „Nordeuropy“, który zna wszystkich, zostaje hrabina von Steth, która dla niej nie zawaha się pójść na szubienicę, zresztą jest i stary szpieg van Trothen, który pomimo wzdragania się i strachu przed jej szaleństwem jest również opętany grą i wciągnięty w wielką aferę.

Nigdy jej nie zabraknie bezwiednych pośredników, agentów, naganiaczy, czemuż nie ma przy sobie nikogo, komu mogłaby odstąpić swój plan w całej jego obłąkanej odwadze?

Było jej dumą, że jest samotna, i że gdy zwycięży, z nikim nie będzie dzieliła zasługi, ale chwilami sama przestawała wierzyć w możliwość, a nawet w sens swojego zamierzenia. Było ono ogromne do absurdu i czasami w momencie zwątpienia po zbyt ścisłej analizie pozostawał zeń czysty absurd, marzenie, poczęte w malignie. Nie miała obiektywnego sprawdzianu, van Trothen, zakamieniały bez wyobraźni rutynista, niezdolny był ogarnąć jej idei i potrafił tylko szydzić. Kogoż innego mogła wtajemniczyć, u kogo szukać rady? Trzeba samopas brnąć dalej w nieprzebyty gąszcz kłopotów, niespodzianek, zawodów, niebezpieczeństw. Przymus własnego zachcenia pchał ją naprzód i z fantazją, z brawurą wyzywał trudności i niebezpieczeństwa. Cokolwiek będzie i jakkolwiek się to skończy, Eva Evard odegra swoją rolę w wojnie narodów świata...

Ku wielkiemu jej zdziwieniu generał zasnął.

Niewygodnie skulony w fotelu, ze zwisającymi ramionami, z głową bezwładnie opadniętą na piersi, pochrapywał żałośnie i śmiesznie, jak gdyby skarżąc się przed litościwą zjawą senną na swój smutny los. Ubawiło to Evę. Ten człowiek był tak nieszczęsny i bezbronny, że żal było pastwić się nad nim dłużej. Zresztą jest chyba dostatecznie przygotowany do odegrania wyznaczonej roli.

Wstała, cichymi krokami przeszła do sypialni. Szybko rzuciła suknię i przywdziała fioletowe kimono, zahaftowane w złote kłosa. Stała przed lustrem, rozluźniła włosy, zmrużonymi oczami uśmiechnęła się i przybrała wyraz dobroci. Stała przez chwilę przypatrując się sobie.

Własna uroda była dla niej źródłem nigdy nie-nasyconej rozkoszy. Gdy urabiała grę twarzy dla jakiejś roli, pogrążała się w ekstazie zachwytu, widząc szybko zmienne swoje przeobrażenia. Chwytała najsubtelniejsze drgania rysów i uczyła się ich pracowicie, by w razie potrzeby wywołać je nieomylnie. Przygotowywała je dla wielkich, niebezpiecznych zbliżeń ekranowych, gdzie tak oczywiście zdradza się każda sztuczność i komedjanckie kłamstwo. W tym kunszcie była niedoścignioną i za to uwielbiał ją cały świat. Z oblicza Ewy Evard biła zawsze wyrazista głębia prawdy i jej artystyczny umiar. Smutek Ewy, jej rozpacz, łzy, wesołość, radość, przewrotność, rozpasanie, spokój, zaduma, złość i dobroć i niezliczone odmiany uczucia i myśli zarówno tchnęły nieprzepartą i jedyną prawdą życia.



Przy niej gaśta każda gwiazda ekranu i zdradzała się sztucznością, przesadą. Nie nadarmo wyrzekali reżyserzy i krytycy. Eva Evard ma jedną jedyną ale wielką wadę — niepodobna znaleźć dla niej godnego zespołu, Eva nie miała nigdy i dotąd nie ma partnera ani partnerki.

To też przedziwny wyraz współczucia i dobroci, z którym pochyliła się nad uśpionym generałem, zwiódlby każdego.

— Mój ty biedaku... Zmęczyłam cię? Daruj mi, ja już jestem taką... Sama się zdręczyłam, a nie mogę się przemódz... Poczekajmy jeszcze...

Generał, ockniony z głębi swojej niedoli, nie wierzył uszom, nie wierzył oczom. Tego wyrazu anielskiej tkliwości nie zaznał nigdy, nawet w dalekich czasach szczęścia. Rozczulony niewiarogodną dobrocią i odśloniętem na piersiach kimonem i temi splątanemi włosami, które muskały jego czoło, opasał ją ramionami i skarżył się łzawie jak dziecko. W tych skargach wyrażała się zarazem jego nieprzebrana wdzięczność i zachwyt, i gwałtownie ośmieszona nadzieja.

Eva błędziła palcami po jego głowie, po twarzy i nie zważała na natarczywość jego pocałunków. Włosy rozwiązały się doreszty i spłynęły całą falą na głowę generała, kimono spadało niemal z ramion. Głosem przyciszonym i słodkim zaczęła mu tłumaczyć, że nie chce go dłużej dręczyć, że co prawda nie może mu narazie obiecać więcej nad to, co teraz właśnie osiągnął, ale gdy pomówią

spokojnie i rozsądnie, porozumieją się. Nadewszystko pragnie, aby wniknął w jej duszę i nie przypuszczał, że jest pospolitą dewotką, która uczyniła jakiś głupi ślub i trzyma go się ślepo, w strachu przed piekłem. Wojna wstrząsnęła nią głęboko, wojna wywołała w niej przewrót moralny. Na pozór jest sobie dawną światową osobą, rozmiłowaną w życiu towarzyskiem, w zabawach, w hołdach. Ale niech wie, że co rano oblewa łzami komunikaty z placu boju, że nie może znieść dłużej tej rzezi. Głód i cierpienia narodu niemieckiego, na które patrzy, odbierają jej ochotę do życia. Bywają nieraz we dwoje lub w liczniejszym towarzystwie na kolacjach w złotym gabinecie w Kophamel-Diehle, gdzie nieoficjalnie i poufnie można zaznać wszystkich rozkoszy kulinarnych jak za najlepszych starych czasów. Czy widział, żeby choć raz przełknęła bodaj kęs? Na nic się zdały namowy, najwyżej wypije szklanekę wody mineralnej z winem. Mówią, że jest pedantką higjenu, żeby jaknajdłużej zachować urodę. Gdzie tam... Znosi męczarnie, widząc stół zastawiony i biesiadników, łapczywie pożerających bażanty, majonezy i inne frykasy, tak rzadkie w tych czasach. Nie skusi się, gdyż nie może pozwalać sobie na zbytki, kiedy dokoła panuje głód. Jada tylko raz na dzień i to bardzo ubogo — czyż to jest ślub? Nie, to jej serce nie może się pogodzić z klęską wojny i wymaga od niej pokuty, choć nie zawiniła w niczem. Niechże on to w niej zrozumie i uszanuje, a wówczas nie będzie uważać za szyder-

stwo tego, co mu wyznała o zamiarze przyśpieszenia końca wojny.

Zresztą, zamiar — to zbyt konkretne słowo. Jest to w niej raczej zachceniem, namiętą żądzą, wreszcie ambicją, aby i ona przyczyniła się bodaj w czemkolwiek do dzieła pokoju, chociażby w minimalnej części, nie dającej się ująć ani obliczyć. Gotowa jest na najcięższe prace, na wszelkie niebezpieczeństwa i jeżeli by ktoś dowiódł, że jej śmierć przyśpieszy zawieszenie broni o jedną godzinę, nie zawahałaby się za tę godzinę oddać swego młodego bujnego życia. Ta żądza opanowała ją przed półrokiem, ona to kazała jej opuścić Francję i szukać po świecie ratunku przed wojną. I jeżeli gdzie, to w Niemczech spodziewała się znaleźć pole do czynu, to też przybyła tutaj. Dlaczego? Dla narodu niemieckiego jaknajrychlejsze zakończenie wojny jest sprawą życia i śmierci, albowiem cała potęga czasu pracuje teraz dla koalicji. Tam mogą czekać i każdy upływający dzień wzmaga ich szanse, tymczasem gdy tutaj... Dawno utraciła ostatni cień swych sympatji dla koalicji i ostatni okruczeństwo do Niemców — jest teraz idealnie neutralną... Chce pracować dla całej ludzkości, ale przez same losy tej strasznej wojny zmuszona jest widzieć sprawę ludzkości w sprawie Niemiec. Oto jej szczerze wyznanie. A teraz — oto jej plan.

Generał mimowiednie rozluźnił siłę uścisku, ogarniającego smukłą, podatnie lgnącą doń postać Ewy. Z głową, okrytą jej złotymi włosami, z twa-

rzą, wtuloną między jej rozkoszne piersi, słuchał chwytając każde słowo o tych sprawach bezprzykładowych, zawrotnie nowych, nieprawdopodobnie, genialnie prostych.

## XX.

— Mój stary, nie pisałem od sześciu tygodni, bo sprobuj no ty wykomponować list w zawianej śniegiem kamiennej dziurze na wysokości tysiąca ośmiuset metrów nad poziomem Twego Hannoveru. Tu mnie licho zagnało z bataljonem. Wyprawili nas na łeb na szyję ratować sojuszników, gdyż ci już puszczali moskala przez wszystkie przełęcze karpackie. Człek się wciąż uczy na wojnie — nie przypuszczałem, że walka może się toczyć w takich zakazanych miejscach, tymczasem front, okopy, druty i wszystko, co za tem idzie, ciągnie się het przez grzbiety, przełęcze, szczeliny i szczyty górskie jak na równinie. Wisimy tu pod niebem i w pogodę rozpościera się przed nami nieogarniony obszar świata. Czarowne góry... Choć siedzę tu od miesiąca, co rano, gdy tylko wyjrzę na świat, ogarnia mnie zdumienie, że nie wychodzę, jak być powinno, ze schroniska narciarskiego w Dolomitach na cały dzień rozkosznego biegu, ale idę na głupią zbiórkę poranną słuchać andronów pana feldfebla, lub jeszcze gorszych od samego pana kapitana. Zaniośło nas tu śniegiem i od dwóch tygodni wszelka

walka ustała. Nieprzyjaciel siedzi na północnym cyplu na szczycie jakiegoś Smotrycza o cztery kilometry w linii powietrznej i dla przyzwoitości odzywa się co parę dni, żeby nas informować, że jeszcze żyje. My to samo z naszego Pop Iwana. Za dużo mam czasu do myślenia, to też myślę, choć to do niczego niepotrzebne. Przemyślałem już wszystko i czas, żebym i ja zbydłciał jako prawdziwy dobry żołnierz Jego Cesarskiej Mości. Nie mogę! Odzywa się jeszcze wciąż głupi bezpłodny bunt przeciwko obłędowi świata. Nie widzi się tu krwi, rzezi i innych okropności, niema nawet narazie żadnego niebezpieczeństwa i dlatego może, gdy nerwy są spokojniejsze, widzi się tak przenikliwie absurd wojny. W ósmym miesiącu wojowania jeszcze się z tem nie pogodziłem. Jakże ja przetrwam do końca? Tego końca wcale nie czuję, choć buduję wielkie plany i programy na — potem. Ach ty, drogi, stary pajęczarzu... Powiem ci, że świat przewracam do góry nogami! Żyję w zakonniczem milczeniu, bo tu niema do kogo gęby otworzyć, ale kiedy za pierwszym urlopem wpadnę do ciebie, wygłoszę przed Tobą tak płomienne (i mądre!) exposé, że sam przyznasz, jak ogromnie przybyło mi nauki i doświadczenia. Cała moja wiedza opiera się na rozpamiętywaniu tych kilku straszliwych dni z końca lipca i z początków sierpnia zeszłego roku. Tam przed ludzkością rozwarła się otchłań najokropniejszej prawdy, o jakiej nikt nie miał pojęcia. Te dni zaskoczyły nas. Prastary demon historii zadrwił so-

bie z cesarzów, z królów, z republik, z dyplomatów, z parlamentów, ze wszystkich Panów Bogów katolickich, protestanckich i prawosławnych, ze wszystkich szczytnych słów i haseł, z kultury, z wiedzy, a nawet z tej potęgi, jaką jest w człowieku instykt samozachowawczy, ukochanie życia i strach przed śmiercią. Nie zapominam bynajmniej, mój drogi, że wśród tej powszechnej kompromitacji świata zbankrutowała i moja ukochana międzynarodówka proletarjacka, no, ale również Twoja, nierównie szlachetniejsza — wolnomularska. Nad czym też radzą teraz bracia zakonu na zebraniach loży „Archimedes na trzech kręgach”? Możesz wzamian zapytać mnie, jak się czują o tej porze towarzysze z Partei-Vorstandu i z socjaldemokratycznej Frakcji Parlamentarnej. Odpowiem Ci, że doprawdy nie mam o tem pojęcia.

Oddawca niniejszego, podoficer Otto Jurst jest towarzyszem, człowiekiem zupełnie pewnym, możesz przez niego pisać z zupełną swobodą. Ten przystosował się do wojny i z całą filozofją odłożył resztę na potem. Kiedym go pytał, jak się czuje, odpowiedział, że życie żołnierskie jest coprawda zupełnie psie, ale że on czuje się na wojnie lepiej, niż w swojej fabryce przy warsztacie tkackim. Żołnierz ma większą swobodę i różnorodność, ma poczucie, że przestał być niewolnikiem i maszyną a stał się człowiekiem, który coś przecie znaczy. Czasami ma wrażenie, że jest na jakichś dziwnych wakacjach, a czasami — że spełnia najważniejsze zadanie. Po-

mimo straszliwej dyscypliny frontowej czuje swoją wolność bardziej niż w czasie pokoju! Kiedym się zabardzo dziwił, odpowiedział mi po robociarsku, że inteligent tego nigdy nie zrozumie. I dodał, że gdyby nie ten wyłom w monotonji losu robotniczego, to mobilizacja wśród proletariatu nie wypadłaby tak spokojnie. Dodał też, że robotnik żołnierz, który przetrwa wojnę, ten dopiero pokaże kapitałowi i burżuazji... Tak sobie myśli mięso armatnie, człowiek z masy. I ja tak myślę. Przesyłam Ci, drogi wuju, serdeczne pozdrowienia, a w pudełku od zapalek dość osobliwego tutejszego pajączka ze szczytu Pop Iwana, który zimował tu sobie pod kamieniem i w skutku wojny rusza teraz w świat. Oby dojechał cało i zdrowo.

Twój Kurt

— ...Rita wypisuje mi dytyramby nad swoim umiłowanym baronem, w ostatniej wyprawie zatopił cztery okręty handlowe i jeden torpedowiec. Dostał za to Żelazny Krzyż, urlop na miesiąc i fotografię cesarza z własnoręcznym podpisem. Co ja jej na to mam odpowiedzieć? Ja, który nienawidzę i nie uznaję wojny? Przyznasz, wuju, że nader głupie jest moje położenie wyrodka w rodzinie i w ojczyźnie. Jakoś to śmiesznie i niezaszczytnie strzelać, ciskać granatami, a jednocześnie nie uznawać wojny. Ciekawym, czy dużo jest takich opętanych jak ja na wszystkich frontach i we wszystkich armjach walczących? Chwilami wydaje mi się, że jestem sam



jeden jedyny na bożym świecie, jako wyjątkowy okaz specyficznego obłądu. Jeżeli przypuścić, że jestem unikatem, więc oczywiście myślę się, a świat ma słuszność. Myślisz, wuju, że żartuję? Bynajmniej, nieraz i to zupełnie poważnie roztrząsam ten problemat, ale bądź pewien, że się nie zmienię, choćbym sam sobie dowiódł, że jestem w fatalnym błędzie. Brnę z dnia na dzień, ale już jestem zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Urlopu, który mi się należy, odmówiłem. Nie wyobrażam sobie, co jabym robił w domu, a pojechać prosto do Ciebie nie wypada, poco obrażać mojego starego i Ritę? Zresztą boję się zażyć kulturalnego życia, boję się gazet, polityki, boję się spotkać towarzyszy partyjnych, boję się potrosze wszystkiego, co zastanę w ojczyźnie. Boję się i tego, że nie zdołam już zmusić się do powrotu na front. Nie chcę się wytrącić z nawyku, z nabytego treningu psychicznego. Do wszystkich djabłów... niech już będzie jak jest...

— ...Z zachodu na wschód. Nie wiemy, dokąd nas znowu wiozą. W tych podróżach naszej dywizji wyczuwa się nerwowość naczelnego dowództwa. Latamy jak kot z pęcherzem po mapie Europy. Dzięki temu widziałem ziemię nieprzyjacielską, zdeptaną żelazną stopą wojny. Niepojęte bezceństwa, najzupełniej niepotrzebne, nie będę ich opisywał, bo i tak nie zapomnę tego do śmierci. Jakże łatwo dziczeje człowiek, gdy się go poszczuje na wroga. — Huzia! Huzia go! Jestem przekonany, że dzieje się to świa-

domie, na mocy obmyślanych tajnych instrukcji Belgów, Francuzów musi ogarnąć strach paniczny przed zdobywcą. Wszystko ma być wdeptane w najpodlejsze poniżenie. Zarazem żołnierz niemiecki zaprawia się w zezwierzęceniu jak przystało na pacholka rasy panów. Pastwienie się nad bezbronnym daje mu zadośćuczynienie za trudy i grozę wojny. Na etapach i w pasie frontowym pozwalają na wszystko.

W Argonach było ciężko. Napadnięty na patrolu w lesie zakłułem bagnetem trzech Francuzów — co miałem robić? Obroniłem się i żyję. Poco mam żyć? Żeby pracą całego życia odkupić... Idiotyczne słowa! To też gdy nas zdjęli z linji i powieźli, na jakiejś stacji za Liège w ciemną dżdżystą noc postanowiłem uciec, dotrzeć jakoś do granicy holenderskiej i dać sobie zwolnienie z tej męczarni. W natchnieniu ujrzałem ogromną wizję mego nowego życia — Ameryka, apostołska walka z wojną, urabianie nowego człowieka... Wielotysięczne mityngi, podróże agitacyjne, artykuły, broszury, książki... A gdy się skończy wojna — poznają Niemcy Kurta Wagera! Kto odważył się wyłamać z czadu załganego patriotyzmu i sam stanowić o sobie, ten się nie zawaha przemówić do mas nowem słowem, jakiego nie słyszeli jeszcze w niemieckiej ojczyźnie. Dezerter — haniebne miano... Ja mu przywrócę godność i cześć!

I cóż? Jak to bywa najczęściej z wielkimi postanowieniami — nic się nie stało. Ta noc jesienna

z wichrem i szarugą, taka właśnie, kiedy to psa nie godzi się wygnać?... Wzgląd na to cudne dziecko — Ritę? Hańba na siwą profesorską głowę Wagera-ojca? Strach przed nędzą i tułactwem? Jakieś przeżytki i przesady z podświadomych zakątków mózgu? Pociąg stał długie, długie godziny na tej stacji, najbliższej od granicy. Wreszcie ruszył. Narzuciłem na głowę płaszcz i zasnąłem. I dopiero teraz wiem, dlaczego nie zostałem dezserterem.

Albowiem nie godzi się uchylać od wspólnego cierpienia temu, który zamierza przez lud zmienić ustrój świata. Trzeba, żeby przeszedł razem z masą żołnierską całą gehennę wojny, żeby się zagłębił w jej wszystkie nędze i odgadł jej najskrytsze tajemnice. Ma on wytrwać z bracią żołnierską. A żeby, gdy się wypełni czas a Kurt Wager będzie żył i stanie w obliczu mas, mógł zacząć od tych słów, które dają prawo do głosu i moc: aż do końca byłem z wami!

Profesor Wager szperał bezładnie w kartkach, szczerlnie zapisanych ołówkiem, chwycił i czytał przez chwilę na wrywki jakiś ustęp z jakiegoś listu, nie patrząc na datę. Ręce mu się trzęsły, wciąż ocierał łzy, które przeszkadzały mu czytać. Spieszył się, jak gdyby szukając czegoś pilnie i przewracał w kupce papierków.

Nagle utknął — zamyślił się. Szybko zgarniał kartki do szuflady, zatrzasnął ją i zamknął na

klucz. Coś pomrukiwał. Coś przed sobą udawał. Zerwał się od biurka, jakby chciał od czegoś uciekać.

Jak? Dokąd? Do kogo uciec!

Absurd.

W sześćdziesiątym siódmym roku życia dać się pokonać urojeniom niedowarzonego umysłu? Zaufać łzom ojcowskiej tęsknoty? Przekląć cały swój żywot, dlatego, że Kurt zginął?

Absurd. Niechże spoczywa w spokoju...

— W spokoju, synu, w spokoju leż w swoim dalekim grobie. Niech będzie błogosławioną twoja pamięć... Bądź dobrym duchem, a nie jak widmo upiorne. Bądź mi lepszym synem choć po śmierci, nie nękać starego ojca...

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

*Część druga*

**ŻÓLTEGO KRZYŻA**

*p. 1.*

**BOGOWIE GERMANJI**

*w druku*





Biblioteka Uniwersytetu  
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 19010 1

3A

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki



1000171621